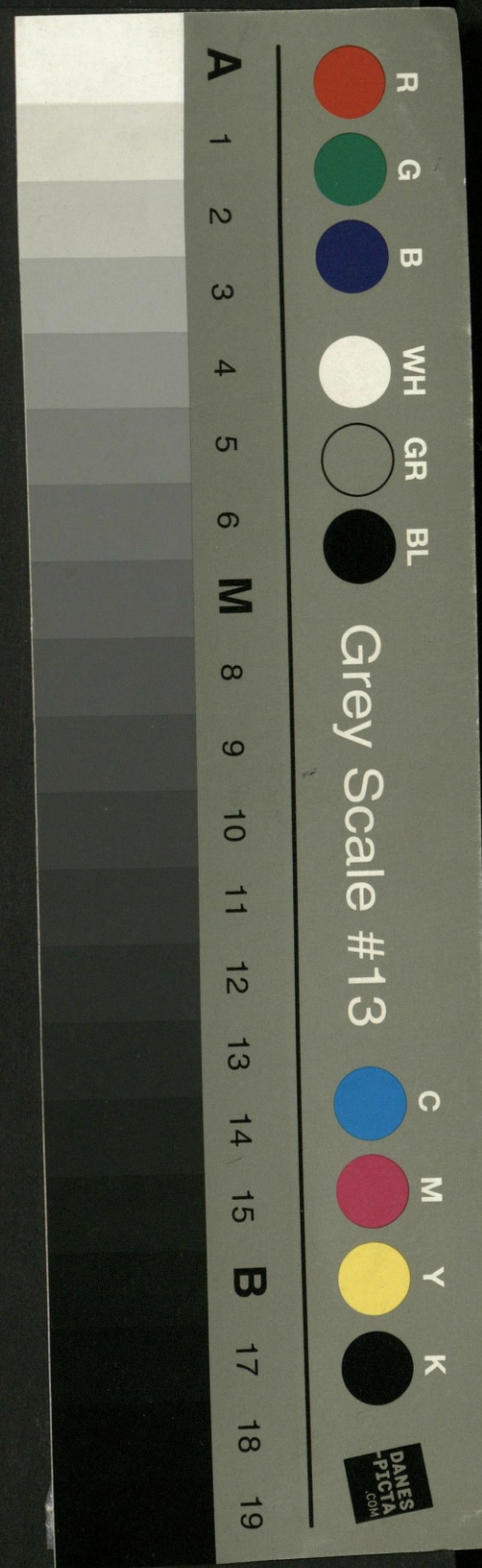
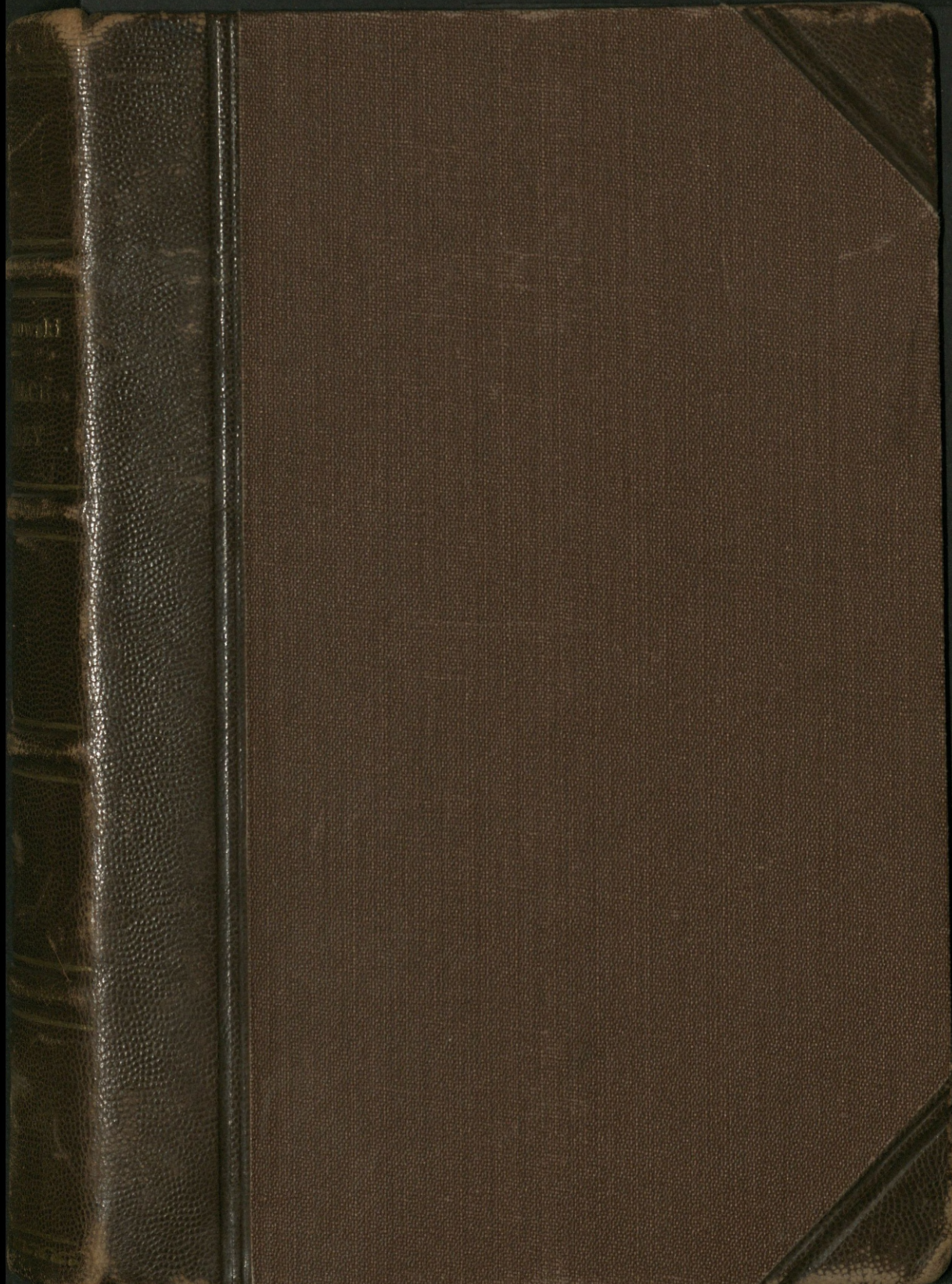
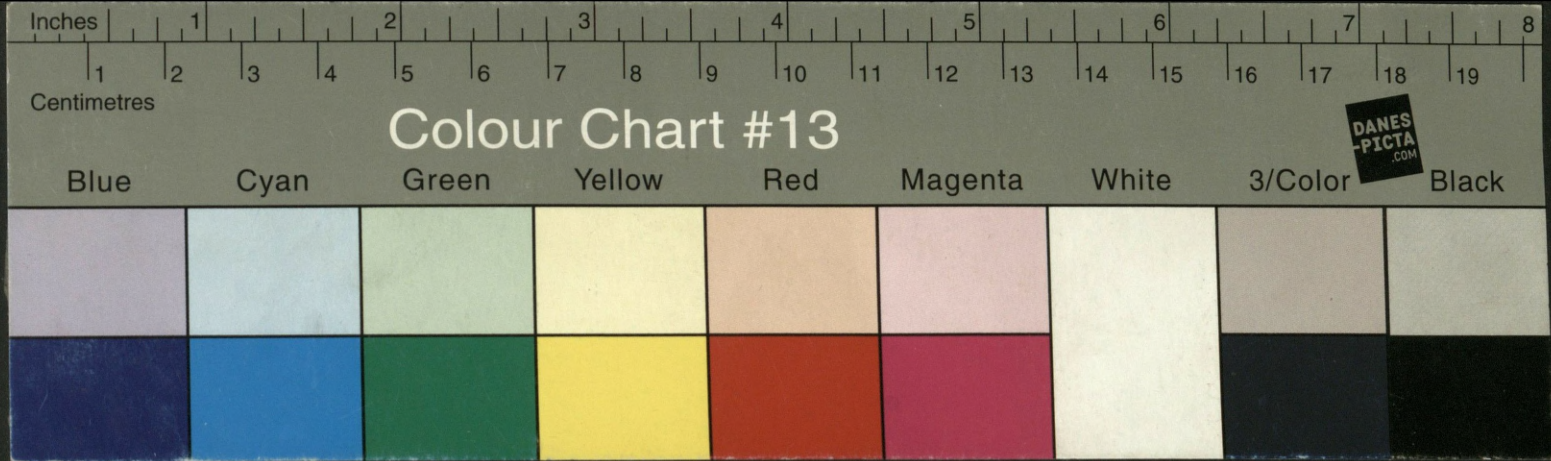
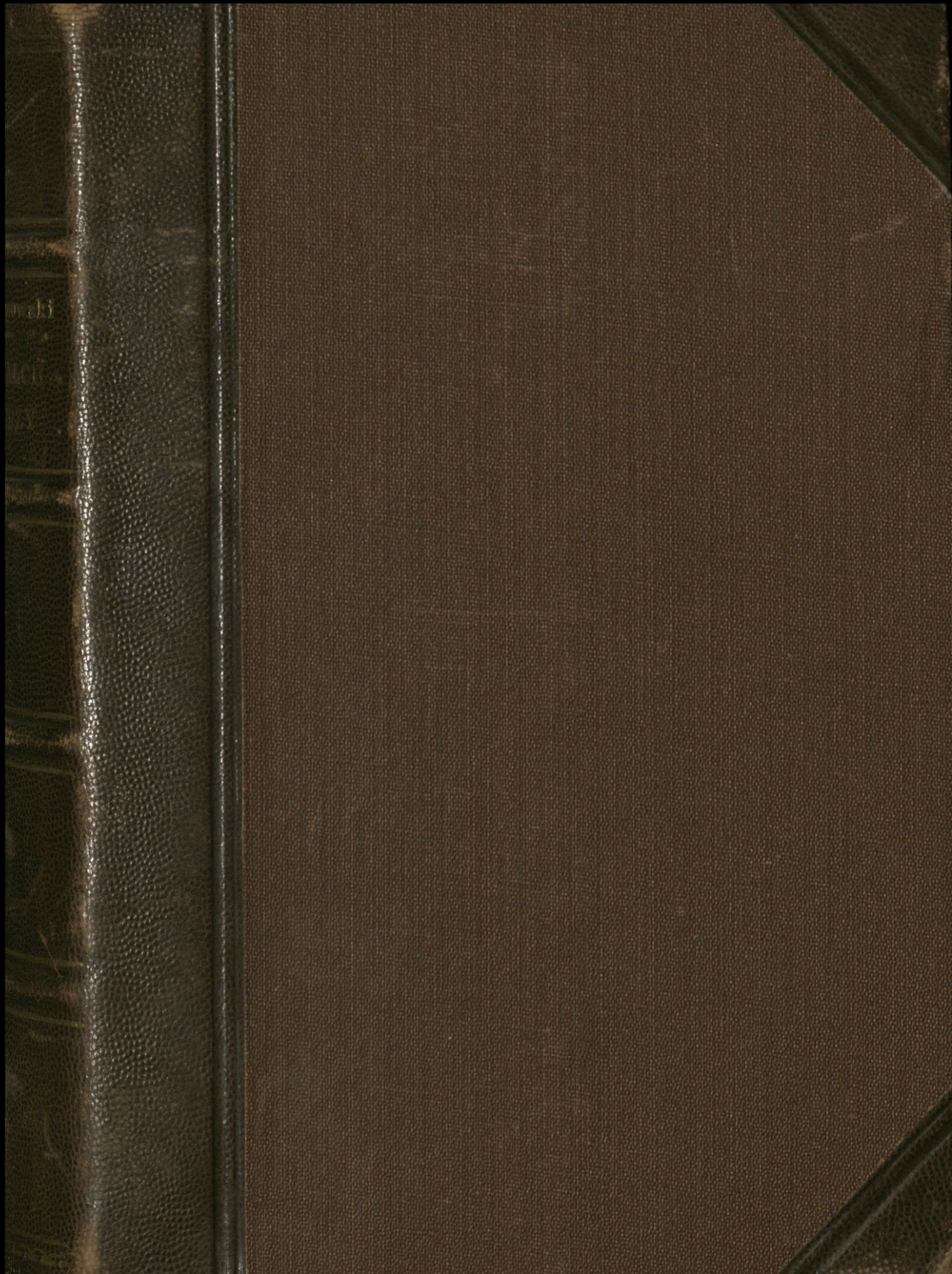






W. Rzymowski

WALCE
HOŁÓWKO
i BURTY
NATLE
EPOKI

K 5

Warszawa 1933

Majstrowi Wacławowi
Lipieckiemu, którego nada-
nia historycznego księżka
niniejsza zawiera tak wiele,
ofiaruję ja w dowód naszej
przyjaźni L. Rymsowski
8/xii 1932



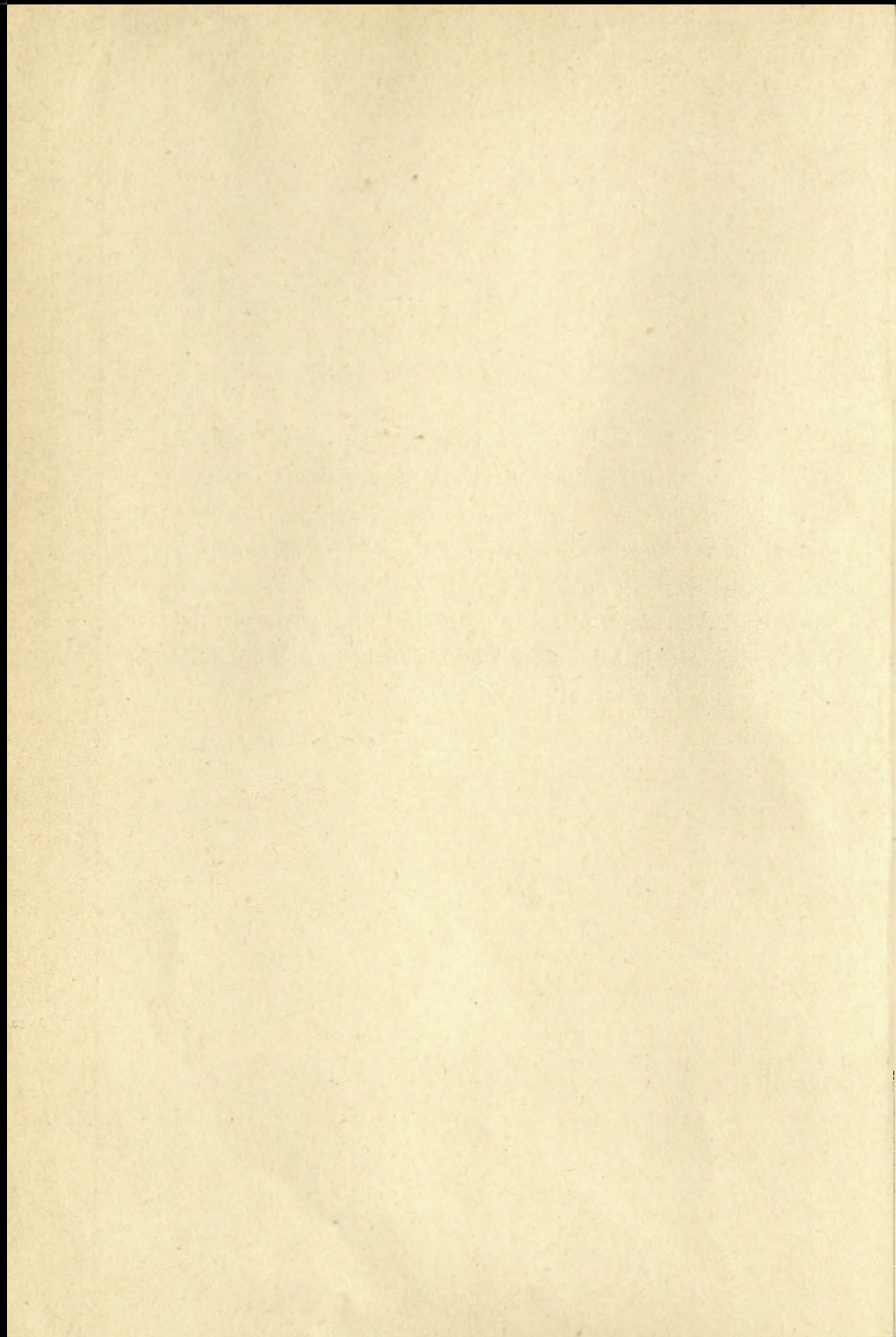
Tadeusz Hołó wko przy biurku Naczelnika Wydziału Wschodniego w Min. Spraw Zagranicznych.

WINCENTY RZYMOWSKI

W WALCE I BURZY

TADEUSZ HOŁÓWKO
NA TLE EPOKI

NAKŁADEM AUTORA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH S. A. KSIĄŻNICA-ATLAS
WARSZAWA 1933



Z domu niewoli.

Naród polski, ujarzmiony i podzielony na schyłku wieku XVIII między obce mocarstwa, nie utracił ani poczucia swej jedności, ani tradycji bytu niepodległego. Starty jako państwo z mapy Europy, raz po raz błyskiem miecza i genjuszem ducha dawał znać, że żyje.

Pierwszy odruch zbrojny przeciw zaborcom dokonał się jeszcze przed ostatecznym upadkiem Rzeczypospolitej, ściśle biorąc, między drugim a trzecim rozbiorem: Kościuszko, w roku 1794, chwytając za miecz, by zapobiec zagładzie Państwa i ocalić godność narodu. Odtąd między strzaskanym mieczem Kościuszkim a zmartwychwstałym orężem Piłsudskiego ciągnie się cały szereg powstań i prób powstańczych, rewolucyj i akcyj zbrojnych.

W tych jednakże powstaniach i rewolucjach stosunkowo niewielka tylko garść ludzi, czynnym żywioną duchem patriotyzmu i obywatelstwa, borykała się z zaborcami; olbrzymia większość, głucha na hańbę niewoli, w gnuśnej tonęła bierności.

Rozbiory zastały ogół „narodu szlacheckiego” rozproszkowany w ciasnym samolubstwie swoich dworów, pogrążony w ciemnocie duchowej, inne stany w niemocy i niewolniczym upodleniu, a po-

nure dziedzictwo tej przeszłości złowrogą zaciążyło kłutwą na wszystkich próbach i usiłowaniach powstańców.

Ruchy zbrojne, dążące do odbudowy państwa, mają za podłoże na całej przestrzeni wieku XIX ten fakt niewątpliwy, że cała masa narodu, wraz z ogółem warstwy szlacheckiej, trwała w bezwładzie, застоju i naogół łatwo przystosowywała się do nowych warunków niewoli, nieliczny zaś tylko zastęp czynił na wszelkich polach bohaterskie wysiłki: zbrojne, społeczne, gospodarcze, naukowe czy artystyczne — ratując naród od zagłady i podtrzymując w nim nurt samoistności.

Wysiłki i ofiary tego to szczupłego zastępu ludzi stworzyły w narodzie polskim ową ciągłość myśli, czynu i zadań, przekazywanych z pokolenia na pokolenie; ową ciągłość, której wąskiem lecz głębokiem łożyskiem płynął duch buntu, oporu i walki.

Wszelako, mimo tej ciągłości wysiłków, nie możemy całokształtu naszych dziejów porozbiorowych uważać za okres jednolity. Przecina go rok 1863/64: ten rok, niby mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od pokoleń, życie nowe od starego, zamyka ową erę powstań szlacheckich, którą rok 1794 był otworzył. Ten 70-letni okres ma w historii naszej odrębne, własne oblicze. Wypełniały go nieustanne, z pokolenia na pokolenie dziedziczone próby odbudowania nowej Rzeczypospolitej, nie tylko w oparciu o społeczne fundamenty starej, szlacheckiej, ale i przy ograniczeniu się w walce z zaborcami przeważnie do tych sił i środków, jakimi rozporządzał stan szlachecki.

Ciągłość ideologii politycznej w tym okresie wspierała się o ciągłość organizacji sił zbrojnych. Armja kościuszkowska wyrosła z dawnych wojsk polskich, które chrzest bojowy wzięły w roku 1792. Oficerowie kościuszkowscy byli materiałem dla legjonów włoskich w kampanjach Napoleona, dla bohaterskiej armji Księstwa Warszawskiego. Oficerowie i wiarusi napoleońscy przetrwali w pułkach Królestwa Kongresowego i poprowadzili powstanie listopadowe. Klęska powstania i kapitulacja Warszawy w roku 1831 przerwała wprawdzie ciągłość organizacyjną, ale nie stargała nici ideowej, snującej się skroś pokolenia na grzędzie szlacheckiej. Oficer polski, zmuszony ująć z kraju, nie przestawał czuć się żołnierzem sprawy polskiej na obczyźnie.

Rycerze Grochowa i Ostrołęki nieśli w piersiach swych nieugaszone do końca życia iskry, które zapaliła w nich Noc Listopadowa. Oni to byli zarzewiem późniejszych ruchów zbrojnych w latach 1833, 1846 i 1848. Ludzie „wiosny narodów“ odegrać mieli z kolei główną rolę w kierownictwie powstania styczniowego.¹

Ognista wstęga walki od Racławic biegnie ku biwaku Dąbrowskiego, ku Iganiom i Ostrołęce, i poprzez węgierskie szlaki Bema sięga ku krwawym polom Małogoskim.

Jedno pokolenie żołnierskie podawało broń drugiemu. W każdej walce stawały obok siebie dwa pokolenia: jedno, które już w poprzedniej insurekcji brało udział, i drugie, które poprowadzi do następnej.

¹ Por. A. Próchnik: „Warunki obiektywne okresu powstaniowego“. „Niepodległość“, t. I, zesz. 1.

Ciągłość organizacyjna była nieraz tragicznie przerywana, ale żyła tradycja żołnierska i polityczna, wcielona w bojowe osobistości, które, jak słupy płomienne, znały pochód walki powstańczej. Powstanie Kościuszki było dalszym ciągiem wojny roku 1792. Dąbrowski i Kniaziewicz wyrosli w insurrekcji kościuszkowskiej. Chłopycki i Skrzynecki zyskali szarżę w bitwach Napoleona. Bem był żołnierzem powstania listopadowego. Mierosławski i Langiewicz nieśli w sobie testament emigracji polistopadowej. Traugutt wreszcie, uporem i wolą trwania na swym samotnym posterunku wodza, był jakoby uosobieniem heroicznych, nieubłaganych nakazów Mochnackiego.

Ale wraz ze śmiercią Traugutta i czterech członków Rządu Narodowego, straconych 5 sierpnia 1864 roku na stokach Cytadeli w Warszawie, gaśnie ta pochodnia zbrojnej insurrekcji, którą — rzecz można — z rąk do rąk podawały sobie trzy pokolenia.

Generacja, która walczyła pod Czachowskim, Langiewiczem i Sierakowskim, nie miała już do drugiej poprowadzić rozprawy. I nie tylko dlatego, że w najbliższych dziesięcioleciach nie znalazła żołnierzy, gotowych pomścić jej klęskę, ale przede wszystkim dlatego, że sama w sobie nie znalazła gotowości do czynu.

Dawniej każdy bój przegrany pozostawiał w piersi następców żagiew, z której nowy odradzał się płomień, teraz na mogiłach roku 1864 teoria „nieprzerwalności powstań“ urwała się jak łańcuch, którego ostatnie ogniwo wdeptano w ziemię...

I gdy w zaraniu wieku XX na polskim widno-

kręgu politycznym zarysuje się znowu czyn zbrojny, nie zasili go już, jak bywało dawniej, stara gwardja powstańcza. Organizacjom bojowym Polskiej Partji Socjalistycznej, Związkowi Walki Czynnej, Strzelcowi i Drużynom Strzeleckim, Legjonom i Polskiej Organizacji Wojskowej nie przewodzi już weteran roku 1863. Do walki z zaborcami stają nowi żołnierze i nowi wodzowie. Ci nowi żołnierze i wodzowie, gdy posłyszają w sobie bicie godziny dziejowej, wołającej naród do czynu, zmuszeni będą siłą zbrojną tworzyć od samego początku, tworzyć już na nowych podstawach społecznych, wykuwać ją w nowych społecznych żywiołach.



Ale któż te nowe żywioły stanowił? Stanowili je włościanie, drobne mieszczaństwo, inteligencja miejska, rekrutująca się przeważnie z wydziedziczonych rodzin szlacheckich, rzemieślnicy, a także stopniowo z rzeszy włościańskiej wyłaniający się robotnicy przemysłowi, owi wolni najmici, których nowy prąd gospodarczy odrywał od gleby wiejskiej i osadzał w coraz większych skupieniach wokół mnożących się ośrodków fabrycznych. Na zgłiszczach stłumionego powstania rodził się nowy świat polski — świat demokracji — ale dlatego właśnie, że rodził się z pobojowisk przegranej walki, powstawać musiał w antagonizmie do idei i klasy społecznej, która walce tej przewodziła. Ponad mogiłami powstańców świadomość narodowa miała z warstwy szlacheckiej przejść na całe społeczeństwo, powołując do życia politycznego chłopą i robotnika, ale przejście to nie

mogło dokonać się bez głębokiego przewrotu, który wstrząsnął nie tylko układem stosunków gospodarczych w kraju, ale i zrębami całej jego dotychczasowej ideologii.

Ciężko, już nie na samej szlachecie za trzymanie się pańszczyzny, ale na całym narodzie polskim odbiło się to, że zbawienne dzieło uwłaszczenia dokonane zostało nie przez władze ojczyste, ale przez władcę Rosji. Zniesienie pańszczyzny oznajmiał wprawdzie ludowi już manifest Rządu Narodowego, ogłaszający powstanie, wszelako manifest ten nie przekonał, nie porwał duszy włościanina. Przyszedł zbyt późno, z nazbyt wątpliej ozwał się trybuny. Wydał się chłopom raczej odezwą agitacyjną, niż uroczystym postanowieniem władzy prawowitej. Skutek jego był tylko taki, że włościanin przestał odrazu płacić czynsz, czy uiszczać pańszczyznę, poparty w tem przez powstańców; sankcji zaś uwłaszczenia oczekiwał od rządu legalnego, który upatrywał w rządzie carskim. Do powstania, z rzadkim wyjątkiem, nie przystąpił, gdzie niegdzie nawet opór mu stawiał.

Musiały minąć lata, musiało urósć nowe pokolenie włościaństwa, które wydobyło się z pod piekących wspomnień pańszczyzny, aby żywił, będący narzędziem władz carskich, mógł stać się czynnikiem nowej siły narodowej.

Tymczasem najliczniejsza w kraju warstwa społeczna — jedyna widoma ostoja jego przyszłości — oderwała się od szlachty; a ponieważ szlachta przez wieki utożsamiana była z narodem, przeto zdawać się mogło, że oderwała się od narodu. Chłop zatrzymał swój język polski i wiarę katolicką, ale na dłu-

gie lata stanął po stronie cara, który obdarzył go ziemią i w którym widział swego dobroczyńcę.

Wtedy to załamała się rozpaczliwie wiara pokoleń w moc polskiej akcji orężnej, w moc czynników idealnych Zachodu, w moc rychłą spadkobiercy narodowych tradycyj — ludu. Wtedy też nastąpił właściwy czyściciel duszy polskiej, stokroć boleśniejszy, niż czasy bezpośrednio porozbiorowe, gdy szlakiem napoleońskim błakała się ciągła nadzieja, a żyła jeszcze w szlachcie cała tradycja różnych najazdów i „potopów“, z których toni jednak Rzeczpospolita zawsze wypływała.

Zapytywano nieraz — pisze jeden z historyków — dlaczego rozbiór Polski nie wydał bezpośredniego wybuchu patriotyzmu w literaturze i sztuce? Zapewne nie dlatego, by nie było patriotów, lecz bodaj czy nie dlatego, że dla swawolnej, anarchicznej myśli szlacheckiej ten rozbiór to był jeszcze jeden najazd, jedno bezkrólewie — skąd Polska każdej chwili wyjść miała z „Piastem“ lub z „pretendentem“ na czele.

Wszelako, w miarę jak płynęły lata niewoli, a wróg coraz głębiej zagospodarowywał się w kraju, lekkomyślne złudzenia pękały w starciu z rzeczywistością, a najgorętsze nadzieje tonęły w krwi, wylanej na pobojuwiskach.

Po trzykroć Rzeczpospolita, w sereu szlachty żyjąca, zrywała się do boju, po trzykroć padała rozbita. W każdym podjęciu oręża coraz mniej było wiary we własne siły, coraz więcej — rozpacz i rezygnacji.

Powstanie kościuszkowskie objęło armję wraz z jej zaopatrzeniem, objęło kraj z jego skarbem

i rządem. Powstanie listopadowe oparło się na armji i na zasobach jednej wprawdzie, ale dobrze zagospodarowanej dzielnicy. Powstanie styczniowe nie odziedziczyło już ani skrawka terytorjum, które stracili dziadowie; nie miało już armji, którą przegrali ojcowie. Kwatera jego wodzów konspirować się musiała w zasięgu działań nieprzyjacielskich.

Cóż więc pozostawało jeszcze z bogatego dziedzictwa niepodległości? Już tylko szkoła, sąd i administracja cywilna: szczątki tak ubogie, że obóz „czerwonych“, proklamując powstanie, które miało te szczątkowe instytucje strawić, ani pytał o wartość tego, co rzucał na kartę.

A przecież dopiero teraz, gdy te ostatnie reduty polskie padły pod gruzami klęski, runęło w duszy narodu coś, co uchodziło za jej niepożytą dźwignię. I, naprawdę, teraz dopiero umierała Rzeczpospolita, którą powalono przed laty 70-ciu, owa stara Polska szlachecka i kontuszwowa. W mogiłach, które pochłonięły rycerzy powstania, spoczął ostatni strzęp purpury z dawnego królewskiego płaszcza.



Rozbitkowie i pogrobowcy ostatniego Powstania, a wraz z nimi i całe społeczeństwo po roku 1864 odczuwało instynktem, że dawna Polska nie wróci, że jakaś Polska nowa musi się narodzić.

Ale, gdy tę, co odeszła, widziano i pamiętano w całej okazałości, nikt nie umiał wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała ta Polska nowa. Wszystkie walki, podejmowane dotąd o jej odbudowanie, kończyły się porażkami, z których każda następna była okrut-

niejsza od poprzedniej. Sumując ich fatalne wyniki, skrwawione i represjami znękanе społeczeństwo uległo wrażeniu, że wszystkie ruchy zbrojne były błędem uniesień romantycznych, że pokolenia, targając okowami niewoli, zamiast upragnionej wolności sprowadzały na kraj tylko coraz sroższy ucisk, tylko coraz dzikszą zemstę najeźdźców.

I oto, pod wpływem tragicznych rozczarowań, potęgowanych strachem odwetu ze strony cara i jego sług-wieszatieli, ze skrępowanej piersi pokolenia dobywa się pytanie, czy nie należy zaniechać tej walki, która mnożyła tylko mogiły i krzyże, która ofiarami zaludniała drogi wygnańcze i kopalnie sybirskie? Czy nie należy pogodzić się z losem, nie rozrywać nadal ran przez szarpanie łańcuchów, których rozkruszyć niepodobna? Czy natomiast, przez lojalne podporządkowanie się potęgom zaborczym, nie lepiej będzie szukać w pracy u podstaw, w pracy organicznej, pomnożenia gospodarczych i kulturalnych zasobów narodu?

To pytanie, które zrazu zrodziło się jako jęk z piersi zrozwężonej, z wolna zmieniał się w punkt wyjścia dla całego programu narodowego ery powstaniowej.

Główny nurt myśli i działań opanowany został przez nowe ruchy. Stało się to, co groziło przez całą epokę ubiegłą, w której — jak rzekliśmy — za naród czuła, myślała, walczyła i ginęła nieliczna garść, a większość była wierna i uległa pod jarzmem. Bohaterów i wieszczów zabrakło, do głosu przyszli ludzie, którym okowy wżarły się już w duszę. Tradycję niepodległości składano do muzeum jako klejnot

szacowny, ale nieprzydatny w życiu. Szarym pyłem zapomnienia zasypywano dorobek lat niedawnych, a zasypywano tak dokładnie, że czasy późniejsze musiały potem „odkrywać” Mickiewicza-polityka, Mochnackiego-trybuna rewolucji, Słowackiego-apostoła, Norwida - mędrca, Worcella - socjalistę, cały skarb myśli i natchnień, rozproszonych po emigracji.

Na ich miejsce importowano z zagranicy spopularyzowane idee „pozytywne”, użytkowe, „materiaлистyczne”, jako drogowskazy trzeźwości. W dziedzinie kulturalnej, nie pozbawiony czynnych pierwiastków reformatorskich, choćby dzięki śmiałemu natarciu na kapliczkowy romantyzm, na bezzębny idealizm, na obskurantyzm, gnieźdzący się pod maską swojskości i zbutwiałej szlachetczyzny, okres pozytywistyczny okupował jednak ten oświecający prąd umysłowy kapitulacją w dziedzinie politycznej.

Wyrastając z grzędy drobnomieszczańskiej, a wysługując się interesom kapitału, przeważnie niepolskiego, zapatrzony w złotodajną perspektywę „rynków wschodnich”, pozytywizm warszawski, pod pięknym hasłem „braterstwa wszechludzkiego”, właściwie cementował Polskę z Rosją i w ostatecznych wynikach sumował się z kursem konserwatystów, oddających ideę niepodległości za domniemane korzyści „realne”.

Program ten, błędnie czasem nazwany „ugodowym” — do zawarcia bowiem ugody stawać mogły tylko strony równorzędne, gdy tymczasem Polacy wobec zaborców zgóry skazani byli na stanowisko niższości i upośledzenia — był w treści swej postula-

tem „trójlojalizmu“, t. j. głosił w każdym zaborze hasło lojalnej współpracy z istniejącym tam rządem.

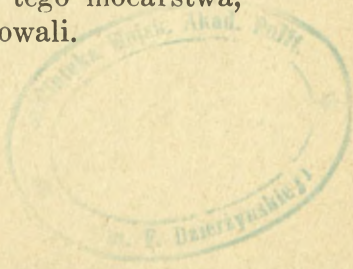
Było to hasło szczere?

Dziś, gdy ku smutnym czasom owym patrzymy z progów Polski odrodzonej, wystarcza stwierdzić, że było to hasło całkowicie nierealne. Było zasadniczo, wewnątrznie, dziejowo nierealne, jakkolwiek ci, którzy je głosili, najchętniej, naprzekór prawdzie, wybierali miano „realistów“.

W istocie rzeczy „realizm“ tych, którzy zalecali pogodzenie się z losem trójniewoli, był tylko wyrazem apatji; apatji tem głębszej, im gruntowniejsze było rozbicie nadziei powstańczych. Wyzuty z pierwiastków czynu, zapatrzoney w potęgę mocarstw zaborczych, trójlojalizm łudził się, że pokorą i uległością wobec władców stępi ostrze prześladowań, wymierzonych w nieosłonięte piersi narodu. Wydawało mu się, że dość będzie zaniechać spisków i zbrojeń, aby zaborców przejednać i uzyskać z ich strony stosunek, jeśli nie przyjazny, to w każdym razie oparty na równouprawnieniu obywatelskiem.

Wyobrażano sobie, że dość jest opuścić okopy wiary w niepodległość, aby rządy zaborcze, zniewolone tem wielkiem ustępstwem, wyszły ku nam z darem autonomji, poręczającej ludności polskiej swobodny byt i rozwój własnych, odrębnych instytucyj kulturalnych i gospodarczych.

Snując tę nie utopji, rzeczniczy trójlojalizmu powoływali się zazwyczaj na dolę braci naszych w zaborze austriackim i wskazywali, że największej wolności Polacy zażywają pod berłem tego mocarstwa, przeciw któremu najmniej się buntowali.



I prawdą było, istotnie, że Austria udzieliła Galicji autonomji z własnym sejmem i administracją cywilną, ale ci, którzy się na te dobrodziejstwa powoływali, zapominali o tem, że przyszyły one nie jako nagroda za spokojne sprawowanie się Polaków, ale jako wynik ciężkich, przez Austrię poniesionych klęsk wojennych w roku 1859 i 1866, które wstrząsnęły i zachwiały jej ustrojem.

Przeciw Prusom Polacy powstań nie wszczynali, a jednak rząd Bismarcka wydał im, jako narodowi, walkę nieubłaganą i śmiertelną, walkę eksterminacyjną, streszczającą się w jednym, zbójeckim okrzyku: „wytępić“.

Czegoż spodziewać się mogli pokonani i rozbrojeni Polacy od rozjuszzonej, triumfującej Rosji?

* * *

Rząd carski, stłumiwszy resztki powstania, osądził, że ma ręce wolne do wykonania planu, przedstawiającego prastare marzenie imperjalizmu moskiewskiego: postanowił „strumień“ polski roztopić w „morzu“ rosyjskiem. Bezwzględne dzieło „unifikacji“ zaczęło się w roku 1866 od zniesienia odrębnego budżetu Królestwa i poddania jego ceł i akcyzy Ministerstwu Skarbu Cesarstwa. Z końcem tegoż roku zaprowadzono w Królestwie nową organizację dziesięciu gubernij na wzór rosyjski, następnie zniesiono osobny zarząd poczt, a także zwinięto Komisję Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W dziesięć lat później wkroczyło do Królestwa sądownictwo moskiewskie, niosąc ze sobą mikołajowski kodeks karny.

Odrębność państwowa Królestwa Polskiego przestała istnieć, jednocześnie zaś z rosyjską organizacją władz i powołaniem do nich urzędników-Moskali łączyło się zaprowadzenie w nich urzędowego języka rosyjskiego. Działo się to zrazu siłą faktu, któremu nikt sprzeciwić się nie śmiał, ale potem przysłała i sankcja prawna. Rusyfikacja wtargnęła do wnętrza szkoły, sądu i urzędu; poprzez przymusową służbę w armii szerzyła się wśród włościanstwa, osaczała duszę dziecka, odeinała umysłowość polską od życiodajnych źródeł cywilizacji zachodniej.

Im głębiej, im bujniej darń cmentarna zarastała mogiły powstańcze, im głębiej na mogiłach tych pochylały się krzyże zapomniane, tem zuchwalej — jakby na urągowisko hasłom ugodowym — zwycięski zaborca kładł ciężką dłoń przemocy na wszystkich tętnach polskiego życia.



Mijały lata i dziesięciolecia; w dusznej, beznadziejnej atmosferze ucisku wyrastało nowe pokolenie Polaków, w całkowitej zrodzone niewoli, a więc do niewoli poniekąd przyzwyczajone, życiowo z nią pogodzone.

Idea niepodległości, będąca dawniej płomiennem odczuciem potrzeby, teraz stawała się bladym, mistycznym światełkiem, zamkniętem w kaplicy, do której coraz rzadziej zaglądano. Nieubłagane hasło zaborców „vae victis“ — biada zwyciężonym! — brało górę nad wiekową tęsknotą narodu i kładło się ołowianym całunem na jego sercach, na jego duszach, na jego myślach. Pod ciężarem tego całunu mącił

się wzrok społeczeństwa, zatruciu ulegał jego umysł, kruszyła się wola.

Pierwszym ruchem, który po roku 1864 wykazuje znamiona czynnej postawy politycznej, była Narodowa Demokracja.¹ Twórcy jej, związani w Ligę Polską, późniejszą Ligę Narodową, ukształtowaną na wzór masonerii, powzięli śmiały zamiar masowego odrodzenia ruchu narodowego, dania mu kośca organizacji i wychowania tej organizacji na kanonach nowoczesnej ideologii narodowej, zapożyczonych przeważnie ze źródeł niemieckich i francuskich. Ale ten zamiar ich i to poczynanie nosi w sobie od początku zarodek choroby. W Narodowej Demokracji bowiem, po raz pierwszy od wieku XVIII, dochodzi do głosu i coraz silniejsze piętno na niej wywiera owa bierna masa społeczeństwa, która niegdyś buntowała się przeciw „nowinkom“, frazesem o „złotej wolności“ zagłuszała wszelkie najzbawienniejsze reformy, a potem pod strażą bagnetu zaborczego i knuta umilkła i do najnikczemniejszych przystosowała się warunków — owa masa znieprawiona niewolą, obca tradycjom powstańczym, a gotowa kasać rękę, która jej obrozę targała. Ze środowiska tej to masy Narodowa Demokracja zaczerpnęła soki dla swej ideologii; do tej masy, w miarę rozrostu swego, coraz niżej zstępowała, aby wkońcu, za przewodem Romana Dmowskiego, wsiąknąć bez reszty w jej bierne, chłonne grzęzawisko, poświęcane kropidłem księdza, a oświeclane tu i ówdzie błędnymi ognikami „pozytywizmu“.

¹ Por. Adam Skwarezyński: „Myśli o nowej Polsce“. Nakład „Drogi“.

Tradycję niepodległości — w „nacjonalizmie“ Romana Dmowskiego, jak w postępowym pozytywizmie Świętochowskiego, lub konserwatywnym realizmie Erazma Piltza — wypierała, już w sposób metodyczny, tradycja klęski i strachu przed Moskalami.

Nastrój bezskuteczności walk i daremności wysiłków powstańczych przeistaczał się w podawanie w wątpliwość wartości samego celu tych usiłowań. Gdy człowiek dojdzie do przekonania, że skarb jakiś utracił nieodwołalnie, szuka zazwyczaj pociechy, wmawiając w siebie, że skarb ten nie jest może tak wielki, za jaki uchodził.

Nikt poszukiwaniom tej taniej pociechy nie dał w okresie popowstaniowym naiwniejszego wyrazu, niż warszawski przywódca pozytywizmu Aleksander Świętochowski w swych „Wskazaniach politycznych“.

Wychodząc z założenia, że upadek Państwa Polskiego był faktem niecofnionym, z ochoczą skwapliwością usiłował on wmówić w siebie i w swój obóz, że upadek ten nie był, ostatecznie, bezwzględnie dla Polaków nieszczęściem: „Szczęście bowiem ogółu — pisał — nie jest bezwzględnie zależne od jego siły i samodzielności politycznej, lecz od możności uczestniczenia w cywilizacji powszechnej i posuwania własnej... Czegoż żąda każdy z nas, wzięty w odosobnieniu? Czy własnych żołnierzy, bitew, zaborów, parlamentów, posłów, ministrów — słowem aparatu państwowego? Nie. Każdy marzy o tem tylko, ażeby mógł żyć szczęśliwie, z prawami swej osobistej i zbiorowej natury zgodnie. Ów więc aparat sam przez się olśnić bywa zdolny jedynie umysły, za błyskotliwymi pozorami goniące, i doprawdy dawnoby społeczeń-

stwa nie ubiegały się o niego, gdyby on im w walce o byt jako tarcza nie służył“.

W tych „Wskazaniach“ Świętochowskiego zawarła się jakgdyby cała więzienna, skazańcza beznadziejność Polski, już nietylko ujarzmionej, ale zatrutej niewolą. W ich płytkim oświeceniu utrata niepodległości przestawała być dla narodu katastrofą, stała się natomiast jakimś krokiem postępu na drodze wszechludzkiego rozwoju, zadatkami przyszłych form ustrojowych. Skoro aparat państwowy odpowiadać ma raczej zachciankom próżności, za błyskotliwymi pozorami goniącej, niż rzeczywistej potrzebie, to jego utratę wypadałoby witać raczej z ulgą, niż ze smutkiem!... Moskalom, którzy z ramion polskich zdjęli trud i ciężar „aparatu państwowego“, należałoby się raczej wdzięczność i uznanie, niżli bunt i nienawiść!...

Świętochowski, sprowadzając „szczęście ogółu“ do „uczestniczenia w cywilizacji powszechnej i posuwania własnej“, ani śmiał ani mógł odpowiedzieć na pytanie, czem stałaby się cała cywilizacja polska, wyrwana z łożyska państwowego i poddana wędzidłu obcej przemocy; na straży jego własnego słowa stał cenzor rosyjski, czujnie odmierzający mu zakres dowolonej wolności.

Cenzor ów życzliwie Świętochowskiemu wtórował, gdy ten rodaków swych ostrzegał, aby „nie oczekiwali niczego od przewrotów politycznych, niczego od wojen, traktatów, lub przemiennej łask obcych“; w kierunku wyrzeczenia — autor miał bezgraniczną wolność apostołstwa. Jakże natomiast szybko zamykały się przed nim widnokreśli, gdy próbował wskazać kierunek pracy i zdobyć: „Zajmujemy wszyst-

kie stanowiska opróżnione, weiskajmy się we wszystkie szczeliny, puszczajmy korzenie wszędzie, gdzie grunt podatny ku temu się znajdzie“ — oto jedyny program pracy, jaki umiał społeczeństwu zalecić Świętochowski. Weiskać się w szczeliny... zajmować miejsca opróżnione? Na taką postać działania zdobywa się i woda, wsiąkająca w piasek, i chwast, ugorne zarastający pole, i szczur wędrowny, żerujący w podziemiach. Nie samodzielłą drogą zdobywania i walki, ale pasorzytniczemi szlakami koczownictwa, diaspory i weiskania się w komórki obcych organizmów chciał prowadzić za sobą rzeszę ten groteskowy wódz postępu.

Wskazania, ogłoszone przez Świętochowskiego, nie były jego poglądem odosobnionym i z pewnością odpowiadały utajonym nastrojom zbiorowym ówczesnego społeczeństwa.

A przecież dopiero fakt ich sformułowania i ogłoszenia, stawiając przed ogółem piekące zwierciadło rzeczywistości, dał miarę głębi i grozy tego upadku, w jaki stoczyło się pokolenie powojenne.

Na dnie tego politycznego upadku, w ramach wspólnego wyrzeczenia się „mrzonek niepodległościowych“, wypaczony pozytywizm warszawski spotkał się ze zwyrodniałym nacjonalizmem, który zrazu walczył ze Świętochowskim, konkurując o skąpe mandaty do Dumy, lecz wkońcu pojednał się z nim we wspólnem apoteozowaniu wielkości i potęgi Rosji.

„Wskazania polityczne“ Świętochowskiego, wyrósłszy z samego dna tego upadku, znamionowały wszakże i jego przesilenie. Były rewelacją, ale i wstrząsem. Ogłoszone w roku 1883, będą one nieraz

jeszcze wypływać i odnawiać się na fali „ugodowej“, aby w roku 1914, po wybuchu wojny, przeżyć swój ostatni dzień żałosnego splendoru na łonie Narodowej Demokracji. Wódz pseudo-postępu poda wtenczas rękę pseudo-nacjonałiście Romanowi Dmowskiemu, aby zgodnie zaświadczyć, że obaj gotowi są żyć „pod knutem — byle razem“.

Lecz jeśli „Wskazania“ Świętochowskiego były łożyskiem, w które spływały, mimowoli, wszystkie prądy popowstaniowej rezygnacji ducha, zwłaszcza zaś orjentacje, urzeczzone potęgą Rosji, to stały się one dla późniejszych pokoleń także i punktem odbicia, zastraszającym sygnałem wykolejenia, jakiemu ulega myśl, oderwana od podłoża dziejów i testamentu przodków.

Pokolenie, które rodziło się w ostatnich dwóch dekadach XIX wieku, przychodziło na świat, a co ważniejsze, dorastać miało w atmosferze zgoła odmiennej od tej, jaka ciążyła na dwudziestoleciu poprzednim. Urodzone w niewoli, okute w powiciu, pokolenie to jednakże było wolne od ciężaru beznadziei, pod jakim uginali się jego ojcowie, niosący w duszach zgłiszczona ostatecznego, jak sądzili, pogromu. Mimo twardego, niesłabnącego ucisku zaborców, czuło ono zbliżający się w losach Polski moment dziejowego przełomu.

Mówił o nim cykl wojen, które, krążąc poza horyzontem Europy, coraz ciaśniejszym, coraz ognistszym obejmowały ją kręgiem. Przedewszystkiem zaś mówił o nim coraz silniej uwydatniający się antagonizm między Rosją a Niemcami i Austrią.

System trójjózalizmu, uznający w każdej dzielnicy

przynależność polską do danego państwa jako fakt i jako podstawę programu, mógł wystarczać póty, dopóki między trzema państwami zaborcami istniał niezmacony spokój. Każdy powiew zbrojnego między niemi starcia podważał system ten w jego zasadniczej podstawie i godził w jedyny cel, mający go usprawiedliwiać: obronę przeciw hazardom i ofiarom daremnych porywów wojennych. Trójlojalizm, bezpłodny i poniżający podczas pokoju, stawał się krwawą niedorzecznością w razie orężnego zatargu między państwami rozbiorczymi; groził on wtenczas okropną tragedją walki bratobójczej Polaków z Polakami, idącymi w bój w obcych mundurach za obcą sprawę.

Otóż głuchy antagonizm między Niemcami a Rosją, długo powstrzymywany przez Bismarcka, stał się faktem po jego upadku (1890) i zyskał sankcję polityczną w układzie, a potem i w konwencji wojaskowej franko-rosyjskiej. Carat, zrywając z Niemcami i zbliżając się do Francji, grzebał jednocześnie jedną z głównych podstaw trójlojalizmu Polaków.

Ci, którzy powstania wykreślali z programu narodowego, kierowali się widokami zaoszczędzenia krwi polskiej dla pokojowej pracy organicznej. Widokom tym złowrogo zaprzeczyła historia już w latach 1870, 1878 i 1904, gdy chłop wielkopolski zmuszony był walczyć pod komendą pruską przeciw Francji, a żołnierz Królestwa Polskiego gęstym zasłał trupem naprzód wąwozy bałkańskie w wojnie rosyjskiej przeciw Turcji, a potem pola Mandżurji w wojnie przeciw Japonji. Krew, której żałowano dla własnej sprawy, jakże hojnie i marnotrawnie miała płynąć dla obcego imperjalizmu!

Lecz nawet groza przemocy, gnającej Polaków w ogień tureckich lub japońskich armat, bladła wobec straszliwego fałsum, jakie nad bezwolnym i rozdartym narodem zaciążyło w chmurze narastającej wojny między Rosją z jednej strony a Niemcami i Austrią z drugiej. Wojna ta, nim wybuchła w roku 1914, na długo przedtem dawała znać o sobie żelaznym chrzęstem zbrojeń, jak burza zapowiadana pomrukami grzmotów.

Obok przemian w ugrupowaniu międzynarodowym, na wzrost odporu przeciw zaborcom oddziaływały też i radykalne przemiany w społecznej budowie Polski, zostającej pod zaborem rosyjskim.

Uwłaszczenie włościan, jakkolwiek dokonane przez cara, było jednak przecięciem wrzodu, który trawił społeczeństwo polskie i wszelkie jego usiłowania podźwignięcia się z niewoli udaremniał. Teraz, na przełomie XIX i XX stulecia, ujemne skutki demagogji carskiej usuwały się w przeszłość, występowały natomiast w pełni rzeczowe strony dokonanej reformy. Naród, ograniczony dawniej do jednej warstwy szlacheckiej, zyskiwał teraz olbrzymi przyrost dynamiki społecznej w klasach świeżych, rwących się do życia i zdobywczych: stawał się narodem nowoczesnym w znaczeniu zachodnio-europejskiem. Szybkim krokiem iść zaczął proces uprzemysłowienia kraju. Warstwy ludowe wkroczyły na arenę społeczną i polityczną jako czynnik, posiadający swe interesy, swe dążenia i cele, o które gotów był walczyć.

Te interesy i cele, z początku ściśle klasowe i ekonomiczne, zwolna nabierały zabarwienia narodowego. Inteligencja, wywodząca się ze szlachty a wyzuta

z roli, była wśród tych świeżych a surowych żywiołów naturalną pionierką świadomości i kultury ojczyznianej. Chłop i robotnik, im głębiej czuł się obywatelem kraju, tem żywiej odczuwać musiał upośledzenie swego obyczaju i swej mowy ojczystej, tem dotkliwiej dawała mu się we znaki służba w armji obcej i obcość władz, którym podlegał.

Świadomość klasowa i społeczna nasiąkała poczućmi krzywdy narodowej, a z pocucia tej krzywdy rósł bunt przeciw najeźdźcom. Bunt ten szczególnie ostre przybierał formy w organizacjach robotniczych, kierowanych przez inteligencję radykalną i młodzież akademicką, ogniskował się w ośrodkach miejskich i fabrycznych, gdzie żandarm rosyjski, wysługując się przywilejom kapitału, przeważnie obcego, łączył w swej nienawistnej osobie zdzierstwo społeczne z polityczno-narodowym uciskiem.

W taki to sposób dokonał się w okresie popowstaniowym ów przewrót, który sprawił, że rząd carski z opiekuna warstwy ludowej przeistoczył się w jej wroga i ciemiężcę.

Był to przewrót błogosławiony: on to stworzył podstawy, na których odbudować się mogło Państwo Polskie. Dzięki niemu wyzwolenie narodowe złączyło się w jeden ruch z dążeniem do wyzwolenia społecznego.

Zarówno chłop, pracujący na roli, jak robotnik, zatrudniony przy warsztacie fabrycznym, ujrzał, że obalenie i wygnanie rządów zaborezych stwarza nowe perspektywy w walce o prawa ludzkie i obywatelskie, o poziom oświaty powszechnej, o godność pracownika, o stopę i zamożność bytu.

Gdy w zaraniu wieku XX carat rosyjski, pobity na polach Mandżurji, zachwieje się w swych podstawach i gdy wśród wrzenia rewolucyjnego otworzą się dla Polaków widoki pomyślnej walki z najazdem, w czołowych tej walki szeregach staną już nie ziemianie, dziedzice dawnej tradycji szlacheckiej, i nawet nie czeladź ziemiańska — oficjaliści dworscy, ale synowie Polski ludowej, młodzież robotnicza i solidaryzująca się z nią młodzież akademicka; demokracja już nie z godeł i haseł, ale demokracja z krwi, z ducha oraz instynktu.

Wódz ich, Józef Piłsudski, wyjdzie wprowadzić z dworu szlacheckiego, ale, przewyciężając ideologję oraz interesy swego środowiska, rozpocznie walkę pod rewolucyjnym sztandarem Polskiej Partji Socjalistycznej, w dalszym zaś ciągu dążyć będzie ku temu, aby ideał niepodległości zespolić z całokształtem dążeń rzeszy pracowniczej w jedno płomienne ognisko walki wyzwolenczej.

Młodzież, której lata dziecinne przypadły na schyłek wieku ubiegłego i która w okres dojrzałości wstępowała na przełomie między pierwszą a drugą dekadą naszego stulecia, wzrastając wśród mnożących się oznak burzy wojennej, przyjmowała jej zapowiedzi naprzemian z trwogą rozpaczy i z porywem tłumionej, bezgranicznej nadziei.

Z trwogą, bo wojna ta, zaskoczywszy naród w stanie bierności, zamieniłaby się musiała na ziemiach polskich w przymusową walkę kainową; z porywem nadziei, bo rozrywając stuletnią solidarność zaborców, otwierała Polsce drogę wyzwolenia.

Już ten dramatyczny, czynny, pełen niepokoju

stosunek do przewidywanych przewrotów politycznych wyprowadzał młodzież poza ramy „ugody“ i „trójłojalizmu“, kazał jej przeciwstawiać się gnuśnej apatji ojców, która „od przewrotów niczego nie oczekiwała“.

W programach tej młodzieży przeważać mogło to lub inne nastawienie społeczne lub ideowe; w jej duszach bezwzględnie górowała tęsknota, wybiegająca ponad kordony graniczne i zbierająca wszystek ból ujarzmionej, rozdartej ojczyzny w jedno czujące serce.

Już na ławie szkolnej rozpocznie ona swoją walkę z zaborem, aby następnie przenieść ją na pola wojny i nie złożyć oręża, dopóki nie ziści się jej najukochańsza tęsknota: Państwo Polskie. Z tego to pokolenia wybierać będzie swych żołnierzy Józef Piłsudski. Ono to na barkach swych wydzwignie Ojczyznę z domu niewoli, z pożaru wojny, z odmętu anarchji.

W jego to jednym z pierwszych, młodzieńczych szeregów spotykamy Tadeusza Hołowkę.

Dżarkent.

Tadeusz Hołowko był synem Wacława, zesłańca-sybiraka, którego prześladowania popowstaniowe wyrzuciły z gniazda rodzinnego w Nowogródczyźnie i na daleką, poza Uralem, pognąły północ. Osaczony nędzą, zagrożony lodowatym zabójczym klimatem, po kilku latach włóczęgi, młody wygnaniec, aby ratować życie, przeniósł się na południe, do Turkiestanu, i zamieszkał w Semipałatyńsku, gdzie ożenił się i gdzie

w roku 1889 dnia 17 września przyszedł na świat Tadeusz. Nie tutaj jednak był kres włości niespokojnego zesłańca. Już po paru latach opuszcza on Semi-pałatyńsk i z żoną oraz dwuletnim Tadziem przyjeżdża do Dżarkentu, jednego z miast, położonych nad samą granicą chińską, gdzie udało mu się zdobyć stanowisko naczelnika komory celnej. Tu więc zamieszkał na stałe; mając odwrót odcięty od kraju, zbudował sobie dom i wokół domu założył ogród i sad owocowy: stworzył tę najpewniejszą ostoję, która człowieka przykuwa do miejsca. Tutaj też rósł i chował się Tadeusz, pod obcym niebem, wśród obcego azjatyckiego plemienia, skazany na to, aby swe dziecinne i młodociane lata spędzić — jak sam powie kiedyś — w kraju od Boga i ludzi zapomnianym, oddzielonym dosłownie tysiącami kilometrów od Polski, od Europy, od cywilizacji romańskiej. Już samo miejsce, na którym stała jego kolebka, w obcym mieście, wśród obcego półdzikiego kraju, było jakby świadectwem rozbitcia, jakiemu uległ naród polski po przegranym powstaniu. Słowa Piłsudskiego, gdy mówił o tragicznych, daleko sięgających skutkach roku 1864, w naszym chyba losie nie miały żywszego potwierdzenia, niż w losie tych polskich rozbitków, zapędzonych burzą w głąb Azji. Gdyby drzazga, od rodzinnego pnia piorunem oddarta i w odległe rzucona ostępy, mogła czuć i myśleć, jej świadomość przypominałaby to, co czuł dom Hołówków w Dżarkencie.

Ojciec Tadeusza był nie tylko gorącym patriotą, ale i bystrym, krytycznym umysłem o przenikliwej inteligencji. Ze wspomnień i przeżyć powstańczych wyniósł on nie tylko uczucie wrogie wobec Rosji car-

skiej, ale i głęboką, radykalną nieufność do Rosji rewolucyjnej, łudzącej Polaków majakami braterstwa broni we wspólnej walce z caratem. Zbyt głęboko w pamięć jego wryła się działalność w Polsce i Litwie takich „demokratów“ i „rewolucjonistów“ rosyjskich, jak Katkow lub Czerkaskij, którzy od zwykłych rusyfikatorów różnili się tem tylko, że swe rzemiosło polakożerecze uprawiali z zapałem apostołskiego posłannictwa. Wacław Hołowko, już z natury swego umysłu uodporniony zarówno przeciw gwałtom Moskali, jak przeciw pokusom ich ideologii, jeszcze silniej odporność tę wzmógł pod działaniem bezpośredniej styczności z syberyjskiem, a później turkistańskiem środowiskiem.

Patrząc na szerokie twarze, na niekształtne czauszki, czysto mongolskie, lub znamionujące olbrzymią przymieszkę krwi mongolskiej, drżał na myśl, że naród polski, naród o tysiącletniej łacińskiej kulturze, mógłby pójść na karm tej wschodniej dziczy, ulec wchłonięciu przez to nieokrzesane barbarzyństwo.

I trwoga chwytła go za serce, gdy próbował w myślach spojrzeć w przyszłość swej rodziny, swych dzieci, okolonych pierścieniem obcej mowy, obcych wpływów i oddziaływań.

Wszak dla małego Tadeusza i jego jeszcze młodszego rodzeństwa cała Polska, to był ten dom właśnie, gdzie żyli rodzice, i poza nim jeden już tylko dom w Dżarkencie, gdzie także polska mieszkiała rodzina. Poza progiem tych dwóch domów wszystko było cudze i obce. Wszystko spiskowało, aby dusze tych dzieci wynarodowić, aby oczy ich ujarzmić urokiem obcej przyrody, wyobraźnię obcym napełnić

światem, myśl wdroić do zamykania w wyrazie obcej mowy.

Moc tych żywiołów spiskujących była tem większa, że występowała w majestacie porywającego piękna przyrody południowej, rzeźbionej rysami dzikości, ale i potęgi. Dżarkent leżał niemal u stóp wyniosłych gór Tian-Szaniu. Słońce, wstając z poza ich łańcucha wiecznym pokrytego śniegiem, grało co rana diamentami barw, pojąc oczy ekstazą światła i świeżości. Ogrom tych gór, utopionych w błękie nieba tak czystym, jak błękity Włoch lub Grecji, stał się pierwszym obrazem i pierwszym zachwytem chłopięcych oczu Tadeusza. Ileż razy, w spiekocie dnia lipcowego, biegł wzrokiem ku ich podniebnym lodowcom, jaśniającym wśród pożaru słońca! Ileż razy, pechany dziwną siłą uroku tych gór niebotycznych, szedł w pola, aby w upojeniu patrzeć na śpiące olbrzymy, w błękitnej drgające mgłę księżycowej nocy, wydające się wyobraźni chłopięcia murami i wieżami tajemniczego zamku!

Te góry młodości na zawsze w duszy Hołówki pozostaną pomnikiem piękna i majestatu. Gdy po latach, na schyłku wojny światowej, stanie po raz pierwszy wobec ojczystych Tatr, przyjacielowi, który mu towarzyszył do Zakopanego i zdążył w drodze naopowiadać cuda o piękności tych polskich gór, gorzką sprawi niespodziankę, zaledwo wyjdzie z pościgu.

— Gdzie Tatry? — spyta Hołówko.

— Jako gdzie — odpowie towarzysz, patrząc nań ze zdumieniem i wskazując mu Giewont.

— Co? Te pagórki? To Tatry? — wykrzyknie rozczarowany Tadeusz.

— Jako pagórki? — zawoła oburzony taternik — widocznie nigdy nie widzieliście prawdziwych gór.

Tadeusz uśmiechnął się tylko. Góry prawdziwe — to były dlań zawsze olbrzymy, oglądane oczynia dziecka w Turkiestanie. Wracając wspomnieniem ku ich śnieżnym, strzelistym koronom, nie mógł oprzeć się uczuciu wdzięczności na myśl, że im to zawdzięczał swe niespożyte zdrowie, szeroki oddech płuc, żelazną wytrzymałość mięśni i nerwów, których stargać nie potrafiły ani więzienia moskiewskie, ani długie marsze „etapowe“, ani zabójcze warunki pobytu w niemieckim obozie jeńców, ani wreszcie trudy wojenne, ani rany odniesione w boju.

Lato w Dżarkencie bywało suche, upalne i nieznosne. Już przeto z końcem wiosny pani Hołówkowa zabierała działwę i przenosiła się na kilkomiesięczne letnisko w pobliskie okolice podgórskie, skąd dzikie i uroczne otwierały się ścieżki, pachnące myrtą i eukaliptusem, wabiące do wycieczek na wysokie i coraz wyższe szczyty.

Szkoła.

Ten doroczny zwyczaj nie uległ przerwie i wtenczas, gdy Tadeusz, osiągnąwszy wiek szkolny, oddany został do gimnazjum w najbliższym mieście gubernjalnem: uciecha powrotu na wakacje kojarzyła się stale w młodym chłopcu z odświeżającym, rozkośnym obrazem gór. To najbliższe miasto gubernjal-

ne — Wierny — oddalone było od Dżarkentu o trzy-
sta kilometrów, które trzeba było przebywać końmi,
przepręganemi na stacjach pośrednich, wedle trybu,
przyjętego od czasów niepamiętnych. W tych podró-
żach, odbywanych zrazu pod opieką matki, były
w czułą duszę chłopca inne wielorakie czary tej zie-
mi: odsłaniał się przed nim tajemniczy antyk azja-
tycki, usiany gruzami dawno minionej wielkości, zna-
czony śladami największych zdobywców świata, Ale-
ksandra Macedońskiego, Dżengis-Chana, Timur-Len-
ga... Niezmierzona głąb czasów wychylała się z nie-
zmierzonego obszaru przestrzeni. Każdy z tych wiel-
kich zdobywców miał tu jakąś wpół-umarłą stolicę,
związaną ze swoim imieniem, swój pomnik chwały,
lub swój grobowiec snu. Stolice owe, przysypane ku-
rzem stuleci, były oazami marzenia, rumowiskami le-
gend. Ale te oazy i rumowiska zaczynały już tu i ow-
dzie nowem zielenić się życiem, które jak bluszczyt,
chwytając się ruin, z uporem walczyło przeciw mar-
twocie pustyni. Czy nie wtenczas już, wobec tej ko-
lebkii dziejów, która jednocześnie była ich cmentarzy-
skim, uczył się Tadeusz zadumy nad losem państw
i narodów? Czy nie wtenczas już rodziło się w mło-
docianym umyśle chłopca pojęcie o przypływach i od-
pływach cywilizacji, o żelaznych prawach historii,
która daje ludziom miejsce pod słońcem jedynie za
cenę ustawicznego wysiłku, za cenę wytężonej walki
przeciw wrogim, niszczyielskim żywiołom?

Tadeusz Hołówko, którego życie całe stać się miało
pasmem nieprzerwanych walk, przyzwyczajał się już
chłopięcemi oczyma patrzeć na kraj, w którym żyć
mu przypadło, jako na pobożowisko. Te ludy, te szcze-



Rodzice Tadeusza Hołowki.

py, te plemiona, koczujące karawanami przez stepy, lub osiadłe po miastach wokół białych minaretów, wydawały się mu plemionami ludzi zwyciężonych. Kirgizi, Uzbekowie, Turkmeni, Persowie, Żydzi: zwyciężone ludy, zwyciężeni bogowie. Potomki dawnych zdobywców, szczątki wielkich imperjów, żywy osad chybionych usiłowań i nieprzeliczonych pogromów — ludy te były jakgdyby uosobionym losem tych, którzy nie potrafili sprostać zadaniom, wyznaczonym przez dzieje. Ich historia — myślał sobie Tadeusz — przypomina rzeki ich kraju. Zbiegając z wyżyn Pamiru, rozdają one w dolinach wody swe polom bawełnianym, ogrodom i winnicom, poczem, przebiegłszy 600 lub 700 kilometrów, wsiąkają w piaski, giną nie przebiwszy sobie wolnej drogi do morza.

Czyż, podobnie jak te błędne wody, nie wsiąkną też i ludy Turkiestanu w materję obcej narodowości, stając się podścieliskiem pod budowę wielkiej, coraz większej Rosji?

Będąc sam rozbitkiem pokonanego narodu, Tadeusz współczuł niedoli szczepów, których, przez dziwną tragedję losów, stał się współziomkiem. Bolał go ucisk i ździerstwo, jakiemu ulegały one ze strony drapieżnej administracji rosyjskiej; jeszcze bardziej bolała go niewola, w jakiej szczepy te trzymała ich własna ciemnota, ich zabobonna wiara, ich barbarzyński obyczaj. Wyłączność władzy i przywilejów, przysługująca Rosjanom, raziła i oburzała młodego Tadeusza nawet tam, gdzie zwracała się przeciwko tak niskim stopniom cywilizacji, jak te, które przedstawiali Sartowie i Kirgizi.

Poczucie sprawiedliwości i równości w stosunku

do innych ludów było instynktem, rzec można, dziecinny w rodzie Hołówków. Dziad Tadeusza w roku 1831 walczył pod hasłem „za naszą wolność i waszą“. Ojciec, pan Wacław, na swym skromnym posterunku granicznym w Dżarkencie, zapisał się w kronice tego miasta czynem, który był jakgdyby zarodem i wróżbą całozyciowej misji syna. Panując nad odcinkiem straży celnej, obejmującym około 100 kilometrów, pan Wacław postanowił postarać się o to, aby podwładny mu dość liczny personel, składający się wyłącznie z Rosjan, mógł być choć w połowie zastąpiony przez żywioł miejscowy, podniesiony w ten sposób do równouprawnienia. Nacisk jego starań był tak silny, że udało mu się przełamać opór, stawiany przez władze centralne, i przeprowadzić to, co uważał za minimum sprawiedliwości wobec upośledzonej biedoty. Wdzięczność, jaką ojciec zasłużył sobie u mieszkańców Dżarkentu, była jednym z najmielszych wspomnień dla syna.

Uważał on je, poniekąd, za testament dla siebie, a ideę, zawartą w tym testamencie, zaczął urzeczywistniać, w małym kręgu, już jako uczeń na terenie gimnazjum w Wiernym. Z natury wrażliwy i czujny wobec każdej niedoli, już w czwartej klasie stał się on duszą kółka, mającego na celu niesienie materialnej i umysłowej pomocy kolegom; poczem, w klasach wyższych, od potrzeb jednostkowych wznosząc się ku potrzebom i zagadnieniom politycznym i społecznym, skupił wokół siebie cały ów bujny ideowy ferment, jakim kipiała ucząca się młodzież w Rosji w okresie rewolucyjnych lat 1905—1907. Już na ławie szkolnej wystąpił w charakterze Hołówki ten

rys, który miał pozostać górującem znamięm jego osobowości: każdej sprawie, która go zapaliła, oddawał całą swoją duszę.

Jego lektura czasopism i książek socjalistycznych, jego porywczy, niepodległy charakter, jego śmiałe sądy, wypowiedane naprzekór ustalonym dogmatom carskiej pedagogji, jego otwarty bunt przeciw policyjnemu systemowi szkoły, zwłaszcza zaś jego żywy już wtenczas udział w spiskowej organizacji rosyjskich socjalistów-rewolucjonistów, doprowadził go do coraz częstszych starć z inspektorem i dyrektorem gimnazjum. Coraz częściej matka i ojciec, wzywani przez władze szkolne, wysłuchiwać musieli wymówek, któremi dyrektor karmił „niebłahonadwożność“ ich syna i groził mu „wileczym biletem“. A wileczy bilet naówczas, jak wiadomo, był postrachem wszystkich rodziców, mających dzieci w szkole; był to wyrok, zamykający przed młodzieńcem wszystkie szkoły w państwie rosyjskiem, od Wisły do Pacyfiku.

Przysięga matki.

Rodzice uspokajali, jak mogli i czem mogli, gniew dyrektora, mniej natomiast czuli się pewni, gdy próbowali uspokajać syna. Czyż mogli gromić go za to, co czuli sami w głębi serca? Czyż w jego niecierpliwym buncie przeciw okropnej, jak zmora, rzeczywistości caratu nie odnajdywali oboje uniesień i porywów własnej młodości?

Wszelako, do tych osobistych, czysto uczuciowych przesłanek kształtujących stosunek rodziców do syna, dołączała się w świadomości pana Wacława

o wiele drażliwsza troska o to, w jakiej formie przed młodzieńczym wzrokiem Tadeusza objawi się i stanie polskość. Wszak oni — rodzice — byli dlań jedynymi niemal tej polskości egzemplarzami. Cały świat polski, współ z swoją historją, ideologją, tradycją i tęsknotą, streszczał się dla Tadeusza przede wszystkim w tych dwojgu osobach. Gdyby wystąpili przeciw zapędom młodzieży rewolucyjnej, czyż nie znaczyłoby to, że minowoli stają po stronie Rosji carskiej, Rosji siepaczy i katów? I czy nie miałoby to pozorów, że wraz z nimi w nienawistnym obozie ucisku i wsteczniectwa staje także i cała Polska, którą na obczyźnie uosabiali? Czyżby w takim razie nie utracili, być może na zawsze, w Tadeuszu nietylko serca syna, ale i duszy Polaka? Polska, jako posłuszna i korna niewolnica, przytroczona do rydwanu carów i nie próbująca zerwać swych kajdan, mogła w rycerskiej fantazji młodzieńca budzić żal pomieszany z politowaniem, ale nie obudziłaby w jego duszy entuzjazmu, nie wydarłaby z niej przysięg bojownika.

Pan Wacław rozumiał, jak wielkie niebezpieczeństwa mogą grozić polskiej duszy Tadeusza w środowisku rewolucyjnej młodzieży rosyjskiej. Wiedział, że syna jego nie skuszą najwspanialsze widoki kariery i powodzenia w służbie carskiej. Ale zdawał sobie sprawę, że pokusa wspólnej z Rosjanami walki przeciw caratowi ozwie się w duszy młodzieńca z siłą niepowstrzymaną i rozpali w niej to wszystko, co jest instynktem bojowym, zamiłowaniem ryzyka i gotowością ofiary.

Czyż jednak ten święty żar młodości spłonąć ma

na stosie obcej — nietyle rewolucji, ile anarchji, anarchji dzikiej i niszczyielskiej, dalekiej od budownictwa i wyzwolenia świeżych żywiołów, a mającej niebawem ukorzyć się przed rządem reakcji stołypinowskiej?

Pan Wacław Hołówko, jak wspominaliśmy, znał Rosję dobrze, gdyż w swem niespokojnem życiu zdarzało mu się naprzemian i walczyć przeciw Rosjanom i wspólnie z nimi pracować, rozkazywać im i słuchać ich rozkazów. Znał w Rosji tych, którzy wieszali na szubienicy, i tych, którzy byli wieszani jako rewolucjoniści i buntownicy: nie miał zaufania ani do jednych ani do drugich.

Jego najgłębsze przekonanie polegało na tem, że Polak do własnych odrębnych celów iść musi drogą własnej, odrębnej walki, sprzymierzając się niekiedy z rosyjskimi wrogami caratu, ale nie łącząc sprawy polskiej ze sprawą rosyjską. Gdy rewolucjoniści rosyjscy chcieli Rosję przebudować, Polacy dążyć musieli do tego, aby się od Rosji oderwać.

To swoje przekonanie pan Wacław usiłował przełożyć w duszę syna i w usiłowania swe kładł całą swą miłość ojca, cały stłumiony bunt dawnego powstańca, całą szczerłość demokracji. Dom swój zmienił w granitową twierdzę polskości. Z dalekiej Warszawy sprowadzał książki i gazety ojczyste; śledził i komentował w rodzinie każde echo, nadchodzące z kraju. Pragnął, aby ten dom, zagubiony w stepach Azji, był kawałkiem żywej, prawdziwej Polski.

Ale czy najżarliwszy wysiłek ojcowski mógł zrównoważyć wpływy szkoły, towarzystwa, zabaw koleżeńskich i silniejszego nad zabawy uroku tajnych

kółek konspiracyjnych? Oddziaływania rosyjskie, odepchnięte z jednej strony, biły ze stu źródeł innych, niepochwytłych, a jakże trudnych do opanowania!

Razu pewnego, gdy cała rodzina Hołówków w Dżarkencie siedziała podczas wakacyj przy śniadaniu, matka, zwracając się do Tadeusza, poprosiła go o podanie na stół cukru, powiedziawszy, przez roztargnienie, po rosyjsku:

— Priniesi, miłyj, sacharu!

Tadeusz spełnił zlecenie; nikt, zdawało się, nie był urażony tem odezwaniem się matki, która zresztą do gości i do służby domowej nie mogła mówić inaczej, jak po rosyjsku. Śniadanie dobiegło końca. Wszyscy rozeszli się do swych zajęć.

Tylko ojciec, pan Wacław, nie poszedł tego dnia do biura. A gdy w pewnej chwili pani Hołówkowa zajrzała do jego pokoju, przeraziła się straszną zmianą w twarzy i wyglądzie męża. Wydał się jej złamany, jakby mu dziesięć lat przybyło.

— Co ci jest, Wacławie? — spytała, truchlejąc. — Czy jesteś niezdrow? Czy spotkało cię jakieś nieszczęście?

— Spotkało mnie to, co będzie największem nieszczęściem naszego życia.

— Co mówisz, Wacławie? O jakim mówisz nieszczęściu?

— Eh, poco słowa tracić napróżno. Dziś, przed chwilą, zrozumiałem, że to, przeciwko czemu broniłem się całą rozpaczą duszy, jest nieodwołalne. Nic nie uchroni dzieci naszych od tego, aby wyrosli na Moskali. Wszystkie wysiłki nasze są stracone.

— Stracone? — jęknęła matka. I śmiertelny

dreszcz, jak igła, przeszył jej serce. — Jakto stracone? Dlaczego to mówisz?

— Mówię, bom słyszał, że już matka do syna swego odzywa się w obcym języku!... Wiesz, co to znaczy?

I tu twarz pana Wacława zadrgała skurczem niepohamowanego bólu.

— Znaczy to, że dzieci nasze nie mają już ojczystego domu!...

Ani jedno słowo wymówki, ani jeden szept usprawiedliwienia nie dobył się na usta matki. Wszystkie kolce tej korony, która była cierniową koroną wygnania i tułactwa, wbiły się w jej serce. W milczeniu opuściła gabinet męża. Łzy, które wybuchły z jej serca, były tak obfite i gorące, jakby płynęły nie z oczu, ale wprost z głębokiej rany serca, otwartej ciosem tak nagle uświadomionej sobie, a tak ciężkiej winy. Z trudem dowlokła się do swego pokoju i padła, głośno szlochając. Ile godzin spędziła biedna matka, lejąc te łzy zgryzoty, tego nigdy nie zdołała sobie przypomnieć.

Pamiętała tylko, że był już zachód słońca i czoła gór ognistym oblały się szkarłatem, gdy jakaś moc wewnętrzna kazała jej dźwignąć się z łóżka, uklęknąć przed krzyżem Chrystusa i w jego ręce przebite złożyć najżarliwszą przysięgę, jaką kiedykolwiek szpon rozpaczcy wydarł z piersi matczynej:

— O, Chryste, Jezu miłosierny — szeptała przez łzy — ulituj się nad sercem matki, poraż usta moje, spal język mój, jeżeli kiedykolwiek raz jeden jeszcze ozwę się do dziecka mego mową niewoli.

Te łzy i ta przysięga, łzami wymodlona, okupiła

polską duszę Tadeusza. Lata mijały, a progu domostwa Hołówek w Turkiestanie nie przekroczyło ani jedno słowo obcej mowy, niewymuszone okolicznościami. Ani jedno słowo rosyjskie nie było ogniwem w łańcuchu uczuć, wymienianych między dziećmi a rodzicami. Przysięga matki, jak miecz archanioła, stała w progach domu, na straży polskiego dziedzictwa uczuć i myśli, polskich wspomnień i nadziei.

Pod urokiem Bohuna.

Patrząc na niezmordowany trud matki, na wytężony wysiłek, z jakim oboje rodzice osłaniali w swym domu święty znicz polskości, Tadeusz wychowywał się w religijnym niemal stosunku do zadań i posłannictwa swego narodu. Odnajdywał najgłębszą prawdę swojej własnej wiary w natchnionych Mickiewicza „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego“; sam czuł się pielgrzymem, szukającym drogi do ojczyzny, rósł duchem, czytając pieśń Konrada, odgađywał, zapoznając się z Wyspiańskim, co znaczy teza, że „Polska to — wielka rzecz“.

Obok wielkich romantyków naszej poezji, pisarzem, który w Tadeuszu rozbudził najżywotniej smak i animusz polskości, był nieśmiertelny piewca „Trylogji“, epik brawury szlacheckiej, Sienkiewicz. On to, rękami czarodzieja, brał młodą duszę chłopca i przenosił ją na łono nieznannej ojczyzny, w święte lasy Litwy, w stopy Podola, w gwarne równie Mazowsza. Tadeusz miał osiem lat, gdy już zapoznał się z fortelami Zagłoby, z nieskazitelną cnotą Skrzetuskiego,

z kawalerską Wołodyjowskiego fantazją. Ten ostatni najżywiej, zrazu, przemówił mu do wyobraźni. Dlaczego?

Być może dlatego,¹ że sam, jako dziecko, był małego wzrostu, że był najmniejszy wśród swych rówieśników, że, wyśmiewany i przezywany przez nich „korniszonem“ z racji małego wzrostu, musiał staczać nieustanne bójkę w obronie obrażonej ambicji. A może dlatego, że, mimo małego wzrostu, był znanym zabijaką, urwisem, utrapieniem służby nie tylko w domu, lecz i wszystkich sąsiadów. Ah, z jakąż rozkoszą w każdym swym przeciwniku widział podówczas Bohuna, a w każdym patyku radby widzieć szablę, aby móc wyzwąć wroga „na udeptaną ziemię“.

Minęło lat kilka i sympatje chłopca wyrosły ze zbroi małego rycerza. Jako czwartoklasista w gimnazjum, gdzie niemal sam jeden musiał wśród Rosjan, Kirgizów i Chińczyków na dalekich krańcach cywilizacji europejskiej reprezentować dobre imię Polaka, wyniesione z domu, Tadeusz duszę ulokuje w Skrzetuskim: jak on niezłomny, jak on w spełnianiu obowiązków poważny i surowy.

Lecz oto zbiegły lata gimnazjalne. Wbrew sarkazmom władz szkolnych, naprzekór pogrożkom dyrektora, Tadeusz miał już w kieszeni „maturę“. Mały chłopak, zakochany w Wołodyjowskim, wyrósł na młodzieńca, szykującego się w drogę na uniwersytet. Ostatni raz spędzał lato na beztroskiej włóczędze po górach Tian-Szaniu. I znów, po raz niewiadomo który, wziął do ręki „Trylogję“ i utonął w jej bajecz-

¹ P. T. Hołowko: „Przez dwa fronty“, str. 204.

nym świecie. Teraz bohaterem jego był Bohun: ów nieustraszony rycerz, imponujący zarówno głodem życia, jak pogardą śmierci; umiejący mocno kochać i mocno nienawidzić.

I Bohun pozostał na zawsze ulubioną postacią Tadeusza. Rzechy można, że poczuwał się z nim do pokrewieństwa, prawie do braterstwa. Czyż i w jego żyłach nie płynęła krew „kresowca“? A w jego duszy, czyż nie płonął ten sam duch niepokoju, który im obu kazał szukać przygód, nęcił urokiem niebezpieczeństw, upajał czarem ryzyka? Ponadto Bohun niósł w sobie te wszystkie namiętności, które żywił Tadeusz: nad wszystko kochał swoją sławę „mołojca“, więcej niż życie cenił honor żołnierski, gdy zaś zewsząd otoczony znalazł się, zdawałoby się, w matni bez wyjścia, umiał torować sobie drogę ku wolności, tworząc dla siebie i swych żołnierzy groblę z rzuconych w błoto futer sobolich, dywanów perskich i jedwabnych namiotów tureckich...

Wraz z sympatją dla Bohuna pozostała też w Tadeuszu na całe życie i wdzięczna pamięć o jego twórcy, Sienkiewiczu, a w pamięci tej trwało coś więcej, niż uznanie dla talentu pisarza. Autor „Trylogji“ podbił duszę młodego wygnańca nie tylko dobitną plastyką kompozycji, ale nadewszystko owym genialnie wyrażonym instynktem plemiennej żywotności, który przelewa się przez karty dzieła, owym zbiorowym, historycznym triumfem instynktu i mocy odrębnej, przeciwstawiającej się zwyczajem zewnętrznym i wewnętrznym wynarodowieniom.

Ten instynkt mocy plemiennej Sienkiewicz wie-

lił w szlachtę, której Hołówkowie — dawni posesjonaci Puszczy rodzinnej w Nowogródczyźnie — czuli się herbowymi dziedzicami, ale której rolę, jako szczerzy demokraci, poczytywali za skończoną. Jednakowoż radykalizm demokratyczny nie mącił im wymowy arcydzieła. Dość bowiem posiadali krytycyzmu, aby rozumieć, że sama szlacheckość jawi się w „Trylogji“ bynajmniej nie w formie doktryny (jak np. u Rzewuskiego), lecz jest tylko koniecznością historyczną i artystyczną malowidła — taką samą i w tym stopniu, w jakim była doniedawna koniecznością narodowej psychologii.

Sienkiewicz był dla Hołówki tkaczem czarodziejskim, który szarą nić smutnej teraźniejszości narodu powiązał ze złotą nicią przeszłości polskiej i zaczął tę nić złotą wplatać w duszę budzącego się z wiekowego letargu chłopą polskiego, wiązać nią serce robotnika polskiego mocnymi węzłami z historją narodu, od której chciano go zupełnie oderwać, ucząc, że proletarjat nie ma nigdzie ojczyzny i że powinien kroczyć ku nowemu ustrojowi społecznemu drogą kosmopolityzmu.

Ta nić złota z czarodziejskiego przędzywa oplótła też i serce Hołówki, rozkołysała w nim struny utajonej tęsknoty, związała je z historją, z obrazami Warszawy, Wilna, Lwowa, Częstochowy na długo przedtem, nim mógł je własnymi zobaczyć oczyma. One to — te obrazy, te miasta, te ukochane mury, owionięte w „Trylogji“ łuną pożarów i oblęgane ęmą nieprzyjaciół, ale dumne, ale niezdobyte do końca, były najsilniejszym, obok głosu rodziców, czynni-

kiem tężejącej w duszy turkiestańskiego maturzysty odrębności i samodzielności narodowej, zmuszonej walczyć przeciw wynaradawiającym wpływom środowiska.

W stolicy carów.

Tadeusz Hołówko kończył dwudziesty rok życia, gdy we wrześniu roku 1909 stanął w Petesburgu, aby na mocy uzyskanej matury zapisać się na wydział przyrodniczy tamtejszego uniwersytetu. Tęsknoty jego, zarówno jak życzenia rodziców, biegły ku dalekiej Warszawie, ale uniwersytet warszawski, opuszczony przez Polaków w roku 1904 na znak protestu przeciw panującemu w nim językowi zaborców, był nadal bojkotowany przez młodzież polską, która, w poszukiwaniu wyższych uczelni, rozbiegła się po całej Europie zachodniej i Rosji. Z roku na rok wytwarzała się i rosła coraz liczniejsza emigracja polska, będąca w obliczu Europy jakgdyby zbiorowym manifestem odradzającego się wśród młodzieży ducha niepodległości.

Jednem z najżywotniejszych gniazd tej emigracji była polska kolonja akademicka w Petersburgu. Skupiały się w niej młode żywioły polskie — chłopcy i dziewczęta — pochodzące nietylko z Królestwa Polskiego, z Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, ale i z najdalszych, zapadłych kresów ówczesnego imperjum carów. Maturzysta lubelski, płocki, lub wileński spotykał się tu z kijowianinem, przybysz z dalekiego Charbina pozdrawiał rodaka w przybyszu z Mińska, Tyflisu lub Płoskirowa. W małym świecie

kolonji studenckiej, rzuconej na bruk obcej stolicy, odbijał się wielki świat niedoli polskiej i ogrom polskiego rozproszenia. Ponad różnice pochodzenia, ponad różnice akcentu, z różnych wyniesione środowisk, jakie dzielić mogły tę młodzież, górowało w niej to, co łączyło wszystkich: wspólność losu narodowego, poczucie krzywdy ucisku oraz instynkt walki, stawiający dumne a dawno zapomniane hasła odbudowy własnego rządu, własnego wojska, własnego państwa.

Skąd brał swą podniechęć ten ruch nowy a śmiały, tak nieprzejednany a tak paniczne budzący przerażenie wśród starszego pokolenia?

Wspominaliśmy już wyżej o czynnikach, które sprawiły, że pokolenie, wkraczające w życie na progu drugiej dekady obecnego stulecia, szło w życie pod znakiem nadciągającej burzy. Czuło ono tę burzę dziejową podświadomym instynktem. Nie bało się jej. Przeciwnie, sama o niej myśl była mu pociechą. Modliło się do niej całą mocą duszy, z dreszczem świętej radości oczekiwania wyciągało do niej swe młode, spragnione wolności dłonie.

Wszak owa burza dziejowa, która nieuchronnie zbliżała się krok za krokiem, miała strzaskać mury ementalne, otaczające polską ziemię. Trzeba było tylko szukać dróg najskuteczniejszego działania, organizować się w braterskie zastępy, kuć oręż bojowy, a przede wszystkim hartować wolę. Historia, mistrzyni narodów, brała na tem pokoleniu młodzieży odwet za lata gnuśnego zastoju, które społeczeństwo przeżyło po klęsce roku 1864. Młodzi chłopcy, w przededniu straszliwej wojny ćwiczący się do walki, prze-

czuwali ciężar, jaki spadnie na ich ramiona. Mierzyli siły na zamiary. „Słyszeli swym słuchem wytężonym, gdy po nocach czuwali, wielkie kucie w ziemi nieubłaganego wojny anioła. Zdawało im się, że ziemia drży i płonie, więc niema już czasu i spoczynku“.¹

Ta atmosfera wytężonej energii, ta wiosna odradzającego się ducha narodowego, była żywiołem, jakby wymarzoną i przeznaczoną na to, aby przyjąć i wchłonąć bez reszty naszego przybysza z Dżarkentu.

Nie mamy, niestety, świadectw, które pozwoliłyby nam ustalić moment i okoliczności, w jakich odbyło się pierwsze zetknięcie Tadeusza na gruncie petersburskim ze środowiskiem polskiej młodzieży akademickiej. To pewna, że zetknięcie to przyszło niezmiernie prosto i naturalnie, zaczęło się od strony radykalizmu społecznego, a więc od współpracy z petersburską grupą Polskiej Partji Socjalistycznej i działalności w Związku Młodzieży Postępowej.

Wstępując w szeregi akademickie, Hołówko wniósł w swej osobie to, co najlepszego mógł zaczerpnąć ze środowiska, w jakim się wychował: szlachetny, szczery poryw rewolucjonizmu, żądzę czynu oraz imponujący zasób sił żywotnych. Lecz jeśli bujny temperament stawiał go już tam, w pustelni turkiestańskiej, w czołowym szeregu tej szczupłej młodzi, która naiwnie a srogo marzyła o poprawie życia społecznego, to dopiero szeroka arena stosunków academic-

¹ P. Żeromski: „O Adamie Żeromskim wspomnienie“, str. 88.

kich w Petersburgu dała mu odczuć tę prawdziwą rozkosz koleżeństwa, która polega na współpracy, idącej w parze z ukochaniem wspólnych ideałów, ale także z burzliwą wymianą myśli, krytyką wzajemną i górnem współzawodnictwem na polu odwagi i poświęcenia.

Młody filareta.

Wśród polskiej kolonji akademickiej w Petersburgu, w chwili gdy po raz pierwszy ukazał się na jej gruncie towarzysz „Kirgiz“ — taki przydomek Hołówko przywiózł ze swej azjatyckiej prowincji — ugrupowaniem młodzieży najczynniejszym, najradykałniej stawiającem zagadnienia narodowe, polityczne i społeczne, była Filarecja, czyli Unja Stowarzyszeń Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej.

Podjmując nazwę, opromienioną genjuszem „Ody do młodości“, Filarecja usiłowała wskrzesić i własnym ożywić zapałem najszczytniejsze hasła powstańczej demokracji polskiej.

Szła ona do walki o Polskę niepodległą, poprzez prawdziwą i głęboką demokratyzację społeczeństwa, niepożytemi węzłami wiążąc chłopą i robotnika z losami sprawy polskiej; szła do walki tej w braterskiem współdziałaniu ze wszystkimi narodami, które dzieliły wraz z Polską niewolę moskiewską, a przede wszystkim z temi, które zamieszkiwały ziemię dawnej Rzeczypospolitej.

Wszelako, w odróżnieniu od dawnych prądów demokracji emigranckiej, oderwanej od podłoża rzeczywistości, prąd Filarecji nowoczesnej z romantyzmem

uczuciu kojarzył trzeźwy zmysł dla konkretnych i realnych zadań życia praktycznego.

Kładąc na czele obowiązków obywatelskich nakaz niezwłocznego, po ukończeniu studjów, powrotu do kraju, nawiązując styczność z organizacjami młodzieży wiejskiej i robotniczej, idąc ręką w rękę z akademickimi grupami młodzieży ukraińskiej, litewskiej i białoruskiej, Filarecja nie tylko wysoko niosła sztandar swej wiary politycznej, ale i głęboko wierzyła w ziszczalność swych ideałów.

Ta właśnie nacechowana realizmem postawa Filarecji sprawiła, że, gdy do najdalszych na obczyźnie ośrodków polskiej młodzieży akademickiej dotarło rzucone przez Komendanta Piłsudskiego hasło przygotowywania się do walki czynnej, walki z bronią w rękę, hasło to przyjęte było wszędzie jako rozkaz, wyzwalający dążenia i energję, które oddawna w łonie młodzieży narastały. Wraz z rozkazem tym Polska niepodległa zstępowała z wyżyn nadobłocznych, z krainy wspomnień i nadziei, na twardy grunt rzeczywistości, jako zadanie bliskie, konkretne i wykonalne.

Lecz romantyka uczuć, idąca w parze z uporem natężonej woli, ukochana idea, za sprawą tej woli, z wyżyn swych zstępująca na ziemię, aby oblec się w ciało i stać się dźwignią życia: czyż nie to było duszą duszy i sercem serca Hołówki? Czyż nie to było sekretem niewysłowionego czaru, jaki bił z jego postaci, promieniał z jego oczu i zjednywał każdego, komu choć przez czas pewien wypadło dzielić z nim trudny lub niebezpieczeństwa?

Ideologia i program Filarecji, jej walki i dążeń

nia, zawarte były, rzec można, już w dynamice tego kresowca, śniącego o sławie Bohuna, już w tętnie jego krwi, w nieposkromionym pędzie jego natury bojowej i rycerskiej.

Bez długich przygotowań, bez tarć, bez wahań, Hołowko wkroczył w życie polskiej młodzieży akademickiej, studjującej w Petersburgu, a stanawszy w jej postępowo-niepodległościowym obozie, rychło stał się jednym z najczynniejszych jego działaczy i przywódców. Działalność ideowa wśród kolegów nie przeszkadzała mu w pracy nad sumiennem zdobywaniem wiedzy. Owszem, im wyższe stawiał sobie zadania na niwie publicznej, tem żywiej odczuwał potrzebę pozyskania dla nich podstawy w poważnych studjach naukowych. Ponieważ przyrodoznawstwo nie odpowiadało prawdziwym zainteresowaniom jego umysłu, przeto po niedługiej próbie przeszedł na wydział prawny i tu, w zakresie nauk związanych z życiem państwa i społeczeństwa, znalazł się w żywiole najciekawszych dla siebie problemów.

Rozległe stosunki, które towarzysz Kirgiz zdążył wyrobić sobie wśród kolegów na obu wydziałach uniwersytetu, przeznaczały go jakgdyby do roli idealnego łącznika między kadrami młodzieży polskiej a obozem rewolucyjnej młodzieży rosyjskiej. Jakoż nie upłynęło kilka miesięcy, a polskie akademickie organizacje uczyniły zeń przedstawiciela nazewnątrz, delegując go na rok 1910/11 do t. zw. „Komitetu Koolacyjnego“, kierującego rozwijającym się w owym czasie ruchem we wszystkich uczelniach petersburskich. Były to czasy, kiedy w środowiskach studenckich Rosji wezbrała fala protestów przeciwko

pogwałceniu przez władze carskie autonomji akademickiej i wprowadzeniu policji w mury uczelni. Proklamowanie strajku protestacyjnego pociągnęło za sobą usiłowania władz, aby złamać akcję w drodze represyj.

Rozpoczęły się aresztowania członków Komitetu Koalicyjnego. Wtenczas Komitet, nie chcąc kapitulować, postanowił rozszerzyć bazę działania i przenieść akcję na prowincję do innych ośrodków życia akademickiego; w tym celu, jako swego delegata, obdarzonego pełnomocnictwami, wysłał Hołówkę do Moskwy, Charkowa i innych miast.

W szponach „ochrany“.

Był szary, posępny, mroźny dzień marcowy. Jadąc na dworzec Mikołajowski, aby koleją udać się do Moskwy, Tadeusz trzy razy zmienił dorożkę, aby zmylić za sobą ślady. Wiedział, że był śledzony przez szpiegów, i pragnął opuścić Petersburg dyskretnie, nie budząc ich uwagi. Na stacji, aby nadać sobie pozór zamożnego panicza, kupił bilet drugiej klasy i zajął miejsce w umyślnie wyszukanym przez siebie pustym przedziale wagonu.

— Udało się wybornie — szepnął z ulgą i nie bez złośliwej uciechy, zarzucając pełną „hibuły“ walizkę podróżną na półkę, i usadowił się wygodnie przy oknie, w nadziei, że będzie mógł spokojnie obmyślać w samotności plan swego działania w Moskwie.

Nagle, gdy pociąg miał już ruszyć, wsunął się do przedziału niepozorny staruszek, który zrazu obudził

w Tadeuszu wszystkie niepokoje spiskowca, świadomego podstępów, jakich imali się wywiadowcy carskiej „ochrany“. Czy to nie szpieg przebrany?

Ale, przyjrzawszy się bliżej gościowi, Hołówko osądził, że podejrzenie jego było nieuzasadnione. Staruszek miał wygląd tak, naprawdę, sędziwy, tak zatroskany kłopotami jazdy, tak wymownie bezradny, że budzić mógł raczej współczucie, niż nieufność. To też, gdy nastąpiła noc i gdy obaj podróżni postanowili wyciągnąć się na ławkach, Hołówko, widząc, że stary nie ma ciepłego okrycia, pożyczył mu płaszcz i osłonił jego zgrzybiałe kości.

Jakież było zdumienie i zgroza Tadeusza, gdy nazajutrz rano, wysiadłszy z pociągu na stacji w Moskwie, ujrzał, że staruszek wprost z wagonu podbiegł do żandarma, aby wydać swego towarzysza podróży wraz z jego rewolucyjną walizką w ręce ochrony! A więc pierwsze złe przeczucie nie zawiodło; ten siwowłosy, pozornie czcigodny jegomość, był szpiegiem!

We wstrząśnieniu, jakiego doznał Tadeusz, ujęty i prowadzony przez żandarmów, silniejszy ponad przerażenie i żal nad udaremnioną misją był odruch odrazy wobec potworności gada, który tać się potrafi w czeluściach ludzkiego mroku. Gorzej od utraty własnej wolności zabolał go w tej chwili nędzny widok starości, tak niezmiernie pohańbionej w siwych włosach szpiega.

Zatrzasnęły się za Tadeuszem ciężkie drzwi więzienia. Poddany długiemu i uciążliwemu śledztwu, młody student odmawiał wszelkich zeznań, stawiając nieugięty opór naciskowi żandarmów i zwyczajnie nieweczając ich zasadzki. Sam nie wyjawiał niczyjego na-

zwiska, nie zdradził żadnego szczegółu z rewolucyjnej organizacji, do której należał. Obronną ręką wyszedł z krzyżowego ognia pytań; sama wszakże treść i kierunek badań śledczych mówiła, że żandarmi o wiele więcej wiedzą o jego spiskowej działalności, niż mógł przypuszczać. W pewnej chwili wyłynęły pewne poszlaki co do działalności nielegalnej Hołówki z jego ery uczniowskiej w Turkiestanie, poprzedzającej przyjazd do Petersburga.

Poszlaki te skierowały ostrze dochodzeń w inną stronę: władze śledcze postanowiły przesłać młodego rewolucjonistę na miejsce jego pierwotnej działalności, do Wiernego, tam skonfrontować go ze świadkami i dowodami, jakie zebrać się dadzą na miejscu, tam stawić go przed sądem.

Hołówko był jednym z najmężniejszych ludzi swego pokolenia i na przestrzeni swego życia dostarczył na to tysiąca dowodów. A jednak teraz, gdy mu ogłoszono decyzję władzy, serce w nim bić przestało jak pod ciosem maczugi. Przesyłanie aresztantów odbywało się w Rosji straszną drogą etapów, t. j. z więzienia do więzienia. Jakże on tę drogę katorżniczą wytrzyma? Drogę z Moskwy aż w głąb Turkiestanu, a więc liczącą cztery lub pięć tysięcy kilometrów, drogę przeważnie odbywaną pieszo, gdzie każdy nocleg w innym spędza się lochu, każdy spoczynek na innym wypada barłogu?

W oczach nieszczęsnego więźnia stanęło piekło nieskończonej wędrówki poprzez nieprzeliczone etapy upokorzeń, poniewierki fizycznej i katuszy moralnej; piekło dzwoniącej kajdanami wędrówki w jednym szeregu ze zbrodniarzami kryminalnymi, poprzez

gniazda tyfusu i zarazy, poprzez dni tortury, poprzez noce rozpacz.

Czyż nie lepiej na samym początku wywołać nagłym odruchem buntu starcie z siepaczami, zginąć odrazu, niż konać tysiackrotną śmiercią?

Przepis więzienny wymagał, aby aresztantów, prowadzonych ze stacji kolejowej do najbliższej turmy, zakuwano w łańcuchy, szeregując ich parami i dłoń jednego skuwając z dłonią drugiego.

Hołówko postanowił oprzeć się temu zarządzeniu i, gdy chciano go okuć, szarpnął rękę i odepchnął dozorcę.

— Nie waż się! — krzyknął na carskiego pachola.

Odgadywał, że następstwa tego oporu mogą być straszne, lecz w tej chwili nie liczył się z niezem. Każde rozcięcie wężła wydawało mu się lepsze, niż tragiczna agonja, która go czekała. Najbujniejsza wszakże wyobraźnia nie zdołała przewidzieć tego, co miało nastąpić.

Do Tadeusza podszedł żandarm, spytał o nazwisko i kazał pokazać sobie paszport. Spojrzał weń, sprawdził jakiś szczegół i oznajmił tonem wyroku:

— Słusznie. Szlachcic. Okuwać go w kajdany nie wolno.

Wściekłość, która przed chwilą biła z krwią na biegłych oczu aresztanta, zgasła, ustępując miejsca zdumieniu. Przed oszołomionym okiem Tadeusza odsłaniał się nowy rys administracji w starej maszynie caratu: rys, który poważnie zmieniał widoki walki, jaką toczyła z nim rewolucja. Dla tej kastowej hierarchji, której carat przestrzegał nawet na dziedziń-

cach więziennych, Hołówko mógł czuć jedynie pogardę. Pogardę uczuł nietylko dla tego żandarma, który nie szanował w nim człowieka i obywatela, lecz wyróżniał szlachcica; uczuł pogardę i lekceważenie także i dla tego najwyższego żandarma, który w koronie carów zasiadał na tronie Rosji. Nie gniew, nie lęk przed jego potęgą, ale zdumienie napęliło mu duszę. Jakże niedorzeczny, jakże nieludzko śmieszny wydał mu się ten system, zakuwający sam siebie w staroświeckie łańcuchy przesądów!

Idąc w swój długi męczeński szlak etapów, Hołówko czuł się bezwolną ofiarą przemocy, ale ofiara, którą niósł, nie wydawała mu się już tak bezradną. Śmielszym, wytrwalszym wzrokiem popatrzył przed siebie, w dal nieuniknionej drogi. Czuł się chwilowo zwyciężonym. Ale postanowił zebrać wszystkie siły wewnętrzne, aby nie ulec w klęsce.

Wzmógł się na duchu i zacisnął zęby. Pomyślał sobie, że teraz chodzi już tylko o to, aby ocalić życie, aby wyjść zdrowo z tej krzyżowej drogi, unosząc siły na dalszą walkę. Pod wpływem tej myśli odrazu zmienił swój stosunek do konwojującej go straży. Postarał się o to, aby patrzeć na swych strażników nie tyle jako na ciemieców, ile jako na współuczestników niedoli, twardą ręką caratu zmuszonych do swego rzemiosła. Dowiedziawszy się, że jako „dworjanin“ (szlachcic) ma prawo do 15 kopiejek żołdu dziennego, upominał się oń skwapliwie, ale pieniądze otrzymywane przekazywał na papierosy, dzielone zarówno między straż więzienną, jak i samych współwięźniów. Spodziewał się, niebezzasadnie, że ta drob-

na a stała hojność zetrze niejeden z kółców w udręce strasznego pochodu. A pochód ten, zaiste, zdawał się nie wróżyć końca.

Bezkresnym stepem.

Było jeszcze lato, gdy Hołówko wraz z grupą kilkudziesięciu współwięźniów opuszczał moskiewskie „Butyrki“. Nim dotarł do Rostowa nad Donem, nastąpiła jesień!

Tu, w Rostowie, wybuchła wśród aresztantów epidemia tyfusu. Wypadło przetrwać długie tygodnie kwarantanny, która w pamięci Tadeusza upamiętniła się obrazami prawdziwie średniowiecznej grozy. Od-tąd coraz znaczniejsza część więziennego transportu odpadała lub wymierała po drodze. Do Baku na Kaukazie przybyła szczupła już tylko gromadka. W dalszą zaś etapową wędrówkę do Turkiestanu podążyć miał Tadeusz sam jeden pod konwojem straży.

Gdy zdarzała się okazja pocztowa, jechano dyliżansem pocztowym; gdy na pocztę czekać wypadło dni kilka, Tadeusz zgłaszał gotowość odbywania drogi pieszo i w towarzystwie jednego lub dwu strażników, z plecakiem na ramieniu, szedł wytkniętym sobie szlakiem wygnania.

Wygrywał w ten sposób na czasie, a zarazem, po nocach, spędzonych w dusznych i plugawych celach, orzeźwiał płuca żywiącym aromatem gór i stepów.

Gdy wędrował wzdłuż brzegów morza Kaspijskiego, z imponującą panoramą Kaukazu w oczach, upojony rosą poranków lub złotym przepychem zmierz-

chów, wydawało mu się nieraz, że idzie nie pod przymusem więziennym, ale mknie swobodnym krokiem na wycieczkę w góry, jak bywało dawniej podczas beztroskich lat dzieciństwa, spędzanych w Dżarkencie.

Zapominał wtenczas o dozorecy, który siedł obok, albo widział w nim, naprawdę, tylko towarzysza podróży. Niekiedy wdawał się z nim w rozmowę; wywijały się długie, samotne, jedyne w swym rodzaju „gawędy“, które w Tadeuszu budziły naprzemian gniew i śmiech, litość i zdumienie, otwierając przed jego wzrokiem niespodziewane perspektywy w głąb wytrawionej niewoli duszy chłopstwa rosyjskiego, z którego carat czerpał swe najniższe narzędzia ucisku.

Z gawęd tych stale jedna wyzierała osobliwość: gdy którykolwiek z dozorców i żandarmów rozmawiał sam na sam z więźniem, stale dawał folgę skargom na swe upośledzenie i źle wynagradzane zajęcie, nie tając przeświadczenia o wysokiej wartości ludzkiej i społecznej tych, których dozorowi jego powierzano. Była w tych wynurzeniach nuta i samoponizowania i jakgdyby kajania się; był szacunek dla więźnia i głucha, mściwa niechęć przeciwko tym, którzy więzili, zaprawiona pogardą dla własnej cierpkiej doli.

Długa zaduma nawiedzała Tadeusza po każdej takiej gawędzie. Idąc równym szlakiem przez nieobjęte przestrzenie, wyobrażał sobie, że brnie skroś szereki, milczący step duszy rosyjskiej, niedocieczonej i w okropne uwikłanej sprzeczności, zmuszonej ko-

rzyć się przed tem, czego nienawidzi, a torturować tych, których pragnęłaby kochać.

Obserwując sposób, w jaki pozorna wszechmoc caratu załamywała się w duszy jego najniższych wykonawców i służebników, Hołówko nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ów kolos potęgi, jakim zdawała się Rosja, był w rzeczywistości stoczony od wewnątrz przez nieuleczalną demoralizację. Chłop lub mieszczanin rosyjski, choćby najszczelniej nabity w mundur żandarma, żołnierza lub więziennego dozorecy, z chwilą, gdy poczuł się, w najskrytszej tajemnicy serca, do niemej i cichej solidarności z ofiarami caratu, był już na zawsze dla tego caratu stracony.

— Zdradzi on władzę swą przy pierwszej okazji — myślał Tadeusz — niech tylko car się zachwieje, niech się potknie; chłop, jak wilk, skoczy mu na kark, powali z tronu i butami zmiażdży jego głowę.

Tymczasem jesień szła coraz głębsza; step południowy, wypalony przez skwarne miesiące letnie, zaczynał zielenić się od pierwszych deszczów październikowych. Już bezmała pół roku trwała ta straszna wędrówka. Z dalekich przestrzeni jął dolatywać wiatr, nasycony zapachami traw i ziół, w których Tadeusz poznawał zapach swego dzieciństwa. Czyste niebo Turkiestanu coraz szerszemi płatami błękitu wypływało z pod widnokręgu, obejmując oczy i głowę wędrowca pociechą dawnych dni.

Każdy dzień teraz zbliżał go do celu podróży. Li-stopadowe słońce wschodziło już z nad przełęczy znajomych, śnieżnych gór. Stopy opuchnięte i umęczone trudem krwawiły się w gorączce, ale czoło kąpało

się w chłodnym kryształe powietrza, z niepokalanych idącego wyżyn.

W duszę więźnia wstępowała otucha. Krzepiła go myśl, że to, co najgorsze, ma już poza sobą. Że niebawem znajdzie się w Wiernym, wśród znajomych i przyjaciół, że będzie mógł zobaczyć się z rodzicami. Ale myśl o spotkaniu z matką, niosąc nadzieję i radość, jednocześnie gryzła serce bolesnym niepokojem.

— Jakże ukaże się matce w tym stroju, sponiewieranym od kurzu przebytych dróg, od mierzwy mrocznych noclegów? Jakże ukryje przed nią to, co wycierpiał? Jak przed jej wzrokiem przenikliwym osłoni rany, wyżarte na ciele od plugawego robactwa?

Obszar doznanej poniewierki stanął przed nim w całej grozie dopiero teraz, gdy miały nań spojrzeć oczy matki.

Tadeusz nie był pewien, czy rodzice wiedzą o jego aresztowaniu, o jego marszu przez stepy. Z etapów więziennych wysyłał wprawdzie listy do Dżarkentu, lecz żadnej nie otrzymywał stamtąd odpowiedzi. Być może, ginęły one w drodze, nie dochodząc do celu; być może, zdarzało się tak, że nim odpowiedź nadeszła z domu, on już z etapu dawnego ruszył w dalszą wędrówkę.

Jakież ogarnęło go wzruszenie, gdy, przybywszy na jakiś posterunek policyjny, oddalony o kilka dni marszu od stacji końcowej, dowiedział się, że czeka nań list i że list pochodzi od matki, która przesyła mu pewien zasiłek pieniężny, donosząc jednocześnie, że czeka nań w Wiernym.

Tadeusz natychmiast wynajął konie pocztowe i przebył resztę drogi z takim pośpiechem, na jaki tylko pozwalał jego stan aresztanta.

Wjechał do Wiernego nocą. Pustemi ulicami, wśród obumarłej ciszy, mijał mury dobrze znanych domów, które teraz wydawały mu się obce i dalekie.

Wspomnienia, jakie szły z tych murów, bolesnym kontrastem uderzyły w jego udręczone nerwy. Gdy mury te przed dwoma laty opuszczał, wyjeżdżał pełen nadziei, jak młody zdobywca na podbój nowego, szerszego życia. A oto dziś, w głuchą noc listopadową wraca w łachmanach aresztanta, obezwładniony. Pokonany, nim zdążył rozwinąć siły do boju.

Gorzki uśmiech wypłynął mu na suche, spalone od gorączki usta, gdy pomyślał o wysiłonym pośpiechu, z jakim naglił towarzyszące mu konwoje, aby jak najprędzej przybyć do miejsca przeznaczenia. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że przeznaczeniem tem jest tylko dalszy pobyt w więzieniu. Tysiące kilometrów przemierzył na to, aby jedną okratowaną celę zamienić na drugą.

Proces i obrona.

Noc, którą Tadeusz spędził w więzieniu po powrocie do Wiernego, była jedną z najbardziej męczących nocy w jego życiu. Leżąc na tapczanie, dygotał z febry, niecierpliwie oczekując brzasku, a jednocześnie z przerażeniem myślał o dniu następnym, który będzie tylko nowym dniem w nieskończonym łańcuchu dni więziennych. Dotychczas w najgorszych chwilach męki łyzy jednej nie uronił z oka, ale oto

zbliżała się chwila, w której stanąć miał wobec łez matki. Czy sprostą tej okrutnej próbie? Czy obraz bólu, jaki widokiem swej niedoli zada matce, nie rozhartuje jego woli?

Któż zdoła opisać uczucia, które szarpały jego istotą, gdy nazajutrz rano, wywołany z celi, szedł do „rozmównicy“ więziennej, aby poprzez kratę żelazną zobaczyć się z matką?

Wśród tysiąca strzań, które przebijały jego duszę lękiem, rozpaczą, żalem i miłością, nie brakło także wysień, aby odgadnąć miejsce w cierpieniu matki najczulsze i zgóry zdobyć się na parę słów pogody, ufności w siebie i pociechy, aby to miejsce najkrwawsze uśpić, pocałunkami uśmierzyć, zagłuszyć.

Czy posłyszysz wyrzuty, że złamał swą karierę życia i podważył stanowisko ojca? Czy z najcichszych łez wypłynie jęk bezradności wobec gromu nieszczęścia? Czy poprostu szloch matki nad rozbitą czarą snów, wypiastowanych w dziecku?

Odgadnął jedno: burzę łez, gorących i niepohamowanych. Ale we łzach tych nie było ani słowa żalu, ani cienia wyrzutu lub skargi. Świeciła w nich tylko radość. Radość matki, która odzyskała syna po strasznych miesiącach zgryzoty; która znów gładzić mogła jego zwichrzone włosy, jego wychudłe policzki, jego ogorzałe dłonie. Radość i poza nią wszystkie siły rozpacz, skupione w jednym tylko wysiłku, w jednym krzyku serca: ratować syna!

Tadeusz więziony był pod zarzutem udziału w organizacjach rewolucyjnych; zarzuty były ciężkie, lecz niesformułowane; śledztwo zapowiadało się długie; poszukiwanie dowodów trwać mogło miesiącami.

Matka odrazu postanowiła skierować swe wysiłki nato, aby u władz sądowych wyjednać zwolnienie Tadeusza za kaucją.

Odwiedzając go co tydzień, lub co dwa tygodnie w więzieniu, z trwogą śledziła postępy zabójczego wpływu, jaki zamknięcie w samotnej celi wywierało na fizyczne, a co gorsza, i duchowe siły młodzieńca. Odporny i niepożyty dotychczas organizm załamywał się. Życie zaczynało uciekać z tej bujnej czary ognia i młodości.

Wtenczas to pod cieniem trwogi serce matki sięgnęło wyżyn heroizmu. Spieniężywszy przy pomocy męża wszystko, co się dało zmienić na pieniądze, zebrała sumę najwyższą, jaką można było dobyć z ich całožyciowego dorobku, i, uzbroiwszy się w rozpacz, stanęła w progach sądu, ofiarując wykup za wolność syna.

Nie łatwo jednak było wykołatać pożądaną decyzję. Ileż nabiegać się musiała po wszystkich urzędach i kancelariach dygnitarzy miejscowych! Ileż strawić potęgi nerwów, godzin buntu, uporu i wytrwania!

Ale cel osiągnęła: Tadeusz po trzech miesiącach aresztu w Wiernym, a jedenastu miesiącach swej strasznej odysei więziennej, wyszedł nareszcie na wolność. Wyszedł w ostatniej chwili, aby odnowić swe nadszarpnięte i zagrożone siły.

Matka, która już raz, przed laty, w Tadeuszu ocaliła polską duszę, chroniąc ją przed zalewem obcego środowiska, ocaliła teraz syna po raz wtóry, ratując jego życie.

Tegoż dnia, natychmiast po zwolnieniu Tadeusza,

jakby pragnąc unieść swój skarb odzyskany jak najdalej od miejsca trwogi i zgryzoty, pani Hołówkowa wyjechała z synem do Dżarkentu, wierząc w leczniczą, uzdrawiającą moc domu rodzicielskiego.

Mknąc rączą trójką rosyjską po znajomym stepowym gościńcu, oddychali oboje rozkosznem powietrzem słonecznego dnia lutowego, jednego z tych dni, które w krajach południowych niosą już marzenie o wiośnie.

Ponieważ sprawa, w której Tadeusz był oskarżony, wyznaczona była na sierpień, więc, w oczekiwaniu na termin rozprawy, spędzić mógł całe pół roku w domu rodziców, kojąc poszarpane nerwy i wzmacniając nadwątlone siły pod zabiegliwem okiem troski matczynej.

Był to w życiu Tadeusza Hołówki ostatni tak długi okres wczasu i spokoju. Ostatnie prawdziwe jego wakacje, spędzone pod słońcem ciszy i pogody, w atmosferze spoczynku, wśród drzew, szumiących wspomnieniami dzieciństwa.

A przecież i w tym okresie spoczynku wisiała nad głową Tadeusza groźba w postaci sądu, który miał zawyrokować o jego najbliższej przyszłości.

Pan Wacław, znając sędziów rosyjskich, nie wierzył, aby syn mógł wyjść z sądu bez wyroku skazującego. Powołał do obrony najlepszego adwokata, aby wyrok ten przynajmniej wypadł jak najłagodniej. Lecz sam oskarżony, nie wyrzekając się obrony adwokata, liczył przedewszystkiem na siebie. Gdy nadszedł dzień rozprawy (5 sierpnia 1912), Tadeusz, zasiadłszy na ławie podsądnych, jak młody lew zaczął się do skoku. Spokojnie, obojętnie wysłuchiwał aktu

oskarżenia i zeznań świadków. Nie drgnął, gdy prokurator, uzasadniając jego winę, domagał się stosownej kary; nie zdradził najłżejszym znakiem swych istotnych uczuć, gdy adwokat, polemizując z prokuratorem, podważał tezy oskarżenia i, powołując się na młody wiek podsądnego, w niedoświadczeniu jego wskazywał okoliczności łagodzące winę. Z nerwami, napiętymi aż do bólu, Tadeusz czekał, aż skończy się dyalektyka przewodu sądowego i przyjdzie chwila na „ostatnie słowo“ oskarżonego. Trafną intuicją odgadł, że, aby wygrać, wznieść się będzie musiał nie tylko ponad oskarżenie, ale i ponad mowę obrońcy. Powstawszy, gdy udzielono mu głosu, pobiegł oczyma naprzód w kąt sali, gdzie siedzieli rodzice, i pozdrowił wzrokiem matkę, waleczącą ostatkiem męstwa, aby nie ukazać łez, które ją dusiły. Ten niemy heroizm odrazu napełnił go duchem spokoju. Zimne światło samoopanowania zaigrało w myślach. Pierwsze zdanie wygłosił raczej pod adresem zebranej publiczności, w której witał starych znajomych, a pragnął widzieć przyjaciół. Ale już drugie zdanie przeznaczone było dla sądu.

Zaczął od przyznania niektórych faktów, na których opierało się oskarżenie prokuratora, lecz z całą stanowczością odtrącił argumenty, jakimi obrońca próbował pomniejszyć winę ich sprawy.

Tadeusz nie żądał pobłażania. Żądał, aby zważono jego czyny i wydano wyrok, jaki dyktuje sumienie.

Już z pierwszych dumnych oświadczeń młodzieńca widać było, że teraz dopiero, na ostrzu jego słów, waży się los procesu.

Sędziowie, prokurator, obrońca, wszyscy — swoi

i obcy, obecni na sali — zamienili się w słuch, jedni zdumieni, drudzy zatrwożeni ryzykiem, na jakie włożył się ten rewolucjonista, odsłaniając swe rezerwy i wyzywając przeciwnika na bój rozstrzygający.

Ale Tadeusz, przyszły żołnierz Piłsudskiego, wiedział, co czyni. Odstąpiwszy prokuratorowi pewne pozycje, niemożliwe zresztą do utrzymania, cofnął się z pierwszej linii obronnej, ale cofnął się poto, aby zyskać pole do walnego natarcia. Nie na obronie, ale na potęgze ataku zasadził zwycięstwo. Wiedział, że rola młodzieńca kającego się i pełnego skruchy, brzmiałaby w jego ustach fałszywie. Z całą więc siłą przekonania postanowił uderzyć w struny młodości prawdziwej i zdobywczej, buntowniczej, lecz szczerzej. Atak swój wymierzył w najsłabszy punkt przeciwnika: w psychologję środowiska, podszytego tam zwłaszcza, na kresach turkiestańskich, silnym fermentem radykalizmu politycznego. Oskarżenie przeciwko sobie skierował przeciw tętну stulecia, bijącemu w piersi całego nowego pokolenia. Czyn swój umieścił w odwiecznym schemacie walki „ojców i dzieci“, uświęconym w literaturze rosyjskiej przez słynną powieść Turgeniewa, a przeto i ulegalizowanym niejako w oczach trybunału.

Z mistrzowską, niemal natchnioną pewnością ręki przeniósł tezy oskarżenia z tła politycznego na obyczajowe tło zmagania się dwóch pokoleń o nowy ideał, o szerszy oddech życia.

Gdy w końcowym ustępie wzywał raz jeszcze sędziów, aby, wydając wyrok, powodowali się całą surowością prawa, gdyż zawyrokują nietylko o jego, ale i swej własnej minionej młodości, wśród obecnych

na sali powiał szmer ulgi: już nikt nie wątpił, że ten zuchwały student wygra sprawę.

— Panowie sędziowie — kończył — aby wyrok wasz usłyszeć, przewędrowałem pół Europy i połowę Azji. Cztery tysiące kilometrów przemierzyłem, aby stanąć przed wami. Jak długo, jakże daleko iść mam jeszcze i przez jakie przedzierać się trudy, aby znaleźć nie słowo sprawiedliwości, lecz choćby jej zapowiedź?...

Wyrok, jaki sąd ogłosił po kilkuminutowej naradzie, był nietylko uniewinnieniem Tadeusza, ale i triumfem całej rodziny Hołówków.

Wszyscy obecni na sali, nie wyłączając sędziów i prokuratora, głęboko wzruszeni, składali powinszowania rodzicom, ściskali dłoń synowi, wróżąc niepopolitą przyszłość temu chłopcu, który z tak orlą odwagą zrywał się do lotu i tak śmieie kruszyć umiał pęta, jakimi go próbowano obezwładnić.

Lecz dla Tadeusza ważniejszą od triumfów i owacyj, jakie go spotkały, była zdobycz moralna, jaką uczuł w sobie. Z dumą, istotnie, mógł spojrzeć w to, co przeżył i przezwyciężył. Półtora roku, przecierpiane w ucisku śledztwa, było stracone dla studjów uniwersyteckich, ale nie było stracone dla życia. W niebezpieczeństwach, którym stawiał czoło, pozyskał próbę charakteru. Nietylko wychodził zwycięsko z walki, w której usiłowano złamać jego ducha, ale zwycięstwa swego nie okupił żadnym czynem, którego musiałby się wstydzić lub żałować. W lochu moskiewskim nie zdołano wydobyć zeń niczego, aczkolwiek uciekano się do wszystkich sposobów, które wypracowała technika wiekowej walki ciemnych z ru-

chem wolnościowym. Nanie nie przydały się długie miesiące bezwzględnego zamknięcia w celi pojedynczej, nanie były niespodziewane nocne badania, w których, jako do argumentów, uciekano się naprzemian bądź do gróźb, bądź obietnic. Nanie były tortury zamknięcia w karczerze lub brutalne uderzenia dozorców... Ten to mileczący upór Tadeusza spowodował właśnie ową decyzję władz śledczych, która skierowała go w przymusową drogę do Turkiestanu. W drogę, która zrazu wydała mu się gorsza, niż skazanie, ale w wyniku przyniosła powrót wolności.

Na zachód!

Dla Tadeusza Hołówki wolność oznaczała tyleż, co nakaz działania. Póki czekał na wyrok, każdy dzień pod dachem rodziców wydawał mu się dniem, spędzonym w raju. Teraz, odkąd czuł skrzydła szumiące u ramion, każda godzina, stracona bezczynnie, piekła go, jak wyrzut sumienia.

W Dżarkencie zabawił już tylko tyle czasu, ile trzeba było na poczynienie niezbędnych przygotowań do dalekiej podróży. Czuł się znowu pełen sił i zdrowia. Długo hamowane tęsknoty, jak rwące z kopyta rumaki, niosły go zpowrotem ku zachodowi, w stronę tajemniczej bujnej Europy, do miłej pracy uniwersyteckiej, a nadewszystko do serdecznych stosunków z kolegami, którym tak nagle zniknął był z oczu i którzy, być może, nie wiedzieli nawet, jakim przez ostatnie półtora roku ulegał kolejom.

Ale w Petersburgu, dokąd przybył w połowie września (1912), już na progu uniwersytetu tamtej-

szego czekał go przykry zawód: oświadczone mu w kancelarji rektora, że jest z liczby studentów wykreślony i ponownie mógłby być przyjęty jedynie na mocy decyzji ministerstwa oświaty. Udał się więc do ministra, lecz tu posłyszał werdykt, który brzmiał jeszcze bezwzględniej: nietylko uniwersytet stołeczny, ale wszystkie wyższe zakłady szkolne w Rosji otrzymały zakaz przyjmowania Tadeusza Hołówki.

Oświata carskiej Rosji była więc dlań zamknięta. Proces polityczny, jakkolwiek skończył się uniewinnieniem, pociągał za sobą dotkliwe ograniczenia praw obywatelskich.

Tadeusz zastanowił się nad tem, co ma czynić dalej. Poniechać wykształcenia? Schylić głowę przed mściwą decyzją caratu, który, nie zdolawszy wroga osiągnąć, zamierzał zdegradować go i wykołować?

Nie. Na wzmożone przeszkody należało odpowiedzieć nakładem wzmożonej energii.

Niema dlań uniwersytetów w Rosji? Tem lepiej! Poszuka nauki poza jej granicą. Wszak już oddawna w sercu Tadeusza tlił się uparty płomyk nadziei i ochoty, aby móc na dłuższy pobyt udać się do Krakowa i oddać się pracy w murach jego wszechnicy.

Czy nie nadchodzi teraz właśnie moment, aby zdawna wypiąstowaną myśl urzeczywistnić? Czy sam rząd carski, zamykając przed nim swe uniwersytety, nie wskazuje mu jakgdyby nieuniknionej drogi za granicę?

Wśród wielu rysów, wyniesionych z gniazda turkietańskiego, w którym prastara tradycja Chin oraz Indyj krzyżowały się z wpływami islamu, jeden rys szczególnie silnie wyrył się w duchowem obliczu Ho-

łówki. Był to rys szczególnie skomplikowanej właściwości, którą możnaby nazwać romantyką fatalizmu: Hołówko wierzył w przeznaczenie. Gdyby miał duszę Azjaty, wiara ta byłaby czynnikiem ujarzmnienia i bezwładu woli. Ale Hołówko był synem ducha Europy i fatalizm, jaki zaczerpnął z kolebki azjatyckiej, zamienił w dodatkowe narzędzie energii i potęgi działania.

W każdym zdarzeniu, w każdym nawet nieszczęściu, jakie spotykało go w życiu, uznawał on zrzęczenie woli streszczającej w sobie wyższą logikę życia, niedocieczoną lecz nieprzepartą.

Buntować się i wierzgać przeciwko niej byłoby rzeczą prózną i bezrozumną. Ale i beczynnie wobec niej ręce zakładać byłoby grzechem niemniejszym. Najgłębsze niedole, skoro w nie wejrzeć głęboko, ujawniają strony dodatnie i kryją w sobie źródła sił budujących i twórczych. Chodzi o to, aby do źródeł tych dotrzeć. Chodzi o to, aby nawet z nieszczęścia, nawet z pożogi, wynieść jakąś zdobycz, odrzucając spękaną w ogniu skorupę i dobywając ziarno.

Dlatego to represja rządów carskich, będąca sama przez się dotkliwą porażką życiową, zamiast zwątpienia, wniosła w duszę Hołówki wzmocniony nabój woli i przedsiębiorczości.

Czy zarządzenie ministra nie jest tylko formą, w jakiej los potrąca go ku wyższym przeznaczeniom? Czy dalsze zadania, jakie czekają go w życiu, nie wymagają tego, aby opuścić Rosję i śpieszyć do Krakowa?

Napisał list do rodziców, w którym wyłuszczył fakty i podał swe zamiary. Odpowiedź, jaką otrzy-

mał od ojca, zawierała całkowitą zgodę na wyjazd do Krakowa i zapewnienie stałego miesięcznego zasiłku na studia.

Nie wahając się dłużej, zdobył paszport zagraniczny, pożegnał się z kolegami, zaopatrzył się u nich w pożyteczne wskazówki oraz rekomendacje do młodzieży krakowskiej i, z sercem przepełnionem od świeżych a nieokreślonych przeczuć, ruszył na zachód.

Gród podwawelski — należy wtrącić — nie był dla Tadeusza nowością. Już latem roku 1910, a więc o dwa lata wcześniej, udało mu się wraz z Kamińskim-Luboniem wpaść do Krakowa na dni kilka, dzięki pomocy kolegi Wacława Głazka, u którego podówczas spędzał wakacje. Kolega ów mieszkał w Częstochowie, w ówczesnym pasie pogranicznym, którego mieszkańcy mieli prawo wyjeżdżać do Prus i Austrii bez kosztownych paszportów, na mocy t. zw. półpasków, wydawanych przez urzędy gminne i magistraty.

Gdy nadchodził pamiętny dzień 15 lipca, dwaj młodzieńcy postanowili skorzystać z miejscowego ułatwienia, aby jechać do Krakowa na uroczystość narodową, którą z wyjątkowym urządzano przepychem.

Była to pięćsetna rocznica Grunwaldu. Głównym momentem obrzędu rocznicowego było odsłonięcie konnego posągu Władysława Jagiełły, ofiarowanego miastu przez mistrza fortepianu, Ignacego Paderewskiego.

Hołówko nigdy jeszcze nie widział tak olbrzymiego zjazdu Polaków ze wszystkich dzielnic, tylu serc polskich, wspólną ożywionych intencją. Zgromadzenia, parady i pochody tem silniej oddziaływały na jego

wyobraźnię, że odbywały się w dostojnej oprawie prześlicznych starych, a wiecznie żywych murów krakowskich, pamiętających czasy Piastów i Jagiellonów.

Szczególnie głęboko w pamięci jego utrwalił się ten moment, gdy orszak robotników, prowadzony przez Ignacego Daszyńskiego, wkroczył z rozwiniętymi czerwonymi sztandarami na Wawel i tam, w obliczu dawnej siedziby królów, zaintonował na przód „Jeszcze Polska nie zginęła“ a potem rewolucyjną pieśń proletariatu.

Wszelako, poza okazałą dekoracją obrzędu, bystry, polityczny zmysł Tadeusza napróżno doszukiwał się w ówczesnym obchodzie wiktoryi grunwaldzkiej jakiejś głębszej treści czynu narodowego. Raził go przytem w całej uroczystości starannie podkreślany udział delegacji rosyjskiej, a także skojarzony z obchodem pomysł wystawy słowiańskich teatrów i obrazów w Krakowie, co nadawało obchodowi polskiej pamiętce piętno bałamutnej manifestacji panslawistycznej.

— Zanosi się na wojnę z Moskwą, a oni tymczasem urządzają tu propagandę na rzecz uczuć braterstwa z Rosjanami!

Zwróciło też uwagę młodzieńca, że pisarz, na którym kształcił on swój język i swe uczucie polskie — Henryk Sienkiewicz — uchylił się, trafnym wiedziony instynktem, od udziału w prezydjum Komitetu Grunwaldzkiego. Dorzucało to w jego myślach jeszcze jeden ciężarek na szalę przekonania, że droga do odbudowania Państwa Polskiego wiedzie poprzez pogrom caratu: ktokolwiek tedy z Polaków solidarność

z carską nawiązuje Rosję, zamyka tem samem drogę do niepodległości.

Nie! Nie Kraków uroczystościowy i pontyfikalny, nie Kraków obchodów i pochodów, ale Kraków jako ognisko powstańczego i rewolucyjnego ruchu młodzieży niepodległościowej ciągnął ku sobie serce Tadeusza.

Kraków bowiem w latach 1910—1912 nie był już tym cichym, zmurszałym anachronizmem, jakim przedstawił go Boy-Żeleński w swej wesołej a zarazem pięknej monografji „Znaszli ten kraj“. Zachodziło lub zupełnie zaszło wtedy już nad Krakowem słońce kardynała Puzyny i Stanisława hr. Tarnowskiego, tych dwu władz, które przez ubiegłe dziesięciolecie dzieliły między sobą rządy nad miastem. Przez ulice i kawiarnie Krakowa przewalała się już oczyszczająca nawałnica literacka Młodej Polski. W aulach i przedsionkach jego wszechnicy tętniła nieuskromiona energja młodzieży, napływającej coraz liczniejszą czeredą z Królestwa, które bojkotowało szkoły rosyjskie. Młodzież ta naoścież otwierała duszę prądom powstańczym i rewolucyjnym, lokowała swe nadzieje w burzach i przewrotach.

Śniła o powrocie do Królestwa, ale o powrocie z bronią w rękę i rozwiniętym sztandarem.

Już wtenczas, podczas krótkiego pierwszego pobytu w roku 1910, Hołowko wszedł, jako członek P. P. Socjalistycznej, w styczność ze Związkiem Walki Czynnej, założonym przez Kazimierza Sosnkowskiego, a stanowiącym niezależną organizację wojskową, mającą wychowywać oficerów dla przyszłego powstania zbrojnego przeciw Rosji.

Teraz, wracając do Krakowa po dwóch latach, pragnął z organizacją tą zapoznać się ściślej, zaczerpnąć z niej ducha, oddać jej swe siły.

Właśnie w tym czasie, gdy Tadeusz sposobił się do swej obrony sądowej w Turkiestanie, wojskowa organizacja w Krakowie uczyniła na drodze swego rozwoju krok niezwyklej doniosłości dziejowej. Na pamiętnej radzie oficerskiej w czerwcu 1912 Związek Walki Czynnej, przeobrażony już faktycznie w centralizację związków strzeleckich, odrzucił wszystkie naleciałości form obcych a właściwych życiu politycznemu i korporacyjnemu. Miejsce wielogłowego wydziału zajął odtąd Komendant Główny, wyposażony pełną władzą rozkazywania i mianowania, wybierany rok rocznie przez oficerów organizacji. Wybór pierwszy był jednomyślny, a przez aklamację powtarzały go już rady następne.

Człowiekiem, w którym ujrzano upragnionego wodza, któremu oddano z bezwzględnem zaufaniem losy sprawy, Komendantem Głównym stał się Józef Piłsudski."

Imponujący ten wysiłek wojskowy, w którym przy boku Piłsudskiego brali udział: Sosnkowski, Rydz-Śmigły, Sławek, Stachiewicz, Adam Koc, Kukiel, Fleszar, Długosz, Wyrwa-Furgalski, Piskor, Prystor, Miedziński — wysiłek, mający na celu przygotowanie do przyszłego powstania jak najliczniejszych kadr podoficerskich i oficerskich, wysiłek w obliczu wojny wręcz opatrnościowy, budził — tak wielka jest potęga zaślepienia — w „rozważnych politykach“ starszej generacji tylko wzruszenie ramion, tylko wyniosłe lekceważenie.

Tem głębszy zato entuzjazm niecił w pokoleniu, do którego należał Hołówko. Dla niego najważniejsze znaczenie Galicji polegało na tem, że na jej gruncie, pod osłoną jej władz autonomicznych, odrodzić się mogła kuźnia myśli i akcji niepodległościowej. Galicja była dla niego tem, czem na początku stulecia było dla Polaków Księstwo Warszawskie: ogniskiem wielkich nadziei i zapowiedzią ich urzeczywistnienia.

Hołówko, siedząc przez dwa lata w Petersburgu, z nieufnością czytał czasopisma warszawskie, które, z małemi wyjątkami, ulegając natchnieniom cenzury policyjnej, wychowywały społeczeństwo zaboru rosyjskiego w pogardzie i antypatji dla Galicji. Teraz, stanawszy na gruncie galicyjskim, miał możność przekonania się, jak daleko nieufność jego była uzasadniona, jak dalece prasa warszawska, zarówno „narodowo-demokratyczna“, jak „postępowa“, szkalując Galicję, wysługiwała się nieświadomie imperjalizmowi rosyjskiemu.

Przekroczywszy granicę w jeden z owych pięknych, złotolistnych dni październikowych, które tyle czaru posiadają dla przybysza z dalekich stron północy i wschodu, Hołówko już w Szczakowej, na pierwszej stacji pogranicznej, uczuł powiew wolności. Wolności, jakiej nie mógłby dać mu najszybszy step Turkiestanu. W Rosji, pod rządami carowładztwa, wyobrażał on sobie wolność jedynie w postaci buntu przeciw gwałtom przemocy. Tu spotkał się z wolnością, która dąży do organizacji współżycia na zasadzie poszanowania praw i uzdolnień jednostki.

Syn stepu azjatyckiego, po raz pierwszy stanął on oko w oko z cywilizacją Europy zachodniej.

Błogosławieństwem zaś dla Tadeusza było to, że cywilizacja ta objawiała mu się w formach, których jak najbardziej łaknęła jego rdzennie polska, lecz na obczyźnie wychowana umysłowość: w skarbach rodzimej mowy, rodzimej nauki i literatury, w majestacie Wawelu, w architekturze kościoła Marjackiego, w arcydziełach Matejki, w proroczych dramatach Wyspiańskiego. Ten syn wygnańca i sam wygnaniec i tułacz, skazany dotychczas na to, że polskość, o której marzył, musiał odtwarzać sobie ze wspomnień i opowiadań rodziców, z ksiąg Sienkiewicza, z dysput koleżeńskich i z rytmu własnej krwi, teraz, stanąwszy u źródeł kultury ojczystej, pił z nich aż do upojenia i ekstazy. Wstępując na wzgórze Wawelu, słuchając dzwonu Zygmunta, zwiedzając ciasne, lecz malownicze uliczki nad Wisłą, rozglądając się z kopca Kościuszki, Hołówko, rzec można, brał w posiadanie cały ogrom dziejów swego narodu, zaklęty w tych murach, w tych barwach i dźwiękach.

Na pismach Skargi i Mochnackiego na nowo przekuwał i rzeźbił swe słowo, obcym zniekształcone nalem, z postaci matejkowskich brał miarę rozmachu i potęgi genjuszu narodowego; w witrażach Wyspiańskiego otwierał się przed nim tragizm współczesnej duszy polskiej, szarpanej przypiływem i odpływem tęsknot wielkich, jak dzień zmartwychwstania, groźnych, jak noc zatury.

Siew Piłsudskiego.

Dla każdego Polaka, który z pod oka żandarmów rosyjskich wymknął się choćby na dni kilka do Kra-

kowa, widok tego skarbcza polskości bywał głębokiem przeżyciem. Jakimż wstrząsem stać się on musiał dla Tadeusza Hołównki! Chłonać wszystko, co go na każdym kroku otaczało, przeżywał on jakgdyby cud nagłego ucieleśnienia tych wszystkich snów i marzeń, które prześnił i przemarzył w dzieciństwie, rysując w swej wyobraźni bohaterów polskiej historii, polskiej poezji i legendy.

Wstrząs tych przeżyć był tak potężny, że Tadeusz, z natury zawsze żywy, porywczy i towarzyski, szukał w pierwszych tygodniach swego pobytu w Krakowie przede wszystkim osamotnienia i ciszy, aby w zadumie, niezmąconej gwarem, przetrwać i przeżyć raz jeszcze to, co tak burzliwie brało w jassyr jego duszę.

Lecz godziny zadumy i kontemplacji nie stłumiły pierwiastków czynu, stanowiących najistotniejszy żywioł w naturze Tadeusza. Owszem, były one jakgdyby użyźnieniem gleby duchowej i posiewem ziarna pod nowe wysiłki woli.

Już w miesiąc po swem przybyciu do Krakowa, Hołównko dał się poznać szerszemu gronu kolegów na jednym z wielkich zgromadzeń akademickich, gdzie ścierały się ze sobą dwa przeciwne prądy ideowe, walczące podówczas o duszę młodzieży: z jednej strony demokratyczny irredentyzm, wskazujący, że lud polski jak najgłębiej zainteresowany jest w odbudowaniu własnego Państwa, z drugiej — międzynarodowy socjalizm, dowodzący, że proletarijat polski nie może spodziewać się niczego po własnem państwie i swe wyzwolenie społeczne wiązać powinien tylko z rewolucją klasową.

W chwili, gdy wchodził na salę wiecu Hołówko, stał właśnie na trybunie jeden z najwymowniejszych rzeczników rewolucji społecznej, a zarazem nieprzejednany przeciwnik polskiej idei niepodległościowej, młody student filozofji, Julian Leszczyński, przyszły szermierz rewolucji komunistycznej w Rosji, dzisiejszy komisarz bolszewicki. Władając świetnie orężem dialektyki i sarkazmu, sypiąc obficie cytatai z Krasieńskiego, Berenta, z Brzozowskiego, drwił on skrzącem od dowcipu słowem z dziecinnych mrzonek o „ruchawce powstańczej“; wyszydzał „niedzielne majówki“ strzelców i drużyniaków, składał oręż polski do lamusa dziejowej rupieciarni, i o wojskowych planach Piłsudskiego mówił jako o bałamutnej „zabawie w żołnierzyki“.

„Proletariat polski — kończył swe wywody Leszczyński — nie ma ani jednej kropli krwi do przełania na ołtarzu niepodległości polskiej. Stargał on już węzły solidarności narodowej w roku 1864, gdy, biorąc uwłaszczenie z ręki obcej, spóźnionych donkiszotów szlacheckich wydawał w ręce nieprzyjaciela. W tych aktach odwetu, piętnowanych zrazu jako ślepe okrucieństwo, zdrowy przebijał się instynkt: protest przeciw dziejowemu przeżytkowi szlachetczyzny i chęć budowania nowego na podstawach ponadnarodowych, w imię ideałów rewolucyjnych, które pod wspólnym łączą sztandarem proletariat polski z proletariatem rosyjskim“.

Gdy Leszczyński, darzony oklaskami szczupłej, lecz zwartej grupy przyjaciół, schodził z mównicy, Hołówko w nagłym podrzucie nerwów osądził, że tych oklasków i tej mowy, brzmiącej jak wyzwanie,

on właśnie nie może zostawić bez odpowiedzi. Gdy wstał i poprosił o głos, wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę, zaintrygowane zarówno obcym akcentem mowy tego przybysza, jak jego egzotycznym ubiorem.

Hołówko, istotnie, w rozpędzie pośpiechu zjawił się w Krakowie w swej kurtce petersburskiego studenta, świecącej mosiężnymi guzikami. Głos jego był dźwięczny, ujmujący, donośny, lecz w murach Krakowa uderzać musiał i wyróżniał się niewątpliwie swem śpiewnem brzmieniem dalekich wschodnich kresów.

„Zabierając głos pośród was, drodzy koledzy — zaczął Hołówko — zgóry przeprosić muszę za swój niezbyt poprawny akcent i może nawet za niejedyn błąd w swej polszczyźnie. Wzrastając i kształcąc się w głębi Rosji, nie miałem możliwości tak harmonijnie mowy ojczystej opanować, jakbym pragnął. To pewna, że wszelkich dołożyłem starań, aby, żyjąc na obczyźnie, obcą otoczony mową, zachować w sobie jednakże myśl polską i duszę polską. W czym, o ile sądzić mogę, jaskrawo rozszedłem się z moim wymownym na tej tu trybunie poprzednikiem. On bowiem w nieskazitelnej wypowiadał się polszczyźnie, ale używał jej poto, aby pokazać, jak dalece zrusyfikowaną ma duszę“...

Burza oklasków zerwała się na całej sali, głusząc słowa Tadeusza. Jego bezpośredniość tonu, jego śmiało postawiony kontrast między treścią a formą, jego impet polemiczny, wstępny bojem zdobył umysły kolegów.

Mówił w dalszym ciągu, wśród napiętej uwagi ca-

łego zgromadzenia. Dał jakby spowiedź ze swej pielgrzymki do Krakowa, z tęsknot, które gnały go do serca polskości, poprzez turmy carskie, przez stepy Turanu, przez mogiły wygnańcze. Dialektyczne tezy przyszłego komunisty zbił powołaniem się na fakty, wyniesione z własnych przeżyć i doświadczeń.

„Fakty te — mówił Hołówko — wskazują, że Rosja jest zarówno z kultury swej, jak charakteru państwowości, narodem, który pół duszy utopił w Azji, gdy tymczasem naród polski całą duszą należy do Europy, do cywilizacji zachodniej. Walcząc przeciw naszym ujarzmicielom, korzystać będziemy z pomocy każdego sojusznika, który w jednym z nami stanie szeregu. Przeciw caratowi iść gotowi jesteśmy nawet z djabłem, radośnie tedy przyjmujemy wyciągniętą dłoń rewolucji rosyjskiej. Ale zgóry oświadczamy, że wspólność środków bojowych nie wyłącza zasadniczej odrębności celów: rewolucja rosyjska dąży do społecznej przebudowy Rosji, my zaś dążymy przede wszystkim do oderwania od niej ziem polskich, jako podstawy terytorjalnej pod budowę niepodległej republiki polskiej...“.

Odpierając dialektykę internacjonau, uosobioną w Leszczyńskim, Hołówko nie schodził w swem przekonaniu szczerem i głębokiem z gruntu socjalizmu polskiego. Nikt żarliwiej, niż on, nie był przekonany, że „kto nie powiąże życia swego z życiem Polski pracującej, temu upłynie ono na snuciu bezkrwistych marzeń“. W umysłowości jego czerwień socjalizmu łączyła się naturalnie z purpurą niepodległości. Alboż nie ta sama krew ofiarna barwiła sztandary jedne i drugie? O ile w łonie samej P. P. S. antywojskowa

doktryna marksizmu wywoływała niemilkące spory na temat, czy musztra żołnierska może się pogodzić z ideologią socjalizmu, to wśród młodzieży wątpliwości te nie odgrywały roli. Ludzie młodzi stawali do walki w szeregach tych, którzy walczyli, przyjmując za swoją ówczesną ideologję tych, z którymi razem walczyć mieli. Akcja, mająca kruszyć mocarstwa zaborcze musiała opierać się o siły rewolucyjne i o rewolucyjne metody.

I znowu stało się to, co życiu i działalności Tadeusza Hołówki stale towarzyszyło: umiał on pełną garścią brać ze środowiska to, co dobre, wzniosłe i piękne, umiał też dawać z siebie bardzo wiele. Swemu otoczeniu krakowskiemu dał pokrzepiające, nieocenione wrażenie tej niewyczerpanej żywotności ducha polskiego, której on, przybysz z pozakaspiskich równin, był tak wspaniałym okazem.

Dyskusja z Leszczyńskim zwróciła na Hołówkę uwagę Komendanta Piłsudskiego, który niebawem wezwał go do siebie na dłuższą rozmowę. W tym to, zapewne, momencie zapadła w serce Tadeusza iskra żołnierskiej miłości i czci dla przyszłego Wodza Narodu, miłości, która odtąd przez całe jego życie palić się w nim będzie jasnym wszechobejmującym płomieniem.

Dwadzieścia bezmała lat minie od tej chwili, w której stalowe oczy Komendanta sięgnęły dna duszy tego młodzieńca; huragan wojny przetoczy się po obliczu ziemi, młodzieniec stanie się mężem i urośnie w męża stanu, a chwila ta żyć będzie w jego pamięci niezatartem wspomnieniem. Chroni ją zawsze w głębi serca, osłania milczeniem, a gdy zmu-

szony jest o niej wspomnieć, czuje się w jego słowach drżenie najgłębszych, najtajniejszych strun całego jestestwa: „On mnie pasował na żołnierza Niepodległej Polski i Jemu ślubowałem w duchu swoją wierność żołnierską, i temu ślubowaniu pozostanę wierny do końca życia, bo Człowiek ten jest wcieleniem dumy narodowej i umiłowania wolności i wielkości mojej ojczyzny. Wszystko, co mój Komendant czyni, płynie zawsze i jedynie z umiłowania i troski o Polskę“.

Te proste, żarliwe słowa Tadeusza, napisane na rok przed śmiercią („Moja odpowiedź“, Gaz. Polska, 24/IX. 1930), stwierdzone trudem całego życia, a wielokroć krwią przypieczętowane, pozostaną jednym z najpiękniejszych pomników, jakie żołnierz polski wystawił swemu Wodzowi.

Okres krakowski był dla Hołówki jednocześnie nowym krokiem postępu na terenie działalności organizacyjnej: należąc do sekcji zagranicznej Frakcji Rewolucyjnej P. P. S., był on członkiem Promienia, Filarecji Krakowskiej, równolegle zaś wstąpił do szkoły instruktorskiej w Związku Walki Czynnej, wreszcie został sekretarzem Głównego Zarządu Związku Stowarzyszeń Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej. Jeśli zważymy, że cały okres ów zamykał się w granicach jednego roku akademickiego, tego samego, w którym Hołówko po raz pierwszy głębiej ze środowiskiem kraju się zetknął, uderzy nas bujność inicjatywy i ruchu, kipiąca w tym młodzińcu. Od wczesnej młodości, jakby ścigany niepokojem, czy los żyć mu dozwoli dość długo, aby choć cząstkę marzeń przekuć w rzeczywistość, pło-

nał od ustawicznej gorączki czynu, brał na się zadania za dwóch, a wykonywał za dziesięciu. Gdziekolwiek się znalazł, przy jakimkolwiek stanął warsztacie, już po dniach kilku stawał się nieodzowny, po miesiącu — niezastąpiony.

A przecież, śledząc jego działalność w akademickich organizacjach młodzieży krakowskiej, pamiętać należy, że główny ciężar roboty, że ogrom pracy, jaką tam dźwignął i poniósł, spoczywał nie poza nim, lecz w nim: w jego umysłowości, w jego duchu. Czasy krakowskie były, w istocie swej, dla Tadeusza Hołówki, dawnego „towarzysza Kirgiza“, przebiegiem niezmiernie przyśpieszonego odkrywania samego siebie; były pracą wyzwalań — pod ciśnieniem skupionej atmosfery środowiska — tych pierwiastków powstańczego patriotyzmu, zespolonych w buncie i miłości, które w najgłębszych pokładach jego młodości duszy spoczywały.

Powrót do Petersburga.

W roku 1913 udało się Hołowce uzyskać zezwolenie na powrót do uniwersytetu petersburskiego. Przy całej radości, jaką napawał go pobyt w Krakowie, wiedział on, że polem jego działalności najbliższej będzie nie zabór austriacki, lecz rosyjski. Skorzystał też niezwłocznie z możliwości powrotu. Pierwsze dni listopadowe zastają go znowu w stolicy carów, w tem samym środowisku, z którego wyrwano go dwa i pół lat temu i w więzienną popędzono tułaczkę.

Jak jednakże obecnie zmieniły się role! Tadeusz,

który przed trzema laty zapoznał się tu po raz pierwszy ze zbiorowiskiem młodzieży akademickiej, staje się teraz najżywszym łącznikiem między młodą kolonją polską w Petersburgu a ośrodkiem ruchu niepodległościowego w kraju; wyrasta na kierownika i herolda tego ruchu. W osobie jego, w rękach jego, zbierają się nici organizacyjne zarówno petersburskiego Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej, jak Związku Walki Czynnej, jak wreszcie i tętniącej bohaterskim rozmachem Frakcji Rewolucyjnej P. P. S.

Wszystkie te organizacje są prądami, które, ze wspólnego płynąc ogniska energii, zasilając się i sumując wzajemnie, biją w jeden cel: urzeczywistniają myśl Piłsudskiego — dążą do militaryzacji młodzieży i społeczeństwa pod znakiem bliskiej, coraz bliższej, nieuniknionej wojny Austrii i Niemiec z Rosją. Raz już, na przełomie roku 1912 i 1913, w tych właśnie miesiącach, które Hołówko spędził w Krakowie, podczas t. zw. przesilenia bałkańskiego, przygotowywały się oddziały Piłsudskiego do wymarszu w pole, do walki przeciw Rosji. Wtenczas to, jako oparcie dla całego ruchu wojskowego, powstała Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, już w pierwszej swej odezwie ciskająca ogniste wici pogotowia i mobilizacji wszystkich sił i środków pod hasłem „wyzwolenia narodu polskiego w czasie wojny na ziemi polskiej“.

Uosobionem przeczuciem i niemal jasnowidzeniem zbliżającej się wojny był Piłsudski. On też najwyraźniej zdawał sobie sprawę z możliwości, jakie wojna między mocarstwami rozbiorcami mogła przy-

nieść Polsce. „Sprawa polska rozwiązana zostanie po-
myślnie w tym szczęśliwym wypadku — stwierdza
na kilka miesięcy przed wybuchem wojny świato-
wej — jeżeli Niemcy pokonają Rosję, a sami zostaną
pobici przez Francję“.

Wraz z całym obozem niepodległościowym i zgod-
nie z całowiekową tradycją powstańczą Piłsudski
w Rosji carskiej główną widział zaporę przeciw od-
budowaniu Państwa Polskiego. Ze wszystkich trzech
zaborców Rosja zajmowała największe obszary pol-
skie; bez wyzwolenia Królestwa Polskiego i ziemi
Wileńskiej niepodobna było marzyć o stworzeniu
podstawy dla państwa, zdolnego ostać się wobec
przemożnych sąsiadów; to zaś wyzwolenie dawało
się osiągnąć jedynie na gruzach panowania carów,
przy odepchnięciu Rosji poza Niemen i Prypeć. Poza
tem Piłsudski w przewidywaniach swych brał pod
uwagę i to, że Rosja, ze względu na swe hasło soli-
darności słowiańskiej, najgroźniej podrywała same
korzenie narodowego bytu polskiego. >

Lecz czy walka przeciw Rosji — po tylu nieszcze-
śliwych próbach powstańczych — nie była nowem
szaleństwem, skazanem na tragiczny koniec?

Oczywiście, Polska rozdarta i skrępowana nie
mogła porywać się sama do walki z Rosją. Lecz sko-
ro wojna wybuchnie, skoro Moskalom przyjdzie zmie-
rzyć się z żelaznymi hufami armji niemieckiej i węg-
ierskiej, Piłsudski przewidywał, że Rosja, mimo
swych obszarów, mimo miljonowych odwodów w lu-
dziach, ugnie się i zużyje pierwsza, najwcześniej, naj-
szybciej staczając w otchłań rewolucji i anarchji.

Ile w przewidywaniach tych było słuszności, dziś

już nie trzeba dowodzić: sama historia trafność ich z matematyczną potwierdziła dokładnością.

Nie trzeba też dowodzić dzisiaj i tego, że wystąpienie przeciwko Rosji pozwalało stworzyć na autonomicznej ziemi galicyjskiej kadrę wojskową, zorganizować siłę zbrojną, któraby w miarę trwania wojny potrafiła okazać zaciężną wagą na jej szalach wtedy, gdy ważyć się będzie los i przyszłość Polski.

Ta przyszłość — przyszłość naszego odrodzenia na zrębach własnej państwowości — była wówczas jeszcze gęstymi przesłonięta mgłami. Cóż pewnego wiedzieć mógł o niej Tadeusz Hołowko, młody student z początkowych semestrów prawa, skoro męzowie, skoro władcy wielkich mocarstw najłżejszego nie mieli pojęcia o groźnym wulkanie przewrotów, jaki niebawem trony ich miał wysadzić w powietrze.

Z ech i światła Europy zachodniej znał on tyle tylko, ile ich odbiło się w murach Krakowa w aulach Wszechnicy Jagiellońskiej. Nie docierał i swą najdalszą myślą docierać nie mógł tam, kędy sięgał orlim swoim wzrokiem Piłsudski.

Ale też, idąc za rozkazem Wodza, nie pytał o rękojmie, nie oczekiwał obietnic. Służba, której się podjął, nie wymagała usprawiedliwienia w rachubie i nadziei niezawodnych zysków politycznych. W umyśle Hołowki wojskowe organizacje młodzieży, niezależnie od tego, co zdobyć mogły, nosiły same w sobie moralną dźwignię odrodzenia: samo ich istnienie czyniło naród odważniejszym, przeobrażało psychologję człowieka bezoręznego w psychologję ludzi uzbrojonych. Tadeusz czuł tę zbawczą doniosłość odmiany sam w sobie, gdy, po powrocie z Krakowa, rozglą-

dając się po kolonji polskiej w Petersburgu, stwierdzał mimowoli, że patrzy na nią zupełnie innemi, o ileż wniklejszemi oczyma. Obraz, jaki przedstawiała większość dzienników i czasopism warszawskich, które przedtem śledził tak skwapliwie jako żywy, bądź co bądź, głos kraju, teraz wydał mu się wręcz nieznośny i upokarzający.

„Usypiam duszę mą biedną i usypiam brata mego“ — zrozumiał teraz Hołowko gorycz owych wyrazów, które Wyspiański wkłada do ust dziennikarza.

— Trzeba — myślał — budzić naród do zbliżającej się wojny, oni zaś go usypiają. Łudzą się sami i łudzą innych, wmawiając w czytelnika, że sprawę polską może ruszyć z miejsca wewnętrzne przekształcenie państwa rosyjskiego: zmiana despotyzmu carskiego na monarchję konstytucyjną. Co za ślepotą! Przedstawicielstwo narodowe, jak wogóle modernizacja caratu, może tylko wzmóc potęgę Rosji, nadać jej większą sprawność administracyjną, a więc i większą zdolność w urzeczywistnianiu stawianych sobie celów politycznych. Do celów zaś tych należała rusyfikacja zaborów. Na punkcie rusyfikacji ujarzmionych narodów różnica między młodą a starą Rosją zacierала się coraz widoczniej. Dzielily ją jeszcze poglądy na środki, mogące ułatwić i przyspieszyć tę rusyfikację, ale sam cel zasadniczy stawał się coraz bardziej wspólny. W ramach tego celu, na tle Rosji „jednej i niepodzielnej“, autonomja polska kureczyła się do granic samorządu, samorząd zaś przeistaczał się w tryby, mające społeczeństwo polskie wciągnąć w powszechną państwowość rosyjską...

Roman Dmowski, kilkuletni prezes Koła Polskiego

w Dumie, nieuleczalny fanatyk wiary w Rosję i w szczęście Polski pod skrzydłami jej opieki, zapełniał podówczas łamy dzienników narodowo-demokratycznych dytyrambami, sławiącemi żywotność i niepożytość, ha! wszechmoc caratu. Tysięcznych też używał argumentów, aby przekonać rodaków o wielkiem znaczeniu dla przyszłości kraju reprezentacji polskiej w Dumie rosyjskiej.

Ale Hołówko, patrząc teraz zbliżona na działalność Koła Polskiego w Izbie rosyjskiej, doznawał jedynie odrazy i politowania. Widział on, że nawet wyjednywanie koncesyj u rządu, przez stawianie na gruncie państwowości rosyjskiej, znieprawiało opinię narodu i zatruwało instynkt polski patryjotyzmem wszechrosyjskim.

— Więc aż tak głęboko wżarły się w kraj nasz zacieki wpływów moskiewskich? — pytał sam siebie Tadeusz, próbując zmierzyć otchłań upadku, w jaką stoczył się przywódca narodowej demokracji, niosącej w ręku sztandar „wszechpolski“ jakgdyby poto tylko, aby go rzucić pod stopy cara.

Przypomniały mu się słowa księcia Urusowa, wybitnego państwowca rosyjskiego, który politycznej szkole Romana Dmowskiego wystawił okrutne świadectwo: „Przyglądając się — rzekł — reprezentacji polskiej w Dumie petersburskiej, przychodzę do wniosku, że nahajka — rzecz dobra, byle nie w pijanych rękach“.

Istotnie, Rosja z niepokojem czekała na głos przedstawicielstwa Polski. Sądziła, że na trybunie Izby rosyjskiej staną prawdziwi potomkowie Łukasińskich, Czachowskich, Trauguttów. Tymczasem przekonali

się, że, zamiast szermierzy niepodległości, pojawili się lokaje i żebracy, korni zbieracze łask i okrucichów, spadających ze stołu samowładztwa. Nie Polacy już, lecz tylko, jak drwili triumfując Moskale, „Polaczyszki“.

Tadeusz Hołowko przyniósł na świat duszę, wyposażoną już od natury w jedną bolesną wrażliwość: nie nie raniło go tak głęboko, jak ból, zadany dumie, jak widok ludzkiego upokorzenia.

Wrażliwość ta wzmogła się w nim i zaostrzyła jeszcze bardziej od chwili, gdy, podczas ćwiczeń strzeleckich na błoniach pod Krakowem, dano mu do rąk karabin, a krótki głos polskiej komendy wojskowej obudził drzemiące w duszy echa Ostrołęki, Grochowa i Raszyńska: bitew, w których brali udział dziad i pradziad Tadeusza.

Jakimż ogniem żrącym palić go musiał widok polskiego stronnictwa, które pod godłem „narodu“ i „demokracji“ — dwóch tak szczytnych dla niego znaków — ustami przedstawicieli swych głosowało w Dumie za budżetem armji carskiej, armji, która żelazną stopę trzymała na piersiach Warszawy i Wilna, a szykowała się do wyprawy na Lwów i Kraków, aby stłumić te dwa ostatnie ogniska duchowego życia Polaków!

Wszystkie polityczne zabiegi Dmowskiego u rządów carskich, wszystkie deklaracje, składane dla zjednoczenia Rosji, dla wytargowania od niej drobnych ustępstw za cenę wielkich zrzeczeń, brzmiały w uszach Hołowki jak dzwon pogrzebowy. Gdy Dmowski, powołując się na różnicę cywilizacyjną między Polską a Rosją, uspokajał rodaków, że sama wyż-

szość kulturalna naszego narodu będzie w objęciach caratu tarczą jego odrębności, Hołówko z bolesnym uśmiechem przypominał sobie odpowiedź Katkowa na powyższy argument, tak stary, jak zabór rosyjski w Polsce: „Niczewo, my ich dogłupim do swojego urownia!“ (Nic to, my ich do swego poziomu dogłupimy!).¹ Że powiedzenie słynnego polakożercy nie było czczą przechwałką, pokazuje historia całego stulecia. W dziedzinie szkolnictwa panowanie Rosji na ziemiach polskich było jedną wielką dewastacją. W roku 1815 mieliśmy w zaborze rosyjskim dwa uniwersytety, znakomite liceum, bardzo dobrze, jak na ówczesny okres, postawione szkoły średnie i niższe. Po latach stu cóż z tych szkół pozostało? Rząd moskiewski zamknął najcenniejsze ogniska oświaty, a na pozostałe nałożył ciężkie kajdany policyjno-rusyfikacyjne.

— Tak! — myślał Hołówko — gospodarka moskiewska przyniosła niepowetowane straty naszej kulturze narodowej i na łup ciemnoty i analfabetyzmu rzuciła rzesze ludowe.

Dmowski, pocieszający się oklepanem zdaniem, jakoby Moskale nie byli dla nas niebezpieczni, gdyż stoją na niższym poziomie kulturalnym, czemże był sam, jeśli nie wymownym przykładem wyjałowienia umysłowego, dokonanego przez Rosję, a jednocześnie moralnego przystosowania do poniewierki niewolniczej?

Zwłaszcza w ciągu ostatnich lat dziesięciu (1904 do 1914) Królestwo Polskie doświadczyło skutków

¹ Por. W. Studnicki: „Z walk i przeżyć“.

gospodarki moskiewskiej w sposób tak dotykalny i bolesny, że ludzi, dla których przyszłość narodu nie jest obojętna, ogarniać musiało przerażenie. Gdyby nie autonomiczne swobody Galicji z jej Akademią Umiejętności i jej uniwersytetami, nie mielibyśmy ani nowoczesnej nauki polskiej, ani historjografji, ani sztuki. Nie mielibyśmy dzieł Szujskiego, Szajnochy i Kubali, to znaczy — nie moglibyśmy mieć ani malowideł Matejki ani arcydzieł Sienkiewicza, Wyspiańskiego, Kasprowicza i Żeromskiego. A bez dopływu ducha, jaki wieley ci twórcy wnieśli w krew nowego pokolenia, czyż możnaby marzyć już nietylko o wskrzeszeniu oręża polskiego, ale wprost o utrzymaniu w mocy dawnych uczuć polskich?

Nie dziwny się, że wicher trwogi, gniewu i płomienia targał bujne, jak grzywa, falujące włosy Ta-deusza, gdy z podobnemi borykał się pytaniami.

I nie dziwny się, że, gdy, krzyżując broń z przeciwnikami w obrębie polskiej kolonji w Petersburgu, spotykał się wśród starszego pokolenia z gnuśno-uroczystym zarzutem rozbijania solidarności „narodowej“ i warcholstwa, miał ochotę, jak Konrad Wyspiańskiego, „trzasnąć w pysk“ niejednego „Jowisza z Olimpu“ i jak Wyspiański krzyczeć krzykiem rozpacz i buntu:

— Warehoły — to wy! — Wy, co liżecie obcych wrogów podłóże, czołgacie się u obcych rządów i całujecie najeźdźców łapy, uznając w nich prawowitych wam władców! Wy, hołota, którzy nie czuliście dumy nigdy, chyba wobec biedy i nędzy, której nieszczęście potracaliście sytym brzuchem bezczelników i pięścią sługi. Wy, lokaje i fagaśy cudzego pyszałstwa, któ-

rzy wyciągacie dłoń chciwą po pieniądze, — po łupież pieniężną, zdartą z tej ziemi, której złoto i miód należy jej samej i nie wolno ich grabić. Warchoły, to wy, co się nie czujecie Polską i żywym poddaństwa i niewoli protestem. Wy sługi! Drżycie, bo wy będziecie nasze sługi i wy będziecie psy, zaprzęgnięte do naszego rydwanu i zginiecie! I pokryje waszą podłość niepamięć! („Wyzwolenie“, akt II).

„Głos Młodych“.

Hołówko nie posiadał daru poetyckiego. Pozbawiony tej władzy marzycielskiej, która spala się bezinteresownie w tworzeniu obrazów, działających wyłączenie na wyobraźnię i uczucie, znał jednakże doniosłość słowa i potrafił władać niem znakomicie: umiał wlać w nie żar swych młodzieńczych uniesień, umiał wypełnić je wagą długich i rzetelnych rozmyślań.

Jeśli był poetą, to przedewszystkiem poetą czynu. Słowo z ust jego padało jak płomienny pocisk, bijący zawsze w jakiś cel, w jakieś żywotne zagadnienie. Słowo miało dlań wartość o tyle, o ile było przewodnikiem lub narzędziem działania.

Tadeusz był urodzonym, z bożej łaski, mówcą i zdążył zakosztować już tej upajającej mocy, jaką daje panowanie z trybuny nad tłumem słuchaczy. Ile dokazać potrafi na tem polu, dowiódł już wobec sądu w Wiernym, gdy własną wymową obronił się przed wyrokiem skuteczniej od wywodów adwokata. Błysnął potem szeregiem świetnych wystąpień na zgromadzeniach dyskusyjnych w Krakowie. Lecz teraz,

wobec zwartego nacisku starszego pokolenia, które młodzieży nie chciało i nie umiało zrozumieć, Hołowko uczuł, że działalność, zamknięta w kółkach kołożeńskich, nie wystarcza. Że, aby głębiej przeorać, należy sięgnąć działaniem poza próg zgromadzeń akademickich. I z właściwą sobie porywczością decyzji postanowił słowo żywe podeprzeć słowem drukowanym: trybunę mowy przeistoczyć w redakcję czasopisma.

Tak urodził się na gruncie petersburskim słynny „Głos Młodych“: kuźnia polskiej myśli postępowo-niepodległościowej, bijąca snopami zuchwałych skier powstańczych tuż pod boki wszechmocnego cara. W najściślejszej spójni z Tadeuszem, jako współpracownicy i współredaktorzy zarazem, skupili się wokół nowej placówki jego koledzy - przyjaciele: Kazimierz Kamiński, Juljusz Łukasiewicz, Jan Wolski, Wacław Głazek, Mieczysław i Wanda Niedziałkowscy, Jerzy Czeszejko-Sochacki, Jerzy Drecki. W rozkwicie wielkich nadziei, w atmosferze młodości i entuzjazmu, w przeczuciu wielkich zadań i przełomów, rodziła się nowa publicystyka polska.

Gdy pierwszy numer „Głosu Młodych“, dzięki patronatowi Aleksandra Babiańskiego i przy troskliwej pomocy Stefana Grosterna, wyszedł z pod tłoczni, Tadeusz określił w nim artykuł swego pióra i u góry, małemi literkami, wypisał wielce znaczące pytanie: — „Czy teraz będziesz zadowolony?“.

Pytanie to skierowane było do ojca, który pozostał w Turkiestanie. Wiązało się zaś z pewnym epizodem z przeszłości Tadeusza.

Podczas swego pierwszego pobytu nad Nową Ho-

łówko, wnet po przyjeździe z Dżarkentu, zapoznawszy się z dziełami Żeromskiego i zachwycony ich pięknem, dał zachwytom swym wyraz literacki w małej rozprawie, poświęconej autorowi „Popiołów“. Ale wtenczas nie miał jeszcze zaufania do stylu i wyrobienia swej polszczyzny. Nie chcąc nie uronić ze swych myśli, napisał rzecz po rosyjsku i ogłosił w jednej z postępowych gazet petersburskich. Pan Wacław, przeczytawszy rozprawkę, pochwalił syna za sukces literacki, ale dodał ze smutną wymówką:

— O ileż więcej ta sama rzecz sprawiłaby mi radości, gdybym ją przeczytał po polsku!

Teraz, przesyłając ojcu egzemplarz polskiego czasopisma, Tadeusz wskazywał z dumą na swój w nim udział: życzeniom starego powstańca stało się zadość.

Przyszły historyk ruchu niepodległościowego sięgnie kiedyś do rocznika „Głosu Młodych“, aby zapoznać się z okresem dojrzwania idei i przedsięwzięć pokolenia, które tak zaszczytnie zapisało swoje imię w dziejach przełomowego okresu wojny światowej. Odczyta wówczas z pożółkłych kart tego pisma słowa, które głęboko radliły dusze studjującej na obczyźnie młodzieży. Odczyta wówczas i artykuły Hołówki.

Kierunek polityczny pisma cechowało z jednej strony poczucie ścisłej łączności z kierownictwem P. P. S. i z polskim ruchem wojskowym, z drugiej wiedza o tem, że świat cały stoi w przededniu wielkich wydarzeń i że w tych wydarzeniach o losach Polski zadecyduje, w nienajmniejszej mierze, czynna postawa Polaków.

Żywy zmysł dla rzeczywistości politycznej, sumie-

nie wrażliwe na niedole i krzywdy społeczne, bezpośrednie poczucie tętna dziejowego — wszystkie te trzy zasadnicze struny „Głosu Młodych“ dźwięczą donośnie już w pierwszym artykule pierwszego numeru czasopisma. Nie potrzebujemy pod artykułem szukać podpisu; nie mamy wątpliwości, że go pisał Hołówko. I nie potrzebujemy szukać nad nim daty; z samej treści jego bije zwiastowanie burzy, łoskot nadchodzącej Wielkiej Przemiany. Ostatni rok przed wojną światową!

Czyż trzeba dodawać, że od pierwszego wystąpienia „Głos Młodych“ znalazł się w ogniu zaciętej walki, na skrzyżowaniu zasadniczych sił, toczących bój o duszę i o przyszłość Polski?

— „Niech się ocknie i pokaże dobosz nowej Pracy i nowej Sprawy! Niech bije głos jego pobudki w błony ran ledwo zawściągnionych, w srom ręki ściskającej sakwę, gdy drży nagi plemienia duch...“ już te nieubłagane słowa Żeromskiego, stawione przez Hołówkę za motto naczelnego artykułu, zabrzmiały jak wyzwanie, przez młodych rzucone w twarz „stronictwom chłopskiej krzywdy i narodowej hańby“.

Ten pierwszy artykuł naczelny zawiera w sobie już wszystkie idee kierownicze młodego obozu: „Punktem wyjścia — czytamy w nim — jest dla nas stosunek do jedynie twórczej i odrodczej siły w społeczeństwie, do ruchu polskich mas pracujących, dźwigających nowe Polski życie... Syn ludu — robotnik polski — wznowił hasła, których wyparły się wszystkie inne klasy, dał im treść nową i wyższą... W hasła powrotu do kraju zestrzelić chcemy wszystkie nasze myśli... Piastując ideały postępu, uważamy, że dąże-

nia narodowe nie mogą służyć za maskę wsteczniectwu i nacjonalizmowi. Zwalczać będziemy wszelkie objawy serwilizmu... Dość już monopolu na polskość i patryjotyzm!... Tępić będziemy trujące kwiaty szowinizmu, siejącego naokół objawy zdziczenia, cofającego wstecz dorobek kultury i demokracji polskiej; zwalczać będziemy w społeczeństwie to prusactwo duchowe, harde wobec ludu własnego, wyniosłe wobec Litwinów, Ukraińców lub Żydów, a z pokorą znoszące kopnięcia silniejszych... Synteza nasza i snopy światła, jakie rzucać będziemy na obraz stosunków młodego pokolenia, nie ograniczą się do zaboru rosyjskiego i Cesarstwa... Roztaczają się przed nami widnokreśli olbrzymie... Obejmujemy spojrzeniem całą Polskę...“.

Całą Polskę!... W jak wzruszającej, przejrzystej formie wibrowała w „Głosie Młodych“ ta troska o Polskę całą i „mimo działów niepodzielną“, widać z fejletonu Hołówki, zamieszczonego w przededniu feryj wiosennych: „W dzień Zmartwychwstania“.

Skąd weźmie lot poryweczy myśl młodego redaktora, aby z kolegami podzielić się wiarą w triumf prawdy i sprawiedliwości, zapowiadany ongi przez ubogiego Cieślę z Nazaretu? Czy z gwaru najbliższego środowiska? Czy z okręgów jednego zaboru?

Nie. Już w pierwszym zdaniu Hołówko mknie za kordony, przywołuje obecność Krakowa, ogarnia wzrokiem wszystką ziemię, wszystką dolę Polski. „Rozkołysał się prastary, potężny dzwon Zygmunowski... Odbiła się jego pieśń radosna o wyszczerbione mury Wawelu... Poprzez modrą wstęgę Wisły popłynęła wdal... A odpowiedziały jej echem dzwony wszystkich świątyń całej polskiej ziemi...“.

Z tych kilku słów czyż nie wyziera najgłębsza tęsknota Hołówki? Jakże tkliwe i czujne ucho dla głosów ziemi ojczystej miał ten student, jeśli w stolicy carów, w obcym miljonowym mieście, jedynym dzwonem, który mu w sercu dzwonił, był prastary Zygmunt, dzwon królewski Jagiellonów!

Ale właśnie dzwony wielkanocne, zwiastujące święto odkupienia przypominały mu, ile nieodkupionej jeszcze nędzy i niedoli ugina się pod jarzmem ucisku na ziemiach polskich. Jeśli z zaświatów wywołuje postać Chrystusa, to dlatego, aby współ z nim iść w ciężką, oparną noc doli polskiej, aby wśród nocy tej nie pominąć, nie zatracić w głuszy ani jednego westchnienia, ani jednego jęku lub przekleństwa.

On, który niedawno w krzyżowej zaiste drodze etapów przemaszerował przez piekło udręki więziennej, gotów jest łzami dziecka płakać nad losem dzieci poznańskich, katowanych zato, że nie chciały odmawiać w obcym języku pacierza miłości i przebaczenia. Owiany smutkiem, błądzi na stacji granicznej wśród tłumu polskich uchodźców, o głodzie i chłodzie spotykających Wielkanoc w obcym mieście. Przenosi się na przedmieścia Łodzi i Warszawy, miłującym okiem pozdrawiając robotników, daremnie szukających zarobku. Krocząc szlakiem cierpienia, dociera wreszcie i do tych, których bezsilna skarga krwawi się o kraty żelazne. Do „ludzi bezdomnych“, do Judymów, Wolskich, Czarowiców, co „ścigani zemstą i śmiechem swoich, skroś ciemnotę i ucisk mas, wyszli z siedzib cichych, aby walczyć o lepsze jutro“.

Jak widzimy, Hołówko nie czekał, jak Roman

Dmowski lub Aleksander Świętochowski, na bałamutną odezwę Mikołaja Mikołajowicza, by głosić program zjednoczenia ziem polskich. On miał go wypisany w sercu. I nawet wtenczas, gdy był przykuty do Petersburga, oddychał duchowem powietrzem nie jednego zaboru, ale całej Polski.

Dziś, gdy żyjemy w ojczyźnie wolnej i zjednoczonej, jakże prostą i naturalną wydaje się nam rzecz, że myśl patrioty nie mogła zmieścić się w kordonach niewoli. Nie tak jednakże było przed wojną, gdy na tle rezygnacji popowstaniowej wyrosła i zastygła w starszem pokoleniu doktryna trójlojalizmu, zalecająca sprawę polską zamykać w każdym zaborze zosobna. Wystarcza jeden przypomnieć fakt. Gdy, wzburzone stołypinowskim zamachem na Chełmszczyznę, Koło Polskie w Wiedniu zapragnęło z poza kordonu wnieść przeciw temu nowemu gwałtowi Moskwy protest z trybuny austriackiego parlamentu, partja Romana Dmowskiego użyła wszelkich wpływów, aby zamiar ten udaremnić; wyżej ponad zasadę jedności narodu stawiano w partji tej lojalność wobec Rosji.

W klimacie uczuć, tak czystych i wysokich, jak te, które ożywiały „Głos Młodych“, każde uchybienie interesom i godności narodu, każde sprzeniewierzenie się bądź zasadzie niepodległości, bądź idei postępu społecznego, budziło w łonie studentów-redaktorów natychmiastowy odruch gniewu i potępienia. Polemiki wybuchały jak gromy wiosenne. A strzały polemiczne, jakeimi raził przeciwników Hołówko, były już wtenczas ostre i namiętne. Od wypowiedzenia tego, co uznał za słuszne, nie powstrzymywały go żadne względy uboczne.

Gdy arcybiskup warszawski, ks. Kakowski, łamiąc zasadę bojkotu szkoły rosyjskiej w Królestwie i gnąc się przed wolą Skałłona, przyjął i życzliwie w apartamentach swych ugościł delegację studentów-łamistraków, „Głos Młodych“ nie zawahał się tego objawu „gościnności“ arcypasterskiej stawić pod pręgierz opinii niepodległościowej w wyrazach tak stanowczych, na jakie tylko pozwalała ówczesna cenzura prasowa.

Gdy zaś, ulegając podszeptom klerykalizmu, pewne grono pracowników społecznych ogłosiło w kraju enuncjację, w której „wszelkie kierunki postępowe“ uznano „za szkodliwe dla narodowości polskiej“, Hołówko, przytoczywszy tak „chwalebna“ tezę, rozprawił się z nią jednym błyskiem pióra, gromiąc jej zwolenników już nie wzgardą, lecz politowaniem:

„Konserwujcie, młodziankowie — odparł — status quo społeczne, polityczne, narodowe, a podziękują wam z pewnością Hurko i Stiszyński“ — dwaj najwięksi podówczas polakożercy-Moskale.

Rodzime ghetto.

Te ostre, bezlitosne ciosy, wymierzane z łamów „Głosu Młodych“ w zaprzaństwo narodowe, strojne nieraz karmazynami magnatów, a nieraz pyszne infułami biskupów, lub tłuste fortunami dorobkiewiczów, nie mogły, rzecz prosta, nie wywoływać równie ostrej i bezwzględnej reakcji. Ale oręż, jaki przeciwstawiono „Głosowi Młodych“, jakże zasadniczo różnił się od rycerskiej szpady Tadeusza!

Gdy Hołówko używał tylko argumentów rzeczo-

wych, bijąc w merytoryczny ośrodek zagadnienia, przeciwnicy postanowili utracić niebezpiecznego polemistę metodą wycieczek osobistych, usiłując zadać mu sztych skrytobójczy w plecy. W jadowitych napomknieniach dano mu, mianowicie, do zrozumienia, że osobnik taki jak on, wyrosły w stepach Azji, gdzieś nad chińską granicą, który przed kilku zaledwie laty poznał ziemię ojczystą, słowem „typ pośredni“, nie ma wogóle prawa mówić o sprawach i życiu Polski.

Hołówko odważnie podjął rzuconą sobie rękawicę. Pojął, że zarzut ten, jeśli go nie odeprze natychmiast, gnuśnemi i zatrutemi usty ścigać go może przez całe życie. „Ideologom rodzimego ghetta“ dał tedy odpowiedź, w której nietylko myśl walczy z myślą, ale i charakter mierzy się z charakterem.

„Czyż serce polskie — pyta Hołówko swych przeciwników — jest tak małe, a rozum polski tak ciasny, że stać go tylko na ukochanie zakątka wokół własnej chaty rodzinnej? Czyż nie umiemy już myśłą wyteżoną objąć całej nierozdzielnej ojczyzny? I czyżby młodzieży z Litwy nie wolno już było mówić o sprawach Małopolski, Podolakom o Poznaniu, emigracji amerykańskiej wogóle o Polsce? Czyż aż tak głęboko werżnęły się nam w duszę kajdany niewoli?“.

„Nie — odpowiedzą mi, być może, miłośnicy polskiego ghetta — to wolno wszystkim, co się urodziło na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Ale wara dotykać spraw ojczystych wam, przybyszom z dalekich wygnańczych obszarów, którzy jesteście „czemś pośrednim między typem polskim a rosyjskim; wy

niesiecie zbyt wiele pierwiastków obcych, aby mieć prawo głosu w rzeczach krajowych“.

— Tak! — podejmuje to nowe wyzwanie przybysz z Turkiestanu, pióro zaś jego wzbija się na poziom dumy, godnej Mochnackiego: — tu naprawdę mógłbym się zatoczyć od „braterskiego“ pchnięcia sztyletem. Gdyby mnie nie utrzymywały w wierze świetlane postacie tych, co byli mi drogowskazami w powrotnej drodze do ojczyzny, a których ziemia ojczysta przygarnęła z chlubą i miłością. A takimi dla mnie byli ks. Józef Poniatowski i Henryk Dąbrowski..., którzy do końca życia źle mówili i pisali po polsku... takim był Wincenty Pol, który w 16-tym zaledwie roku życia poznał mowę polską... Wyprzyjcie się tych wszystkich „pośrednich Polaków“, a wtenczas i ja schowam głęboko pod serce umiłowaną sprawę polską i nie usłyszycie już mego głosu. Bo nie do tej Polski, odgradzonej od świata pleśnią i zacofaniem, rwała się moja dusza, nie dla niej obce zwalczałem wpływy; szedłem do społeczeństwa polskiego, nie zważając na drwiny ze swojej niedoświadczonej poprawnej mowy i na pchnięcia braterskie, które czekają mnie dziś lub jutro. Serca dzieci wyrosłych na obczyźnie inna podbiła Polska — ta, o której opowiadali nam ojcowie w długie, zimowe wieczory, a która sięgała od morza do morza, znacząc swe podboje nie ogniem i mordem, lecz kulturą i równością prawa. Ta Polska, pełna tragicznej grozy, ale i niewysłowionego piękna w swej walce o życie, przykuła nas do siebie, i tej to Polsce my „pośredni“ chcemy i będziemy służyli wszystkimi siłami.

Czytając tę prawdziwie rycerską odprawę, daną „pomniejszych ciom ojczyzny“, ten wichrowy oddech „od morza do morza“ przeciwstawiony ciasnocie zaścianka, zazdrosnej o swe sinrody, trudno dziś jeszcze, w lat 18 po jej napisaniu, powstrzymać przyspieszony rytm serca wobec krwi, która w niej bije, wobec ognia, który z niej tryska...

Każdy, ktokolwiek będzie w przyszłości wracał pamięcią ku wysiłkom młodzieży, która z poboju wojny wyniosła naszą niepodległość, każdy, kto będzie myślał przebiegał życie Tadeusza Hołówki, zatrzymać się będzie musiał nad tym kawałkiem zwierzeń, wyrwanych wprost z serca; nad spowiedzią tej duszy, którą na samym progu młodości usiłowano zatruć goryczą i odrazą.

Starcia, błyski i wybuchy pasji polemicznej, jakkolwiek częste i niezwykle znamienne, nie stanowiły jednak zasadniczej osnowy „Głosu Młodych“. Nie negacja, ale praca budująca, praca posiewu nowych idei, była główną ambicją czasopisma. W artykułach zarówno Tadeusza, jak jego kolegów-współpracowników, górowało ponad wszystkim poczucie wiekowej krzywdy narodu i bunt przeciwko niej, skryształizowany w niecierpliwem pragnieniu walki zbrojnej o niepodległość.

Ten młodzieńczy „sen o szpadzie“, który tak rychło i na fali tak ogromnych zdarzeń miał oblec się w rzeczywistość, wspierał się w sercach i umysłach młodzieży, skupionej w „Głosie Młodych“, o całkowicie sformułowany, jasny i przejrzysty program społeczno-polityczny, zbudowany na podłożu demokracji: duszą zaś tego programu był żywiołowy pęd do czy-

nu, do skutecznego działania, które rozumiano nietylko już jako całopalną ofiarę na ołtarzu ojczyzny, lecz przede wszystkim jako radosne realizowanie samego siebie.

Okres „Głosu Młodych“ — ostatni przed wojną rok spędzony w Petersburgu — uważał Hołówko zawsze za jedną z najchlubniejszych kart swego życia. W okresie tym, obok Kazimierza Kamińskiego-Lubonia, stał się on duszą organizacyj filareckich w Rosji. Wpływy petersburskiego skupienia młodzieży akademickiej przekraczały zresztą kordony państwa rosyjskiego, stając się czynnikiem ogromnej wagi w ruchu całej irredenty polskiej.

Wojna!

Rozpętała się upragniona burza, a w świetle jej gromów zabłysnął i miecz polski. O świcie dnia 6 sierpnia roku 1914 przekroczył granicę oddział Strzelców i w imieniu Polski ogłosił wojnę Rosji.

Ruszyły się z posad dzieje!... Znów palec Boży ziemi naszej dotykał. Znów ziemia ta dudnić miała miljonem armat i płonąć od pożarów. Znów po niej toczyć się miała lawa ognista, rotę iść miały za rotami, by lepką swą krwią zrumienić rzeki, zrosić pola i lasy.

W cóż zmieniły się solenne przyrzeczenia obozów ugody, że wojna jest tylko majakiem piłsudczyków? Gdzie były założenia Dmowskiego, który w wywiadzie, ogłoszonym przez „Słowo Polskie“ jeszcze na kilka miesięcy przed wojną, gromił ruch strzelecki, ostrzegając, że „wytworzy on uczestników niedoszłego

powstania, którzy całe życie z lekceważeniem będą się odnosili do pracy społecznej“?

Nie skrzętna „praca społeczna“, lecz burza wojny stanęła nad Polską, nad Europą, nad światem!

Tadeusz, na pierwszy odgłos tej burzy, poderwał się jak płomień, szarpnięty wichrem. Nie miał ani chwili wahania. Wiedział, że cała przyszłość Polski mieści się w zbrojnym obozie Piłsudskiego. Że obowiązkiem tych, co głosili ideę niepodległości, jest zmienić pióro na karabin i dążyć tam, gdzie leje się krew o Polskę. Wierny przysiedze, ślubowanej Wodzowi, postanowił natychmiast biec do Krakowa, by oddać się pod jego rozkazy. Nie chciał czasu tracić nawet nato, aby porozumieć się ze swym najserdeczniejszym w „Głosie Młodych“ przyjacielem, Kamińskim. Czyż nie spotkają się ze sobą pod wspólnym ukochanym sztandarem? Czyż drogi ich mogą się rozminąć?

Nie! Nie rozminęły się ich drogi. Na jednym, wspólnym dziejowym szlaku stoją ich mogiły. I jeden i drugi padł śmiercią bohaterską, jak żołnierz na posterunku. Ale gdy Kamiński poległ, ugodzony kulą moskiewską zaraz na początku wojny, w jednej z pierwszych bitew legionowych, jego wierny towarzysz, Hołówko, długą jeszcze podówczas miał przed sobą drogę trudów, walk i poświęceń, zanim śmierć żywot żołnierza uwieńczyła koroną męczennika.

Już w sierpniu r. 1914, szczęśliwie przedarłszy się z kresów przez olbrzymie przestrzenie, objęte mobilizacją rosyjską, Tadeusz staje w Warszawie. Spodziewa się, że przypadek zetknie go z jakimś znajomym towarzyszem organizacji spiskowej i pozwoli

udać się w dalszą drogę, aby przekraść się na front legjonowy. Przypadek istotnie przychodzi mu z pomocą: w przededniu, w chwili, gdy już na własną rękę miał ruszyć do Radomia, by stamtąd szukać drogi do Kielc, gdzie chwilowo obozowała kwatera Legjonów, Tadeusz spotkał się pewnego wieczora, w teatrze, z Adamem Kocem, który z ramienia Józefa Piłsudskiego był wtenczas komendantem organizacji dywersyjnej i wywiadowczej na tyłach armji rosyjskiej. Koca znał on ze swych czasów krakowskich. Z jakąż radością uścisnął teraz jego dłoń, witając w nim widomy znak zasięgu, niemal żywy znak władzy Piłsudskiego w Warszawie! Ale decyzja, którą postąpił od Koca, pokrzyżowała plany Tadeusza i zniweczyła pierwotny jego zamiar natychmiastowego zaciągnięcia się do szeregów strzeleckich. Zgodnie z instrukcjami Komendanta Głównego, Koc rozkazał Tadeuszowi pozostać w Warszawie i stanąć do roboty nad tworzeniem organizacji politycznej i wojskowej na tyłach armji rosyjskiej. Miała to być robota mozolna, przeważnie bezimienna, najeżona ze wszystkich stron niebezpieczeństwami stanu wojennego, osaczona pościgiem „ochrany“ i żandarmerji carskiej.

Nie o takiej marzył robocie Hołówko! Życie spiskowca, zmuszonego działać w ukryciu, mylić obce straże, maskować własną twarz, przeczyło wszystkim żywiołom duszy tego rycerza, który pragnął walki, ale walki otwartej: broń przeciwko broni, pierś przeciwko piersi!

Z ciężkiem sercem poddał się Tadeusz decyzjom swej tajnej komendy.

A przecież wystarczyło mu kilka dni pobytu w Warszawie, aby zrozumieć doniosłość i słuszość tych decyzji. Aby zrozumieć je, wystarczył już sam rozkaz kielecki Piłsudskiego z dnia 22 sierpnia 1914: „Wśród powszechnej bierności naszego społeczeństwa — głosił w swym rozkazie Wódz Pierwszej Brygady — wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez możliwości jednolitego i silnego postępowania. Koniecznem było, aby najśmielsi i najenergiczniejsi wzięli na swe barki odpowiedzialność, inicjatywę rzucenia iskry na proch. Tę iskrę rzuciliście, dając przykład innym, jako przodownicy walki narodu polskiego o niepodległość...”.

Niestety, ogień świętej walki ogarnął tylko niewielu. Postawa społeczeństwa aż nadto potwierdzała jego powszechną bierność.

Gdyby Piłsudskiemu chodziło tylko o demonstrację zbrojną, dążyłby do skupienia na froncie legjonowym wszystkich, gotowych zginąć za Polskę. Ale jemu zależało nie na tem, aby młodzież, która pod jego stanęła znakiem, „wykropiwszy się z Moskalami“, jak w roku 1831, znalazła w wyniku bohater-skich bojów tylko zaszczytny grób albo rozpacz wygnania. Tędy właśnie szedł olbrzymi przedział stulecia między Chłopskim a Piłsudskim. Wódz Pierwszej Brygady nie wołał, jak ongi posępny dyktator listopadowy: „Dokażę cudów, jeno mi rozkażcie!“ On sam wcielonym był rozkazem i wcieloną odpowiedzialnością. Spostrzegłszy szybko, że Królestwo Kongresowe, opętane chochołową muzyką ugody, nie daje idei niepodległościowej natychmiastowego poparcia, na jakie liczył wkraczając do Kielce, zmienił plan pier-

wotny: Legjony, które zrazu uważał za oręż wojny z Rosją, teraz postanowił spożytkować przedewszystkiem jako dźwignię moralną, przeznaczoną do tego, aby z narodu, zamroczonego tresurą niewoli, wywazyć czyn samodzielny, dobyć zeń uszpiętej woli stowienia o sobie. Nie zdążył dokonać mobilizacji ducha polskiego przed wojną. Musi ją tedy przeprowadzać w przyspieszonym tempie wśród ognia wojny, pod niebem skrzącym od pocisków armatnich. Przewidywał, że zawierucha światowa nie ucichnie tak rychło. Że młot wojny, bijąc w pierś polską, samym ogro mem zadawanych cierpień i upokorzeń zrodzi w niej bunt żywiołowy przeciw zaborcom i tęsknotę za władzą ojczystą. Gdy ten bunt zakipi w szerokich masach, gdy ta tęsknota dojrzeje do czynu, wtenczas — nieomylnym odgadywał zmysłem Piłsudski — wybijie prawdziwa godzina Legjonów jako kadrów przyszłej Armji Polskiej, tego żelaznego zrębu niepodległości. Ale bunt i tęsknota, jeśli miały stać się kapitałem, zdolnym do przekucia na oręż wolności, nie mogły wyładowywać się i spalać w ślepych odruchach. Musiały być rozumną kierowane ręką. Drobnie iskry musiały w coraz większe łączyć się ogniska, w coraz głębszy urastać wulkan utajonej potęgi. Dlatego to w militarnych planach Piłsudskiego niemniej ważna od służby żołnierskiej na froncie była służba w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej, rozproszonych po całym obszarze ziemi polskiej, a stanowiących jakgdyby utajoną jej więź niepodległościową ponad okopami wojny i kordonami okupacji.

W szeregach tej organizacji, której skrócona nazwa P. O. W. stać się miała wkrótce postrachem Mo-

skali, a potem postrachem Niemców i Austriaków, stanął teraz Tadeusz Hołówko, aby w rocznikach jej wypisać sobie nieśmiertelne imię bohatera. Sposób, w jaki pojął swą służbę „peowiaka“, był jakby junackim odwetem zato, że nie pozwolono mu udać się na front. Postanowił uczynić frontem walki każde miejsce, na którym los go postawił. Wyzywał niebezpieczeństwo, igrał ze śmiercią, nastawiał pierś na kule żandarmów; mimo drakońskich zakazów stanu wojennego, stale nosił broń ze sobą, wiedząc, że może być aresztowany przez „ochranę“, i postanawiając drogo sprzedać swe życie.

Reduta „Widnokregu“.

Aby zyskać podstawę metodycznego działania, oddał się przede wszystkim pracy nad odbudową organizacji Polskiej Partji Socjalistycznej. Obok tego zajmował się sprawami organizacyj filareckich, działał w kierunku zmobilizowania i ściągnięcia do kraju rozsianych po całej Rosji kolegów. Poświęcał wreszcie wiele trudu ujęciu w ramy organizacyjne niezliczonych jednostek z pośród starszego pokolenia, ożywiających ideą niepodległościową. Widząc, że upragniony moment, w którym będzie mógł chwycić za karabin żołnierza, odwleka się z miesiąca na miesiąc, Hołówko wraca do pióra, i to zrazu nie bez przykrości. Wprędce atoli rzeczywistość warszawska go poucza, że publicystyka bojowa pod znakiem niepodległości wymaga niemałej odwagi i zawiera w sobie pokaźny pierwiastek ryzyka. To ryzyko właśnie godzi Tadeusza z piórem: już w pierwszych tygodniach roku 1915

puszcza on w świat nielegalne wydawnictwo z kuźni P. P. S., a jednocześnie staje do walki legalnej na reducie postępowo-demokratycznej „Prawdy“, która, zerwawszy z tradycją swego założyciela, Aleksandra Świętochowskiego, zwróciła się frontem bojowym przeciw Rosji i „orjentacji rosyjskiej“, mającej wtenczas, obok „posła Prawdy“, swych najgłośniejszych heroldów w Romanie Dmowskim, Szebece, Stanisławie Grabskim, Sewerynie Czetwertyńskim, Z. Wielopolskim, w braciach Lutosławskich, w W. Jarońskim, Adamie Grzymale - Siedleckim, Andrzej Niemojewskim, Bolesławie Koskowskim, Władysławie Rabskim..., poza tem zaś w całej niemal arystokracji i w wyższym klerze katolickim.

Raz po raz z tłumy ludzi, których patryjotyzm polski rozpłynął się w fanfarze początkowych zwycięstw rosyjskich i którzy los Polski przytroczyli do strzemiion Mikołaja Mikołajowicza, padały przeciw „Prawdzie“ jadowite a przejrzyste docinki, usiłujące pisarzy niepodległościowych przedstawić jako szaleńców, „wysługujących się Prusom, kto wie, czy bezinteresownie“.

W takiej to chwili na tej, gradem pocisków zasypanej placówce jednego z dni przedwiosennych roku 1915 zjawił się Tadeusz Hołówko, aby zaofiarować jej swą solidarność i swą współpracę; aby podzielić trud i niebezpieczeństwo jej nierównej, podówczas, walki.

Piszącemu te słowa dane było w owym dniu po raz pierwszy zapoznać się osobiście z „towarzyszem Kirgizem“.

Wysoki, smukły, o ciemnej, bujnej czuprynie mło-

dzieniec, liczący lat dwadzieścia kilka, uderzał i przykuwał rysami twarzy, której niepodobna było w pierwszej minucie nie uznać za egzotyczną i daleką, a w następnej, gdy rozbłysnęła światłem uśmiechu i ciekawością bystrych oczu, — za niesłychanie bliską, rodzimą i braterską.

Gdy przemówił, w głosie jego brzmiała dalekość nieznanych krain wygnania, ale jednocześnie niecierpliwiła się jakaś nerwowa gorączka, jakiś niepomowany rozpęd w docieraniu do serca rzeczy polskich.

Przyniósł rękopis do druku, wspierając go znakiem Filarecji. Artykuł został przyjęty i wydrukowany. Po tym pierwszym debjucie na gruncie warszawskim nastąpił szereg prób dalszych, również uwieczonych powodzeniem. Nie upłynął miesiąc, a młody przybysz ze stolicy carów stał się jednym z najmielszych i stałych gości w redakcji. Nie upłynął kwartał, a był już dźwięnią jej ruchu.

Obok niego i za jego przykładem wtargnęło do redakcji tygodnika grono jego rówieśników, przeważnie kolegów z petersburskiego „Głosu Młodych”: Juljusz Łukasiewicz, Mieczysław Niedziałkowski, Wolski, Drecki i wielu, wielu innych.

Przerzucając dziś, po latach kilkunastu, karty ówczesnej „Prawdy“ i nieco późniejszy rocznik „Widnokregu“, który łamy swe tej młodej falandze otworzył, niepodobna oprzeć się wzruszeniu wobec nieuskromionej pasji, z jaką Hołówko, zrazu jeden z wielu, sięgał po rolę indywidualną, własną, jedyną. Gdy inni już wtenczas klepali pacierz społecznego frazesu, bądź zgrywali się w wytykaniu błędów ówczesnym

komitetom obywatelskim, walcząc o ryż i smalec dla uchodźców, bądź wreszcie wykwintnie dyplomatyzo-
wali na tematy ideologii niepodległościowej wśród
młodzieży akademickiej, Hołówko bił stale w naczelne
zagadnienie doby. Biegł tam, gdzie najważniejszy
toczył się bój.

Obcy, ale jednocześnie ogromnie i do głębi swój:
oto wrażenie, którego pozbyć się nie mogę, gdy
wskrzeszam w pamięci te pierwsze lata swej współ-
pracy z Hołówką.

Urodzony na wygnaniu, wychowany w szkole ro-
syjskiej, kształcący się na uniwersytecie petersbur-
skim, ten młody „filareta“, jak niegdyś młody autor
„Farysa“, całą niemal treść intelektualną swej pol-
skości zdobywać musiał — jeśli osobno zapiszemy
roczny jego pobyt w Krakowie — poza Polską etno-
graficzną. Być może, dlatego właśnie w stosunku do
Polski miał w sobie nostalgię i żarliwość powracają-
cego emigranta. Patrzył na kraj swój nie jako na
dar gotowego dziedzictwa, ale jak na dzieło wysiłku
i zmagania się ze sobą.

Było w tym młodym junaku coś z owych bohate-
rów Żeromskiego, którzy nigdy nie bywają dość
pewni, że zdarli z siebie powłokę kompromisu, nałogu,
wygodnictwa, egoizmu. Zdzierał ją tedy niemiłosier-
nie aż do krwi, aż do bólu ran — i męką swych ran
otwartych i nigdy nie ukojonych kochał to wszystko,
o co walczył. Ponad zadania spełnione stawiał sobie
ciągle zadania coraz nowe i wyższe: żołnierz w służbie
polityka, polityk zapatrzony w gwiazdę pioniera
i pielgrzyma.

Co jednak najbardziej uderzało w umysłowości

tęgo przybysza z dalekich, obcych stron, to niezwykle dar orientacji, jaką wnosił w ulice i zaułki Warszawy. Ten oryginalny „petersburżanin“ — towarzysz „Kirgiz“ — o śpiewnym, spieszczającym tonie mowy, odetchnąwszy powietrzem Warszawy, odrazu stąpać zaczął po jej bruku z taką pewnością siebie... jakby się w niej urodził?... nie! jakby w niej mieszkał od stulecia.

Żył w nim, istotnie, całe ostatnie sto lat dziejów naszych tak mocno, jakby się zamykało w dniu wczorajszym lub przedwczorajszym.

Znać było, że, mieszkając w obcej stolicy, pilnie śledził zdarzenia w kraju aż do najdrobniejszych epizodów i konfiguracyj towarzyskich. Znał najuroczystsze, popularne nazwiska Warszawy i wiedział, ile pleśni, ile zbutwiałych trocin bezmyślności mieści się pod omszałą patyną ich autorytetów, oddawna z żadną nie konfrontowanych rzeczywistością. Nie zatrzymując się na „odgórnej“, zwierzchniej powłoce „Warszawki“, wnikał on w rzeczywistość, głęboką niedolę kraju, myślał obcował z myślami ludu, odgadywał jego bunt, szarpał jego obrożę.

Mapę Warszawy znał nie z rozkładu tramwajów, ale z topografii powstań polskich i bojów z Moskalami, z pamiątek po Kilińskim, po Mochnackim i Lewelu.

Ileć, opuściwszy redakcję, szliśmy ulicami miasta, pełnemi wtenczas, w pierwszym roku wojny, zgiełku wojsk rosyjskich, zawsze, mimowoli, docieraliśmy do jakiejś wielkiej daty w łańcuchu polskich insurekcji. Ponad wszystkimi urokami Warszawy przykuwał go i urzekał czar Nocy Listopadowej: nie-

śmiertelny urok czynu Podchorążych, ostatni wybuch potęgi starodawnej Polski, natchnienie dumy i poezji Polski nowej, zapatrzonej w świt odrodzenia.

„Żle podpalili Podchorążowie browar na Solcu — mówił kiedyś Hołowko, rzekłbyś: ostatni z Belwederczyków, zasłuchany w szum drzew łazienkowskich — ale czy wiedzieli, że dokonali w owej chwili innego dzieła: zapalili pożar w duszy narodu! Pożar, który już nigdy stłumić się nie da! Czem byłaby dzisiejsza dusza polska bez pożaru na Solcu? Czem byłaby dusza narodu bez upajającego czaru nocy listopadowej 1830 roku?”

Od pożaru zaś nocy belwederskiej, od zgłiszcz i pobojoisk powstańczych, krok tylko jeden w duszy Hołowki dzielił drogę, po której wiódł na pobój Polski swą młodą drużynę orężną Komendant Piłsudski. Historia miała dla Tadeusza treść i wymowę o tyle, o ile była arsenałem broni do walki o nowe ideały życia. Krew zaś, przelana na pobojo-wiskach, miała dlań wartość wtenczas, gdy stawała się posiewem pod rozkwit i urodzaj ducha, stwarzającego nowe, wyższe formy współżycia.

Dlatego to pożarna łuna insurekcji listopadowej w oczach jego stapiała się ze słonecznym wybuchem tej wielkiej twórczości ducha polskiego, jaka na szlakach emigracji popowstaniowej wyrosła i rozwinęła się w dziełach Mickiewicza, Słowackiego, Mochnackiego, Chopina.

— Czem byłyby dzieje naszego ubiegłego stulecia — pytał Hołowko — bez tej wielkiej karty, jaką wypisała w ich księdze Wielka Emigracja? Nie byłoby wtenczas krwi i słowa naszej poezji romantycz-

nej. Nie powstałby ów genialny pomnik, jaki wystawił narodowi w swem „Powstaniu“ Mochnacki. Polska i ludzkość cała byłaby uboższa o genjusz Chopina.

I to, że ten „Kirgiz“, którego Piłsudski przeczarował w rycerza i fanatyka polskości, siew krwi żołnierskiej wyczuwał i wielbił właśnie w najstrzelistszych wzlotach natchnienia, w najbardziej rewolucyjnych manifestach demokracji, jest — samo przez się — jednym z najpiękniejszych dokumentów kultury polskiej.

Ten żołnierz Piłsudskiego, który przez życie — aż do końca — szedł, ustawicznie wystawiając pierś swą na ciosy wrogów i przeciwników, ten niestrudzony działacz, gardzący słowem, jeśli nie obowiązywało do czynu, niósł w sobie nieugaszoną tęsknotę do pełni ducha, zdobywanej w pełni człowieczeństwa.

Cóż dziwnego, że on to właśnie, sięgając ponad głowy przysięgłych kustoszów polskiego skarbcu literatury, dokonał tego, czego nie potrafili uczynić ani Tretiak, ani Kallenbach, ani Chrzanowski: w kilku prostych, kapitalnych zdaniach ujął i wyjawiał najgłębszy węzeł bólu w tragedji naszych purpuratów słowa.

„Mickiewicz — rzekł razu pewnego Hołowko podczas rozmowy, w której oświeclano swoiste strony polskiego romantyzmu — Mickiewicz, tytan miliony serc ujarzmiający potęgą swej pieśni, bogacz, mogący rzesze karmić chlebem swego ducha, ten genjuscudotwórca czuł się maluczki i ubogi przez swą nieobecność w powstaniu. Czuł się ubogi i zawiedziony, ponieważ w najważniejszej godzinie swego życia,

w przełomowej godzinie Polski, rozminął się z duszą narodu, nie usłyszał, nie rozpoznał śmiertelnego wołania jej głosu!... To rozminięcie się z narodem w godzinie jego próby dziejowej uzna Mickiewicz za swój błąd i winę, które, aby odkupić, nie waha się reszty życia rzucić na stos ofiarny... nie przestanie śnić o tem, by kij pielgrzyma zmienić na karabin żołnierski, dopóki los-szyderca nie pozwoli mu, tuż u dawnych granic Rzeczypospolitej, paść na posterunku z mi-
 rażem nowej insurekcji w oczach... A przecież, mimo nadludzkich wysiłków, czyto rozwijając sztandar Legjonu we Włoszech, czy gromiąc papieża Piusa IX za kompromisy polityczne, czy nawet Boga wyzywając na walkę, czy wreszcie dążąc po śmierć w płomieniach wojny wschodniej, Mickiewicz nie zasklepił swej rany, nie otamował krwi, która z otwartego uchodziła serca. Przy całej potędze i przy całym czarodziejstwie ducha, który czynił go władcą nieprzebranych skarbów wyobraźni, Mickiewicz do końca życia jakże musiał zazdrościć najskromniejszemu z Podchorążych! Jakże łamał się w sobie, dźwigając nieukojoną a przeogromną w swych piersiach rozpacz niespełnionej tęsknoty! A Krasiński, a Słowacki, a Chopin coś innego w swych rozdzierających pieśniach wyrażali, jeśli nie ból, nie smutek, nie żal, że rozkosz czynu nie była ich udziałem?...“

Nigdy chyba stosunek myśli do działania, wzajemny stosunek marzenia i czynu, idei i rzeczywistości, pieśni i życia, nie był w naszym pokoleniu stawiany tak jasno, tak szczerze, tak rzetelnie, w szrankach nieubłaganej tragedji.

Hołówko, uosobiona radość życia i wcielony nie-

pokój czynu, okazał się tym, który trafniej i bystrzej od innych wejrzął w ekstazę i mękę twórców myśli, w ekstazę i męczeństwo pieśni...



Stając między łuną dawnych insurekcji a zorzą nowych Legjonów, Hołówko całość polskiej sytuacji politycznej oceniał ze stanowiska interesów i wido-ków oręża, podjętego w imię niepodległości przez Piłsudskiego i garść skupionej przy nim młodzieży Galicji i Królestwa. Cała przyszłość narodu od samego początku wojny światowej tała się dla Ho-łówki w Legjonach Piłsudskiego.

Legjony, krwawiące się podówczas w ciężkich z Moskalami bojach i w jeszcze cięższych zapasach z Austrią i Niemcami, Legjony, wtenczas, wiosną roku 1915, wyklinane klątwami całej niemal prasy warszawskiej — to, w duszy Hołówki, był nietylko najrealniejszy program odbudowy państwa i narodu polskiego, ale także najwspanialsza pieśń czynu, za-kuta w oręż mickiewiczowska „Oda do młodości“.

Legjony.

Kto pamięta ówczesną konjunkturę polityczną Warszawy i nastrój moralny, który ją nasyczał, ten wie, że sądów i przeświadczeń podobnych Hołówko nie mógł wysnuć ani z komunikatów stron wojen-nych, ani z deklaracyj, składanych przez polskie stronnictwa. Mógł dobyć je tylko z waru swej krwi, z wnętrza duszy, z własnej rycerskiej tęsknoty.

Nie znajdując nic, poza gronem współideowych przyjaciół, na co mógłby się powołać w ówczesnej Warszawie, zahipnotyzowanej odezwą Mikołaja Mikołajowicza, dla uzasadnienia swej wiary w Legjony cofał się w przeszłość i szukał oparcia w Mochackim.

— Są czyny mędrsze od najmędrszych rozumowań — przypominał i podkreślał z naciskiem tezę trybuna listopadowego.

I pytał: czy wobec historii nie okaże się stokroć mędrszy kucharz przy kuchni legjonowej od najwytrawniejszych polityków warszawskich, składających obcym wodzom wiernopoddane pokłony?

Ale ten „kucharz polowy“, rzucony tak śmiałą ręką w twarz „najwytrawniejszych“ polityków warszawskich, stał się dla nich zniewagą zbyt dotkliwą, by ją połknąć mieli w milczeniu.

Już przedtem, w marcu 1915, t. zw. „Zjednoczenie Postępowe“ — rzekłbyś: polityczny zbiorowy szlafrok Świętochowskiego — przybrawszy ducha z wiosennej ofensywy rosyjskiej, przypomniało sobie o swych hipotecznych tytułach własności do redakcji „Prawdy“ i ze swej strony wystąpiło z ofensywą, aby tygodnik ten uwolnić od „inwazji“ młodzieży niepodległościowej. Ofensywa powiodła się o tyle, że placówkę, istotnie, wydarto z rąk dotychczasowego kierownictwa i oddano do dyspozycji jakiemuś ciemnemu osobnikowi, który zdemaskowany został niebawem jako agent, nasłany przez „ochranę“. Tym aktem końcowym wyznawcy „świętochowszczyzny“ mimowoli wyrównali różnice wieloletniego sporu, dzielącego ich obóz od Romana Dmowskiego; złotym

mostem pojednania stał się dla nich patronat obcej agentury, ścigającej sztandar niepodległości.

Lecz młodzież sztandaru swego nie wypuściła z rąk: zmuszona porzucić „Prawdę“, skupiła się w „Widnokręgu“, gdzie zespół jej wsparł i zasilił cały szereg wybitnych pisarzy, publicystów i artystów rówieśnego lub starszego pokolenia: Artur Śliwiński, Ludwik Abramowicz, Juljusz Kaden, Edward Lipiński, Gustaw Daniłowski, Wojciech Jastrzębowski, Jadwiga Marcinowska, Marja Dąbrowska, Józef Wasowski, Piotr Zubowicz, Wacław Makowski, Jan Lemański, Michał Römer, Tadeusz Grużewski, Stanisław Thugutt, Moczulski, Wegnerowicz, Edward Słoński, Tadeusz Szpotański, Bruno Winawer.

Ten to fakt wzrastającego rozmachu i napięcia pracy na łamach „Widnokręgu“ w tym samym czasie, gdy wojska rosyjskie, po zdobyciu Przemysła, stały u zenitu powodzeń i zdawały się iść na Kraków, aby godła carskie zawiesić na basztach Wawelu, ta samotna lecz zuchwała kuźnia niepodległości wydawała się „Warszawce“ i jej bożkom zjawiskiem wręcz wyzywającym. Gdy zaś, nadomiar, z pod zadzierzystego pióra Hołówki padł argument, wynoszący ponad głowy bożków warszawskich mądrość „kuchcików legionowych“, od góry do dołu zatrzęsł się oburzony i zgorszony Olimp ówczesnej opinii. Z jego zaś wierzchołka zagrzmiał ten, który był bożków owych Jowiszem-gromowładcą: Aleksander Świętochowski, osiwiwały wódz „postępu“, cenzurowanego przez gubernatorów rosyjskich.

Żyjąc i snując myśli swe od lat kilkudziesięciu pod kneblem carowładztwa, odcięty od źródeł ducho-

wych narastającego pokolenia młodzieży, Świętochowski, z poza obsłon i ozdób abstrakcyjnego humanizmu, nie dostrzegał potrzeb i zadań żywego w Polsce człowieka. Nie rozumiał, że pierwszym nakazem humanizmu była i mogła być podówczas tylko walka o skruszenie jarzma, gniotącego naród. Odgradzony murem niechęci i uprzedzenia od Galicji, z której bił od lat kilku prąd irredentyzmu, ten „arystokrata ducha“ dał się uwieść barbarzyńskiemu hasłu orjentalnego kusicielstwa, które, jakby ku obarczeniu własnej pamięci, zamknął w pamiętnym, ciężkim jak kamień grobowy, aforyzmie: „Pod knutem — dobrze, byle razem“!

Jakgdyby rozwijając to hasło rezygnacji, podniecony wyzwaniem Hołówki, Świętochowski w jednym z zeszytów wydawanego przez się „Humanisty Polskiego“ wystąpił z artykułem p. n. „Zatrute źródła“, w którym młodzież legjonową i jej przyjaciół oskarżył najstraszniejszym oskarżeniem, jakie wtenczas paść mogło z ust polskich przeciw Polakowi.

Wtenczas po raz pierwszy w duszy Hołówki sprężył się ów płomień dumy, godności, ale i gniewu, jakim — w tragicznych okolicznościach — dobywa się krzyk narodu z rozdartej piersi pokolenia.

Gniew, kipiący w liście otwartym, jaki młody publicysta „Widnokregu“ skierował do Świętochowskiego, wybuchnął tem silniej, że zrodził się z bólu i żalu, wołał goryczą, wstrząsał skargą, przerażał niemal grozą w obliczu śmiertelnego próchna, ujawnionego w duszy tych, którzy podawali się za drogowskazy narodu.

„My młodzi — wołał Hołówko — patrzymy struchlałem okiem, jak Polska z wysokości narodu spadła

na poziom wzajemnie niszczących się plemion: Królewaków, Galicjan, Poznańczyków. Widok ów, tak straszny, jest dla nas tem straszniejszy, że my Polskę w sercu nosiliśmy i kochali zawsze wolną i całą, i taką jedynie widzieliśmy ją oczyma duszy już wtenczas, gdy ty, panie Świętochowski, jak sam wyznałeś, „nie marzyłeś o tem“. To też świętokradztwem dla nas stały się twe słowa, zapowiadające, że „polskie knechty pod osłoną Niemców mogą wejść bezkarnie w podziemia Wawelu i obrzucić błotem trumnę najukochańszego naszego bohatera“. Obca ci była, widocznie, ta atmosfera, którą oddychał Kraków ostatnimi czasy, lecz znają ją ci, którzy zlatywali się ku niej z najgłuchszych krańców i gniazd polskich, by wśród ciszy wieczornej, wśród murów wawelskich chłonać z widomej głębi dziejowej płynącą moc i wiarę“...

Już temi kilku zdaniami Hołówko ugodził w najłabsze miejsce warszawskiej świętochowszczyzny, która była czystym, rzec można, wytworem zaboru rosyjskiego, pozbawionym dopływu niepodległościowych prądów insurekcyjnych z poza kordonu. Będąc w Krakowie, słyszeć musiał Hołówko wielokrotne skargi na sposób, w jaki przedstawiano sprawy galicyjskie w tygodniku Świętochowskiego. „Gdyby rząd rosyjski — mówiono — wydawał w Warszawie specjalne pismo dla wpajania w umysły zasady, że wszelkie koncesje narodowe, czynione Polakom, wychodzą im na szkodę, nie mógłby innym pisać językiem, niż główny organ pozytywizmu“.

Świętochowski stale szukał oparcia w Rosji postępowej i w upodobnieniu się do niej. W latach po-

powstaniowych, gdy rozwiały się dymy ostatniego pożaru nad polem ostatniej klęski, nie poszedł on ku mogiłom pytać, co w nich przetrwało żywe i, być może, nieśmiertelne, nie bawił się szukaniem iskier pod popiołami; udał się on do urzędów rosyjskiego za-
boru i poprostu spytał, co jest w kraju dozwolone? Jego „Wskazania polityczne“ powstały nie na gruncie aspiracyj narodowych, ale na marginesie ustaw i przepisów rosyjskich, obejmując w posiadanie tę resztę życia narodowego, jaka mieściła się między policją a kościołem. Kłócąc się głośno z obozem Romana Dmowskiego, różnił się odeń w istocie tem tylko, że, gdy Dmowski pukał do rosyjskiej klamki rządowej, on adresował swe westchnienia do opozycji rosyjskiej.

Skoro jednak okazało się niebawem, że postęp rosyjski przeżył Rosję carską zaledwie o kilka miesięcy i runął pod obuchem bolszewizmu, znikła ostatnia przegroda, dzieląca poważnionych wielbicieli Rosji. Wódz „postępu“ z całem samozaparciem odtąd złożył siwą głowę pod proporcem Dmowskiego.

Na nieprzytomny zarzut, jakoby młodzież legjonowa, podjąwszy oręż przeciw Rosji, tem samem zaprzedała się Niemcom i Prusom, Hołówko odpowiada argumentem, który te kainowe słowa wtłacza zpowrotem zinnemu oszczercy do gardła:

„Wierz mi, Panie, że młodzież polska stokroć bardziej nienawidzi Prus, aniżeli Ty, i stokroć groźniejszą dla nich nienawiścią, niż twoja. Twoja bowiem nienawiść płynie ze strachu przed nimi, z niewiary we własne siły narodu, wszystkie bowiem nadzieje pokładasz w obietnicach rosyjskiego arcyksięcia. Na-

sza zaś nienawiść do Prus — to poczucie własnej wewnętrznej prężności, pragnienie pełni życia, żądza nieprzeparta, aby niczyja stopa wraza nie deptała naszej ziemi. Bezwątpienia, i Prusy również stokroć bardziej nienawidzą i lękają się tych, których ty zniesławiasz, aniżeli ciebie i twych piorunów, wysiedzianych w zacisznym gabinecie... Więcej nienawiści i lęku czują przed nimi, niż przed całym taborem wtórujących tobie redaktorów i publicystów, którzy w chwili krytycznej, miast chwycić za oręż, pierwsi uciekną z Warszawy, siejąc popłoch i zamęt wśród obywateli“...

Pisząc te słowa, Hołówko ani przeczuwał, jak wiele mieści się w nich gorzkiej prawdy proroczej.

Gdzie jest Polska?

Stronnicy Mikołaja Mikołajowicza, oczekujący na autonomję z rąk rządu carskiego, dopóki stali za plecami armji rosyjskiej, nie znali granic dla wybuchów swego wojennego animuszu przeciw „Hunnom Zachodu“, jak groźnie nazywano armję Hindenburga w prasie Dmowskiego i Świętochowskiego.

Ale animusz ten miał zgasnąć jak zdmuchnięta świeca z chwilą, gdy zachwiał się front rosyjski. Ci, którzy najgłośniej „nienawidzili“ Niemców, pierwsi, jak przepowiadał Hołówko, umknęli z pola, aby nie stanąć, broń Boże, oko w oko z wrogiem. Ci zaś z pośród nich, którzy zostali na miejscu — jak Świętochowski — zaszyli się w wygodną ciszę i, zwinąwszy odwagę swą, niby chorągiewkę z bibułki, jeżeli oczekiwać na powrót Moskali, starając się tymczasem jak

najgorliwiej spełniać wszelkie zarządzenia i nawet życzenia nowych okupantów.

„Warszawa wolna jest od najazdu rosyjskiego — pisał Hołówko w „Widnokregu“ w kilka dni po ustąpieniu Moskali; — blisko 85 lat mija od chwili, gdy wolna była po raz ostatni. Jaka jednak olbrzymia różnica zachodzi między tamtą chwilą a obecną. Wówczas Warszawa, porwana płomiennym entuzjazmem Podchorążych, mocarnym wysiłkiem sama zrzuciła z siebie upokarzające jarzmo i blisko rok cały broniła odzyskanej wolności. Dziś jarzmo zostało zdjęte z niej nie przez nią samą, nietylko bez jej współudziału, lecz niemal do ostatnich czasów wbrew jej woli. Lecz w tem jednym słowie „niemal“ mieści się cały ogrom przeżyć ostatnich tygodni, przeżyć, które psychikę Warszawy przeorały do gruntu, budząc w jej duszy uśpione tęsknoty. Mocno wszakże zawiódłby się ten, ktoby odbicia tych przemian szukał w zwierciadle większości czasopism warszawskich. Pozostały one wierne sobie — i być inaczej nie mogło: dla starych, usychających gałęzi nie masz wiosny, świeżą zielenią strojącej tysiącletnie dęby. Prasę warszawską w tych chwilach historycznych ogarnął przedewszystkiem paniczny lęk o siebie samą; zajęła się więc gorączkowo przemalowywaniem swych szyldów na nowe, a potem znów na stare. Stała w obliczu nowego, przerażającego ją faktu — wolności druku. Zamiast uchwycić się tej zdobyczy i wypełnić ją treścią tętniącego ruchu, prasa warszawska skomli o przywdzianie zdjętej obroży... Całe szczęście, że Polska a kurjerki warszawskie, zwłaszcza w ostatnich czasach, to — dwa przeciwne bieguny. Są one

jak gramofon, który czeka na płytę „uroczystych gwarancyj“; wszystko im jedno, skąd tę płytę przywiozą: z Petersburga, Berlina, czy Wiednia“...

Miał słuszość Hołowko, gdy bezmyślnym a wdronym do obroży bożkom opinji warszawskiej przeciwstawiał rewolucyjne zmiany, jakim w głębszych pokładach społecznych ulegać zaczęła świadomość narodowa Polski i jej stolicy. Ostatni rok panowania Rosji na ziemiach polskich był jakby streszczeniem całych stu lat jej zaboru. Zaczął się on pod znakiem obietnicy, która była dla nas zniewagą, skończył się pod znakiem opieki, która była pędzeniem ludu na wygnanie.

„W bezsilnym gniewie na swą niemoc — pisał Hołowko — odchodząca Rosja obracała w ruinę bezbronne miasta i wsie polskie, paliła i deptała zagony polskie. Lecz powstaną z ruin miasta, wsie odbudują się na nowo, zazielenią łąny polskie, jedno tylko, co nigdy nie odrodzi się w Polsce — to moskalofilstwo: umarło ono w Polsce na wieki, żadna siła go już nie wskrzesi. Armja rosyjska wywiozła nietylko resztę drogich nam pamiątek narodowych, nietylko najlepsze dzieci Warszawy — więźniów politycznych i skautów małoletnich, ale także i dobrowolną emigrację polityczną, której towarzyszyły na drogę nie słowa żalu, rozpaczy czy tęsknoty, lecz gorące westchnienia ulgi i pogardy. Wyjechali z Moskalami ci, którzy tyle lat szerzyli bandytyzm polityczny, terroryzowali opinję, znieprawiali ogół. I ogół ten dziś dopiero zaczyna rozumieć moralną nicość swoich wczorajszych bożyszcz. Teraz dopiero odgaduje, ku jakiej przepaści pchali oni naród... Z uchodzącymi

wraz z wojskiem rosyjskiem wyszło z Warszawy Upodlenie i Nędza duchowa Polski“.

Tak! Pęknać musiał żelazny kordon rosyjski; musiały z hukiem wylecieć w powietrze mosty na Wiśle, aby Warszawa wyrwana ze snu, którym opętał ją czad niewoli, stanęła wobec pytania, które, jak ostry ból, przeszło serce jej niepokojem i twogą, ale także tęsknotą i nadzieją.

— Gdzie jest Polska?

To pewna, że nie było jej w obozie rosyjskim. Autonomja polska pod berłem carów skończyła wprzód, nim jej apostołowie i zagorzalcy opuścili Warszawę. Nie zabiły jej zwycięstwa niemieckie. Pogrzebały ją podboje rosyjskie. Skończyła ona już w okresie najświetniejszych powodzeń oręża rosyjskiego. Znalazła pogrzeb swój tam, gdzie ją miał czekać chrzest: na ziemiach podbitej Galicji, w murach Lwowa, wydanego na łup galopującej rusyfikacji, na obszarach nowopowstającej „gubernji“ przemyskiej, w obliczu obiecaniej „gubernji“ krakowskiej. Być może stronnicy Polski, zjednoczonej pod berłem carów, przetrzymaliby próbę własnej klęski; nie mogli przetrzymać próby powodzenia. Dusza Warszawy wzdrygnęła się na widok tej autonomji, która szlakiem hordy moskiewskiej ciągnęła na Halicz, Rzeszów, Przemyśl i Tarnów. Od tłumionego łkania zatrzęsała się na wieść, że z upadkiem twierdzy przemyskiej otworem stanęła dla Rosjan droga na Kraków. Przestał być w owej chwili Rosjanin dla niej bratem-oswobodzicielem; stał się barbarzyńcą, którego ostrogi, zwycięsko dzwoniące na Wawelu, byłyby świętokradztwem!

Lecz jeśli nie było Polski w obozie rosyjskim, to surowa oczywistość wskazywała, że nie było jej także w obozie niemiecko-austriackim. Znaleźć się po drugiej stronie kordonu, nie znaczyło to jeszcze znaleźć się w wolnej Polsce. O tej surowej prawdzie świadczył już — rozlepiony na murach Warszawy — tekst pierwszych obwieszczeń niemieckich, które los miasta zamykały w terminach policyjnego rozkazu. Świadczyła o niej jeszcze silniej linja demarkacyjna, która przerznięta Królestwo Polskie na dwie odrębne okupacje. Świadczył o niej wreszcie cały układ władzy nowych okupantów, podporządkowany wymaganiom techniki żdzierstwa i grabieży. Jak w dziedzinie przemysłu Niemcy nie wahali się demontować całej fabryki dla zdobycia kilku kilogramów miedzi, tak w dziedzinie życia publicznego dławili całe obszary organizacji polskiej, aby zajęte przez się obszary uczynić jedynie podstawą operacyjną dla dalszych kroków wojennych, lub zastawem wymiennym dla dyplomatycznej rozgrywki.

P. O. W.

Gdzież więc była Polska?

Hołówko nie miał pod tym względem żadnej wątpliwości. Widział on ją teraz, jak i przedtem, w wysiłku Piłsudskiego, w Legjonach, będących zawiązkiem samodzielnej armji polskiej, gotowym oddać się pod rozkazy polskiego rządu narodowego, któryby wszystkie ówczesne wysiłki niepodległościowe skupił i wspólną związał budową. Przez Legjony ku wojsku;

poprzez rząd narodowy ku Państwu Polskiemu: oto jedyna droga czynu, którą widział przed narodem.

Wszelako Legjony, walczące pod wodzą Piłsudskiego, aczkolwiek sławą już okryte wielu bitew zwycięskich, były raczej zasiewem polskiego czynu wojakowego, niż czynem dojrzałym. Ani liczbą, ani stanowiskiem, jakie wobec armji austro-niemieckiej zajęły, nie odpowiadały wielkości narodu, wielkości dzieła, które spełnić miały.

Legjony — rozumował Tadeusz — to wezwanie ku nam i ostroga! To głos, na który powinno powstać wszystko, co nie wygorzało w pożarach ostatniego roku; wszystko, co nie zetlało w niewoli ostatniego stulecia.

Ale, rozumując w ten sposób, mimowoli zwracał się frontem bojowym przeciw nowemu okupantowi, który Legjonom zamknął drogę do Stolicy i całym szeregiem aktów dawał niedwuznacznie do poznania, że samodzielny rozwój oręża polskiego nie leży w orbicie jego planów politycznych. Państwa środkowe, stojąc przed niewiadomym końcem wojny, nie chciały brać jakiegokolwiek zobowiązań w sprawie polskiej. I chociaż kraj, podchwytyjąc ideologję Piłsudskiego, coraz wyraźniej żądał przywrócenia Polsce bytu niepodległego, rządy Berlina i Wiednia milczały, nie ujawniając w niczem swego stanowiska.

Zwycięski korpus niemiecki wkroczył do Warszawy, jak do pierwszego lepszego zdobytego miasta rosyjskiego, z odezwą „do mieszkańców“, z pogroźką kontrybucji i z panem Cleinowem na tylnym furgonie jako cenzorem, który, nakładając prasie polskiej

nowe wędzidła, zapewniał ją z serdeczną obłudą, że o niepodległości Polski pomówi jak najchętniej niebawem — jak tylko to się okaże możliwe — za lat kilkadziesiąt...

Wtenczas to — w sierpniu 1915 — Józef Piłsudski zdobywa się na jedno z tych mocnych swoich postanowień, które wytykały nowy kierunek dziejom polskim. Przekazawszy dowództwo Pierwszej Brygady Kazimierzowi Sosnkowskiemu, przybywa na dni kilka do Warszawy, okupowanej przez Niemców, jedynym rzutem oka ogarnia ślepą butę okupantów i bezradność społeczeństwa. W nagłym rozbłyску intuicji, w której rozum polityczny kojarzył się z instynktem narodowym i talentem wodza, uświadamia sobie zblazowaną prawdę, że Legjony, ta bohaterska broń w wojnie z Rosją, nie wystarcza jako oręż i tarcza przeciw Niemcom. I w poczuciu tej prawdy wydaje zlecenie, aby werbunek do Legjonów wstrzymać!

— Ani jednego żołnierza więcej do Legjonów! Wszyscy — do Polskiej Organizacji Wojskowej!

Wszyscy — to znaczy naprzód oficerowie i szeregowcy, odkomenderowani z Pierwszej Brygady do P. O. W., która ocalała z pierwszego, tak krwawego, okresu rządów rosyjskich; następnie zaś — wszystkie żywe siły młodzieży, gotowej z bronią w rękę walczyć o wolność.

To antywerbunkowe hasło Piłsudskiego było krokiem tak niespodziewanym, że zrazu wywołało konsternację nawet w kołach niewątpliwych szermierzy niepodległości. Jak dalece zaś wybiegało w przyszłość i uprzedzało wypadki, świadczy najlepiej fakt, że je-

szcze w pięć lat później Michał Bobrzyński — a więc niebyle głowa! — nestor historyków polskich — nie może tego zbawczego kroku zrozumieć.

— Niełatwo odgadnąć — dziwi się nieporadnie w swym pierwszym tomie „Wskrzeszenia Państwa Polskiego“ sędziwy profesor — co Piłsudski przez takie postawienie sprawy zamierzał osiągnąć. Nie mógł przecież liczyć na to, że okupanci wstrzymaniem werbunku i zanikiem Legjonów się przerazą, bo na Legjonach im nie zależało do tego stopnia, aby sobie pozwolili dyktować daleko idące warunki. Nie oni utworzyli Legjony, ale Legjony były im narzucone przez Polaków, aby sprawę polską wśród wojny światowej na widowni utrzymać. Cofnięcie werbunku rozumiano też w Polsce jako pretekst Piłsudskiego i jego stronników do wycofania się z przedsięwzięcia, za którym ogół nie poszedł i które nie dało mu władzy nad społeczeństwem, jakiej, rzucając hasło walki z Rosją, oczekiwał.

O! biedna, ślepa głowo uczona! To, czego nie mógł zgłębić sędziwy profesor, to w lot podchwycił Ta-deusz Hołówko. Zrozumiał on tragedję swego Komentanta, który całą duszę swą włożywszy w Legjony, nie mógł jednakże nawoływać do ich liczebnego wzmocnienia. Cały rok walki przeciw Moskwie współ z Austrią i Węgry przekonał go aż nadto niezbi-cie, że w obozie mocarstw środkowych niema żadnych widoków na stworzenie wojska polskiego. Dalszy przyrost Legjonów byłby tylko pomnażaniem siły Austro-Węgier. Żołnierz legjonowy świeżą obmył krwią stary laur polskiego oręża; udowodnił wobec

świata, że gotów jest umierać za Polskę, ale siłą motorową w budowie jej niepodległości być przestał. „Prawne stanowisko Legjonów — stwierdza Janusz Jędrzejewicz w swej ciekawej rozprawie o Józefie Piłsudskim — nie dawało im charakteru kadry, a zależność od władz austriackich ciążyła w sposób fatalny na całej akcji. Ugodowe żywioły galicyjskie, opanowawszy Naczelny Komitet Narodowy (N. K. N.), nie odważyły się prowadzić polityki wyraźnie polskiej. Związawszy sprawę polską ze sprawą austriacką, szły powolnie za inspiracjami, płynąciami z Wiednia, co się zaś tyczy Legjonów, nie umiały, ani nie chciały wywalczyć dla nich charakteru wojska polskiego. I w tem to podówczas tkwił głęboki tragizm Legjonów, jak i wszystkich żołnierzy Piłsudskiego, dążących do usamodzielnienia się wojskowego i politycznego od Austrii“. Walka między Piłsudskim a N. K. N., między zdrową myślą narodową a ugodowymi koncepcjami austro-polskimi wstępowała, po zajęciu Warszawy przez Niemców, w nową fazę i nowego domagała się rozstrzygnięcia. Gdy Austrija, przy boku Niemiec, stawiała się wasalką Berlina, jakież los czekać mógł Legjony, wiernie walczące nadal przy boku Austrii? Los wasala wasalów?

Taki los mógł wystarczać tym, którzy powtarzali: „Przy tobie, najjaśniejszy panie, stoimy i stać będziemy“, ale nie wystarczał Piłsudskiemu i jego żołnierzom.

Żołnierz legjonowy, aby odzyskać swą siłą motorową w rozwoju sprawy polskiej, musiał skruszyć zależność, jaka przykuwała go do komendy austriackiej. Musiał wrócić w szeregi społeczeństwa, stanąć

na reducie wewnętrznej walki z okupantami, stać się duszą i ogniem tej walki.

Czy jednak wolno było już wtenczas ustępować z pola wojny z Rosją?

Carat, mimo doznanego pogromu, nie wyrzekł się dotychczas żadnej ze swych pretensyj zaborczych. Nie wyrzeknie się ich zasadniczo aż do dnia swego ostatecznego upadku. Piłsudski, wdając się w walkę z Niemcami i Austrią, nie mógł jeszcze zawieszać boju z Rosją. Dlatego to, tworząc P. O. W., zachował Legjony; zachowa je aż do wybuchu rewolucji rosyjskiej, która, obalając carat, przekreśli jego zapędy i uroszczenia.

Zesumujmy teraz wszystkie wyżej wymienione zadania i warunki, kontrasty i przewidywania, w jedną tezę: czy teza ta, z matematyczną niemal dokładnością, nie wyrazi się w hasło antywerbunkowem?

Hasło to, istotnie, powstrzymując werbunek do Legionów i kierując napływ nowego ochotnika do szeregów P. O. W., stanowiło najdoskonalszy wyraz tego zwrotu, jaki w polityce obozu niepodległościowego zajść był powinien po zajęciu Warszawy przez Niemców. Mieścił się w hasle tem i protest przeciw nowym okupantom, i chęć walki nieustępliwej z Rosją, i wyraźny cios w komendę austrjacką, i nowy, olbrzymi krok idei niepodległościowej w głąb własnego społeczeństwa. Nadewszystko zaś mieściło się w niem to, co było wówczas najcenniejszym skarbem realizmu: przewidywanie końcowej klęski Austro-Niemiec i przeświadczenie o potrzebie mobilizowania sił, mogących moment klęski tej przyśpieszyć i spożytkować dla odbudowy Państwa Polskiego.

Czerwony Sztandar.

Hołówko nietylko myśl swego Wodza odgadnął i zrozumiał, ale potrafił jej natychmiast dać sankcję faktu. Skorzystawszy z dnia, w którym Piłsudski znalazł się w okupowanej przez Niemców Warszawie, młody żołnierz P. O. W. postanowił pokazać okupantom, że Polska nie poto walczy z Rosją, aby stać się prowincją niemiecką. Piłsudski zatrzymał się w hotelu Francuskim, na placu Dąbrowskiego. Wieść o jego przyjeździe rozbiegła się po mieście lotem błyskawicy. Olbrzymi tłum ludzi wypełnił całą przestrzeń placu, cisnąc się zwartą ławą pod balkon hotelu i oczekując, aby na balkonie ukazał się twórca Legjonów i przemówił do ludu Warszawy. Ale oczekiwanie było daremne. Piłsudski nie wyszedł i nie wyrzekł ani słowa. Wiedział on, że tłum, który go witał, opasany jest pierścieniem pruskiej uzbrojonej piechoty. Wiedział, że w stolicy, okupowanej przez Niemców, nie mogli mówić do rodaków językiem wolności i prawdy. Na balkonie ukazał się ówczesny adjutant Piłsudskiego, por. Wieniawa-Długoszowski, aby podziękować za życzliwość dla Komendanta i jakimś błahym, zmyślonym powodem upozorować jego milczenie. I w tej chwili, jakby na znak nieumówiony, lecz odgadnięty z głębin duszy zebranego tłumu, wypłynął ponad morze głów płomień czerwonego sztandaru: to Tadeusz Hołówko nagłym ruchem rozwinięwszy niepodległe godło P. P. S. przełożył milczenie Wodza na język czynu. Ruszyli za nim najbliżsi towarzysze: Niedziałkowski, Biały, Baryka, Czarnocki, Ziemięcki formując czoło pochodu. Za nimi cała,

dzielnicami uszeregowana, rzesza robotnicza: Wola, Praga, Ochota... Ponad płomieniem sztandaru, niesionego przez Tadeusza, popłynęła bojowa, rewolucyjna pieśń proletariatu Warszawy.

Siedemnaście lat mija od owej chwili, a nikt z tych, którzy byli jej uczestnikami, z pewnością nie zapomniał jej grozy i uroku. I nikt z tych, kto przelotnem choćby spojrzeniem uchwycił podówczas wyraz, odbity w twarzy i oczach Tadeusza, nie zapomni ich straszliwej wymowy. Była w jego oczach determinacja i natchnienie. Szedł naprzód, już nie jak człowiek żywy, ale jak żywy pocisk na twardy, stalowy mur piechoty niemieckiej. I nagle stała się rzecz niespodziewana. Szara barjera wojska pękła napół, rozstała się przed pochodem robotniczej Warszawy i przepuściła czerwony sztandar Hołówki. Orszak, skierowawszy się przez ulicę Rysią, wpłynął w Marszałkowską, po raz pierwszy gromkimi okrzykami: „Niech żyje Józef Piłsudski“ — oznajmiając murom Warszawy imię i nazwisko człowieka, wymieniane dotychczas tylko w cichych szeptach spiskowych.

Ale manifestując na łamach „Widnokręgu“ swój entuzjizm dla idei Piłsudskiego i czerwonym sztandarem torując dla niej drogę na ulicach Warszawy, Hołówko, w oczach władz okupacyjnych, podpisał wyrok na siebie. „Widnokrąg“ już od kilku tygodni stał się solą w oku policji polowej. Odkąd ustąpili Moskałe, był on jedynem jawnem czasopismem w Warszawie, które, nie zważając na przestrogi i pogroźki Cleinowa, nie poddawało się cenzurze niemieckiej. Od czasów insurekcji listopadowej był to pierwszy jawny, wolny głos Warszawy. Hołówko, oraz pi-

szący te słowa, jako dwaj redaktorzy „Widnokregu“, usiłowali wyrazić to wszystko, co w ciągu minionego roku wojny narosło w podziemiach Warszawy.

„I znać słowa ich obu — pisze o tym momencie Tadeusz Szturm de Sztrem, jeden z najbliższych do ostatka przyjaciół i powierników Hołówki — zatętniły uderzeniem tysięcy serc; snąć w tych słowach, wypowiedzianych za wszystkich, komu nie były obojętne losy Polski, zabrzmiały dźwięki dość wyraźne, by zaniepokoić władze pruskie, bowiem na „Widnokrąg“ odrazu został zwrócony reflektor niemieckiej żandarmerji“.

Nieszczęście chciało, że komenda Polskiej Organizacji Wojskowej nie pozwoliła Hołówce wyruszyć w pole wraz z Bataljonem Warszawskim, zatrzymując go jeszcze na dni kilkanaście, aby mógł przekazać swe stosunki organizacyjne nowym osobom. Miał niebawem wyruszyć wraz z kompanją, dowodzoną przez Bogusława Miedzińskiego, do której przydzielono wszystkich zapóźnionych lub chwilowo przez Komentę P. O. W. zatrzymanych żołnierzy. Był to nieszczęśliwy dla Hołówki zbieg okoliczności, bo, oto, w parę dni po wymarszu Baonu Warszawskiego, został, wraz z piszącym te słowa, aresztowany i wywieziony w głąb Niemiec do obozu jeńców.

„A może — pisze tenże Tadeusz Szturm de Sztrem w swem krótkim, lecz gorącą miłością przepojonem wspomnieniu po śmierci przyjaciela — może nie był to wcale nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Może potrzebny był Hołówce ten los, który kazał, znajdującemu już więzienia rosyjskie, poznać również i niedolę jeńca wojennego u Niemców? Przecież ten najokrut-

niejszy los nie złamał, nie zgasił ducha, nie osłabił uczucia, którem umiłował po wszystkie czasy sprawę wyzwolenia Polski. Zamknął mu jedynie drogę do wymarzonej walki z nieprzyjacielem w otwartym boju, z karabinem w ręku“.

Przyszły historyk, wspominając dzieje walki naszej z okupacją niemiecką, nie pominie z pewnością roli, jaką w tej walce odegrał Hołówko. I uderzy go wtenczas rzecz dziwna. Oto Niemcy, po zajęciu Warszawy, nie ruszyli nikogo z posądzanych o przyjaźń lub słabość dla Rosji, aresztowali, natomiast, i na długie miesiące osadzili w obozie jeńców właśnie redaktorów „Widnokregu“, który bezmyślność nie Warszawy ale „Warszawki“ wytykała jako ognisko „germanofilstwa“. Niemcy, oczywiście, lepiej rozumieli, gdzie i w jakim obozie znajdują się ludzie zdolni do walki o polską rację stanu przeciw każdemu najazdowi.

Obóz jeńców.

Życie Tadeusza Hołówki nie było usłane różami. Z wyjątkiem krótkich lat dzieciństwa, beztronską opromienionych pogodą, krokom jego towarzyszyły nieodstępne trudy i niebezpieczeństwa. Zawsze na wysuniętym posterunku, zawsze z podniesioną przyłbicą, zawsze z piersią nieosłoniętą na kule wrogów i kamienie rodaków, pierwszy szedł w ogień próby, ostatni sięgał po władzę i zaszczyty.

W Polskiej Organizacji Wojskowej, pracując za stu, i z łamów „Widnokregu“ wstrząsając sumieniem tysięcy, miał najniższy stopień służbowy i ochoczo

stawiał „na baczność“ wobec zwierzechników, których częstokroć przerastał duchem.

Nie skarżył się nigdy na to, co przecierpiał. I ci, którzy znali jego duszę, mają prawo domyślać się, że, jak żył, tak umarł bez skargi.

Słońce jego oczu można było zgasić na wieki; niepodobna ich było zaćmić lub przesłonić chmurą.

A przecież to czoło bohatera bladło i te usta niezlomne drgały bólem na wspomnienie katuszy, przecierpianej w dziewięciomiesięcznej niewoli niemieckiej.

W książce zbiorowej p. n. „Wspomnienia legjonowe“, wydanej w roku 1924, Hołówko ogłosił garść zwierzeń osobistych: *Ze wspomnień „germanofila“*. Wśród zwierzeń tych, mówiąc o pobycie swym w obozie jeńców, autor zamieścił niezmiernie ważkie wyznanie: „...Te dziewięć miesięcy — pisze — to jeden z najstraszniejszych okresów w mojem niespokojnem życiu: okres takiej poniewierki, że do dziś ze wstrętem nerwowym myślę o tych czasach“.

Okres ten nie wydarł z ust jego ani jednego słowa jęku, ale głęboki, drapieżny szpon zatopił w jego duszy.

Lata mijały, a ból tej poniewierki jątrzył się w nim ciągle nieuśmierzonem wspomnieniem. Jeszcze w roku 1931, na pół roku przed śmiercią, wracając myślą ku dawnym cierpieniom w niewydanym za życia „Liście otwartym do profesorów krakowskich“ nie może on opanować wstrząsu odrazy i zgrozy: „Od tamtych miesięcy — czytamy — minęło piętnaście lat; wiele przez ten czas przeżyłem, a jednak do dziś

wspomnienie pobytu w niewoli niemieckiej pozostaje dla mnie najstraszniejsze“.

Aby pojąć wagę tych słów Tadeusza, należy pamiętać, że w chwili, gdy zamykały się za nim koczaste wrota niemieckiego obozu jeńców, miał on już poza sobą krzyżową drogę etapów przez turmy moskiewskie, przez głuche stepy Eurazji.

Ale bo też między kratą najsurowszego więzienia a koczastym drutem obozu jeńców wojennych, szczególnie zaś jeńców cywilnych w Niemczech, leżała przepaść. Aresztant kryminalny czy polityczny w więzieniu rosyjskiem to — był jeszcze człowiek: ograniczony w prawach, obarczony karnym rygorem, ale człowiek. Jeniec cywilny w obozie niemieckim — to była tylko masa żywej padliny ludzkiej, wyzuta z wszelkich praw, zepchnięta poniżej wszelkich ustalonych rygorów, przerzucana z miejsca na miejsce, z barłogu na barłóg.

Już pierwsza noc spędzona w więzieniu przy ulicy Dzikiej w Warszawie dała obu redaktorom „Widokręgu“ przedsmak tego, co zawierał obóz jeńców. Cele, do których ich wtrącono — każdego z osobna — wrzały od skowytu szumowin, zgiełku opryszków i żałosnego lamentu szpiegów moskiewskich, skazanych w części na rozstrzelanie, w części na wywiezienie do Niemiec.

Nie odrazu można było rozeznąć i pojąć rozpaczliwy, śmiertelny bełkot tych skazańców. Gdy nazajutrz rano piszący te słowa, na wspólnym spacerze, spotkał się z Tadeuszem, wymianą krótkich, urwanych słów udało się im ustalić piekielną rzeczywistość: władze pruskie szlamowały Warszawę z moskiew-

skiego osadu szpiegostwa i bandytyzmu, i w ten to okropny kanał potępienia byli oni wrzuceni obaj, aby, ocierając się o plutony egzekucyjne, płynąć straszmem łożyskiem kary, upokorzenia, zatruty. Wobec władz więziennych i, w dalszym ciągu, wobec wojskowych władz oboźnych próżne były wszelkie z naszej strony próby wyjaśnienia sytuacji. Któryż feldfobel lub oberleutnant pruski mógł i chciał uwierzyć, że byliśmy czemś innem od zgrai płatnych szpiegów moskiewskich, których los zmuszono nas dzielić, gdy pospołu z ciżbą jeńców rosyjskich, pędzeni kolbami i ordynarnemi wyzwiskami, byliśmy ładowani do wagonów towarowych — po kilkuset do jednego — i w zamkniętych na kłódkę pudłach, ciemnych, jak trumny, wzięni przez dni kilka bez chleba i wody? Gdy, konwojowani przez miasta i miasteczka niemieckie, byliśmy obrzucani kamieniami przez dziatwę szkolną i gdy kobiety, wśród nienawistnych okrzyków „Spionen! Spionen!“, fanatycznie wygrażały nam parasolkami, któż z oczu dwóch jeńców polskich mógł wyczytać, że od zwycięstwa Niemiec nad caratem i Rosją uzależniali oni w owej chwili spełnienie swoich najgorętszych snów o wyzwoleniu ojczyzny?

W progach pierwszego obozu — w Salzwedel — który miał służyć za postój kwarantanny, przekreślono nazwiska jeńców i zastąpiono je numerami. Odtąd, było to w pierwszych dniach września (1915), utopieni w bezimiennej masie obaj jeńcy stracić mieli na długo wszelkie prawa ludzkie, wszelką indywidualność, wszelką materialną łączność z krajem. Żaden list z obozu nie wychodził, żaden głos z kraju nie docierał.

Właściwa męka ponieważ nie zaczęła się jednak dopiero po przebyciu kwarantanny, gdy w połowie października przeniesiono jeńców do obozu w Stendhalu. Tu otworzyły się niejaki, bardzo zresztą uciążliwe, widoki korespondencji z Warszawą, wystąpiły natomiast w całej ostrości straszne, śmiertelne warunki nie życia już, ale trwania pod brutalną stopą rozbestwionego żołdactwa pruskiego. Nastąpiły dni ciężkie, jak głaz u szyi topielca, długie, jak wieczność.

Podoficerowie sprawujący władzę nad obozem, chcąc wykazać, jak bardzo byli na swych posterunkach nieodzowni, kładli cały swój zapal bojowy, niewyładowany na froncie, w wyrafinowane znęcanie się nad bezbronnym tłumem.

Ambicją straży obozowej było utrzymywanie iluzji, że zbiorowisko jeńców jest ustawicznym niebezpieczeństwem dla spokoju okolicy i tylko wyjątkowe rygory władz potrafią utrzymać je w karbach posłuchu. W swej nieprzebranej wynalazczości okrucieństwa straż owa dokazała tej nieprawdopodobnej sztuki, że jeniec, skazany na bezczynność, nie miał do swego użytku ani jednej godziny spokoju, aby przeczytać książkę, zająć się nauką obcego języka, lub bodaj w cichej pograżyć się zadumie.

Już o czwartej nad ranem wpuszczano do baraku psa, który wściekłym szczekaniem budził udręczony tłum jeńców, przepędzając ich jedyne przyjaciele — sen. Od tej godziny niezliczone rewizje, zbiórki na placu, sprawdzanie numerów, zamykanie śmieci, grabienie piasku, szorowanie podłóg, malowanie lampasów na spodniach, liczenie czapek i guzików, mycie naczyń, przymusowe bieganie i marsze, składały się

na ten bezmyślny korowód czynności, które kazano wykonywać jakgdyby poto tylko, aby rozdłużyć dzień, i bez tego tak długi, i uwydatnić jego morderczy ciężar trwania.

Oh, ileż trzeba było siły nerwów, aby przeżyć jeden taki dzień! Dość powiedzieć, że w maleńkim diarjuszku, jaki Hołówko zaprowadził po przybyciu do Stendhalu, aby notować wrażenia swe i przeżycia, raz po raz pod coraz inną datą, powtarza się jedno, zawsze to samo, zdarzenie.

— Nareszcie, minął ten dzień!

A więc to, że minął, że zegar, bijący w utrudzonym sercu, wydzwonił pokolei wszystkie godziny próżni i przymusu, to było jedynym faktem, godnym zapisania, jedynym rezultatem wysiłku, jedyną sumą przeżyć.

Zdani na łaskę i niełaskę feldfeblów, jeńcy nawet marzyć nie mogli o tem, co bywa udziałem skazańca w najsurowszem więzieniu: aby móc czas swój uporządkować i podzielić wedle stałych reguł. Wystarczyło, aby wśród 20 tysięcy ludzi, zamkniętych w obozie, w jakimś jednym oddziale Francuzów, Anglików lub murzynów nie doliczono się jednego numeru; aby ktoś, powalony chorobą, nie stawił się na zbiórkę, a oszalałe rozkazy Niemców natychmiast podrywały wszystkich jeńców na nogi i godzinami trzymały w szeregu na słotach jesieni lub na mrozach zimy, zanim wyjaśniła się owa niezwykła nieobecność lub całkiem zwykła omyłka w rachunku.

— Los nasz — mówił Hołówko, gdy upływały tygodnie bez żadnego echa z kraju, bez żadnej wieści

o Piłsudskim i jego Legjonach — da się przyrównać tylko do losu ludzi żywcem zasypanych w kopalni.

Gdy nadomiar w końcu października ścięła go z nóg choroba i gdy przyszła gorączka, nie wytrzymały ucisku zbyt wysilone nerwy. Drżącą od febry ręką zapisał Hołówko w swym dzienniczku krótkie, urywane, pełne trwogi i zwątpienia słowa:

— Strach przed śmiercią w tym barłogu... Beznadziejność... Pragnienie zapomnienia się... Wołanie duszy ku... i matce... Spokój, gdyby one były przy mnie!...

Te pół-słowa, pół-westchnienia, z najtajniejszych wydzierające się komór serca, pokazują, ile w tym niezłomnym rycerzu i zuchwałym rewolucjoniście tkwiło najdelikatniejszych drgnień uczucia, umiającego przemawiać tkliwym, wzruszającym językiem wierności i przywiązania.

Wszelako, kryzysy nerwowe, jakkolwiek częste i bolesne, nie były długie. Wystarczyło, aby przyszedł jakiś list od Wilhelma Feldmana, który pierwszy, mieszkając podówczas w Berlinie, zdołał nawiązać łączność z redaktorami „Widnokregu“, wystarczyło, aby przyszedł odeń pakiet pism i książek, a wraz z chorobą mijał nastrój beznadziei.

— Nowe siły — notuje Hołówko w dzienniczku pod datą 3 stycznia 1916 r. — Postanowienie wytrwania. — Jak stał tylko mężnieć w cierpieniu, by potem móc dźwięczeć bojowo i radośnie... Nowy pogląd na rzeczy... Niemcy uważają mnie za niebezpiecznego wroga... Płynący stąd i mój wobec nich stosunek...

Zdarzyło się tak, że wyraz temu stosunkowi Hołówko mógł dać już niebawem.

Oto, poczciwy Feldman, szukając sposobu, w jakiby jak najrychlej dało się redaktorów „Widnokregu“ wyrwać z obozu niewoli, wpadł na pomysł, aby, symulując chorobę, wystąpili z urzędowem podaniem o zwolnienie „dla względów zdrowotnych“.

Hołówko, przeczytawszy list, skoczył jak ukąszony.

— Co? prosić Niemców o łaskę? Wykradać się z obozu pod osłoną fałszywych świadectw lekarskich? Dziękuję. Byłoby to równoznaczne ze skrucą i z przyznaniem się do jakiejś niepopołnionej winy. Wyjdziemy z tego piekła i wierzę, że prędzej albo później wyjść z niego musimy. To pewna, że do Warszawy wrócimy nie ukradkiem, nie ze świadectwem lekarskiem, ale ze zwyciężskim hasłem niepodległości!

Feldman, otrzymawszy odmowną odpowiedź, zrozumiał, że redaktorzy „Widnokregu“ uważają pobyt swój w niewoli niemieckiej nietylko za ciężką próbę, ale przede wszystkim za ideowy znak protestu przeciw zaborczej polityce Berlina. Nie mogąc wyjednać zwolnienia, postarał się o to, aby ich obu, wraz z garścią przygodnych inteligentów - rodaków, przeniesiono do Celle-Schloss w Hannoverze: do obozu o znośniejszych, bardziej ludzkich warunkach regulaminu.

Przewidywania Hołówki co do terminu wyjścia z obozu jeńców spełniły się dokładnie. Aby publicyści z pod znaku niepodległości wrócić mogli do kraju, musiały długie jeszcze upłynąć miesiące. Musiała

ugiąć się buta Niemiec i nowy, na czas pewien, nastać kurs w ich polityce wobec ziem polskich, oderwanych od Rosji.

Kolczaste druty.

Długie, czarne dni niewoli stały się zmorą, która osiadła głęboką i żrącą trucizną na pogodnej, słonecznej duszy Tadeusza. Pamiętam, jak po powrocie do Warszawy Hołówko przez kilka jeszcze miesięcy nie mógł opanować nerwowego wstrząsu, ilekroć zoczył przed sobą na chodniku umundurowanego Niemca: jakiś złowrogi uraz wewnętrzny kazał mu instynktownie przechodzić na drugą stronę ulicy, aby nie spotkać się oko w oko z żołnierzem okupacji.

Byłże to lęk? Tak, ale z pewnością nie przed Niemcami! Hołówko bał się własnej odwagi, a raczej tego podświadomego, głuchego żywiołu wściekłości, który, jak dynamit, narósł w jego duszy i groził nieobliczalnym wybuchem przy najlżejszym starciu.

Jako człowiek nawykły do panowania nad sobą, czuł on przecież ten uraz, jątrzący się w duszy, jako niepożądany a dotkliwy brak równowagi wewnętrznej. I, jak wszystkie natury silne, szukał uzdrowienia dla siebie na tej jedynie drodze, jaką wskazało i uświęciło doświadczenie wieków: postanowił zmorę, która go prześladowała, przerzucić poza siebie. Wyzwolić się z niej przez danie jej przedmiotowego wyrazu w opisie, w opowieści, w obrazie literackim, w książce. Już diarjusz, prowadzony w obozie jeńców, był niewątpliwie próbą takiej właśnie samoobrony i terapii. Świadectwem, że próba ta była niedosta-

teczna, a jednocześnie dowodem, jak głęboko w nerwy Tadeusza wżarła się zmora przeżyć obozowych, miały jednakże stać się dopiero te wstrząsające karty, jakie w kilkanaście lat później poświęci katuszom w Stendhalu w książce swej: „Przez kraj czerwonego caratu“, a także w niewydanym za życia „Liście otwartym do profesorów krakowskich“.

Kart tych dziś jeszcze niepodobna czytać bez odczucia mrozu przeszywającego kości. Przebiegając je oczyma, zstępujemy jakgdyby ze stopnia na stopień, coraz głębiej, w niezgruntowany zmrok cierpienia i poniewierki.

„...Straszna zima w drewnianych barakach, gdzie jest tak zimno, że w nocy lodem zaciąga się woda w dzbankach“.

„...Musimy stawać na baczność, ilekroć wchodzi do baraku podoficer niemiecki, który za najmniejsze uchybienie regulaminowi wymierza doraźne uderzenie pięścią lub płazuje swym płaskim, szerokim bagnetem...“

Gdyby tylko to!...

„...Jesteśmy dzień w dzień świadkami wyrafinowanych okrucieństw. Za byle przewinienie najlżejszą karą jest danie jeńcowi po łopacie do ręki i nakaz wyrzucania tych łopat przed siebie po 100—150 razy. Po kilkunastu rzutach zbiedzony skazaniec zaczynał mdleć ku uciesze tłumnie zebranych podoficerów niemieckich, z rozkoszą przyglądających się widowisku... I kara ta istotnie uchodzić mogła za zabawkę w porównaniu ze słynnym, strasznym słupem, który wko-pywano w ziemię i do którego w postaci pół-wiszącej

przywiązywano ofiarę na tak długo, dopóki nie utraci przytomności...“.

Ach, gdyby tylko to!

„...Na moich oczach — snuje Hołówko swą okropną nić wspomnień — strażnik obozowy skatował bagnetem jednego z towarzyszków niedoli, prawnika warszawskiego, tylko zato, że ten, czując się chory, odważył się wśród dnia położyć i zasnąć na barłogu... Na oczach kilkuset żołnierzy-jeńców podoficer obił po twarzy innego z towarzyszków naszych, studenta uniwersytetu, zato, że wydało mu się, jakoby ten po raz drugi sięgał po swą porcję zupy...”

Ach, gdyby tylko to!

„...Widziałem, jak moralnie łamano biednych żołnierzy rosyjskich, kusząc ich pieniędzmi, lepszą strawą, cieplejszem ubraniem, aby jechali na front zachodni ryć okopy przeciw swoim własnym sojusznikom. Iluż uległo tej haniebnej, wiarołomnej pokusie?... A tych, którzy nie ulegli dobrowolnie, w oczach ich towarzyszków katowano aż do postradania czucia i skrwawionych rzucano, jak zwierzęta, na wozy i odstawiano na dworzec“.

Ach, gdyby tylko to!

„...Straszniejszy, niż zimno potworne, niż wyrafinowana srogość dozorców niemieckich, był ustawiczny głód. Ach, ten głód!“

„...Cuchnące, ze starych kartofli i zgniłych śledzi zupy; chleb lepki jak mokra glina, w którym było wszystko prócz mąki. Jedyne źródło żywności — to obozowa kantyna, gdzie nic nie można było dostać,

prócz podrabianej margaryny i starych rybnych konserw“.

Największy głód i nędza panowała wśród jeńców armji rosyjskiej. Poniżej ich losu stała już tylko dola cywilnych jeńców-Polaków. Plastyka, z jaką Hołówko opisuje sceny, które dzień w dzień, na tle owej nędzy i głodu, rozgrywały się przed jego oczyma, mają w sobie coś z piekielnej groteski.

„...Wnoszono kilka ogromnych kadzi, napełnionych obmierzłą ciecżą, zwaną zupą. Kilkunastu żołnierzy niemieckich, klnąc i wrzeszcząc wniebogłosy, szerokiemi bagnietami płazuje cisnących się jeńców, z trudem utrzymuje jaki taki porządek, albowiem głód stargał wszelkie pęta dyscypliny i godności... Wreszcie rozdawanie zupy ukończono. Nadchodzi moment djabelskiej igraszki dla dozorców niemieckich: — Alles, alles — wołają Niemcy, wskazując palcami na kadzie z resztkami jedzenia. Na moment ten czeka kilkunastu najbardziej zgłodniałych jeńców. Rzucają się jak prawdziwa sfora psów, spuszczone ze smyczy. Koło każdej kadzi w jednej chwili powstaje kłębowisko ludzkich ciał. Krzyki, przekleństwa, bijatyka, każdy bowiem chce dosięgnąć miską, dłonią, nawet czapką ochłapów jedzenia. Czasami pchnięty wpada głową do kadzi. Wszyscy są wzburzeni, zziązani — walczą tak zajadle, że ogromne kadzie, jak wielkie piłki, unoszą się ponad ich głowami, przechodząc z rąk do rąk... Obserwując zdaleka tę codzienną scenę — dodaje Hołówko — miałem nieraz łzy w oczach z upokorzenia, gdym widział wśród walczących zacięte twarze znajomych Polaków — dzieci wsi mazurskich.

I tu otwierał się w duszy jego ów „bólów ból“, który był najgłębszą zmorą jego przygód obozowych.

Widok jeńców Polaków, dzielących w Niemczech niewolę rosyjskich poddanych, był w oczach Tadeusza najbezpośredniejszym wyrazem tej tragedji, na jaką Polska podczas wojny skazała sama siebie swoją biernością i bezwładem, zrazu niewolniczo ulegając orjentacji rosyjskiej, a po jej upadku w fałszywą strojąc się neutralność.

Neutralność? Jakąż pustą i szyderczą fikcją stawała się ta neutralność w obliczu dziesiątków tysięcy jeńców polskich, więzionych w obozach niemieckich, w obozach austriackich i rosyjskich!

Gdy w Warszawie drobna, na milion skrzętnych zabiegów rozpylona duszyczka, uciekająca od walki, przykucnęła w kapliczce trosk gospodarczych i spiżarnianych, aby przetrwać burzę i marzyć o przyszłym kongresie, naród z otwartych ran broczył w rzeczywistości krwią na wszystkich frontach i pobojuwiskach. Wszystkim trzem zaborcom płacił hojną daninę krwi i mienia, sprowadzając neutralność swoją do tego, aby nie w zamian nie żądać, a wszystkiego... oczekiwać.

Wyłomem w tym przygniatającym bezwładzie był zbrojny czyn Piłsudskiego. Ale czyż garstka „szaleńców“ — jak piłsudczyków nazywał otumaniony gnuśny oportunizm — nie była tylko kroplą w morzu tej biernej, wyczekującej masy?

— Czyż słaby oddźwięk — pytał Hołówko sam siebie — który idea Legjonów znalazła we własnym społeczeństwie, składającym bez słowa protestu życie i mienie na rzecz swych ciemiężców, nie podkre-

ślał jeszcze bardziej i nie utwierdzał mocniej walczących stron w mniemaniu, że naród polski nie jest zdolny do samodzielnego bytu państwowego?

Poniewierka jeńców polskich w obozach obu stron walczących była namacalnym jakby dowodem tego, że nikt o poparcie Polaków nie zabiegał, że uważano nas już tylko za masę etnograficzną, która spadła poniżej roli narodu i która nie jest zdolna do zawarcia z kimkolwiek przymierza.

Nadchodziły straszne momenty, w których Hołówko, sam na sam z szarpiąciami pozostając myślami, wzdrygał się i truchlał wewnętrznie od wątpliwości, czy, terając się na tym barłogu niewoli, nie ulegał sam psychologii niewolnika, nie stanął poza szrankami honoru, męstwa i godności?

Patrząc na zwycięstwa armji państw środkowych, posuwającej się na wschód, w głąb caratu, czuł, że te obce armje ciągną szlakiem polskich dziejowych zaniedbań, że odwalają potężny głąz moskiewski, który życie polskie zamknął w lochu więziennym, a którego my sami, słabi i skłóceni, nie potrafilibyśmy już nigdy, prawdopodobnie, z piersi narodu odrzucić.

Ale czemuż, życząc orężowi niemieckiemu powodzenia, nie mógł jednocześnie czuć dlań wdzięczności?

Ah, wiedział on zgóry, że iść z nim będzie tylko do pogromu Rosji, nie zaś do triumfu Niemiec. Przewidywał, że bliska jest, może, chwila, w której całym frontem polskiej siły czynnej wypadnie zwrócić się właśnie przeciwko dotychczasowym „sprzymierzeńcom“. Już wtenczas kiełkowała w głowie Hołówki formuła, w której zawrze on zczasem swój stosunek

do Niemców, nazywając ich na łamach „Rządu i Wojska“ — murzynami historii. Murzynami, którzy gromią i odrzucając Moskali na wschód, spełnią twardą i krwawą robotę, ale nie dla siebie. Spełnią ją dla nas, dla odbudowania Polski. Wyręcą nas w zadaniu, które przerastało nasze siły. Wyręcą poto, aby po dokonaniu dzieła zkolei sami zostali rozbrojeni i wygnani precz.

Hołówko wiedział doskonale, że ani państwa koalicyjne, ani państwa środkowe, rozpoczynając wojnę, o sprawie polskiej nie myślały; zagarnięcie źródeł nafty w Mezopotamji lub spór o kolej bagdadzką wydawały się i jednej i drugiej stronie sprawami stokróć ważniejszymi, niż wybicie się na wolność wielkiego narodu. Dlatego też, w najgłębszem przekonaniu Hołówki, mieliśmy moralne prawo kalkulować na zimno, czyje zwycięstwo a czyja porażka może dopomóc naszej sprawie, dla nas świętej.

Ale czy w tej „kalkulacji na zimno“ nie odbijała się właśnie psychologia więźniów, przetrawionych niewolą, którym faktycznie obojętne jest, kto zwycięży, byle wśród powszechnej zawieruchy można było... uciec z więzienia?

Dla otwartej, rycerskiej duszy Hołówki było w tych rachubach coś, co nie godziło się z instynktem szlachetności, z zasadą, którą język angielski tak znamienne określa, jako „fair play“.

W stanowisku Polaków nie było momentu zdrady nawet psychologicznej, bo nikt do nas szczerze ręki nie wyciągnął. Każda ze stron posługiwała się sprawą polską, nie pytając Polaków o zgodę, aby naza-jutrz, skoro zajdzie potrzeba, sprzedać ją przeciwni-

kowi, choćby za cenę odrębnego pokoju, lub odrzucić, gdy minie potrzeba, jak zbyteczny rekwizyt.¹

Nie mogło być mowy o zdradzie tam, gdzie nie było żadnej umowy. Było jednakże, ze strony polskiej, coś innego, być może gorszego.

To „coś“ czaiło się w duszy Hołówki jako przeczucie, nurtujące na dnie jego najcięższych przeżyć obozowych, jako przeczucie, które z biegiem lat, w atmosferze odrodzonego Państwa, nasiąkało coraz bardziej pierwiastkami pewności.

— Czemże bowiem była wojna światowa dla obu stron walczących? Była potworną grą, w której stawką dla jednych i drugich było „być albo nie być“.

A czem była dla większości Polaków?

„My, Polacy — napisze Hołwko w swej ostatniej przed zgonem książce¹ — wykonywaliśmy w owej grze rolę śmiesznych kibiców, owych nędznych hołyszów kawiarnianych, którzy, chwając się tytułami szlachectwami, wspomnieniami fortun magnackich swych przodków, cuchną jednocześnie stęchlizną ponurych barłogów. I, oto, gdy gra idzie o śmierć lub życie, hołysze pchają się ze swemi ostatnimi dukatami, wahając się i namyślając, na czyją kartę postawić te marne, ostatnie grosze. Co gorsza, każda ze stron, grających straszną grę, widziała pętającego się przy sobie kibica-Polaka. Był to rezultat przeklętych orjentacyj, lecz strony walczące miały prawo podejrzewać, że jest to cicha zmowa między rodakami, aby nie zaryzykować nawet tych kilku dukatów — resztek dawnej olbrzymiej fortuny. Cóż więc dziwnego, że na

¹ Hołwko: „Przez kraj Czerwonego Caratu“.

takich „partnerach“ graczom nie zależało; że, przeciwnie, obdarzali ich źle ukrywaną pogardą i lekceważeniem... Do takiej upokarzającej sytuacji, do roli kibiców i hołyszów, doszedł dwudziestopięciomilionowy naród o tysiącletniej kulturze, o wspaniałej, bujnej, historycznej przeszłości“.

Pod przygnębiającym wpływem perspektyw, jakie otwierały się przed oczyma Hołówki, z poza kolczastych drutów niewoli patrzącego w bezwład narodu, powstawał w duszy jego bunt, który z tygodnia na tydzień rósł i szukał ujścia dla siebie w coraz rozpaczliwszych pomysłach. Po nocach, wśród bezsennej męki i tęsknoty, Tadeusz jął przemyśliwać coraz częściej o potajemnej ucieczce z obozu. Zdawało mu się, że dłużej pod uciskiem wytrwać już nie zdoła i, aby ratować życie, musi uciekać, zmylić strażę niemieckie i uciekać do kraju, a stamtąd przedrzeć się do Legjonów, do kwatery Piłsudskiego. Liczył się z tem, że w tem zuchwałem przedsięwzięciu śmierć czyhać nań będzie na każdym zakręcie drogi, ale śmierć, gdy myślał o niej wtenczas, nie przerażała go wcale. Jeśli zamiaru swego nie wykonał, to powstrzymało go coś, co było gorsze od śmierci.

Oto, wszyscy ci, którzy próbowali ucieczki, byli po kilku lub kilkunastu dniach chwytni przez policję niemiecką i wracali ponownie do obozu, ale wracali — obłąkani!

Nic już nie potrafili towarzyszom swym opowiedzieć o przygodach i losach, jakie ich spotkały w drodze, ale nieprzytomnie rozszerzone źrenice, milczenie i okropniejszy od milczenia śmiech i płacz, jakim wybuchali niespodzianie na postawione im py-

tania, mówiły tak wiele, krzyczały krzykiem tak nie-ludzkim, że Tadeusz mimowoli cofał się przed jego grozą i odracał na długo swój pomysł ucieczki, zamykając się znów w kamiennym uporze wytrwania, wytrwania za wszelką cenę...

Na szczęście, zbliżało się lato roku 1916, poważny zwrot zachodził w układzie sił walczących na frontach wojny, a wraz z nim zarysować się miała i nowa, pomyślniejsza faza w rozwoju sprawy polskiej.

Ostatnie dni maja, przełamując w polityce Niemiec ich militarny, a raczej czysto policyjny wobec Polski stosunek, przyniosły wolność obu redaktorom „Widnokręgu“; po dziewięciomiesięcznej udręce mogli powrócić do kraju i stanęli w Warszawie. Powitał ich na dworcu cudny różowy świt wiosennego poranka. Miasto o tak wczesnej godzinie spało. Cisza i świetlisty koloryt murów potęgowały wrażenie złudy, dwojąc się między marzeniem a jawą. Hołówko, wysiadłszy z wagonu, po trzech nocach bezsennych, zatoczył się jak pijany ze znużenia i radości. Był błydy, chwiał się na nogach; czuł się niesłychanie wyczerpany gorączką długotrwałego głodu, zgryzoty i rozpacz. Ale nareszcie widział się wolny. I to było najważniejsze. Wolny, rozumie się, o tyle, o ile było miejsce na wolność w Polsce ówczesnej, opasanej lasem bagnatów pruskich, a wciąż pozostającej pod grozą powrotnej inwazji moskiewskiej.

Bagnety, które myślą.

Przewlekająca się wojna była szczęściem dla Pol-
ski. Coraz większe męczarnie Europy to były naro-
dziny jej niepodległości. Germanja, ociekająca krwią,

coraz słabnąca, rzucała się, aby przebić serce Francji, Verdun, ale już jej sił brakło. Rosja i Austria leżały, ciężko dysząc, wzdłuż olbrzymich frontów. Żelazny pochód wojny, dalekiej jeszcze od rozstrzygnięcia, zmierzał nieodgadnionemi szlakami do kolejnego pogromu wszystkich trzech zaborców Polski.

Siły i zasoby ludów walczących zdawały się wyczerpane. Ale był lud bitny, silne mający mięśnie, lud Królestwa Polskiego, bardzo nieznacznie tknięty przez rekrutację rosyjską. Z tego ludu można było wystawić pół miljona, a bodaj nawet miljon żołnierzy!

Dopóki mocarstwa walczące ze sobą czuły się w posiadaniu olbrzymich rezerw ludzkich, siła utajona w Królestwie Polskiem była przez obie walczące strony lekceważona.

W połowie roku 1916 Niemcy zrozumiwały po raz pierwszy, że bez wydatnej skądkolwiek pomocy w materjale ludzkim — wojny nie wygrają. Mimo krwawych pod Verdun wysiłków, nie potrafili frontu zachodniego przełamać, zbyt wielka bowiem liczba dywizyj musiała być użyta na froncie rosyjskim, zwłaszcza że armja austriacka nie dawała najmniejszej rękojmi, aby można było na jej bitności polegać.

Wtenczas to Hindenburg oraz Ludendorff, wodzowie armji niemieckiej, zwrócili uwagę na żołnierza polskiego. Świetne męstwo legjonistów, tylekroć przez generałów niemieckich podziwiane w raportach, ostatnio zaś lipcowa bitwa pod Kostiuchnówką, przekonały Hindenburga, że żołnierz polski nie tylko potrafi bić się z Moskalami, ale tam, gdzie chce, zawsze potrafi zwyciężyć.

Główna kwatera niemiecka zaczęła tedy wywierać

nacisk na czynniki polityczne w Berlinie, aby te ogłosiły Polskę jako państwo niepodległe: wtenczas bowiem będzie można stworzyć wojsko polskie, które ziemi swej na wschodnim froncie będzie przed Rosją broniło.

Ten motyw czysto wojskowy miał stać się dźwignią, która z martwego położenia wyważyła sprawę polską i wyniosła ideę naszej niepodległości na forum międzynarodowe. W głównej kwaterze niemieckiej, w Pszczynie, odbyły się w sierpniu narady, co zrobić z okupowaną Polską? Po rozważaniach dyplomacji, która stwierdziła, że pokoju odrębnego z Rosją zawrzeć niepodobna, przyszli do głosu wojskowi z gen. Beselerem, generał-gubernatorem warszawskim na czele. Beseler miał nadzieję, że drogą werbunku uda się stworzyć armję polską, t. j. bodaj kilka dywizyj.

— Im więcej bagnatów na froncie i w rezerwie — rozmawiali Niemcy — tem lepiej!

Ciemni politycznie generałowie nie rozumieli jednak, że bagnety mogą czasami myśleć. W roku 1914 wystarczała koncepcja Legjonów, t. j. wojska bez państwa. W dwa lata później już ten pomysł się wyczerpał. Przyszła chwila, że, kto chciał sięgnąć po rekruta polskiego, musiał naprzód dźwignąć Państwo Polskie.

Na chwilę tę, jak orzeł na skalnych zrębach, czekał Komendant Piłsudski. Oddawna wypatrywał on pierwszych poszlak słabości na froncie mocarstw środkowych. Już raz po brutalnem zajęciu Warszawy przez Niemców zaznaczył swój odporny wobec nich stosunek w hasle antywerbunkowem i w położonym

przez siebie nacisku na samodzielny rozwój P. O. W. Teraz, po roku rządów okupacyjnych, mógł w uwydatnianiu niezależności swego stanowiska pójść o krok naprzód. W chwili, gdy Niemcom naprawdę zaczęło zależeć na utworzeniu polskiej siły zbrojnej, mogącej wesprzeć ich w wojnie z Rosją, Piłsudski postanowił jak najwyraźniej rządowi mocarstw środkowych dać do zrozumienia, że szafarką krwi polskiej może być tylko prawowita władza polska.

Działalność swą rozpoczął od ujęcia w karby jednolitej postawy ideowej wszystkich pułków legjonowych. Śladem propagandy za jednolitemi odznakami na wzór odznak I brygady powstało uzgodnione wszystkich pułków żądanie, aby Austria wycofała austriackich oficerów z Komendy Legjonów. Dla poparcia tego żądania zbiera się z natchnienia Piłsudskiego na wspólne posiedzenie t. zw. Rada Pułkowników. Głos żołnierza polskiego, w postaci memorjałów tej Rady, taranem zaczyna walić w gnuśne bramy N. K. N. i w tępe baszty naczelnych władz austriackich.

— Legjony i przyszłe wojsko polskie bije się i umiera za niepodległość Polski.

— Legjony muszą mieć własną polską komendę, odpowiedzialną przed własnem społeczeństwem i rządem.

— Rozstrzygnięcie sprawy polskiej i wojska zagwarantowane być może jedynie przez utworzenie rządu polskiego.

Wszystkie te postulaty rodziły się w ogniu ciężkiej walki, i to walki na dwa fronty: z jednej bowiem strony zarówno Komenda Legjonów, jak i N.

K. N., tłumili żądania Rady Pułkowników, z drugiej zaś żołnierze legionowi musieli niezwykle żałośnie prowadzić boje z atakującymi masami wojsk rosyjskich w okresie zaciętej ofensywy gen. Brusilowa.

W takim to momencie niesłuchanie wysokiego napięcia stosunków w politycznej i wojskowej atmosferze kraju wrócił Hołowko do Warszawy. Po rocznej bezmała bezczynności uderzył weni, jak spieniony potok, wir krzyżujących się dążeń, zagadnień i starć. Cóż dziwnego, że mimo fizycznego i nerwowego wyczerpania po katuszach niewoli, nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek dłuższy nad parę tygodni?

Ten krótki pobyt odpoczynkowy upłynął mu w gronie rodziny i znajomych w Wyszku nad Bugiem. Świeży las wiosenny i długie spacery nad rzeką, pojąc płuca Hołowki żywicią sosną i aromatem kwitnących pól, działały jak balsam na ciało i duszę tego człowieka, urodzonego do ruchu, do swobody, do wspaniałych przygód i wypraw. Smak odzyskanej wolności jał krążyć w jego żyłach, jak ogniste wino, budząc wiarę w siebie i nową ochotę do czynu. Sens powrotu do kraju streszczał się dla Tadeusza w tem, aby spełnić nareszcie swe najgorętsze marzenie: stanąć z bronią w rękę pod rozkazami Piłsudskiego. Polegając na swych żywotnych siłach, wierzył, że animusz legionowy, że otwarte pole walki z wrogiem, najskuteczniej uzdrowi jego nerwy, zatrute zmorą niewoli.

W tej myśli odszukał Walerego Sławka, aby otrzymać niezbędne instrukcje i uzyskać pomoc w przedostaniu się na front legionowy.

Za przykładem Wodza.

To, co usłyszał od Sławka, będącego w posiadaniu stanowczych zleceń Komendanta, miało w niwecz obrócić jego sny, wypiastrowane w długich miesiącach niewoli. Hołówko zrozumiał, że może dane mu jeszcze będzie krew przelać dla Polski, ale już nie dostąpi zaszczytu walki w tym pierwszym pionierskim zastępie, jakim były Legjony, a zwłaszcza ich I Brygada. Od początku wojny, wyruszywszy z najdalszych kresów wschodnich, biegł pod ich orli sztandar, lecz po dwakroć wstrzymywał go w drodze wyraźny rozkaz Wodza. Teraz wstrzymać go miał po raz trzeci. Hołówko kazano pozostać w Warszawie. Lipiec 1916 był okresem, w którym Legjony w szeregu bojów nad Stochodem sięgnęły wyżyn bohaterstwa i sławy. Ale w promieniach ich sławy tem wydatniej nabrzmiewał konflikt z dotychczasowymi „sprzymierzeńcami“. Coraz więcej pojawiało się oznak, zwiastujących niedaleki już moment, w którym ruch legjonowy ujęty zostanie w nowe formy, odpowiednio do tego, jak się ułoży całokształt stosunków politycznych w kraju. Niebawem, na schyłku lata, gruchnąć miała po całej Polsce pogłoska o dymisji Józefa Piłsudskiego ze stanowiska dowódcy I Brygady. Gdy pogłoska ta z końcem września potwierdziła się jako fakt niezbity, kryzys Legjonów zarysował się w pełni. Za przykładem swego Wodza wszyscy żołnierze-królewiaacy żądali zwolnienia z szeregów, wszyscy zaś obywatele galicyjscy — przeniesienia do armji austriackiej.

Gdy sam wódz Legjonów oraz jego najwierniejsi żołnierze ciskali broń pod nogi komendy austriackiej,

bezcelową byłoby rzeczą udawać się na front, aby pomnażać ich szeregi. Sławek nie potrzebował Hołówece tłumaczyć zbyt długo, że właściwy front walki o Polskę przesunął się z linii okopów legjonowych na linię starcia z mocarstwami środkowemi.

Dymisja Piłsudskiego nie była dezercją z posterunku, ale przerzuceniem broni z ręki jednej do drugiej, aby stawić czoło nowemu niebezpieczeństwu i nowym sprostac zadaniom. I nie była bynajmniej zlekceważeniem krwawego dorobku Legjonów. Nikt mocniej doniosłości tego dorobku nie uwydatnił, niż Piłsudski w swym pamiętnym liście z dnia 6 października 1916 do prezesa Komitetu Krakowskiego, Leopolda Jaworskiego: „Gdym szedł 6 sierpnia w pole — czytamy w tym liście — nie szło mi o to, jak w szczegółach ma być rozstrzygana kwestja wojska w Polsce, lecz po prostu o to, czy wogóle żołnierz polski ma pozostać istotą mistyczną, pozbawioną krwi i ciała, czy też stać się ma żywą rzeczywistością. Chciałem, aby w wielkiej wojnie światowej toczonej na polskiej ziemi, gdy żołnierz ze swym mundurem i bagnietem wedrze się do każdej niemal chaty i zagrody naszych wsi, żołnierz polski nie pozostał malowanką, oglądaną przez grzeczne dzieci, nieraz pokryjomu po kątach. Chciałem, by Polska, która tak gruntownie po 63 roku o mieczu zapomniała, widziała go błyszczącym w powietrzu w rękach swoich żołnierzy... I gdybym mógł swych młodych żołnierzy, śniących w grobie o Polsce, zapytać o zdanie szczere — a umarli i umierający nie kłamią — powiedzieliby wraz ze mną, ich wodzem, że nie żałują ani krwi, ani ofiar, gdy ten sen i marzenie długich lat się ziścił. Żołnierz polski, własnymi polskimi

siłami stworzony, dał swej ojeczyźnie wartość, której bez niego nie posiadała“.

Jak z tych słów Piłsudskiego widać, przypisywał on Legjonom wartość nie tylko orężną i polityczną, ale i wychowawczą, i tę ich rolę czynnika wychowawczego stawiał bynajmniej nie na ostatnim miejscu. Żołnierz legjonowy, jego zdaniem, był wielki, gdy sprawę Polski wskrzeszał przed obliczem Europy; ale jeszcze, być może, większy był wtenczas, gdy, zmieniając mundur oficerski na szarą bluzę peowiacką, w łonie własnego społeczeństwa budził i krwią własną ożywiał starodawną wojskową tradycję. To pewna, że wtórą tę zasługę okupić mu wypadło nierównie większym nakładem poświęcenia, znoju, wytrwania, nierównie cenniejszą ofiarą, nierównie wyższym wysiłkiem.

Na walkę z nieprzyjacielem wystarczała nieustraszona odwaga i niezawodna stal bagnetu.

Na przekonanie i porwanie do czynu rodaków trzeba było genjuszu serca, wyrozumiałości, wnikania w niedole cudze a bliżnie; trzeba było tego najrzadszego spławu cnót, jakim jest połączenie duszy żołnierskiej z duszą pioniera i zwiastuna nowej wartości moralnej.

To drogocenne połączenie najszlachetniejszych pierwiastków moralnych miało stać się ideałem charakteru peowiackiego, a ideał ten jedno ze swych najwyższych wcieleń osiągnął w Tadeuszu Hołówece.

Nie zrywając łączności z Polską Partją Socjalistyczną, w której reprezentuje kierunek czysto państwowotwórczy, wierny intencjom Komendanta, całą

duszą oddaje się pracom w Polskiej Organizacji Wojskowej.

Jako „Otfinowski“ (zapożyczywszy ten pseudonim od jednego z przygodnych towarzyszków niewoli niemieckiej) stanął Hołówko przy boku Zdanowicza (Opielińskiego), ówczesnego komendanta okręgu warszawskiego P. O. W., obejmując powierzony sobie referat polityczny. Pod energicznym, sprawnym kierownictwem Tadeusza referat ten odrazu zatętnił życiem, stając się ośrodkiem rozległego na cały okrąg warszawski promieniowania bojowej idei Piłsudskiego. Ciągłe w ruchu, ciągle w podróży i rozjazdach, wędrując z odczytu na odczyt, z trybuny na trybunę, Hołówko, jak pochodnia, płonie i zapala innych.

„Miesiące i lata mijały — mówi Adam Koc o tym okresie życia Tadeusza — a jego tęsknota do munduru i broni nie może się spełnić“. Ale to, że pracował i walczył bez munduru, nie świadczy bynajmniej, że walczył z mniejszym nakładem ryzyka i odwagi. „Żarliwa jego wiara — stwierdza Koc w dalszym ciągu — sprawia, że ten bojownik P. O. W. jest wszędzie niezmordowany, na najgroźniejszych odcinkach obecny“; dzieli się entuzjazmem z towarzyszami, ale najszerzy udział w niebezpieczeństwach zastrzega zgóry dla siebie.

Odtąd na długo, bo aż do chwili rozbrojenia i wyrugowania okupantów, a więc na całe dwa lata, życie osobiste Hołówki roztopia się w życiu Polskiej Organizacji Wojskowej. Uczestniczy on całą duszą w jej działaniach. Dzień po dniu przeżywa jej prace, spiski i bunt, aż do najgłębszych chwil ofiary, aż do ostatniej chwili Zmartwychwstania.

Spisek Bezmyślności.

Gdy po chwilowej przerwie, wypełnionej polityką kokieterji, zawiśnie znów nad okupacją pruską terror i prześladowanie, Hołówko zejść będzie musiał, jak cała P. O. W., w podziemia, narażając się raz jeszcze na obozy jeńców i więzienia. Nim jednak zstąpi w mroki spisku, skorzysta na kilka tygodni z trybuny odnowionego „Widnokągu“, aby rozegrać jedną z najświetniejszych kampanij, jakie znają dzieje publicystyki polskiej od czasów Mochnackiego.

Trybun insurekcji listopadowej walczył przeciw tyranji nierozumu. Hołówko postanowił walkę stoczyć z despotyzmem bezmyślności i kołtunerji.

Ostoją władztwa tych dwóch potęg podówczas był „Kurjer Warszawski“, najpopularniejszy dziennik stolicy, przeciwstawiający się dążnościom Piłsudskiego całą mocą swej już wtenczas bezmała stuletniej tradycji bezwładu, wyhodowanego przez rządy moskiewskie.

Huraganowa pasja ataku, z jaką Hołówko poprowadził swą polemiczną akcję, stawia ją w szeregu politycznych pamfletów w najszlachetniejszym, rewolucyjnym tego słowa znaczeniu. Jednocześnie zaś odśłania nam w charakterze jego rys kapitalny, naogół mało znany, gdyż zazwyczaj ujawniany przezeń tylko w gronie najpoufniejszych przyjaciół: rys bajecznego humoru.

Ta złota żyła humoru, drzemiąca w duszy Hołówki i nazewnątrz ukradkiem tylko wyzierająca z przymrużonych oczu śmiechem zawadżaki i urwisa, tu, w walce z uroczysem i pretensjonalnem głupstwem, zajaśniała

całym przepychem swego skarbu. Ona też, w połączeniu z namiętnością polemisty, czyni z owego pamfletu Tadeusza dziś jeszcze lekturę rozkoszną i czarującą.

W ciągu swych ostatnich kilkunastu lat przedwojennych życie Warszawy było w gruncie rzeczy pożytne, straszne i ponure. Podówczas to „Kurjer Warszawski“ podjął się wdzięcznej roli przesłonięcia tej grozy życia naszego kolorami tęczyowych baniek; podjął się przemalowania tego surowego obrazu prawdy w oczach warszawianina na wesoły, różowy obraz farsy i operetki. Dziennik ten prowadził zastępy warszawian na pokłon nowowschodzącej gwiazdy baletu; bił na alarm z powodu braku ciepłych ustroni na placach miejskich, piorunował na drożyznę olejku rycynowego, pisał sentymentalne monologi po śmierci „rycerskiego“ Skałłona, skraplał słuzem zachwyty dąb zasadzony własnoręcznie przez Engałyeczewa — słowem, istotnie, czynił życie swego czytelnika szumnym, barwnym, pełnym wielkich trosk o małe rzeczy, wyzudem zato doszczętnie z trosk o rzeczy wielkie; czynił zeń człowieka najzupełniej z siebie, z otoczenia i z warunków bytu zadowolonego.

Cóż więc dziwnego, że wszyscy znużeni, zleniwiali, nieufni w skuteczność wysiłków poprzednich pokoleń, śpieszyli na łono „Kurjera Warszawskiego“, skwapliwie przez to samo wpisując się w szeregi bractwa, które zapewniało im spokój duszy i dobroć tuszy za życia, po śmierci zaś wdzięczny nekrolog? I oto wyrosło pokolenie, dla którego „Kurjer Warszawski“ stał się ewangelją, niosącą ludziom wieść o błogim zaniku wszelkiej za swój byt odpowiedzialności.



Tadeusz Hołówko w gronie komendantów okręgowych P. O. W. (r. 1917).

Stoją (od lewej do prawej): Karol Krzewski, J. Gaładyk, Wacław Vorbrodt, Tadeusz Hołówko, Bogusław Miedziński, Janusz Gańsorowski, Stanisław Hempel, K. Wądołkowski, Malicki.

Siedzą: J. Opiełiński, K. Libicki, Witold Gołębiowski, T. Kasprzycki (Komendant Główny), Wacław Jędrzejewicz, Jur Gorzechowski, Herfurt.

Przed kilku laty Hołówko, po raz pierwszy stając na polskiej ziemi jako przybysz z dalekiego wschodu i rozglądając się po społeczeństwie oczyma pełnemi nostalgji czynu, przerażony był obszarem spustoszenia, jakie w społeczeństwo to wniósł zgubny trójjolaizm hrabiów Tarnowskich, arcybiskupów Likowskich i Puzynów, Dmowskich i Świętochowskich. Ale teraz, w drugim, w trzecim roku wojny, gdy ziemia stękała po nocach pod ciężarem krwi, spostrzegł, że jest w Polsce coś gorszego od najpotworniejszej myśli; coś, co stoi poniżej Dmowskiego i Świętochowskiego: potężny spisek Bezmyślności i Kołtunerji, znaczący wzorem innych zespołów imię swe inicjałami — B. K.

„Krąży wieść — pisał Hołówko, i tu zaczynał grać jego zawadjacki humor — że poza temi literami stoi żywy człowiek. Nie wiem. Być może. Jeśli tak jest, dowodziłoby to, że człowiekiem stała się pieczęć pospolitości i miernoty, odcisnięta na bruku warszawskim przez niwelujące prądy „usmirenja“ (poskromienia buntu)“.

Nie doszukując się poza osłoną symbolu żywej jednostki ludzkiej, Hołówko zdawał sobie sprawę, że uderzenie w jednostkę byłoby dla niej zbyt wielką krzywdą, a być może, i zbyt wielkim zaszczytem. Nie chodziło mu o człowieka, tylko o zjawisko społeczne.

I dlatego czuł, że może uderzyć, i uderzył w nie istotnie z tak bezwzględną furją.

Nie będziemy tu streszczali tego, co pisał wtenczas Hołówko, już dlatego, że furję można przeżyć, ale streścić jej nie można. I nie mamy dość miejsca na to, aby podać choćby najcenniejsze błyskawice jego roz-

igranego a morderczego pióra. Byłoby wszakże za-
przepaszczaniem dorobku, tragicznymi okupionego
doświadczeniami, gdybyśmy nie podali zasadniczego
przynajmniej wątku, jaki przewodził tej świetnej
serji artykułów.

Bractwo B. K-owców wystąpiło na arenie woj-
ny — przypomina Hołówko — odrazu z wyznaniem
niezachwianej wiary w odezwę Mikołaja Mikołajo-
wicza, przyczem jednym skokiem w patryjotyzmie ro-
syjskim prześcignęło samych Rosjan, dowodząc, że
Rosjaninowi nie wolno wątpić o niewolniczości Po-
laków, gdyż to mąci dobre stosunki obu narodów.
Bractwo B. K. czuje się wręcz oburzone podejrze-
niami Milukowa co do szczerości wiernopoddańczych
uczuć polskich wobec Rosji i jej carskiej dynastji.
Z zapamiętaniem odpiera B. K. „krzywdzące“ posądzenia
i zapewnia, że w świetle promiennych obietnic rosyj-
skich zamgliły się bolesne wspomnienia przeszłości.

Trudno pozornie — robi uwagę Hołówko —
o większą szczerość i wiarę w swoje ideały. Ale jak
długo zdoła B. K. przy tych ideałach wytrwać?

Dopóki rządził Królestwem Mikołaj Mikołajowicz,
B. K. widział w nim wcielenie opatrności polskiej.
Wierzył weń, jak Arab w proroka. Zespolił się tak
ściśle z jego manifestem, jak grudka gliny wilgotnej
z podeszwą żołnierskiego buta. Jeszcze na dwa dni
przed ewakuacją Warszawy, która już od paru ty-
godni stała w wieńcu podpalanych przez kozactwo
wsi i miasteczek, B. K. ogłosił w „Kurjerze War-
szawskim“ artykuł pod tytułem „Autonomja Polski“,
w którym rozpaczliwie przytracać będzie sprawę
polską do strzemion uciekających hord moskiewskich.

Lecz, oto, Moskal ustąpił — i nie dawał znaku rychłego powrotu. B. K. ani się zająknął od zdumienia wobec nowego rzeczy porządku, który w gruzy obalał przecież jego dawne „promienne“ nadzieje. Tem samem piórem, które czyniło wyrzuty panu Milukowowi, podejmuje obecnie „tezy pana Napieralskiego“: tezy, polegające na twierdzeniu, że w interesie Niemiec i Austrii leży stworzenie silnej Polski. „Bardzo pragnęlibyśmy, pisze B. K., aby ten pogląd rozpow szechnił się w państwach centralnych sojuszników, ponieważ jesteśmy przekonani, że mając tak potężnych sojuszników ojczyzna nasza tem łatwiej pozyskać mogłaby całkiem normalne warunki istnienia“.

Już wtedy zamiast wrogów zaciętych w państwach centralnych — podkreśla Hołówko — B. K. gotów jest widzieć w nich potężnych sojuszników. Maluczko, a obwieści, że stał zawsze na stanowisku niepodległości Polski. Lecz jak wobec tego — pyta Tadeusz — wygląda sprawa z autonomją?

B. K. nie zawaha się z odpowiedzią. „Wszelkie pomysły autonomiczne — odpowie na ręce tegoż Milukowa, którego zawstydział niedawno swym carsławynym patryjotyzmem, — są w naszej opinji stanowczo pogrzebane“...

H o ł ó w k o: „W taki to sposób B. K. stojąc zrazu „twardo“ przy postulacie autonomji, stanął teraz „twardo“ przy postulacie niepodległości, a w razie zmiany warunków, rzecz jasna, znowu stanąłby „twardo“ przy autonomji“.

Obóz piłsudczyków, im bardziej oddalało się widmo powrotu Moskali, tem ostrzej, tem silniej, tem wy-

łączniej zwracał się frontem przeciwko Niemcom i Austrii. Wykładnikiem politycznym tej zmiany frontu było stopniowe roztapianie Legjonów w szereгах Polskiej Organizacji Wojskowej.

Inaczej — w kierunku wprost odwrotnym — odbywała się ewolucja bractwa B. K-owców. Póki go-rzały na wschodzie łuny pożarów, wszczynanych przez Moskali, bractwo dochowywało świącie ślubów wierności złożonych carowi. Lecz gdy minęła zima, gdy zbliżała się wiosna, a wiatr od wschodu nie przy-nosił ani huku armat, ani echa pieśni kozackich, brac-two B. K-owców jęło coraz potulniej chronić się pod opiekę urzędów pruskich.

B. K., pragnąc zabezpieczyć członków swego brac-twa od strony państw centralnych, zaczyna robić dygi i uśmiechy wobec ich rządów: coraz goręcej dekla-ruje im swą lojalność, zachęcając je do powzięcia przychylnych postanowień w sprawie polskiej, ale jednocześnie prosząc o jedno: aby od Polaków nie wy-magano wzamian jakichkolwiek decyzyj i czynów. „Bo jeśli — przekonywa B. K. — interes państw cen-tralnych nakazuje im coś zrobić, to będą one do tego dążyły wbrew wszelkim trudnościom materialnym i psychologicznym. Jeśli zaś jakaś nasza decyzja ma na nie wpływać, toby znaczyło, że żadnego wyraźnego interesu dotychczas nie było“.

H o ł ó w k o: „Trudno o jaśniejsze sformułowanie zagadnienia. Mogą Polacy od niepodległości uciekać, jak wilk do lasu; państwa centralne, jeśli tak im każe interes, przyprowadzą uciekinierów zpowrotem do ojczystego domu i „zmuszą“ do samodzielności. B. K-owiec rozumie, że tym interesem może być Pol-

ska jedynie jako reduta przeciwko Rosji, ale ta właśnie strona zagadnienia najbardziej go nęka. On chce takiej niepodległości Polski, z której istnienia wszystkie państwa byłyby zadowolone, nawet Rosja. I wielki mistrz Bezmyślności znajduje jedyne w swym rodzaju wyjście: na Polskę silną Rosja, rzecz prosta, nigdy dobrowolnie się nie zgodzi, lecz zgodzić się może, zdaniem B. K., na istnienie „stosunkowo słabego państwa, oddanego z najwyższą energją pracy kulturalno-narodowej wewnętrznej“.¹ Bractwu B. K-owców taka Polska — jako nieszkodliwy a kochany przez wszystkich benjaminek Europy — najbardziej trafiała do przekonania. Polska oddana „jedynie wewnętrznej pracy“ nie będzie potrzebowała utrzymywać armji, bo wszyscy będą jej sprzyjali, cała Europa poręczy na wieki jej nietykalność. Jak widać, pod powłoką zmian powierzchniowych bractwo B. K. nie zmieniło swej istoty: dawniej dawało ono aprobatę na zjednoczenie ziem polskich pod berłem carów w imię interesów Rosji, żądając tylko, aby go do pracy przytem nie pociągano; teraz pozwala państwom centralnym stworzyć niepodległą Polskę w imię interesów ich własnych, zastrzegając znowu ten sam warunek: aby ta niepodległość żadnych nie pociągnęła za sobą kosztów...

Wojna światowa, ze swym orszakiem nieszczęść, porywów i nadziei, była krwawym pługiem, który, przeorując całe społeczeństwo, olbrzymie siły wyzwał na szczytach myśli polskiej, jak w głębinach duszy ludu. Ale im głębiej zmiany te się

¹ „Kurjer Warszawski“ z dnia 3/IV 1916 r.

gały, tem dotkliwiej dawała się wyczuć jakaś moc zastoju i oporu, stojąca na przeszkodzie temu, aby nowe, odrodzeńcze prądy rozszerzyły się i porwały za sobą cały naród.

Uosabiając tę moc oporu w jednej skoncentrowanej pozycji lub może postaci, Hołówko dokonywał właściwie aktu śmiałej stylizacji. Ale w akt ten ileż włożył przenikliwej analizy, ile intuicji społecznej, ile przewidującego instynktu!

Wszak każdy, kto głębiej patrzy w życie, chociażby tylko Warszawy, zgodzić się musi, że najcięższą kłodą, zagradzającą drogę do czynu, najwalmiejszą zaporą do wszystkich zwycięstw Piłsudskiego była nie myśl jego przeciwników, ale klątwa bezmyślności.

Po stokroć słuszność miał Hołówko, gdy stwierdzał, że nie „Gazeta Warszawska“ i jej partja zaciążyły najbardziej nad duszą Warszawy, nie! „Obóz Dmowskiego — tłumaczy Tadeusz — szerzył antysemityzm i moskalofilstwo, zohydzał ruch niepodległościowy, ale miał w tem swój program, wołał Warszawę do czynu — do bojkotu Żydów, do tworzenia „drużyn kainowych“, czynów głupich i karygodnych, lecz bądź co bądź posiadających znamię c z y n u“.

Lecz bezmyślność, ze zręcznością linoskoczka balansująca po linie złotego środka, zasyłająca pocałunki to na Wschód, to na Zachód, już z natury swej żadnego czynu nie znosi. Śmieszna, jako wróg, bezmyślność ta, natomiast, straszna i niebezpieczna staje się jako sojusznik. „Biada tym — przestrzega Hołówko — którzy chcą to stojące bagno wprowadzić w bieg życia, stanie się bowiem rzecz odwrotna: bagno wessie i pochłonie rzekę!“

Pod kolumną Zygmunta.

W jesieni roku 1916 cały obszar ziem polskich zjednoczył się w rękę państw środkowych. Sprawa polska, dzięki ich zwycięstwom nad Rosją, wypłynęła w całej pełni na forum międzynarodowe, jako naczelne w owej chwili zagadnienie polityki europejskiej. Na terenie sprawy polskiej otwierało się przed Niemcami pole walnej rozprawy z koalicją, do której wciąż jeszcze należała Rosja, nie wyrzekająca się uroszczeń zaborczych.

Mając w rękę Warszawę i Wilno, mając zaczyn polskiej siły orężnej w Legjonach, Niemcy, zdawało się, posiadały najważniejsze czynniki, aby sprawę polską pchnąć z martwego miejsca.

Pehnięcie to przyszło w postaci słynnego „manifestu dwóch cesarzy“, obwieszczającego wskreszenie na ziemiach wydartych Rosji niepodległość państwa polskiego. Manifest ów zrazu po stronie polskiej jak niemieckiej wywołał wielkie nadzieje, a potem większe jeszcze rozczarowanie. Ogłoszenie niepodległości Polski przez mocarstwa centralne przekreślało koncepcję N. K. N., który chciał doprowadzić do połączenia Galicji z Królestwem. Zdawano sobie w Austrii sprawę, że liczyć się trzeba z niezadowoleniem ludności polskiej w Galicji, która dążyła do włączenia w państwo polskie, rachowano się z irredentą w przyszłości. By złagodzić ten efekt, równocześnie cesarz austriacki zapowiedział „wyodrębnienie“ Galicji, t. j. zapewnienie jej w ramach Austrii szerokiej autonomji, niegdyś już przez ten kraj jako postulat wy-

suwane, oczywiście, kiedy o rychłym odbudowaniu państwa polskiego nie myślano.

Jakąż wartość miały te fakty?

„Tę — odpowiada Hołówko — że po raz pierwszy urzędowo jedna strona stawiała zasadę niepodległości Polski jako Państwa; z tem musiano się już odtąd liczyć. Gdy na gruzach caratu powstanie w Rosji rząd rewolucyjny, nie będzie on już mógł zejść poniżej tej zasady, a przez to samo w sprawie polskiej rozwiąże on ręce swym zachodnim aljantom: Francji, Anglii i Włochom“.

Poza tem znaczeniem międzynarodowem, akt 5 listopada miał, w rozumieniu Hołówki, niemniej przełomową wagę także i dla wewnętrznych stosunków polskich: gdy przedtem na płaszczyźnie niepodległości stali tylko ci, którzy szukali przymierza z państwami centralnemi, teraz, po akcie listopadowym nawet ci, którzy wspierali się na Rosji, wysuwali program własnego państwa. Państwo polskie przestało być hasłem jednego obozu i stało się dążeniem wszystkich Polaków.



Pamiętam pogodny, śliczny poranek jesienny owego dnia listopadowego: stojąc wraz z Tadeuszem pod starą kolumną Zygmunta, przyglądaliśmy się krążącym w niemem milczeniu tłumom. Hołówko, jak cała Warszawa, sprzecznemi mienił się uczuciami. Cieszył się, jak tylko on cieszyć się potrafił, gdy rozmyślał, że „miecz rzucony na szalę losów“ przez Piłsudskiego dawał już pierwsze doniosłe wyniki; ale jednocześnie żyzymał się i niemal kłął gniewnie pół-

głosem, gdy w zdumionych, przygasłych oczach tłumu widział jakąś niepewność, jakiś lęk, który odczuwa się wobec rzeczy niezrozumiałych, rzeczy wyłamujących się z utartego szlaku dnia powszedniego. Ten niecierpliwy poeta czynu, któremu zawsze godziny wlokły się zbyt opieszale i który gotów był popędzać czas do szybszego biegu, jak leniwego muła, patrząc w tłumy przechodniów, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dla tych ludzi wypadki idą zbyt szybko.

I mimowoli nasuwała mu się w pamięci scena z niedawnej przeszłości. Zgórá rok temu szła tem samem Krakowskiem Przedmieściem gromadka chłopców w szarych polowych mundurach. Szła, jakby przebijając się zuchwale przez gąszcz niechęci i obojętności otaczającego ją tłumu. W powietrzu kołysały się jeszcze kręgi ech od wybuchu wysadzonych na Wiśle mostów. Ze zdumieniem przyglądali się warszawianie tej pierwszej improwizacji wojska polskiego: granatowe maciejówki z przypiętymi biało-czerwonemi kokardkami wywoływały oszołomienie. W istocie bowiem rzeczy i wtenczas już niechęci, czy nawet obojętności, nie było. Było natomiast w olśnionych oczach tłumu jakieś do bólu dochodzące zdumienie na widok tych szarych mundurów, idących przez ulice Warszawy, po których tak niedawno kroczył rosyjski pacholek żandarmski. I nie było, zdawało się, wśród przechodniów prawie nikogo, ktoby rozumiał, skąd ci chłopcy tu przyszli w mury największego w Polsce więzienia; dlaczego ich stopy nie wyciskają z pod kamieni ulicznych krwi, która w nie tak często tutaj wsiąkała.

Przez rok zgórá, jaki upłynął od wypędzenia Mo-

skali, zmieniło się niemało i w murach i w sercach Warszawy. Ale dla Hołówki jakże leniwe, jakże ospałe było tętno tych przemian!

Nie mógł myśleć bez gniewu, że w dniu proklamowania niepodległości stolica kraju dobrowolnie wciąż zachowywała haniebne cechy niewolnicy rosyjskiej. Obce napisy nad sklepami, moskiewskie szyldy kupieckie, upokarzające nazwy wielu ulic, pomniki hańby i ucisku: te widma niewoli wyzierały zewsząd jeszcze w piętnastym miesiącu życia oswobodzonej od Moskali Warszawy!

„Nie można przecież mówić na serjo — wybuchał, ilekroć potrącał o ten temat — że na te rzeczy czas jeszcze: byłoby to nietylko śmieszne, ale wręcz bezcelne. Tak sprawy biorąc, wypadłoby ślady panowania Rosji w stolicy zatrzymać nawet w wolnej już istotnie Polsce; zawsze przecież znalazłoby się coś pilniejszego do zrobienia“. — Sprawa kosztów? Ależ w niektórych wypadkach, jak np. w sprawie spolszczenia szyldów — wykazywał Hołówko — koszty są minimalne. W innych, jak przy przywróceniu dawnych kształtów pałacowi Staszica, mogą sięgać wprawdzie sum znacznych, ale nie potrzebują być wyłożone odrazu.

Tadeuszowi, oczywista, nie chodziło o to, aby natchniami ukazała się w Warszawie dawna fasada gmachu narodowego, tylko o to, aby zniknęła szpetna maska moskiewska. W całokształcie życia narodowego były to drobiazgi. Ale w drobiazgach tych płonęły lampy symbolów, oświecające rozległe obszary uczuć i myśli, bynajmniej dla narodu nie obojętnych.

Hołówko nie mógł bez upokorzenia i bólu patrzeć

na wyniosłe, jakby pychę wydęte kopuły prawosławnego „soboru“ na placu Saskim. W ogromie tej budowy, w jej fundamentalnej potędze, w jej urągłej okazałości, czuł on jakgdyby wyzwanie, jakgdyby w kamień zaklęty sen carów o wiekuistym panowaniu nad Polską. Ta świątynia przemocy i pychy, podająca rękę lochom Cytadeli, wydawała mu się kamiennym hejnałem carów nad grobowiskiem polskich rycerzy.

— Czyż te pomniki obcego władztwa i urągowiska nie powinny były zniknąć z oblicza Warszawy już w pierwszym roku po wypędzeniu Moskali?

Tadeusz z gorzkim uśmiechem przypominał sobie argumenty, któremi „polityczna subtelność“ B. K-owców ochraniała nietykalność pamiątek po najezdcach, pilną jakgdyby zaciągając wartość wokół cerkwi na placu Saskim, wokół posągu Paskiewicza, wokół pomnika generałów, co „polegli za wierność swemu monarsze“ z rąk powstających podoficerów i żołnierzy, ha! nawet wokół tablicy z imieniem hr. Berga.

Stało mu w oczach jedno z burzliwych podówczas zebrzań w Towarzystwie Literatów i Dziennikarzy w Warszawie, na którym Wacław Sieroszewski, nie hamując wzburzenia, sypnął iskrami gniewu na tych gorliwych kustoszów niewoli. Wykazał czezość i fałszywość rachub, które jakieś „subtelności polityczne“ mieszają do rzeczy tak prostych i mocnych, jak instynkt narodu. Wykazał, że poza temi rzekomo subtelniemi rachubami czai się nie innego, tylko zwykły, obmierzły strach przed powrotem Moskali, strach tyleż niski, ile niedorzeczny.

I wtenczas, ku zdumieniu Hołówki, znalazł się na

sali ktoś, starannie pielęgnujący swój patryjotyczny pióropusz, ktoś, wtenczas ceniony jako krytyk literacki, potem znany jako komedjopisarz, który z zapalem wziął w obronę bizantyńską schedę niewoli.

— Ledwie Rosjanin miasto nasze opuścił — wywodził ów literat imieniem wszystkich warszawskich B. K-owców — a my, korzystając z jego nieobecności, może chwilowej, mielibyśmy, jak chce Sieroszewski, oddawać się bezmyślnym wybuchom fantazji i temperamentu? Mielizbyśmy natychmiast burzyć gmachy, które nam się nie podobają? Wywracać pomniki i zacierać nazwy, które pieczy naszej poruczono? A toż ładne przed całym światem wystawilibyśmy sobie świadectwo! Postępowanie, które tutaj zaleca pan Sieroszewski, nie byłoby godne polityków; nie byłoby godne mężów dojrzałych i rozważnych. Przypominałoby ono raczej niesforność szkolnych rozbrykanych żaków, którzy czekają tylko na wyjście surowego profesora z klasy, aby złośliwie pokazać mu język i wygrażać pięścią, a potem z wrzaskiem rzucić się do rozbijania sprzętów i tablic...

— Oto — pomyślał sobie w owej chwili Hołówko — kwik bezwstydnego pachola, który tak przywykł do moskiewskiej obroży, że cześć jej nie przestaje nawet wtenczas, gdy ją obca dłoń już rozbiła. Tresura poddaństwa odwróciła tablicę wartości i tam, gdzie stała godność, wypisała: strach. Strach, który, aby rozgrzeszyć siebie, spycha naród na poziom nieletnich żaków, a w najezdce surowego wielbi profesora.

Jakaż przepaść dzieliła te zbutwiałe serca od młodości, tętniącej wichrem idei Piłsudskiego! Nie była to, właściwie, różnica wieku. Sieroszewski mógł być

ojcem Hołówki, ten zaś, który się im obu przeciwstawił, zalecając Polsce tresurę żaków, był wiekiem bliższy raczej Hołowce, niż Sieroszewskiemu. Dzieliła ich temperatura krwi, odbijając się w temperaturze wiary w naród.

Jak sen przemknął przez głowę Tadeusza epizod z jego dawniejszych jeszcze, petersburskich czasów... Oto, w poufnem gronie kolegów kipi znów niewyczerpany temat: wojna! wojna i niepodległość! Oczy studentów płoną, jakby przepalić chciały zasłonę niedalekiej przyszłości.

Nagle ktoś rzuca niecierpliwie pytanie:

— Gdy Moskale uciekną z Warszawy, co należy uczynić przedewszystkiem?

— Zwalić sobór na placu Saskim! — wypalił, bez sekundy namysłu, Hołowko.

Powiedział to z takim naciskiem przekonania, że wszyscy koledzy wybuchli śmiechem, poczem i on sam roześmiał się serdecznie: przypomnieli sobie, że są tylko garścią spiskowców i że cerkiew, na którą wydali wyrok, jest symbolem potęgi, która rozpościęrała swe rządy od Pacyfiku do Wisły i Warty.

Cztery lata minęły od tych rozpraw młodzieńczych. Warszawa od półtora roku była już wolna od najazdu Moskali. Na zamku Królewskim w Warszawie biało-czerwona powiewała chorągiew. To, co w marzeniach młodzieży brzmiało niewiarogodnie, to się najdokładniej spełniło. Ale nie mogło przyjść to, co, zdawało się, żadnych nie budziło wątpliwości. Cerkiew na placu Saskim swemi złotemi kopułami nadal przyświecała polskiej doli i przyświecać miała jeszcze długo.

Dramat dwóch narodów.

Niemcy, ogłaszając niepodległość, spodziewali się, że akt ten samą wymową swego rozgłosu porwie Polaków do czynu, że ochotnik sygnie się gęsto do biur werbunkowych i w krótkim czasie powstanie liczne wojsko polskie, działające przeciw Rosji w przymierzu z państwami centralnemi. Nie przypuszczali, widzieć, że Polacy zechcą przyjrzeć się krytycznie manifestowi i zapytają, co on zawiera w swej treści, ile narodowi daje, jaki zapewnia mu wpływ na dalszy bieg wypadków według jego zamiaru i woli. Nie przypuszczali też Niemcy, że najtwardszą zaporę na drodze do swych werbunkowych celów znajdą w tym, który pierwszy w Polsce rzucił hasło do wojny z Rosją w przymierzu z Austrią i Niemcami. Omyliły się państwa centralne, sądząc, że wystarczą Piłsudskiemu i żołnierzom legionowym same tylko papierowe deklaracje i że za cenę deklaracji da Polska krew swych synów. Nieszczerość niemiecka o własną potknęła się krótkowzroczność. Piłsudski w liście do rektora Uniwersytetu warszawskiego, dra Brudzińskiego, oświadczył już nazajutrz po ogłoszeniu niepodległości, że nie rozumie armji bez rządu. W kilka dni potem ogłoszono werbunek; nie przyniósł on po prostu żadnego wyniku! A przecież Niemcom tylko o świeżego chodziło żołnierza. Polskie społeczeństwo zrozumiało, że mu sypano piaskiem w oczy.

Beseler, chcąc ratować sytuację i ominąć trudności, bez porozumienia się nietylko z Austrią, ale nawet z własnym rządem, na własną odpowiedzial-

ność pośpiesznie wygotował i ogłosił (12 listopada) patent o organizacji Rady Stanu. Wkrótce zaś potem, zaprosiwszy do siebie szereg wybitnych przedstawicieli opinii polskiej, wystąpił do nich z mową, w której, parafrazując jakgdyby słynne z przed lat stu słowa Napoleona, dał upust rozczarowaniom niemieckim i z goryczą wskazywał na rzekomą niewdzięczność Polaków. Osławiona a nałogowa pycha pruska sprawiła przytem, że Beseler, pragnąc zjednać Polaków dla swych celów, wprowadził do mowy swej nieoczekiwany a silny dysonans, który ich musiał odepchnąć. Dysonansem tym było wielokrotne podkreślenie tezy, że akt 5 listopada „jest to dar z dobrej woli, ofiarowany przez dwóch potężnych władców narodowi polskiemu“.

Jak to należało rozumieć? Co znaczyć miał w ustach pruskiego generała ten skierowany przeciw Polsce zarzut niewdzięczności?

Nikt w Warszawie nie był bardziej od Tadeusza Hołównki, współredaktora „Widnokregu“, powołany ku temu, aby zarzut ów odeprzeć i zpowrotem cisnąć w twarz okupantom.

Niewdzięczność za wielkie dary? Niewdzięczność, wyrażająca się w stawianiu coraz wyższych żądań, coraz dalej idących aspiracyj? Niewdzięczność, głucho na dobrodziejstwa „potężnych władców“?...

Ależ ci sami Niemcy, którzy teraz zbyt wygórowane zarzucali nam żądania, nie pamiętali, że polskie żądania najskromniejsze bywały deptane, gdy szły nie w ordynku okupanckich rygorów, lecz w postaci polskiej samorzutnej ofiary. To, co uchodziło za do-

maganie się od państw środkowych gwarancji, było zrazu, po stronie polskiej, tylko żądaniem, aby nasze siły podczas wojny także brano w rachubę. Z jak ochoczą gotowością szli Polacy pod sztandar przy mierza z państwami środkowymi, świadczy fakt, że jeszcze w roku poprzednim przebywali w więzieniach i obozach niemieckich ludzie, utratą wolności karani za chęć walczenia o nią na froncie wschodnim przeciw Rosji. Po fakt ten Hołówko nie potrzebował udawać się daleko: miał go wypisany w rocznikach własnego życia. Wszak on to właśnie przed rokiem, zżerany męką bezczynności w Stendhalu, marzył, jako o jedynem wyzwoleniu, o możliwości walki zbrojnej z Rosją: tak skromne było podówczas jego żądanie!

Jakże daleko wobec Niemców sięgać ma wdzięczność polska? — „Chętnie wierzymy — odpowiedział Hołówko na mowę Beselera — że do proklamowania niepodległości polskiej nie zmusiły Berlina i Wiednia ani Francja, ani Anglja, bo akt 5 listopada im samym przedewszystkiem, z uwagi na zobowiązania wobec caratu, pokrzyżował szyki. Ale z drugiej strony nie możemy aktu tego uważać za coś takiego, co się daje z łaski. Monarchowie państw centralnych musieli kwestję polską rozwiązać w sposób taki, nie inny, gdyż inaczej własnym państwom wyrządziliby krzywdę. Niemcy proklamowali Państwo polskie we własnym i tylko we własnym interesie. A że ten ich interes zbiega się z naszym najistotniejszym pragnieniem, jest to nasza wygrana“. — O „darze z łaski“ — wywodził dalej były jeniec Stendhalu — nie może być mowy. Cofając go, Niemcy zaszkodziłyby przedewszystkiem sobie. Może Beseler chciał powiedzieć, żeśmy

nie zasłużyli na niepodległość, bo mało pracowaliśmy dla jej urzeczywistnienia, mało pomagaliśmy w wypędzaniu Moskali z naszej ziemi?

— Tak, istotnie — odpowiadał. — Można usprawiedliwić ciemnego chłopą polskiego, że ten nie rozumiał, co mu niesie wojna. Lecz należy się mocno dziwić, dlaczego poprzedni kanclerz Rzeszy Niemieckiej, Buelow, nie przewidywał, że przyjsć może wojna, i nie myślał o tem, co przyniesie ona ze sobą dla Niemiec. Nie prowadziłyby wtenczas bezmyślnej polityki wywłaszczenia i germanizacji w Poznańskiem, nie pozwoliłyby na Wrześnię — a wtedy napewno dawno już inaczej ułożyłyby się stosunki polsko-niemieckie. Inaczej potoczyłyby się wypadki, gdyby Niemcy rozpoczynali wojnę, nie bombardując Kalisza, nie nasyłając hakatystów do Łodzi, lecz, zamiast Cleinowa, wprowadzając 5 sierpnia 1915 do Warszawy pułki legjonowe. Inaczej, zupełnie inaczej byłoby, gdyby politycy niemieccy nieco wcześniej nauczyli się patrzeć w daleką przyszłość. Tak, dziś ziemia polska usiana jest mogiłami żołnierzy niemieckich. I rozumiemy, że naród niemiecki chce sprawę polską rozwiązać tak, aby krew jego najlepszych synów nie poszła na marne; dlatego też my, Polacy, z ufnością radziłyśmy przyjąć akt proklamowania niepodległości... Wszelako, trudno wstrzymać się od jednej uwagi — i tu pióro Hołówki kilkoma rzutami wzbija się na wyżyny surowego patosu — która wciąż się nam, Polakom, nasuwa: jesteśmy dumni, że honoru naszego nie obciąża słowo zdrada! Kto wie, przychodzi nam niekiedy myśl, czy ta wojna straszna nie jest okrutnym wyrokiem dziejowej nemezys? Kto wie

bowiem, czy byłyby dziś w Polsce te liczne mogiły niemieckie, gdyby Prusy dotrzymały były zawartego przez siebie układu z sejmem czteroletnim i nie dopuściły do obalenia dzieła konstytucji majowej. — Nie dla wyrównania swych porachunków to mówimy — kończył Hołówko — chcemy tylko wskazać, że, jeśli niema dziś w Polsce entuzjazmu wdzięczności, na co się użalał Beseler w swej mowie, to złożyły się na to długie dziesięciolecia prześladowań i krzywd... I jeśli mówimy, że tylko rząd polski może rozporządzać krwią polską, to stwierdzamy, że nie można Polski budować bez Polaków; że można ją budować tylko na sposób polski, lecz nigdy niemiecki“.

Gdy dziś czytamy tę odpowiedź Tadeusza Hołówki na cierpką i butną mowę Beselera, już na wstępie uderza nas jedno: oto ten niedawny jeniec Stendhalu, ofiara tylu gwałtów niemieckich, ani jednym słowem żalu lub skargi nie potrafi o własne przecierpiane katusze. Wypomni Prusakom Wrześnię i Kalisz, ale ani jednej krzywdy własnej. Uważałby on za słabość i małostkowość, stojącą poniżej poziomu męskiej godności, gdyby w dialog i dramat dwóch narodów, zmagających się o prawo do bytu i rozwoju, wpłatał swe osobiste urazy.

Żołnierz niemiecki w krwawym wysiłku odsuwał olbrzymi głaz rosyjski, który przytłaczał przez lat sto zgórą piersi polskiego narodu; jakże wobec dziejowego ogromu tego zdarzenia stawał się w oczach Hołówki nieistotnym i błahym fakt, że podoficerowie niemieccy pastwili się nad bezbronnym jeńcem!

Dramat, którego Hołówko czuł się uczestnikiem, był dlań istotnie dramatem dwóch narodów, tragedją

dwóch stuleci. Gdy wypominał pruskiej „mądrości“ stanu zbrodnie podziału i rozbioru Polski, popełnione do spółki z Katarzyną, czuł, naprawdę, spiżowy krok nemezys dziejowej, posępny odbijający się echem o nieprzeliczone mogiły żołnierzy niemieckich, którzy krwią własną płacili za winy i błędy pradziadów.

Starając się na stosunki polsko-niemieckie spojrzeć z przełęczu dwóch stuleci, Hołówko jednocześnie stawał się przenikliwym tłumaczem chwili bieżącej: artykuły jego były jakgdyby wiernym komentarzem do politycznych decyzyj Piłsudskiego.

Myśl Hołówki, jak świetlista i rozwidniająca lampą, towarzyszyła krokom Komendanta w jego najtrudniejszych, najdramatyczniejszych przełomach, gdy na swych barkach, przygarbionych lecz nieugiętych, przenosił — między młotem Niemiec a kowadłem Rosji — los skrwawionego narodu.

Piłsudskiemu nigdy nie zbywało na żywiołach skorych do posłuchu, niekiedy aż nazbyt ślepego, i nawykłych do karności, niekiedy aż nazbyt mechanicznej. Ale Hołówko był jednym z tych rzadkich umysłów, które, nie uchylając się w obliczu Piłsudskiego od roli wykonawców, dorastali poziomowi istotnej i rzetelnej z nim współpracy. Umiał on być nie tylko narzędziem, ale i sprawną ręką; nie tylko ręką, ale i przewidującym mózgiem. Umiał myśleć swego wodza odgadywać; potrafił, gdy inni dreptali w zakłopotaniu, torować jej drogę do serc społeczeństwa. Po ciskach jego argumentów już naprzód leciały tam, kędy niebawem uderzyć miał czyn Piłsudskiego. Tak było w przededniu wojny i po jej wybuchu; tak było po zajęciu Warszawy przez Niemców i po ich rozbro-

jeniu; tak miało być w okresie pierwszych sejmów i w dniach, poprzedzających przewrót majowy.

Jak ogniste wici pogotowia, myśli Hołówki zapalały się od pochodni Wodza i leciały nad krajem, wskazując szlaki, na których ważyć się miały narodu wola i niewola, śmierć i życie.

„Rząd i Wojsko“.

Odpowiedź Hołówki na mowę Beselera jest ciekawym dokumentem historii, nie tylko z uwagi na swą treść i na ton, który ją ożywia. Niemniej znamienym w niej rysem jest i to, że ukazała się w prasie nielegalnej, na łamach nowego tajnego tygodnika „Rząd i Wojsko“. Aby móc szczerze mówić z Niemcami, nie można było mówić jawnie. Kto brał na serio proklamowane przez nich państwo, ten zacząć musiał od przeciwstawiania się ich władzom: musiał zpowrotem zejść w podziemia.

Charakteryzując publicystykę Hołówki, wymieniliśmy już wyżej wzór i przykład Mochnackiego. W nim, istotnie, silniej, niż w Tadeuszu, nie odżył ów dwoisty typ żołnierza i pisarza politycznego, tak znakomicie uosobiony w Mochnackim. O Hołówce, jak i o autorze „Powstania Narodu Polskiego“, powiedzieć można, że pisał krwią, a walczył słowem, zamienionem w stal. Jeden i drugi w potrzebie odbiegli pióra dla karabinu i od karabinu wrócili do pióra. Czasopisma dobierali sobie jak oręż. Okresy bojowe charakteryzowali godłami tygodników, w których pisali.

Okres młodości przedwojennej, to — w życiu Ho-

łówki — petersburski „Głos Młodych“. Pierwsze lata wojny światowej — to walka na reducie „Widnokregu“. Ostatnie lata wojny — to „Rząd i Wojsko“. Po nich nastąpi okres „Drogi“ i „Robotnika“, potem „Trybuny“ i „Drogi“, wreszcie — „Gazety Polskiej“. Każda redakcja z chwilą, gdy wstępował do niej Hołówko, zaczynała tętnić i kipieć życiem; i prawie każda, gdy od niej odchodził, więdła i traciła rumieniec.

„Rząd i Wojsko“ — naczelny organ Polskiej Organizacji Wojskowej, założony przez Adama Skwarczyńskiego, a po jego aresztowaniu redagowany przez Janusza Jędrzejewicza, zaczął wychodzić od września 1916 i w pierwszym już numerze, jak w soczewce, skupił naczelne dążenia całej Polski.

„Dwie są sprawy — czytamy w jego artykule wstępnym — które w życiu każdego wolnego narodu wysuwają się na czoło, bez których wolność byłaby tylko złudzeniem: wojsko i rząd. Wojsko, które jest ramieniem ku odparciu przemocy; rząd, który jest mózgiem, kierującym czynami społeczeństwa“.

Polska ludowa, rząd i wojsko — oto hasła, które wypisane były podówczas na sztandarach Polskiej Organizacji Wojskowej i które gorzały ogniem wewnętrznym w duszy Hołówki. Polska ludowa — a więc zapewniająca szerokim rzeszom ludu pracującego drogę otwartą do najwyższych godności w państwie i najwyższej skali dobrobytu, uzależniając powodzenie jednostki jedynie od jej sił indywidualnych i wartości.

Rząd silny i trwały — a więc nie podporządkowany interesom jednej grupy społecznej lub jednej

klaśy narodu; sprawiedliwy i bezstronny, oddany wyłącznie pracy nad rozwojem i wzmożeniem siły państwa w imię własnego dobra narodu i postępu cywilizacji.

Wojsko narodowe — a więc tarcza bezpieczeństwa, ostoja niepodległości; wcielony honor i obowiązek obywateli, równych w obliczu prawa, równych w obliczu ofiary.

„Temi hasłami — pisze współtowarzysz Hołówki, Marjan Zyndram Kościałkowski — rozpoczęli powstanie walkę na śmierć i życie z zaborcami“. Gdy polski świat polityczny wikał się w sieci kompromisów, obdarzając pokolei swem zaufaniem Korpus Poślikowy, Radę Stanu, Radę Regencyjną i „Wehrmacht“, aby kolejno na wszystkich owych „darach“ niemieckich srogię doznać zawodu, w głębi społeczeństwa, poza zasięgiem okupantów, rosła i potęgowała nowa zbrojna improwizacja Piłsudskiego: nowy w jego ręku atut gry politycznej i militarnej. Niemcy nie odrazu zdali sobie sprawę z wagi tego atutu, jakkolwiek przeczuwali w nim utajone dla siebie niebezpieczeństwo. „Polska Organizacja Wojskowa — pisze Piłsudski, jej twórca¹ — była przedmiotem targów i przetargów, prowadzonych ze mną w wyższych sztabach austriackich i niemieckich w 1916 i 1917 latach. Dyskutowano o niej często w Radzie Stanu, utworzonej po manifestie listopadowym obu cesarzy, gdy jeden z zaborców został, nie naszymi zresztą rękami, usunięty zupełnie z ziemi polskiej i gdy przy przewadze wzrastającej niemieckiej na ziemiach polskich

¹ J. Piłsudski: Piękne „wczoraj“. Sulejówek 22/X 1925.

coraz jaśniej było dla wszystkich, że Polska ma ziszczonym powtarzany tak często przez Polaków ideał, streszczający się w słowach: „jeden pan, jeden bat!“

Co dla polityków małego ducha było ziszczeniem ideału, to dla duszy peowiackiej stawało się odskocznią i punktem wyjścia dla nowych, wielkich wysiłków. Gdy Świętochowski i Dmowski, pojednani ze sobą w roku 1914 pod błyskawicą szabli rosyjskiej, streszczali ideał swych dążeń w zjednoczeniu ziem polskich pod „jednym panem“, nie spodziewali się zapewne, że wojna, opasując kolezastym drutem niemieckim całą Polskę, tak okrutnie w pewnej chwili przygwoździ absurd ich programu.

Nie poprzez „zjednoczenie“ pod batem, ale poprzez wyłamywanie się z pod bata wiodła droga ku Państwu własnemu. Aby Państwo to powstać mogło, musiało ono naprzód narodzić się w duszach ludzi, którzy wśród powszechnej niewoli uczuli się w duchu wolni; nie zjednoczeni w uczuciach wspólnego poddaństwa, ale zbuntowani przeciw niemu!

I jeśli buntem przeciw Rosji były Legjony, to pożar walki przeciw Niemcom i Austrii poniosła w społeczeństwo ich bezpośrednia spadkobierczyni — Polska Organizacja Wojskowa. W jej to kadrach — zrazu półjawnych, a potem coraz ściślej tajonych — spoczęła walna decyzja: przygotować w ukryciu nowe szeregi wojska polskiego, które w odpowiednim momencie chwycą za broń. Niestłumioną podziemną kuźnią ruchu peowiackiego, wyrzucającą jak wulkan lawę buntu na powierzchnię życia w latach 1917 do 1918, stała się właśnie redakcja „Rządu i Wojska“,

a jednym z najczynniejszych jej heroldów był Tadeusz Hołówko.

„Stoi mi z tych czasów jak żywy przed oczami — mówi Janusz Jędrzejewicz. — Spotykaliśmy się często, niemal codziennie w zakonspirowanym lokalu redakcji. Pamiętam te *odprawy redakcyjne*, jedyne w swoim rodzaju, na których głośno czytywaliśmy nasze artykuły, wspólnie omawialiśmy sytuację i cenzurowali się wzajemnie. Znakomite artykuły Hołówki były wtenczas czytane przez całą Polskę, nielegalny bowiem kolportaż „Rządu i Wojska“, dzięki ofiarnej pracy kurjerek-peowiaczek, docierał wszędzie“.

Były to czasy, kiedy obóz niepodległościowy, skonsolidowany w Centralnym Komitecie Narodowym — w przededniu rozstrzygających wydarzeń — prowadził wyteżoną akcję polityczno-organizacyjną w całym kraju, dążąc do tego, aby, idąc ręką w rękę z P. O. W., wpływami swemi objąć jak najszerze koła społeczeństwa.

Na przełomie roku 1916—1917 Hołówko uczestniczył w jednej z prób, podjętych z ramienia Centralnego Komitetu Narodowego, aby stworzyć stronnictwo, któreby wchłonęło w swe szeregi jednostki i grupy ze środowiska inteligencji, pozostające poza nawiasem organizacyj robotniczych i ludowych. Pragnąc oddać się tej pracy bez żadnych zastrzeżeń, Hołówko wystąpił z Polskiej Partji Socjalistycznej, uzyskując w ten sposób swobodę działania na nowym terenie i możność niezem niekrępowanego stosunku do wszystkich zagadnień bieżących. Stronnictwo Niezawisłości, którego jednym z założycieli i organiza-

torów był Hołówko, nie zdołało jednak rozwinąć działalności na szerszą skalę.

Kiedy przyszły wypadki, które wywarły decydujący wpływ na ukształtowanie się taktyki obozu niepodległościowego w kierunku skupienia wszystkich sił na froncie walki z państwami centralnemi, Hołówko odrazu postanowił wrócić do P. P. S., rozumiejąc, że rola ruchu robotniczego w przyszłej walce z okupantami rozstrzygnie o jej przebiegu. Kiedy w łonie P. P. S. powstanie ściśle zakonspirowana grupa Pogotowia Bojowego (Samoobrona Robotnicza), mająca na celu orężne przysposobienie się do nieuchronnej rozprawy z okupantami, Hołówko wejdzie, jako jeden z pierwszych, do tej grupy i należeć będzie do jej składu aż do końca okupacji. Był on jednym z tych polityków i szermierzy, którzy wierzyli, że Państwo Polskie powstać i ostać się może tylko na fundamentach ludowych, robotniczych i chłopskich. Dzięki niemu i jemu podobnym, na czas pewien zatarła się jakgdyby granica między P. P. S. a P. O. W. Między obu organizacjami wspólna krążyła krew i wspólna myśl.

Miecz niepodległości, mający spaść na karki knechtów pruskich, hartował się w podziemnych ogniach rewolucji.

Podziemne ognie.

I rewolucja, istotnie, przychodzi okupowanej Polsce z pomocą. Długo oczekiwana, wytęskniona, wybuchu wreszcie rewolucja w Rosji, uprzedzając o pół-

tora roku tę, która wybuchnie w Wiedniu i Berlinie. Zrewoltowany naród rosyjski w marcu 1917 obala carat i przekreśla dawne jego uroszczenia, co zaś najważniejsze, niweczy mocarstwowe i militarne stanowisko Rosji.

Groźny od dwóch stuleci kolos — jak to na samym początku wojny przewidywał Piłsudski — pierwszy uległ rozkładowi.

Położenie polityczne Polski odrazu się wtenczas wyjaśniło. Jeden z zaborców odpadł. Na placu walki pozostały państwa centralne. Przeciwnie nim rozpoczął teraz Józef Piłsudski kierować całą olbrzymią energję swej potężnej indywidualności. Przeciw nim rzucił do walki siły swego obozu.

Obóz ten powstał z idei walki czynnej z Rosją. Upadek caratu i ogłoszenie przez Tymczasowy Rząd Rosyjski manifestu, uznającego (jakkolwiek nie bez zastrzeżeń) niepodległość Polski Zjednoczonej, stanowiły moment zwrotny w dziejach obozu niepodległościowego.

Nikt w doniosłości tego przełomu i związanych z nim nowych decyzyj Piłsudskiego nie zorjentował się rychłej od Hołówki. Rewolucja rosyjska w pierwszej swej fazie niosła nam, obok szalonej radości z powodu upadku caratu, także niejasne echa jakiejś tworzącej się po drugiej stronie frontu siły wojskowej polskiej. „Dopóki nie było pewne, kto tę siłę tworzy — przypomina słusznie w swych „Pamiętnikach“ Ignacy Daszyński, — nadzieje nasze rosły, jak na drożdżach. Dopiero później znacznie, gdyśmy się dowiedzieli, że u góry stoją przyjaciele Dmowskiego,

znalał nasz zapał, bo wiedzieliśmy, że narodowa demokracja wojska nie stworzy, a zniszczy to, co jest, dla najmniejszej choćby intrygi politycznej“.

Wszelako, bez względu na to, jakie w Rosji rewolucyjnej otworzą się widoki na tworzenie tam armji polskiej, jedno nie budziło wątpliwości.

„Sądziliśmy — stwierdza Hołówko w przedmowie do swych wspomnień „Przez dwa fronty“ — że walkę z Rosją należy, jeśli nie zaprzestać, to przynajmniej zawiesić i całą uwagę, wszystkie nasze siły skierować przeciw Niemcom i Austrii, w których posiadaniu znalazła się de facto całość ziem polskich. Ciężką i beznadziejną wydawała się taka walka, a jednak podjęliśmy ją“.

Znane są tej walki etapy. Pierwsza i trzecia Brygada Legionów odmówiły przysięgi na wierność monarchom państw centralnych. Cztery tysiące dzielnego żołnierza znalazło się wskutek tego w obozie jeńców w Szczypiornie, Benjaminowie i Werlu. Przeszło 200 stanęło przed sądem wojennym w Przemyślu, pięć tysięcy uległo rozproszeniu wśród szeregów armji austriackiej na froncie włoskim. Piękny 30-tysięczny oddział przestał, jako jednolita formacja wojskowa, istnieć, rozsypując się na swe składowe atomy.

Jednocześnie twórca polskiej siły orężnej, widomy symbol walki o niepodległość, Komendant Piłsudski, wraz z towarzyszem swoich prac i bojów, Kazimierzem Sosnkowskim, zostaje aresztowany i osadzony w twierdzy Magdeburskiej.

Grad represyj wali się na szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej. W pościgu za jej czołowymi ludźmi,

dążąc do uśmiercenia jej ośrodków organizacyjnych i propagandowych, Niemcy przeprowadzają aresztowania na całym obszarze Królestwa prawie jednocześnie, zapelniając „peowiakami“ dziesiątki więzień w Polsce i obozów koncentracyjnych w Niemczech. Walery Sławek, Wacław Jędrzejewicz, Adam Skwarczyński, Górecki, Medard Downarowicz, Remiszewski, a także prawie wszyscy komendanci okręgów i najczynniejsi organizatorzy, wyrwani z wiru najgorętszych prac niepodległościowych, osadzeni zostali za kratą więzienia lub za drutem kolczastym obozu jeńców. Organizacja Wojskowa, szeroko i śmiało w poprzednim okresie rozbudowana, nie mogła być zachować wszystkich warunków ostrożności. Niemcy, którzy z pasją rzucili się na zniszczenie roboty irreducentystycznej, sądzili, że zdołają zadać jej cios śmiertelny. Na czele polowej policji niemieckiej stał wtenczas niezmiernie zdolny człowiek — dr. Schultze, o którym można powiedzieć — jak w swym „urywku z pamiętnika“ przypomina Adam Koc — że „był jednym z lepszych znawców stosunków P. O. W. i bodaj, że autorem jedynej przez czas długi monografji o jej tajnej działalności“. Schultze był to człowiek, który nie przebierał w środkach i zniesłychanem okrucieństwem i perfidją tępił ów dynamit niepodległości, jaki taił się w sercach pilsudczyków. Nie lekceważył on przeciwnika; im bardziej zaś próbował go złamać lub ugiąć, tem silniej go się lękał. Charakteryzując P. O. W. jako „tajne państwo w państwie“, mimowoli bohaterstwu jej szeregów wystawiał to najwyższe świadectwo uznania, na jakie w walce zdobyć się może nieubłagany wróg. „Zesłanie, czy też kara

śmierci — pisze Schultze w raporcie, nadmienionym przez Koca¹ — nie potrafiłaby zastraszyć tych ludzi, wzorowo wychowanych konspiracyjnie... P. O. W. piśmienną i ustną agitacją, przy poparciu niezawisłych stronnictw lewicy, niemal zupełnie uniemożliwiła zarządzony przez władze okupacyjne werbunek ochotnicy do Legionów. Zasypywano (w słowie i piśmie) ludność miast i wsi ideami politycznymi: zupełna niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej z dostępem do morza — z drugiej strony, wyzyskując zarządzenia rekrutacyjne i inne gospodarcze konieczności, zapomocą złośliwej agitacji przeciwko okupantom w ten sposób nastrojono ludność, że groziło zupełne pogrzebanie autorytetu wojsk i władz niemieckich. Trzeba zwrócić uwagę, że ludzie, pochodzący z pułków Piłsudskiego, siłą przeszkadzali żołnierzom niemieckim w wykonywaniu rozkazów“...

Tak ujmował działanie „ludzi, pochodzących z pułków Piłsudskiego“ filar niemieckiego wywiadu. I ludzie ci nie pozostaną mu dłużni za tak szczytne pochwały. Schultze, sławiąc ich męstwo, przeczuł rękę, która go sięgnie i położy trupem.

Walka, jaka wywiązała się z Niemcami, była zacięta, podstępna i mordercza: jak każda walka w podziemiach.

Przedewszystkiem jednak była to walka nierówna. Z jednej strony znikoma siła militarna Polski — Legiony — przestały istnieć, a ich Wódz był w niewoli; z drugiej strony — Niemcy, stojące wtenczas jeszcze mocno na nogach, w pełni militarnych zwycięstw, opętane demonem potęgi i pychy.

¹ „Niepodległość“, zeszyt I, Raport Schultzego.

Wywiezienie Piłsudskiego odbiło się ogromną depresją w szeregach, przyzwyczajonych do czynnika decyzji, który był teraz poza nimi; do obecności stałej człowieka, który brał na siebie wszystkie rozstrzygnięcia i bezpośrednio kierował akcją.

— Wódz w więzieniu! nas dzieli i wywożą — cóż robić dalej?

„Komendant — zwierza się Edward Rydz-Śmigły w swych wspomnieniach z P. O. W.¹ — był nie tylko dowódcą wojskowym, był twórcą i realizatorem myśli politycznej. Powstała pustka. Nikt z nas nie znał myśli Komendanta o najbliższych następnych posunięciach... Pamiętam próby nawiązania kontaktu politycznego ze społeczeństwem za pośrednictwem polityków, sympatyzujących lub związanych z ruchem legjonowym, bezpośrednio po uwięzieniu Komendanta. Atmosfera beznadziejności, bezradność, streszczająca się w formule: „Róbcie, co możecie i chcecie, my wam nie pomóc ani poradzić nie możemy“ — oto co dał nam ten kontakt ze sferami politycznymi, sympatyzującymi z nami“.

Obok Rydza-Śmigłego, J. Stachiewicza, obok B. Miedzińskiego i Opielińskiego, Włodzimierza Bochenka, Janusza Jędrzejewicza i Kasprzyckiego, Hołówek należał do tych nielicznych sił kierowniczych w P. O. W., które ocalały z pogromu.

Na barki tych to nielicznych spadło olbrzymie brzemie odbudowania rozbitej i zdziesiątkowanej organizacji.

¹ „Polska Org. Wojskowa“ — pod red. Juliana Stachiewicza i Wacława Lipińskiego, str. 12.

I — rzecz zdumiewająca! Nie minęło kilka miesięcy, gdy praca Polskiej Organizacji Wojskowej odradza się w nowych, potężniejszych kadrach. Praca ta schodzi w podziemia; tworzy posterunki bojowe, mające wcześniej czy później porwać za sobą naród do zbrojnej rozprawy z Niemcami. Na czele organizacji, zasilonej teraz przez wszystkich legionistów, którym udało się ukryć w kraju, stanął pułkownik Rydz-Śmigły, doniedawna najświetniejszy dowódca pułku legionowego w I Brygadzie, a późniejszy pogromca wojsk bolszewickich w roku 1920.

Komendant był uwięziony, ale działała nadal jego wola niezmożona — „szaleństwo Polski Niepodległej“ — jak wyrazi się Adam Borkiewicz: wola, nie dająca ani na chwilę spocząć jego żołnierzom, bez względu na przeciwności.

Widoma siła legionowa przestała istnieć, ale jej skryta, duchowa utajona potęga wzmogła się w dwójnasób. Obozy niewoli, w których zamknięto bohaterów Łowczówka i Rafajłowej, Polskiej Góry, Kostiuchnówki i tylu, tylu innych pobojozisk, krwią polską napojonych, rozpląnęły wśród powszechnego mroku jak ogniska niestłumionego buntu; jak świadectwa, że idea niepodległości żyje i głośniejsze, niż kiedykolwiek, o swoje prawa się upomina.

Gdy z kolei w lutym 1918 r., pod miażdżącym wrażeniem traktatu brzeskiego, druga również brygada Legionów, w osobie swych najdzielniejszych oficerów, zmusi Józefa Hallera do powstania przeciw Austrii i pomaszeruje na wschód, aby szukać łączności z polskimi pułkami na Białej Rusi i Ukrainie, front polski, przeciw państwom centralnym zwrócony, stanie

się jednolity i niezachwiany. Jednocześnie czyn Hal-lera, opromieniony legendą, która przesłonił braki jego charakteru, wyrówna kilkuletnie różnice między brygadami legjonowemi i dodał nowych tajnym zastępom P. O. W., która na okres najcięższej walki z nieprzyjacielem przejęła na swe barki idee i zadania Legjonów.

Wtenczas to, w okresie podziemnej walki z okupacją, wytopił się w duszy „peowiackiej“ ów kruszec bohaterstwa, którym Polska dźwignęła się z grobu, a którego tak płomiennym, do białości rozżarzonym okazem, stała się dusza Hołówki. Kto atmosfery tego okresu nie pamięta, ten próżno szukać będzie klucza do zrozumienia życia Hołówki. On i jego towarzysze, oficerowie i szeregowi tajnej organizacji, po uwięzieniu Piłsudskiego, stali się — rzecz można — drobinami jego potężnej duszy: zaczarowani jego mitem, porwani jego ideą, wykonywali swój „marsz nieskończony, budząc Polskę do zmartwychwstania“. Tajna organizacja wojskowa szerzyła się niepowstrzymanie, jak szerzy się pożar wśród lasu. Szkolono przyszłe kadry podoficerskie i oficerskie; uprawiano propagandę na rzecz zbrojnego powstania, gromadząc broń i amunicję; produkowano w laboratorjach tajnych wybuchowe materiały, zbrojną ręką siano postrach i zamęt w szeregach wojsk zaborczych. Wśród miękkiego ciasta społecznego, podatnego na wszelkie tłoczenia i naciski zewnętrzne, po raz pierwszy od czasów bodaj Hugona Kołłątajowych krystalizował się i wzrastał w Polsce twardy typ odporności, tężyzny i hartu. Pionem duszy peowiackiej stała się wiara we własne siły narodu i wola zwycięstwa. „W przeciwień-

stwie do dawnych rewolucjonistów — powiada Kościałkowski — nie w śmierci bohaterskiej widziano spełnienie swego posłannictwa, lecz w życiu jak najdłuższem, niezbędnem dla dokonania coraz to liczniejszych i większych czynów dla sprawy ojczystej“. Młodeż, często niedoświadczona i nieprzygotowana do swych różnolitych zajęć, wstępując w szeregi P. O. W., stawiała się wspaniałą improwizatorką życia. Świadomość swej wyłączności w pracach niepodległościowych; pewnoś, że walka przez nich nie doprowadzona do końca nie byłaby podjęta przez nikogo, kształtowała w peowiakach poczucie odpowiedzialności za losy prowadzonej akcji, a nawet za przyszłość całego narodu. Na tle całkowitego oddania się służbie publicznej życie osobiste młodzieży znikało jako wątek dodatkowy, któremu nie poświęca się ani uwagi ani czasu. Nikt nie pytał swych komendantów o legitymacje i prawo do rozkazywania: wystarczał szep, znak umówiony, pochodzący od znanych przełożonych, by nową poddać się władzy; władzy, która dysponowała czasem, zdrowiem, a niekiedy i życiem swych dobrowolnych żołnierzy. Hierarchiczna drabina posłuszeństwa była ustalona. „Państwo w państwie“ — rzekł o tej hierarchji komisarz niemiecki i w słowach jego nie było przesady. Napięcie ideowe w tem „państwie peowiackiem“ było tak silne, że stawało się jakby tarczą przed niebezpieczeństwami. Wiara w powodzenie każdej podejmowanej akcji i w szczególności z niej powrót stawały się puklerzem przed pewną śmiercią, w najlepszym zaś razie przed poniewierką więzienną. Dla siebie nie wymagali peowiacy żadnych odznaczeń i wyróżnień, niczego, coby wią-

zało się z osobistą karierą. Świadomość spełnionego obowiązku była ich najwyższą nagrodą. „Tem silnem napięciem ideowem i wiarą w zwycięstwo tłumaczy się zapewne — robi uwagę tenże Marjan Zyndram-Kościałkowski — fakt stosunkowo małych strat w ludziach zabitych“.

Hojne pobory ofiar miała wziąć z szeregów peowiackich dopiero wojna polska w latach 1919—1921: na ich to kościach wsparły się — w niemałej mierze — granice odrodzonej Polski.

Epopeja Polskiej Organizacji Wojskowej czeka dopiero na swego historjografa, a także na swego epika i malarza. Nikt z pewnością nie był bardziej powołany do połączenia wszystkich tych trzech postaci, niż Tadeusz Hołowko. Sądzić o tem mamy prawo na podstawie tego wspaniałego fragmentu, tętniącego krwią i słońcem, jaki przekazał nam w swej książce „Przez dwa fronty“, malując epos „peowiaczki“ w rewolucyjnych łunach Ukrainy i „Czerwonego Caratu“.

Cień Magdeburga.

Demon upadku Polski, ten sam, który ongi przeciw dziełu konstytucji trzciomajowej wzbudził Targowicę, który w dobie napoleońskiej magnatom, zapatrzonym w bat pańszczyźniany, kazał stanąć po stronie barbarzyńskiej Moskwy, który w roku 1830 żelazną władzę dyktatury złożył w gliniane ręce Chłopickiego, a potem heroizm żołnierzy wydał na łup domorosłych parlamentarzystów i dyplomatów, ten sam demon przekory i zatury, na schyłku wojny

światowej, o mało nie zgniótł w zarodku samodzielności Państwa Polskiego.

Tym razem demon ów przybrał się w szaty ugody z Niemcami.

Oto, gdy Polska Organizacja Wojskowa kuła w podziemiach oręż przeciw okupantom („jesteśmy za słabi — mówił Piłsudski — by ich zarżnąć, ale dostatecznie silni, by ich dorżnąć”), w tym samym czasie politycy, którzy jeszcze niedawno widzieli zbawienie w zwycięstwie Rosji, teraz coraz życzliwszem i coraz korniejszem uchem chwyтали odgłosy zwycięskich surm niemieckich.

Na tę ich orjentację wpłynęła rewolucja rosyjska. Obóz moskalofilski, reprezentowany przedewszystkiem przez sfery gospodarcze, wielkie ziemiaństwo oraz episkopat katolicki, zwątpiwszy w trzecim roku wojny o triumfie Koalicji, z coraz większem przerażeniem wsłuchiwał się w wieści idące z Rosji, objętej pożarem przewrotu, gdzie oszalałe chłopstwo wniwecz obracało odwieczne magnackie fortuny i tysiące dworów szlacheckich, gdzie zbuntowana tłuszcza miejska wywłaszczała fabryki i rabowała cerkwie. Żywioty społeczne, które w caracie rosyjskim upatrywały najpewniejszą ostoję swych przywilejów feudalnych, zwolna, zrazu nieśmiało, potem coraz głośniej jeły przekonywać siebie nawzajem i przekonywać innych, że żołnierz niemiecki — pomimo, że jest wrogiem politycznym — jest jednak równocześnie obrońcą i stróżem europejskiej cywilizacji i starego ładu społecznego, zuchwale burzonego tuż za frontem.

„Powstanie Rady Regencyjnej, zespół jej członków (składający się z jednego dostojnika kościelnego

i dwóch magnatów ziemskich), nazwiska osób, powołanych przez nią do rządów, wszystko to — stwierdza Hołówko¹ — były etapy, które świadczyły o głębokich przeobrażeniach w obozie orientacji rosyjskiej“.

Proces ten, ze stanowiska egoizmu klasowego zrozumiały, odbywał się, niestety, w warunkach, które musiały w każdym Polaku, a tem bardziej w duszach tak wrażliwych na godność narodu, jak Hołówko, wywołać uczucia głębokiego przygnębienia. Rząd bowiem niemiecki wobec swych powodzeń wojennych i rozkładu Rosji, oraz w miarę potęgowania się wiary, że zwycięstwo należeć będzie do państw centralnych, coraz brutalniej traktował tych Polaków i te kierunki, które szukały z nim porozumienia i współpracy.

Odurzonym krwią głowom niemieckim roziło się panowanie nad Wschodem i Zachodem. Już widzieli się władcami Paryża, pogromcami Anglii, zdobywcami Wenecji. Od gór Kaukaskich po brzegi Atlantyku miało sięgać ich żelazne ramię. W bezmyślnem zaślepieniu, nie licząc się z siłami swemi i z siłami przeciwników, wyzywali coraz nowe państwa do walki.

Upokorzenie, które spotkało Radę Regencyjną u progu jej działalności, gdy władze okupacyjne odmówiły swej zgody na mianowanie premierem Adama hr. Tarnowskiego, bezskuteczne zabiegi Jana Kucharzewskiego, aby być chociażby niemyym świadkiem rokowań w Brześciu, gdzie szykowano nowy rozbiór Polski, — fakty te były nieodpartem świadectwem

¹ P. „Przez dwa fronty“, str. 2.

zamiarów, jakie wobec Polski żywiły podówczas państwa środkowe, ufne w swoją przemoc.

Hołówko nie należał nigdy do zwolenników polityki Rady Regencyjnej i z pasją odrzucał w niej to, co prof. St. Kutrzeba dobrotliwie charakteryzuje jako „kawałek, bądź co bądź, rządu polskiego“.¹

Na tym „kawałku rządu polskiego“ już od chwili jego powstania ciążył w oczach Hołówki niezmazany grzech pierworodny: milczące przyzwolenie na areszt Komendanta Piłsudskiego. Cień Magdeburga, leżący na placu Rady Regencyjnej, wtłaczał ją w ziemię i czynił z niej „najdostojniejszy“ podnózek Beselera.

Jak dalece rozumieli to sami Niemcy w Warszawie, widać z rozmowy, jaką wzmiankowany już wyżej dr. Schultze, komisarz niemieckiej policji polowej, miał z jednym z ówczesnych działaczy Centralnego Komitetu Narodowego, Medardem Downarowiczem.²

„Żądanie uwolnienia Piłsudskiego jest taką samą utopją — butnie rzekł Niemiec — jak żądanie zwrotu Alzacji i Lotaryngji“.

Poczem, znizywszy głos niemal do jadowitego szeptu, ciągnął dalej:

„Czy pan rozumie sens aresztowania Piłsudskiego? Czy pan myśli, że nam chodzi o jednego człowieka? Piłsudski stał się symbolem tego, co jest największem niebezpieczeństwem dla Niemiec w Polsce. Ten symbol musi być zamknięty w twierdzy niemieckiej!“

¹ P. Polska Odrodzona“, 1922, str. 75.

² P. „Polska Organizacja Wojskowa“, str. 132.

„Panie Komisarzu, — odrzekł działacz C. K. N. — Piłsudski człowiek jest w Magdeburgu, ale symbol pozostał w Warszawie“.

„Tak — uśmiechnął się Niemiec — ale my wyrzucamy w twarz Polsce, że uosobienie jej symbolu przehywa w naszym więzieniu: niech czuje swoją słabość!...“

„Niech czuje swoją słabość!...“ Otóż właśnie tą formą polityczną, w której słabość polska dochodziła do pocucia swego wyrazu, była dla Hołówki Rada Regencyjna. Wiernopoddańcze deklaracje, jakie ta pseudo-polska władza składała monarchom państw centralnych podczas swych wizyt w Wiedniu i Berlinie, wydawały mu się, nie bez słuszności, echem podobnych dobrowolnych upokorzeń, ponoszonych dawniej przez Dmowskiego w stolicy carów.

„Dziś — z bolesnym wyrzutem pisał Hołówko w jednym z grudniowych numerów „Rządu i Wojska“ (1917) — Rada Regencyjna, stając się w ręku okupantów reklamą, którą oni z dumą obnoszą po całej Europie, dopuszcza się wobec narodu polskiego strasznego przestępstwa — zabija w masach wiarę w Państwo Polskie... Ludzie, którzy mianują się Radą Regencyjną, nie rozumieją, że nie zaimponują narodowi tem, iż wywalczyli dla siebie u Beselera kilka pokoi w oficynie Zamku Królewskiego. Jeśli Rada Regencyjna istotnie chciałaby być wyrazem sumienia narodowego, nie na Zamku w wyżebranych powinna urzędować komnatach, lecz Szczypiornę obrać za swoją rezydencję i tam wspólnie z najlepszymi synami Narodu dzielić ich los...“

Łatwo wyobrazić sobie, jak żyć, jak czuć się, jak

cierpieć musiała Polska pod rządami okupantów, którzy w Radzie Regencyjnej tak dogodny dla siebie posiedli parawan władzy i ekran reklamy!

Przemysł polski został obezwładniony i rozbity na proch. Robotnicy skazani na jałmużnę, wynędzani, ogłodzeni, całymi masami emigrowali lub wręcz transportowani byli do Niemiec, gdzie obszarnicy i fabrykanci pruscy nie żalowali im bata, a szczędzili strawy. Włościaństwo, steroryzowane karami, wyzute z wszelkich praw, zmuszone do pracy niemal niewolniczej na rzecz dostaw do armji okupanckiej, płaszczyło się przed żandarmem, chowając przed nim wszelako broń i zboże. Pod powszechnym gniotem przemocy jęły zanikać szlachetne porywy, tępiało uczucie niewoli. Społeczeństwo, oddane pod straż knechta pruskiego, odcięte od reszty świata, skazane było na los jeńca wojennego, który, przykuty łańcuchem do wozu zwycięzcy, w milczeniu postępować musi za orszakiem nienawistnego triumfatora.

Rewolucja na wschodzie.

Cóż dziwnego, że w tych warunkach, zepchnięci w podziemia spisku i rewolucji, bojownicy niepodległości skierowali spojrzenia swe ku Rosji, coraz baczniej chwytając to, co się działo po tamtej stronie frontu — tej głuchej i nieprzeniknionej żywej ścianie ludzkiej?

Wówczas, gdy nad Polską ciążyło głuche cmentarne sklepienie okupacji, tam, tuż obok — na wschodzie — szalała burza, narody rwały pęta niewoli, rzu-

cając, jak wyzwanie starej Europie, szczytne hasła prawa każdego narodu do stanowienia o sobie.

Upadł rząd Kiereńskiego, a wraz z nim runęły i ostatnie, szczątkowe ogniwa, jakimi Rosja usiłowała skuwać z sobą przyszłą wolną Polskę w drodze jakiejś „unji militarnej“, projektowanej w jakimś „duchu słowiańskim“. Kamień wschodniego ucisku odwalił się na całej przestrzeni. Władzę w Rosji objęli bolszewicy, którzy rozpoczęli rządy wezwaniem wszystkich walczących narodów do zawarcia natychmiastowego pokoju i sami wszczęli istotnie rokowania pokojowe z Niemcami w Brześciu nad Bugiem.

Lecz czy ten pokój natychmiastowy mógł uczynić zadość sprawiedliwym żądaniom Polski?

„Jasną dla nas było rzeczą — pisze Hołówko¹ — że pokoju naprawdę sprawiedliwego w owej chwili nie będzie; że Rosja Lenina i Trockiego, ratując siebie, będzie zmuszona zawrzeć pokój upokarzający, którego ofiarą padnie przede wszystkim Polska... Lecz jeszcze nie wszystko było stracone. Jeszcze walczyła Koalicja mocarstw zachodnich. Potężna Ameryka przez usta Wilsona, w jego historycznych 14 punktach, wyraźnie postawiła sprawę polską. Należało przeto dać dowód, że Polska istotnie walczy o swą niepodległość, że chce stanąć z bronią w rękę obok przeciwniemieckiej Koalicji“.

Nie można było jednakże własnej armji narodowej tworzyć w obcęgach okupacji. Trzeba było szukać pola dla jej organizacji poza krajem. Gdzie?

¹ P. „Przez dwa fronty“, str. 8.

I tu myśli Polskiej Organizacji Wojskowej, a także i myśli Hołówki, biegły ku Rosji.

Biegły, zresztą, szlakiem już wcześniej, zgóry na pół roku przedtem wskazanym przez Piłsudskiego, który, przeczuwając zawieszony nad sobą wyrok, wydany przez Niemców, ważył długo sam w sobie decyzję, czy nie powinien ujść przed terorem okupantów i przenieść akcję swą na teren objętej pożarem Rosji. W pewnej chwili opuścił on nawet okupację niemiecką, jakgdyby odsuwając dzień uwięzienia swego, i w ścisłej tajemnicy, w towarzystwie por. Bogusława Miedzińskiego, udał się do Lublina, gdzie na dziesięć dni zamknął się w samotnej pustelni jednego z ustronnych domów tamtejszych, aby dokładniej wyważyć wszystkie dane sytuacji. Na szalach jego decyzji przewały wtenczas względy, przemawiające za pozostaniem w kraju. Wrócił tedy wraz z Miedzińskim do Warszawy, jakkolwiek nie taił przed nim i przed gronem swych najbliższych, że, pozostając w kraju, liczyć się musi z niechybnem i rychłym aresztowaniem.

Czy nie wierzył w możliwość wydobycia siły polskiej z rewolucyjnego chaosu Rosji? Czy, rzucając własną wolność osobistą na szalę gwałtów niemieckich, sądził, że tą ofiarą własną wyżej wzbije chorągiew dumy i niepodległości polskiej w obliczu Europy?

To pewna, że wszystko, co za wycieczką do Rosji przemawiać mogło latem roku 1917, to z podwójną siłą ciągnąć musiało każdego niepodległościowca w sześć miesięcy później, na przełomie lat 1917/18. Coraz wyraźniej bowiem, po przewrocie bolszewic-

kim, dochodziły wieści, że w Rosji tworzy się armja polska. Wieści te wszakże, miast radości, wywoływały niepokój w tych, którzy oddychali pragnieniem walki z Niemcami. Wieści te głosiły, że na czele tamtejszej armji polskiej postawiono byłego generała carskiego.

„Nie mogliśmy pojąć — pisze Hołowko¹ — w jaki sposób reprezentantami politycznymi kierunku, który dążył do stworzenia polskiej siły zbrojnej w objętej rewolucją Rosji, stać się mogli ludzie, którzy jeszcze wczoraj byli mężami zaufania carskich ministrów i dygnitarzy“.

O działalności Polskiej Partji Socjalistycznej w Rosji Hołowko wówczas żadnych nie posiadał wiadomości, obawiał się zaś, że wszystkie nadzieje pokłada ona w rychłym wybuchu rewolucji w Niemczech, która dałaby automatycznie wolność Polsce. On, znając Niemców ze swego rocznego niemal pobytu w obozach koncentracyjnych, rewolucji w Berlinie nie wyłączał, sądził jednak, że narodzić się ona może tylko z gruntownej klęski militarnej.

Tak, czy inaczej, fakt pozostawał faktem: armja polska, o której sile fantastyczne krążyły wieści, była tworzona przez zachowawcze żywioły polskie, które mogły z tej armji uczynić sojusznicę „białej gwardji“ rosyjskiej i dążyć wspólnie z nią do odbudowania tronu carów. Hołowko zaś należał do obozu, który, sprzyjając również idei tworzenia armji polskiej w Rosji, pragnął, aby była ona formowana przez polskie żywioły demokratyczne, pod znakiem przymierza z lu-

¹ P. „Przez dwa fronty“, str. 9.

dem rosyjskim i Koalicją Zachodnią, i aby, wkraczając do Polski, reprezentowała te same ideały polityczne i społeczne, które żyły w Legionach Piłsudskiego.

„Czuliśmy — pisze Hołowko¹ — że zachodzi tragiczne nieporozumienie między nami, a polskim obozem niepodległościowym i demokratycznym w Rosji... Trzeba było za wszelką cenę wyjaśnić to nieporozumienie, poinformować naszych przyjaciół w Rosji o istotnej sytuacji w kraju i zawrócić ich z fałszywej drogi“.

Ale między Polską, strzeżoną przez okupantów, a Rosją wyrastał mur frontu wojennego: mur, zdawało się, nie do przebycia.

Nie do przebycia?

A więc spróbuje go przebyć Tadeusz Hołowko.

Przez dwa fronty.

Wśród najmroczniejszego okresu okupacji niemieckiej, w jeden ze styczniowych wieczorów 1918 r. w mieszkaniu Janusza Jędrzejewicza zebrało się na poufną naradę grono najbliższych przyjaciół „Rządu i Wojska“. Oprócz gospodarza obecni byli: Bronisław Ziemięcki, Marjan Klott i Hołowko. Wymiana zdań obracała się dokoła wypadków w Rosji i mylnej polityki demokratów i socjalistów polskich, przebywających na emigracji. Wszyscy uczestnicy narady zgadzali się na jedno: trzeba, aby ktoś z kraju przedarł się przez front do Rosji.

¹ P. „Przez dwa fronty“, str. 10.

I nagle umilkli. Przyjaciele Hołówki spojrzeli po sobie, potem wzrok przenieśli na niego: odgadli, że wyprawa na wschód byłaby dlań nie tylko powinnością służby, ale i rozkoszną przygodą. Zgadzała się przytem, że ten kresowiec, wyrosły w Rosji i świetnie władający językiem rosyjskim, jest najodpowiedniejszym kandydatem na emisariusza. Nikt, jak on, dawszy nurka w morze rewolucji rosyjskiej, tak dalece w swoim nie poczułby się żywiole wśród rozhukanych i groźnych niebezpieczeństw.

Tak, lecz jak to zrobić?

Centralny Komitet P. P. S. nie miał pieniędzy; nie miała ich także Komenda Główna P. O. W., tem bardziej zaś nikt z poufnej gromadki przyjaciół, zebranych u Jędrzejewicza. Sytuacja zaostrzyła się w kształt tak niesłychanie typowy dla stosunków, panujących w społeczeństwie, od lat trzydziestu kształconem na „pozytywizmie“ Świętochowskiego i „trzeźwości“ stańczyków.

Oto wśród garści piłsudczyków w ciągu godziny znalazł się człowiek, gotów dla dobrej sprawy ojczyźnej z ochotą ponieść głowę na największe niebezpieczeństwa, nie wyłączając ryzyka śmierci. Ale ten sam człowiek, który zaofiarował dla sprawy zdrowie i życie własne, wobec niezmiernych stanął trudności, gdy wypadło mu zdobyć kilkaset rubli na koszty wyprawy.

Powtarzało się raz jeszcze to, co tak przejmującymi słowy przypomniiał Walery Sławek w jednym z przemówień na zgromadzeniu posłów swego Klubu parlamentarnego: gdy, zabrawszy się do tworzenia skarbu wojskowego w roku 1912, zwracał się do ro-

daków o pieniądze na organizacje strzeleckie, spotykała go na każdym kroku niewiara i obojętność. Nie raz po trzy godziny tracił na przekonanie „niedowiarka“, że wojna naprawdę nadchodzi i że w tej wojnie własny żołnierz polski będzie jedyną dźwignią naszej przyszłości.

I cóż?

— Wyjmowałem kwitarjusz — mówi Sławek — a „zjednany“, bogaty częstokroć rodak wpisywał ofiarę w wysokość... jednej korony.¹

Z takich to „koron“ trzeba było zbierać niepokąnną sumę na wyprawę Hołówki i na wyprawę tych niewielu, którzy z ramienia P. O. W. — bądź jednocześnie z nim, bądź nieco później lub wcześniej — przedarli się do Kijowa i Moskwy. Nie wszystkim, którzy wyjechali, sędzono było wrócić. Barthel de Weydenthal, towarzysz Tadeusza, poległ w Odesie od kuli bolszewickiej. Bolesław Wieniawa Długoszowski okupił wycieczkę swą ciężkiem więzieniem w Moskwie. Hołówko, jak widać z księgi wspomnień, obejmującej historję jego wyprawy „Przez dwa fronty“ i „Przez kraj Czerwonego Caratu“, ocierał się raz po raz o śmierć i cudem niemal z jej wrogich objęć się wymykał.

Gdy wreszcie, nie bez udziału Ligi Kobiet, tych niestrudzonych, bohaterskich mrówek pracy niepodległościowej, udało się zebrać potrzebne pieniądze, Hołówko wyruszył z Warszawy w styczniu 1918 r. i w przebraniu ordynansa przekroczył kordon oku-

¹ Por. „Gazeta Polska“, 2/IV, 1932. „Przemówienie Walego Sławka“.

pacji niemieckiej. Po krótkim pobycie we Lwowie i Krakowie, gdzie musiał odbyć parę konferencyj z Rydzem-Śmigłym i Moraczewskim oraz zaopatrzyć się w niezbędne upoważnienia, udaje się do Zbaraża, w którego okolicach przekrada się przez granicę austriacką.

„Ileż odwagi, decyzji i ofiarności — mówi Janusz Jędrzejewicz o tem przedsięwzięciu Hołówki — trzeba było, aby za fałszywym paszportem, pod przybranem nazwiskiem przedrzeć się przez front wojenny i, gorzej jeszcze, zanurzyć się w krwawy wir szalejącej na Ukrainie rewolucji! Ile hartu i najgłębszego męstwa trzeba było wykazać, aby móc udźwignąć brzemień tak olbrzymiej odpowiedzialności!“

Czy wobec ogromu niebezpieczeństw, emisariusz nasz przynajmniej szukać będzie linii słabszego oporu, przystosowania się do obcego środowiska, kompromisu z jego obyczajem?

Gdzież tam! Hołówko wie, że oficjalnym strojem rewolucji rosyjskiej jest „szynel sołdacki“. Że wystarcza, aby na terenie tej rewolucji ukazał się ktoś w cywilnem palcie, a motłoch natychmiast podniesie wrzask, że to burżuj, którego trzeba obedrzeć i zamordować.

A przecież, naprzekór tym obawom, uprze się on przy swym wyróżniającym stroju, nie zgodzi się na dogodną i łatwą maskaradę, odrzuci „szynel“ i po-przysięgnie sobie w duchu, że do ostatniego dnia pobytu swego w Rosji nie rozstanie się ze swem paltem cywilnem.

Niechęć do munduru moskiewskiego? Ambicja, szukająca wyrazu dla siebie nawet w drobiazgach?

Zapewne, jedno i drugie. Ale w ambicji tej tkwiło poczucie mandatu, niesionego imieniem całej Organizacji; przeświadczenie, że wysłannik P. O. W. nie może w obliczu rewolucji, w obcym kraju, stawać jak ciura przebrany; że jeśli zdobędzie się na właściwą godność i dumę, sama powaga misji, jaką pełni, starczy mu za najlepszą ochronę.

Że tak było w istocie, świadczy inny, niezmiernie dramatyczny epizod z tejże wyprawy: ów mianowicie moment, gdy emisariusz polski, przebrnąwszy skroś krwawe opary Ukrainy, styka się po raz pierwszy z awangardą „czerwonego caratu“.

Awangardą tą był patrol żołnierzy bolszewickich, którzy z niestychaną furją wściekłości potraktowali naszego wysłannika jak szpiega, grożąc mu doraźną egzekucją.

W tej nieoczekiwanej, niezasłużonej i barbarzyńskiej brutalności była jakgdyby zapowiedź tego, co czekać może emisariusza polskiego w obozie bolszewików.

Od frontu wojsk sowieckich dzieliło Hołówkę wtenczas już tylko parę kilometrów: jeszcze pół godziny -- i miał znaleźć się w obrębie ich władzy.

— Lecz jeśli wszyscy oni są tacy sami — zatrwożył się w duchu — jak ten patrol niedawno spotkany?

— Co czynić? Iść dalej w ogień niebezpieczeństwa, czy wrócić?

Napięte nerwy buntowały się przeciw nakazom woli. — Wróć! wróć! — zaczął w zamięcie uczuć szepać demon słabości. — Poco idziesz? I tak nie z tego nie będzie. Niemcy już może Paryż zajęli. Wojna się kończy. Poco więc masz się narażać, poco? Wracaj, —

powiesz w Warszawie, że nie sposób było przedostać się, nikt i tak nie będzie mógł sprawdzić, jak było naprawdę.¹

— Jeszcze sekunda — przyznaje Hołówko — a zawróciłbym z drogi.

Cóż go jednak skłoniło, że przemógł pokusę słabości i poniósł głowę ku niebezpieczeństwu, z którego, jak okazało się później, wyszedł cało jedynie dzięki fantastycznej wprost przytomności umysłu? Co kazało mu iść naprzód wbrew wszystkim demonom trwogi i słabości?

Posłuchajmy.

„Nagle — powiada Hołówko — wyrósł mi przed oczyma obraz, jak na posiedzeniu Centralnego Komitetu P. P. S. w Warszawie zdaję sprawę ze swej wyprawy i szeroko opowiadam i tłumaczę, dlaczego zrezygnowałem z podróży do Moskwy. I oto, przeżywając w wyobraźni tę chwilę, widząc ją niemal w pełnej plastyce, ujrzałem nagle ledwie dostrzegalny uśmiech na twarzy jednego z członków Centralnego Komitetu, mego kolegi z czasów petersburskich, który umiał dziwnie łączyć uczucie przyjaźni z ustawiczną zazdrością i rywalizacją ze mną, z impulsami, które często popychały go do szkodzenia mi w partji. Uśmiech ten wypowiadał, co myślałby ten mój „przyjaciół“, gdyby ta wyimaginowana na bezludnej grobli scena stała się rzeczywistością. Uśmiech ten mówił: — Bujaj, bujaj, kochany — poprostu strach cię obleciał! — Ten wyimaginowany uśmiech mego rywala i zazdrośnika uderzył mnie jak batem. Szybkim

¹ Por. Hołówko: „Przez kraj Czerwonego Caratu“, str. 62.

krokiem ruszyłem naprzód. W tej chwili wolałem zgiąć, niż cofnąć się“.

W tej, tak plastycznie opowiedzianej scenie Hołowko odsłania przed nami jedną z najsilniejszych sprężyn swej działalności, a jednocześnie daje nam obraz ambicji w jej górnem, uszczytnionem pojęciu.

Ambicja ta, w duszy Hołowki, to — nie próżna chęć rozgłosu, ale wewnętrzna potrzeba pozostawania w zgodzie z samym sobą; to — ognisko szczególnej odpowiedzialności za wyniki poruczonego sobie przedsięwzięcia; to — spotęgowane poczucie, że niewidzialne oko kraju, oko nieraz zawistne i podejrzliwe, spoczywa na każdym jego kroku, sięga w najskrytsze pobudki jego działania; to — wreszcie, gotowość przekuwania cudzych nawet zawiści i małostek w źródła własnej energii!

Wszelako najsilniejsza ambicja i najżywsza energia rozbić się musiała o chaos i dezorientację społeczeństwa polskiego na Ukrainie. Polskie żywioły demokratyczne, stanowiące naturalne podłoże działalności dla Polskiej Organizacji Wojskowej, stały na stanowisku, odpowiadającym „umiarkowanym aktywistom“ warszawskim z późnej doby okupacyjnej. To znaczy: uznawały Radę Regencyjną za polski autorytet państwowy i nie chciały słyszeć o walce z Niemcami. Stanowisko to było, poniekąd, zrozumiałe. Rada Regencyjna, widziana zdaleka, skroś opary i łuny rewolucji, stawała się w oczach emigracji konkretnym symbolem odrodzonego Państwa Polskiego, które już posiadało własne sądy, szkolnictwo, zaczątki ministerstw, kadry przyszłej siły zbrojnej. Społeczeństwo polskie na Ukrainie, znużone wojną,

steroryzowane rewolucją, z radością witało oznaki, zdawałoby się, wskrzeszonego Państwa, idealizując te symbole i patrząc na nie przez pryzmat miłości i tęsknoty za krajem.

To, co w społeczeństwie polskiem na Ukrainie stało poza obrębem demokracji radykalnej i socjalistycznej, to już w najmniejszym stopniu nie mogło być brane w rachubę przy tworzeniu armji polskiej na zasadach, reprezentowanych przez emisariusza P. O. W.

Tak zwany Blok Jedności Narodowej, skupiający żywioły zachowawcze, pochodzące z pośród wielkiej własności ziemskiej, wyraźnie był przeciwny idei stworzenia wojska polskiego na Ukrainie, gdyż zdecydowanie stał po stronie państw centralnych, w żołnierzu i żandarmie niemieckim najlepszą lokując ochronę swoich majątków wielkopańskich. Narodowa Demokracja chciała wprowadzić walki z państwami centralnemi i posiadała na emigracji sprężystą organizację. Ale armję, o której marzyła, wołałaby ona oddać w ręce starym generałom carskim, niż oficerom Piłsudskiego.

Owi oficerowie i przedstawiciele P. O. W. — prócz Hołówki na terenie emigracji znaleźli się w tym samym okresie Rydz-Śmigły, Miedziński, Schaetzel, Lis-Kula, Wieniawa Długoszowski i wyżej nadmieniony Barthel de Weydenthal (Barta) — z chwilą aresztowania swego Komendanta i likwidacji Legjonów byli pozbawieni wszelkich autorytetów i wszelkich zewnętrznych symbolów, przy których mogłaby skupiać się zdezorientowana opinja rodaków.

Jak dalece posunęła się ta dezorjentacja, świadczyła przygoda Lisa-Kuli w Odesie, przygoda, w którą tak charakterystycznie i pomyślnie wplotło się nazwisko Hołówki.

Oto, po przybyciu do Odesy, odbył tam Lis-Kula konferencję z wybitnymi działaczami niepodległościowymi, od lat wielu związanymi z P. P. S. i z ruchem strzeleckim. Gdy Lis-Kula wyłuszczył swe stanowisko i zamiary swego obozu na Ukrainie, powstała wśród zebranych cała burza. Oświadczone mu stanowczo, że mu nie wierzą, aby obóz niepodległościowy w kraju zajmował takie stanowisko, a kilku wprost zaczęło mu dawać do zrozumienia, że jest prowokatorem. Ostro zwłaszcza atakował biednego Lisa-Kulę Piotr Zubowicz, który na początku wojny mieszkał w Warszawie. Lis-Kula, widząc, że sytuacja dla niego staje się przykra, zapytał Zubowicza, czy znał w Warszawie Tadeusza Hołówkę. Ów, na szczęście, znał go doskonale, gdyż był jednym z najbliższych przyjaciół „Widnokregu“ i nieraz czasopismo to ratował z trudności finansowych. Wtenczas Lis-Kula oświadczył, że Hołówko jest jednym z tych, którzy razem z nim, we wspólnej misji, przyjechali na Ukrainę. Nazwisko Tadeusza, znane na najdalszych kresach polskości, jako współredaktora „Widnokregu“, stało się tarczą dla Lisa-Kuli: wywołało ono konsternację wśród obecnych i poczucie, że jeśli to prawda, że Hołówko podziela przekonania Lisa-Kuli, to między Polską okupowaną a Polską na emigracji musi zachodzić jakiś głęboki rozbrat, jakieś tragiczne nieporozumienie.

W oparach Ukrainy.

Dzięki barwnemu pióru, jakim Hołówko opisał swe przygody emisariusza,¹ możemy dzieje owego tragicznego nieporozumienia śledzić niemal krok za krokiem, etap za etapem. Już na wstępie wyprawy, tuż za frontem austro-niemieckim, uderzył Hołówkę pewien zasadniczy kontrast, który pogłębiać się miał i potęgować w miarę dalszej podróży: był to kontrast dwóch środowisk, dwóch napięć energii.

Po jednej stronie (b. Kongresówka i Małopolska) wojsko, czy też — aby dokładniej powiedzieć — cała żywa siła narodu, pozbawiona swego wodza, którego Niemcy zamknęli w Magdeburgu. Ów obóz żywej siły, wbrew całej ugodzie, skupionej wokół ówczesnej Rady Regencyjnej, ów obóz, pozbawiony wszelkich środków materialnych działania, pozbawiony swych, z takim krwawym trudem zbudowanych ram, żywy jednak i twórczy myślą swego uwięzionego Wodza, — działa i walczy dalej. Skończywszy walkę z Rosją, obóz ów pragnie skorzystać z bezwładu jej terytorjów i tam, na wschód, przerzucić swą inicjatywę. Legjony przestały istnieć w kraju, a więc powinny zmartwychwstać na emigracji w Rosji!

Koncepcja wspaniała, prosta i logiczna, wynikająca niezbieżnie z bohaterskiej polityki Piłsudskiego. Ludzie tego obozu, jak Rydz-Śmigły, Lis-Kula, Hołówko, Miedziński, jak Barta, Wieniawa-Długoszowski, jak Schaetzel, z żywiołową usilnością, mimo że odebrano im wodza, mimo że utracili wszystkie for-

¹ Hołówko: „Przez dwa fronty“, 1931 r. „Przez kraj Czerwonego Caratu“, 1932.

malne zdobycze organizacyjne, mimo że pozbawieni są wszystkich koniecznych środków technicznych, przystępują do spełnienia swych wielkich zadań.¹

A oto druga strona frontu: siły polskie na Ukrainie i w Rosji. Jest tam wszystkiego wbród. I ludzi i środków technicznych i środków łączności — wszystkiego poddostatkiem. Ziemia usiana bronią uciekającej armji rosyjskiej; całe pola porzuconych baterij i jaszczów; długie okopy warowne, przez nikogo nie strzeżone obozy, pełne bezpańskich karabinów maszynowych. Co więcej: świat, w którym leżą te skarby wojenne, pozbawiony jest wszelkiej woli i władzy nad sobą. W świecie tym, na jego wielkich obszarach, mogą żywioły polskie (z dawnej armji rosyjskiej) gromadzić się, łączyć, organizować, jak się im podoba. Ze względu na sprzeczne prądy co do dalszego prowadzenia wojny przez bolszewików z Niemcami, mogłyby nawet owe siły polskie znaleźć w rewolucji rosyjskiej znaczną dla siebie pomoc.

Dlaczegoż więc nie okazują dostatecznej energii? Dlaczego manewrują tam i zpowrotem bez istotnego powodu i celu? Dlaczego pojawienie się II-giej karpackiej brygady Legjonów budzi tam tak wielkie nadzieje? Dlaczegoż jednak i te nadzieje rozplývają się bez żadnego skutku na obszarach bezwoli i niedołęstwa?

Hołówko — jak żaden może z uczestników tej żalosnej tragedji — nietylko przeżył jej etapy, ale i ukazał, dlaczego zmarnowaliśmy tam tak potężne możliwości wielkiej sprawy. Oto, po jednej stronie

¹ Por.: Juliusz Kaden-Bandrowski. „Przez dwa fronty“, („Gazeta Polska“, 18/I, 1931 r.).

nie było już wodza, nie było żadnych materialnych zasobów i środków, lecz była myśl państwowa, był potężny duch walki. Druga natomiast strona, mimo że władająca wszystkimi środkami materialnymi, nie miała wodza, nie miała w sobie żadnej myśli państwowo-twórczej. Brakło jej duszy, bez której korpusy, pułki, baterje i szwadrony, bez której wojsko poszło po linii najmniejszego oporu: zamiast stać się siłą przyszłego państwa, stało się strażą ginących folwarków.

Przygnębiający obraz tego zmarnowania wielkiej siły zastał Hołówko w Antoninach, w tej olbrzymiej sławnej rezydencji Potockich, zamienionej na kwaterę, a zarazem i na gnuśną, rozleniwiającą Kapuę polskiego korpusu wojskowego. Z bólem piekącej, wzgardy i politowania patrzeć musiał emisariusz P. O. W., jak ówczesny żołnierz polski, biesiadując w hrabiowskim pałacu, staje się pańskim karbowym, gajowym i strzelcem.

— Zaiste, uczta podczas dżumy! — pomyślał Hołówko w Antoninach, spoglądając po gronie oficerów, którzy zasiadali do magnackiego stołu.

Wspaniała zastawa na stole, obfitość win, zastęp lokajów w liberji — wszystko to było dlań jakimś dzikim paradoksem, zagubionym dniem wczorajszego życia, które minęło, skazane wyrokiem rewolucji, i które nigdy już nie wróci. Kolacja — zdawałoby się — taka, jakich setki widziała ta wspaniała sala. Inni jednak goście zasiedli przy stole, inne kwalifikacje pozwalały dziś przestąpić próg tej sali, inna rozbrzmiewała w niej rozmowa, aniżeli dawniej „za

dobrych czasów“, gdy sam hrabia zasiadał przy stole w odznakach carskiego szambelana.

— O, tak, moi panowie, nie wielu z nas — myślał Hołówko, wiodąc wzrokiem po ucztujących — w dawnych „normalnych“ czasach dostałoby zaszczytu zasiąść przy tym magnackim stole. Dziś zasiadacie przy hrabiowskiej zastawie, popijając wesoło stare wino z nieprzebranych zapasów piwnic pałacowych. Pijcie panowie — zdawały się mówić drwiące, nieme twarze lokajów — bo jeśli wy nie wypijecie, przyjdzie po was tłuszcza chłopska i urznie się starymi winami, tłukąc jednocześnie kryształ y i bezcenne porcelany.

— Pijcie lepiej wy — swoi i rodacy! Kondotjerzy, bezwiedni najmici — dodawał z goryczą przybysz peowiacki, patrząc na oficerów, szumnie nazywających się polskimi ułanami i szwoleżerami. — Nie spostrzegacie, że kolacjami, winem i liberją lokajską, która wam słuuguje, płacą wam za obronę dworskich obszarów ordynacji, płacą za mordowanie chłopów, pożądl iwie wyciągających ręce po mienie hrabiowskie.

Z poza wstęgi barwnych, biesiadnych wrażeń wyrastały przed oczami Hołówki najsmutniejsze postacie i mury z epoki ostatniego króla-grabarza i rozbiórów ojczyzny. Tu, w Antoninach, pod sklepieniami tej wielkopańskiej siedziby pałacowej, po raz pierwszy Hołówko przekonał się naocznie, jak groźne widma przeszłości tały się pod pokrywką niewoli i jak niebezpiecznym tendencjom rozkładu i prywaty zagroził Piłsudski drogę do Polski, wywyższając po-

nad wszystko autorytet rządu narodowego i honor armji narodowej.

Czytając w swych latach młodocianych „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza i przeglądając się z rozkoszą w jego bohaterskich postaciach, czyż mógł się spodziewać mały Polak turkiestański, że nastanie czas, w którym już nie w snach wyobraźni, lecz na jawie przeżywać będzie — sam, we własnej osobie, heroiczne przygody Skrzetuskich i Wołodyjowskich? I że je przeżywać będzie na tych samych bujnych szlakach ukraińskich?

A przecież to, co wtenczas zdawało się niewiarogodne, było weń teraz pełnią rzeczywistości.

Przez jary naddniestrzańskie, jak ongi, w czasach Bohuna, starym szlakiem do Jampola, zdążała znów gromadka zbrojnych jeźdźców polskich.

— To samo, jak i wówczas, wzburzone pospólstwo — przypomina sobie Hołówko — ta sama żądna krwi i rabunków „czerń“ — jak mawiał Zagłoba — jak wówczas, tak i dziś paląca i niszcząca mienie nienawistnych „panów Lachów“. Emisarjusz peowiacki, mijając wsie ukraińskie, spotyka złowrogie twarze chłopów, obserwuje ich pochmurne, nieufne spojrzenia i, naprzekór oczywistości, nie może oprzeć się wrażeniu, że są to te same spojrzenia, które niegdyś spoczywały na Skrzetuskim i jego towarzyszach.

Hołówko, odtwarzając swe przygody w opowieści, lubować się będzie w uwydatnianiu podobieństw i ogniów między dawnymi a nowymi laty. W opowieść swoją włoży przejrzysty a pełen prostej wymowy język, aby z oparów Ukrainy tem bezpośredniej wy-

dobyć jej dramat wiekowy, tak równolegle idący z dramatem naszej Rzeczypospolitej.

Baczny czytelnik nie da się wszakże zwieść pokusom opowiadacza i z pod łuski malowniczych zdażeń odczytuje istotną myśl działacza i polityka: podobieństwa i analogje między przeszłością a dniem dzisiejszym Hołówko gromadzi poto, aby na ich tle tem ostrzej wystąpił „długi wieków przedział”: przedział, odgraniczający nas nietylko od Polski Wiśniowieckich, Skrzetuskich i Zagłobów, ale i od tej wizji sztucznej, w której chciał Polskę zabalsamować Sienkiewicz.

Widząc rozboje, pożary i pogorzeliska, w których ginęły odwieczne polskie dwory pod ciosami zbuntowanej tłuszczy ukraińskiej, nasz socjalista i peowiak zdaje sobie sprawę, jak niepowetowaną stratą dla kultury były te znikające jedna po drugiej wyspy wiekowego dorobku i bogactwa z ich zbiorami sztuki, z ich racjonalną gospodarką rolną i przemysłową. Nie żywi on żadnych co do tego złudzeń, że tam, gdzie wyspy te jaśniały swą wielkopańską pychą zbytku, roztoczy się władztwo barbarzyństwa, jętrzone nienawiścią społeczną i narodową.

Na widok tej nieuchronnej ruiny, smutek raz po raz zalewa Hołówkę. Lecz ponad smutek i beznadziejność wyrasta myśl polityczna, która nie poprzestaje na lamencie skargi i szuka źródeł katastrofy.

— Tak nam dziś płaci naród ukraiński — stawia diagnozę Hołówko — zato, że trzysta lat temu wzgardziliśmy nim, odepchnęliśmy go od Rzeczypospolitej, nie daliśmy mu miejsca wśród wolnych z wolnymi,

równych z równymi. Poskąpiliśmy praw i przywilejów szlacheckich dla wolnych, rycerskich kozaków. Zakuliśmy ten bratni naród w kajdany poddaństwa, wyzysku i ciemnoty. Za grzechy i samolubstwo przodków, za małość i ślepotę sejmów XVII stulecia krwawą daninę płacili teraz potomkowie.

Już ta krótka, zwięzła próba diagnozy wykazuje obszar doświadczeń, przemyśleń i zdobyczy politycznych, jakie legły między bajką Sienkiewicza (i jego epigonów, w rodzaju Kossak-Szczuckiej) a czynem i piórem Hołównki.

Tam — sen, złotym mirażem usiłujący krzepić serca zwątpiałe. Tu, w czynie i książce Hołównki, nieustępliwy trud bojowy, nieustępliwe szukanie prawdy.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego wysłannik P. O. W. tak silnie podkreślał w swej podróży fatum, wiszące nad magnackimi dworami na Rusi. To samo fatum, o które ongi potknęła się państwowość Rzeczypospolitej, teraz miało pokrzyżować wielką ideę armji polskiej na emigracji wschodniej.

Wielka własność, zagrożona likwidacją, usiłowała przez pewien czas podtrzymywać zbrojnie stan swego posiadania przy pomocy żołnierzy polskich. Polski mundur wojskowy zepchnięto z poziomu walki o Polskę na poziom regimentów, strzegących fortuny „jaśniepańskiej“. Smutna tradycja prywatnych wojsk, służących „królewietom“ kresowym, odżyła w całej okazałości. „Królewietą“ nie ocaliły swego mienia. Ale wespół z ich prywatną własnością, pod gruzami ich pałaców, zawaliła się i ówczesna idea armji polskiej.

Z trzech głównych ośrodków organizacyjnych polskiej siły zbrojnej na wschodzie ani jeden nie odegrał roli historycznej. Nasamprzód uległ rozbrojeniu I korpus gen. Dowbór-Muśnickiego na Białejrusi. Jego dowódca podporządkował się żądaniom niemieckim i 22 maja 1918 roku bez protestu i oporu dopuścił do kapitulacji. Mniej więcej jednocześnie z I korpusem uległ zagładzie również II korpus na Ukrainie, którego dzieje w charakterystyczny sposób zazębiły się z dziejami Legjonów polskich.¹ Połączył się on mianowicie z tą częścią II Brygady legjonowej, która na znak protestu przeciwko Austrii przedarła się na wschód. Dowództwo nad połączonym i zreorganizowanym oddziałem, w którym żywiły legjonowe dzięki swemu hartowi ideowemu zajęły stanowisko górujące, spoczęło w rękach Józefa Hallera. W połowie kwietnia 1918 stanął ów korpus w ob-szarze Kaniowa nad Dnieprem, na południe od Kijowa. Tu, gdy, zetknąwszy się z Niemcami, na postawione przez nich żądanie poddania się i złożenia broni, korpus żądanie odrzucił, doszło do boju w dniu 2 maja. Po całodzienniej walce, w której Niemcy ponieśli znaczne straty w zabitych i rannych, szeregi polskie zmuszone były ulec przewadze liczebnej przeciwnika, poczęści składając broń, poczęści rozpraszając się i uchodząc w głąb kraju. Ostatni z korpusów polskich na wschodzie — korpus III — nigdy nie osiągnął tej liczebności i zwartości organizacyjnej, co dwa pierwsze, i stopniowo rozsypał się na stepowe watahy.

¹ Por. A. Przybylski: „Wojna polska“, str. 13—14.

Czyżby więc wysiłek emisarjuszów P. O. W. w Rosji i na Ukrainie poszedł na marne?

Nie! Po rozwiązaniu korpusów polskich przez Niemców, tylko część wchodzących w ich skład żołnierzy została przewieziona do kraju i tam zdemobilizowana. Reszta, dążąc za wszelką cenę do walki pod sztandarami Polski, będzie przedzierała się przez zrewoltowane ziemie na Murman i nie spocznie, dopóki bądź nie skupi się ponownie we własne oddziały na terytorjum Rosji, bądź nie dotrze do szeregów armji polskiej, powstającej na terytorjum Francji. W tych to żołnierzach-tułaczach, niosących serca niepodległe przez fronty i okopy, przez turnie i druty kolezaste, żyć będzie i triumfować ofiarny siew idei Tadeusza Hołówki, jego towarzyszków wyprawy i jego Komentanta.

Jesień zmartwychwstania.

Po powrocie z podróży na wschód i po złożeniu sprawozdania z jej wyników, Hołówko ponownie oddał siebie do dyspozycji Pogotowia Bojowego, które, wyłoniwszy się z szeregów P. P. S., w szybkim czasie przejęło tradycję i sławę Bojowej Organizacji z lat 1905—1907. Po zawodach i rozczarowaniach, doznanym na emigracji, Tadeusz płonął niecierpliwą gorączką czynu. Naglił organizację, aby jak najrychlej dała mu pole orężnego wystąpienia w jakiejś akcji, wymierzonej przeciwko okupantom, uzasadniając tę niecierpliwość pragnieniem podzielenia losu tych, co z bronią w ręku, w najcięższych warunkach, jako żołnierze bezimienni, walczą z nieprzyjacielem.

W połowie października 1918 roku życzeniu Hołówki staje się zadość: pod dowództwem Józefa Korczaka (Piotra) bierze on udział w jednej z akcji zbrojnych w okolicach Warszawy, przyczem wykazuje niezwykłą sprawność bojową, odwagę i przytomność umysłu, przyczyniając się do powodzenia przedsięwzięcia. W starciu z Niemcami, podczas rzęsiwej wymiany strzałów, Hołówko doznaje kontuzji, po której potem do końca życia miał nieco osłabiony słuch w lewym uchu.

Pod wpływem Korczaka, z którym w obliczu wspólnie dzielonych niebezpieczeństw, coraz ściślej, istic braterska wiązała go przyjaźń, wstępuje na kurs instruktorsko-bojowy; idea rewolucyjnej działalności bojowej na czas pewien staje się górującą pasją Hołówki. Nadchodził okres, w którym P. O. W. wstępowała powoli w otwartą walkę z okupantami, znosząc patrole niemieckie i paląc tartaki, zakładane przez Niemców, którzy wycinali lasy i wywozili drzewo polskie do siebie.

Była to pierwsza niejako przygrywka. „Już na 16 października — pisze Adam Koc,¹ ówczesny komendant P. O. W. w Warszawie — udało mi się zorganizować t. zw. krwawą środę, na wzór dawniejszej krwawej środy z czasów rewolucji rosyjskiej: na wybranych punktach i terenie całej okupacji niemieckiej zostały mniejsze oddziały wojska niemieckiego zaatakowane i mniejsze patrole niemieckie wybite“.

„Efektem tego dnia — dodaje Koc — było to, że ukazały się odezwy gubernatorów niemieckich, przy-

¹ Por. A. Koc: „P. O. W. podczas wojny światowej“.

czem jedna z tych odezw zapowiada, że w razie powtórzenia się podobnych napadów „wasz piękny kraj zamieni się w kupę gruzów““.

Niemcy zrozumieli, że spokoju w Polsce mieć już nie będą, że pożar się rozpoczął.

Nadchodziła wiekopomna, złota, zmartwychwstająca jesień 1918 roku! Jak czarne ptaki żałoby dla sere niemieckich, lecz jak radosne gołębice nadziei dla wszystkiej ludności polskiej, jęły z dalekiego zachodu nadlatywać wieści o zwycięstwach Francji, Anglii i Ameryki nad nieugiętą dotąd siłą niemiecką. Potęga państw centralnych ze zdumiewającą szybkością ulegała rozkładowi, zarówno na frontach, jak wewnątrz kraju. Jeszcze w lipcu 1918 armja Hindenburga szturmowała niemal do bram Paryża, a już w dwa miesiące potem całe dywizje opuszczały swoje stanowiska bez walki, lub składały broń. Wódz, którego Koalicja postawiła na czele wszystkich swoich wojsk, marszałek francuski Foch, wypierał armję niemiecką z jednego stanowiska na drugie, aż wkońcu, złamawszy w przeciwniku wszelką zdolność oporu, zmusił Niemców do zdania się na łaskę i niełaskę zwycięzców.

W przepaść niesłychanego w dziejach pogromu runęły wszystkie czteroletnie zwycięstwa Niemiec: warunki rozejmu, który nastąpił w pierwszych dniach listopada tegoż roku, były już nietylko rozbiciem w proch marzeń wszechniemieckich o władzy nad światem, ale powaleniem przeciwnika na obie łopatki. Austria, Turcja i Bułgarja, sojusznice Niemiec, już wcześniej zostały obezwładnione i zmuszone prosić o pokój.

Jeżeli fakty te na całym świecie, poza Niemcami, powitano z westchnieniem ulgi, to w obozie niepodległościowym Polski, dławionej tak długo pięścią krzyżacką, przyjęto je burzą niedoznananej od wieku radości. Na pierwszy odgłos tego, co się działo na Zachodzie, pułkownik Roja rozbroił Austriaków w Krakowie i w imieniu Polskiej Komisji Likwidacyjnej, złożonej z przedstawicieli niemal wszystkich stronnictw polskich, opanował miasto dnia 31 października, legjoniści zaś i peowiacy opanowali w ciągu dwóch dni całą Galicję Zachodnią i Śląsk Cieszyński.

„Z Krakowa wyszedł przed czterema laty pierwszy żołnierz polski na podbój wolności i z Krakowa rozlega się dziś pierwszy wolny głos władzy, przejmującej rządy Galicji na rzecz państwa polskiego“ — pisał Hołówko w ówczesnej „Gazecie Polskiej“, założonej przez Bohdana Straszewicza.

Jednocześnie Polska Organizacja Wojskowa wyparła Austriaków z części Królestwa przez nich okupowanej, w dniach od 1 do 3 listopada. Władzę wojskową w Lublinie objął pułkownik Rydz-Śmigły, który, tak jak i Hołówko, zdążył być wrócić z Ukrainy, aby wziąć udział w rozstrzygających wypadkach kraju. W każdym mieście, ba! miasteczku, tworzone samorzutnie oddziały wojskowe, narazie bez związku ze sobą, bez planu, bez komendy ogólnej, dopóki starczyło broni i mundurów. Niepodobna opisać zamętu, jaki wytworzył się w Galicji i w południowych powiatach Królestwa natychmiast po strąceniu dwugłowych czarno-żółtych oznak okupacji austriackiej. Ale był to zamęt naporu twórczych sił, zamęt długo

tłumionej żądzy życia! Był to zamęt spienionej, wzbierającej fali, która wywracała obce groble i zapory, porywała serca i w górę podnosiła głowy.

Ta fala żywiołowa nie mogła nie przelać się na okupację niemiecką. Bunt przeciw knechtom pruskim wisiał w powietrzu. Żarzył się pod ziemią. Tajna robota wojskowa wrzała gorączkowo. Szeregi P. O. W. rosły jak na drożdżach i zwierzały się w szyku gotowym do boju; lada dzień miała nastąpić walna rozprawa z okupantem. Oficerowie polscy wracali z frontu włoskiego, wyrwali się z Benjaminowa; szeregowcy wykradali się ze Szczypiórny. Na całej przestrzeni kraju powstawały setki i tysiące drobnych ośrodków organizacyjnych, setki i tysiące placówek zbrojnego przeciw Niemcom powstania.

Tym placówkom, niestety, brakło wspólnego planu i jednej woli kierowniczej. Tym szeregom brakło wodza. Józef Piłsudski, wciąż jeszcze w murach Magdeburga więziony, trawił dni samotne w męce bezczynności, która kosztowała go drożej, niż tortury. Nie było Józefa Piłsudskiego! Po całej Polsce kłębił się i przewalał ocean sił, gotowych do działania, ale nie było dłoni, któraby te siły ujęła w łóżysko i poprowadziła do jednego wielkiego celu — wyzwolenia.

Rzecz była oczywista, że do tego celu nie mogła poprowadzić Polski rezydująca w Warszawie Rada Regencyjna: sama uzależniona od niemieckiego generał-gubernatora Beselera, jakże mogła dać innym niezależność? Jej moralne stanowisko w narodzie poderwane było tem, że od początku leżał na niej ponury cień Magdeburga. Władza, tolerująca to, że żywy symbol niepodległości pozostawał w więzieniu, nie

mogła być uznawana za władzę narodową. Niedarmo Hołówko, już przed wyjazdem swym na Ukrainę, wytykał Regentom, że są tylko politycznym refleksem rządów okupacyjnych.

W kołach P. O. W. niezłomne panowało przekonanie, że pierwszym dowodem, jaki Rada Regencyjna złożyć powinna, jeśli ma być rządem istotnym, nie zaś parawanem dla Beselera, jest uwolnienie więźniów politycznych, a przede wszystkim więźnia głównego, więźnia Magdeburga. Z wyrazem tej opinii, krótko i twardo uzasadnionym, zgłosili się swego czasu do Rady Regencyjnej dwaj przedstawiciele P. O. W., Adam Koc i Bogusław Miedziński. Po raz wtóry tę samą opinię usłyszeli Regenci z ust Artura Śliwińskiego, Franciszka Paschalskiego i Medarda Dównarowicza w październiku 1918 r. jako odpowiedź na skierowaną do stronnictw lewicowych propozycję utworzenia rządu koalicyjnego. Wszelako, wszystkie żądania, stawiane Radzie Regencyjnej, rozбивały się o Beselera, który stał poza nią i który, pono, powiedział: „Ja i Piłsudski nie zmieścimy się jednocześnie w Warszawie“.

Niedalekie wypadki miały stwierdzić, że wielkorządca pruski się nie mylił: błąd i drżący, wymknąwszy się chyłkiem z Belwederu na lichym statku, uciekać on będzie z Warszawy do Torunia tej samej nocy, w której się dowie, że Piłsudski wraca do Polski...

Mijał tymczasem dzień za dniem. Kraków oddychał już wolną piersią swobody. Pół kraju było oczyszczone od najazdu. Lublin przeżywał pierwsze burzliwe dni niepodległości. Coraz oczywistszą dla każ-

dego stawało się rzeczą, że należy zdobyć się na energję wyparcia Niemców z Warszawy i obalenia stworzonej przez nich fikcji rządu polskiego, który rządem wcale nie był i upokarzał tylko Polskę poddańczemi poselstwami do Wiednia i Berlina. Należało co rychlej powołać do życia rząd rzeczywisty, złożony z ludzi energicznych, mogących znaleźć posłuch i umiejących go nakazać.

Co mogły dla nas i za nas uczynić wypadki, co mógł obcy oręż uzyskać, co mogły obce zdziałać rewolucje, to już było uczynione i uzyskane. Resztę musieli Polacy stworzyć sami.

Pierwszy Rząd.

Z poczucia tej potrzeby narodził się w Polsce odrodzonej rząd wolny, z 6 na 7 listopada: zawiązany uprzednio w Warszawie, ujawnił się w Lublinie, gdyż tylko na wolnej ziemi mógł mieć siedzibę, aby władzę ujętą przez siebie sprawować: rządzić! Nie figurować, nie paradować, nie przystosowywać się do władz obcych, ale poprostu — rządzić, rozkazywać, organizować, walczyć!

Czyż trzeba dodawać, że w tworzeniu Rządu Lubelskiego Hołówko czynny i energiczny wziął udział? Historia lat poprzednich przyzwyczaiła nas już do tego, że w każdym momencie przełomowym zastajemy go zawsze tam, gdzie najważniejszy toczy się bój o Polskę. Nie sprzeniewierzy się swemu powołaniu i teraz. Gdy Daszyński (premjer) wraz z Thugutem (ministrem spraw wewnętrznych) siedzieli dni i noce nad zbieraniem i mianowaniem „komisarzy lu-

dowych“ oraz nad opracowaniem przyszłej sejmowej ordynacji wyborczej, gdy Moraczewski (minister komunikacji) opanowywał koleje, Rydz-Śmigły brał w ręce siłę zbrojną i zajmował magazyny wojskowe, Hołówko, jako wiceminister propagandy, oddał się pracy nad sformowaniem zasadniczych punktów społecznej i politycznej ideologii nowego rządu. Jemu to przypadł w udziale zaszczyt zredagowania manifestu, którym Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej obwieścił w Lublinie o swoim powstaniu.

Manifest ów, w latach późniejszych wielokroć wspominany przez Hołówkę z dumą i poczuciem rzetelnie spełnionej powinności, był jakby streszczeniem i ujęciem w program całego stulecia wierzeń, irredenty i demokracji polskiej. Orzekał on republikańską formę państwa i zapowiadał jak najrychlejsze zwołanie sejmu ustawodawczego do Warszawy, któremu przedłożone być miały do uchwalenia daleko sięgające reformy społeczne w duchu najszerzej pojętej waloryzacji pracy. Detronizował Radę Regencyjną, wzywał rząd warszawski do podporządkowania się Rządowi Ludowemu, a mieszkańców Królestwa do rozbrojenia i wyparcia Niemców z granic Polski. W tym celu zapowiadał tworzenie regularnej armji ludowej na podstawie powszechnego poboru.

Wszelako rząd nowy, tak rozległy ogłaszający program, nie był pewien, czy zdoła się utrzymać. Oparł on się wprawdzie na miejscowej formacji legjonowej i na zastępach P. O. W., ale miał przeciw sobie wciąż jeszcze przemożną siłę okupacyjną armji niemieckiej i na jej usługach stojącą Regencję. Na szczęście los i wzajemna ustepliwość rodaków, z po-

czucia wielkiej chwili dziejowej płynąca, oszczędziła nam walki bratobójczej: bataljon wojska, przez Regencję wysłany do Lublina celem rozpędzenia rządu, natchnięty myślą obywatelską, która mu zaszczyt przyniosła, zerwał ostatni węzeł zależności od Niemiec i przeszedł na stronę Rządu Ludowego, w którym uznał przedstawicielstwo niepodległości polskiej.

Pamięć manifestu lubelskiego skojarzyła się w pamięci Hołówki nazawsze z obrazem dnia 7 listopada 1918, w którym manifest ów po raz pierwszy rozplakatowano na murach miasta. W dniu tym, o godzinie trzeciej po południu przed katedrą w Lublinie, wśród olbrzymiego tłumu robotników, który w olbrzymim pochodzie, niosąc sztandary, na plac przybył, przysięgał wysłany z Warszawy bataljon i dwie kompanje dawnego wojska austriackiego na wierność polskiej Republice Ludowej i jej tymczasowemu rządowi. Uniesienie i radość miasta nie miały granic.

Polska zaczynała być sobą. Zaczynała należeć tylko do siebie. Wraz z szerokimi widnokęgami odzyskiwanej wolności, podjąć miała radosną, lecz jakże ciężką odpowiedzialność za swe losy. Ledwo ujęła ster władzy w swe ręce na części terytorjum, już miała przed sobą groźbę walki domowej i groźbę niebezpiecznej rozprawy z Niemcami.

I, oto, w tej chwili stanął w Warszawie Józef Piłsudski.

Po półtorarocznej niewoli, oswobodzony przez rewolucję niemiecką, owego pamiętnego dnia 10 listopada, który był pogromem dla Niemiec, a zwiastunem świetlanej przyszłości dla nas, stanął Piłsudski na ziemi polskiej, jako symbol jej samoistnego bytu i działa-

nia. Cały szereg najcięższych, najniebezpieczniejszych zadań w walce o wolność zniknął i odpadał natychmiast za zjawieniem się tego człowieka, jakby piorunem potężnej woli rozciętych. Już nie trzeba było walczyć z Radą Regencyjną; znikła groźba wojny domowej. Już nie trzeba było przedsięwziąć krwawej rozprawy z armją najeźdźczą. Najazd niemiecki ustąpił przed potęgą imienia tego człowieka. Porozumiewszy się z niemiecką radą żołnierzy w Warszawie, Komendant Piłsudski ułożył terminy i porządek składania broni i wyjazdu wojsk niemieckich, wydał odezwę, wzywającą ludność do zaniechania walki i nierobienia trudności wyjeżdżającym Niemcom. Rozpoczęte dnia 10 listopada usuwanie okupacji niemieckiej trwało do dnia 19 listopada. W większości wypadków rozbrojenie przeprowadzała Polska Organizacja Wojskowa jako ta, która swą siecią obejmowała całe terytorjum. W Warszawie i paru jeszcze miejscach poważną rolę obok P. O. W. odegrała także Polska Siła Zbrojna, wypowiadająca posłuszeństwo Regencji. Oficerowie i szeregowi byłych korpusów polskich współdziałali skutecznie z temi dwiema organizacjami. W ciągu niewiele więcej, niż tygodnia, imponująca siła kilkudziesięciu tysięcy wojska niemieckiego, złożywszy broń i sprzęt wojenny, opuściła mniej lub więcej spokojnie tereny okupowane. Opornych lub marudzących Niemców wyrzucono z kraju siłą. Skoro znikli okupanci, tem mniej było potrzeby walczyć z Regencją: ustąpiła ona bez oporu, a raczej rozwiązała się jak cień.

Już nazajutrz po swoim powrocie porozumiał się Józef Piłsudski z Tymczasowym Rządem w Lublinie.

Rząd zgodził się na to, aby jego prezes utworzył nowy gabinet w Warszawie. Tegoż dnia, 12 listopada, przybył Daszyński wraz z Rydzem-Śmigłym do Warszawy, ustanowiwszy swoim zastępcą w Lublinie Stanisława Thugutta. Niebawem, śladem Daszyńskiego, podążył i Hołówko do Warszawy, która z chwilą powrotu Komendanta na nowo stała się stolicą i ogniskiem wszystkich organizacyjnych poczynąń państwowych. Piłsudski wezwał przedstawicieli wszystkich stronnictw na naradę, celem wytworzenia rządu, opartego na szerokiej podstawie, obejmującej całość stronnictw politycznych.

Nie odrazu udało się osiągnąć zgodę w pożądanych rozmiarach. Mianowany prezesem gabinetu Daszyński musiał po paru dniach ustąpić tego stanowiska Jędrzejowi Moraczewskiemu, który, organizując rząd, napotykał na grunt najeżony niezmierzonymi trudnościami. Olbrzymie również przeszkody przewyciężać musiał Komendant Piłsudski. Jeszcze większe zaś zadania czekały go w najbliższej przyszłości, gdy, zaledwo urządziwszy i uporządkowawszy stosunki wewnątrz kraju, rzucić się musiał do obrony ze wszystkich stron zagrożonych granic Rzeczypospolitej.

Ale te wszystkie trudności, przeszkody i ciężary dla kraju i dla niego, jakie chowała przyszłość, nie mogły zatrzeć i nie zatrą nigdy w naszej pamięci owych dni wielkości, upojenia i chwały, nie zagaszą nigdy tego słońca, które zajaśniało nad Polską w początkowych dniach listopada 1918 roku. Było to prawdziwe, zwycięskie słońce wolności i zmartwychwstania.

„Oto po 120 latach — pisał w owych dniach Hołowko — przysły kajdany niewoli, pękły łańcuchy kordonów! Niema „ich“, niema Moskali, Niemców, niema Austriaków na polskiej ziemi! Niepodległość, wolność, zjednoczenie... Własne państwo, własny rząd! Kto tej chwili odrodzin nie przeżył, kto nie szalał z radości wraz z narodem, ten nie dozna w życiu swem najwyższej ekstazy serca. Cztery pokolenia nadaremno czekały na tę chwilę!“

Wiara w Sejm.

Po największem święcie — nawet po dniu Zmartwychwstania — przychodzi jednakże dzień powszedni, a wraz z nim wracają trudy, mozoły i walki. Przedewszystkiem zaś wraca i staje przed oczami powszednia twarda rzeczywistość. A rzeczywistość, którą obejmowało w posiadanie odrodzone Państwo Polskie, była bezprzykładnym obrazem zniszczenia, rozbicia i nędzy. Po burzach wojny światowej, po wieku niewoli i rozdarcia, powstawał w środku Europy kraj wolny od najeźdźców, ale był to kraj nędzarzy w najprzeróżliwszem tego słowa znaczeniu. Nadomiar — kraj nędzarzy skłóconych ze sobą. Jeszcze nie zagasł pierwszy dzień wolności, a już zaczynały się swary i spory o władzę, o postać rządów, o pierwszeństwo zasługi, o przywileje. Spory i swary, które zaciągnąć się miały na długie lata.

W ciężkiej i tragicznej sytuacji znalazła się po wojnie i Serbja, i Belgja, i północna część Francji; ale kraje te podczas wojny wiedziały dobrze, że po jednej stronie stoi wróg, po drugiej — przyjaciel.

W Polsce wszystkie wojska były wrogie; wszystkie znieprawiały, a jednocześnie łupiły, niszczyły, darły kraj i ludzi aż do krwi. Były wsie i miasteczka, które doszczętnie zginęły z powierzchni ziemi. Były miasta, w których powyżej 75 proc. budynków legło w gruzy. W zbombardowanym przez Niemców Kaliszu poprzez rozwalone ściany domów długo widniały nakrycia stołów, zastawione do posiłku. Żyrardów, Stanisławów, Tarnopol, Kazimierz, Śniatyn, Sochaczew, Łódź, Łowicz i dziesiątki innych miast oraz setki miasteczek świeciły szczerbami ruin, jak po trzęsieniu ziemi. Ponad 100 milionów korey zboża i płodów rolnych uległo zniszczeniu „na pniu“ w dwu pierwszych latach wojny. Na przestrzeni $4\frac{1}{2}$ miliona hektarów zaprzestano uprawy. Zabito lub zarekwirowano ponad 4 miliony koni, bydła i trzody. W Królestwie i prawie całej Galicji zniszczyła wojna niemal wszystkie warsztaty przemysłowe. Wysadzono w powietrze setki mostów, zniszczono wszystkie arterje i środki komunikacji. Blisko dwa miliony hektarów lasów polskich wytrzebiono i drzewo stąd osiągnięte wywieziono do Niemiec. Około trzech milionów ludzi wysiedlono gwałtem z Polski, nietylko niwecząc cały ich dorobek, ale dziesiątkując samą wygnaną ludność, a zwłaszcza dzieci, których śmiertelność doszła do granic pomoru.

Aby ratować elementarne podstawy narodu, należało, nie tracąc czasu, chwycić za pługi, za kielnie, za młoty, biec do warsztatów, do uprawy roli, uruchamiać koleje, fabryki i zakłady przemysłowe.

Ale, aby móc pracować w spokoju nad odbudową gospodarczą kraju, trzeba było osłonić go od nieprzy-

jaciół, wystawić wojsko, gotowe do odporu ponownych najazdów, do obwarowania świeżo odzyskanej wolności.

Gdy bowiem dla państw Europy zachodniej wojna zakończyła się rozejmem w dniu 11 listopada, dla Polski rozejm ów oznaczał krótką jedynie pauzę, po której nowa wszczęła się wojna, mająca okres krwawej zawieruchy przedłużyć na ziemiach naszych o całe dwa długie lata.

Lecz któż wszystkimi pracami temi miał pokierować?

W rękach Piłsudskiego spoczęła władza dyktatora, ale dyktator ten był niemal zupełnie pozbawiony narzędzi wykonawczych. Jedyłą siłą zorganizowaną, na której od początku oparł się Naczelnik Państwa, był ów skromny dorobek wojskowy, jaki Polska wyniosła z ognia wojny światowej: dorobek ten w połowie listopada 1918 nie przekraczał siły równej 24 bataljonom piechoty, 3 szwadronom kawalerji i 5 baterjom artylerji.

Kto, stojąc wobec działań olbrzymich, zaczyna pracę z tak nikłą siłą materjalną, ten, aby sprostać nakazom wielkiej chwili dziejowej, odwołać się musi do zasobów moralnych i stworzyć takie warunki, w których posłuszeństwo wyprzedzałoby rozkaz, a samorzutność i zapał uzupełniałyby braki przy-musu.

Ów zbiornik sił moralnych, potężną dźwignię w budownictwie Państwa, Piłsudski podówczas upatrywał w demokratycznym przedstawicielstwie i do szybkiego zwołania takiego przedstawicielstwa postanowił dążyć z całą energją. Gabinet, powołany

przez siebie, uważał za rząd prowizoryczny, mający władzę swą złożyć w ręce Sejmu. Tenże Sejm miał stworzyć podstawę legalną i dla samego urzędu Głowy Państwa. Pod tym względem wola Piłsudskiego była niezłomna a — warto przypomnieć — szła na przekór późniejszej patronce sejmowładztwa, Narodowej Demokracji, która idei wyborów sejmowych opierała się aż do samego niemal ich terminu. Jeszcze w początkach stycznia 1919, chcąc zagrozić drogę Sejmowi, próbowała ona stworzyć „Komitet Narodowy“ w Warszawie. Dopiero groźba Naczelnika Państwa, że „Komitet“ każe zamknąć do aresztu, położyła kres tym upartym pomysłom samozwańczym.

„Z chwilą, gdy losy w ręce moje oddały ster odradzającego się Państwa Polskiego — oświadczył Piłsudski — postawiłem sobie jako zasadniczy, podstawowy cel moich rządów zwołanie Sejmu Ustawodawczego do Warszawy“.

„W wielkim chaosie i rozprzężeniu, które ogarnęło po wojnie całą środkową i wschodnią Europę, chciałem właśnie w Polsce uczynić ośrodek kultury, w którym rządzi i obowiązuje prawo“.

„Wśród olbrzymiej zawieruchy, w której miliony ludzi rozstrzygało sprawy jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by właśnie w naszej Ojczyźnie konieczne i nieuniknione tarcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny, zapomocą praw, stanowionych przez wybrańców Narodu. Starałem się osiągnąć swój cel jak najspieszniej. Chciałem bowiem, by, kładąc trwałe fundamenty pod swe odrodzenie, Polska wyprzedziła sąsiadów i w ten sposób stała się siłą przyciągającą, dającą zapewnienie

choćby najszybszego, lecz spokojnego i prawnego rozwoju“.

Hołówko, w zasadzie, stawiał przed Sejmem zadania niemniej szczytne i wielkie. Po powrocie do Warszawy, stanąwszy do pracy w organizacji P. P. S., z całą żywiołową namiętnością rzucił się w wir walki wyborczej. Nie przestając pisać w „Robotniku“, który wtenczas wychodził dwa razy dziennie i rozległym cieszył się posłuchem, Hołówko prowadził akcję „w terenie“ i niósł żywe, płomienne słowo w głuche zaścianki Mławy, Pułtusza, Ciechanowa; te bowiem powiaty były mu powierzone jako okrąg, z którego miał kandydować na posła do Sejmu Ustawodawczego. Słowa Komendanta, wyrażające ambicję uczyńnienia „w Polsce ośrodka kultury“, by „właśnie w naszej Ojczyźnie tarcia społeczne rozstrzygało prawo, nie zaś siła“, by „Polska wyprzedziła sąsiadów“ i „stała się siłą przyciągającą“, były słowami, jakby żywcem wyrwanymi z piersi Tadeusza.

Co więcej: zawierały one w sobie część jego wielkiego programu politycznego. Gdy jednak Piłsudski w owych dniach listopadowych i grudniowych wierzył, że znajdzie w Sejmie dźwignię odrodzenia, że uda mu się ambicje swe zaszcześcić posłom, porwać ich własnym entuzjazmem, w ogniach tego entuzjazmu oczyścić ich zbiorową duszę z osadów niewoli i nałogów szlacheckich, zespolić ją z duszą młodego Państwa, Hołówko w tymże czasie patrzył ku wynikom wyborczym ze sceptycyzmem, który potęgował się z dnia na dzień.

Żołnierz rozumiał wiarę swego Wodza, spalał się od wysiłku, aby ją na swym jednostkowym odcinku

ziścić i usprawiedliwić, ale nie mógł z oczu utracić olbrzymich przeszkód, jakie stawały jej wpoprzek.

„Duch Piłsudskiego — pisze w swej książce Wojciech Stpiczyński¹ — szybował wtenczas w zbyt wysokich regionach, by, stając przed swoimi rodakami, nie stawiał na ich szlachetność... Nawet zamach styczniowy na siebie i rząd potraktował on jako jakieś nieporozumienie, błąd, nie zaś owoc złych intencji... Nie chciał on poprostu, dopuszczać podówczas myśli, aby rodacy jego zdolni byli do uczuć i do czynów niskich“...

I była to rzecz zrozumiała.

Piłsudski wracał z Magdeburga, gdzie w ciągu pół roku, zamknięty sam na sam ze swemi myślami, we własne zapatrzone zamiary, nie przestawał obcować z żywiołami mocy, odwagi, bohaterstwa. Samotność i oddalenie musiały rzeczywistość polską, w jego nawet oczach stalowych, błękitną przesłonić mgłą. Hołówko natomiast miał poza sobą realne, świeże a piekące wrażenia ze swej półrocznej włóczęgi po polskich dworach ziemiańskich Ukrainy i Białorusi. Miał w oczach żywe jeszcze a tak przygnębiające obrazy Antonin, Winnicy, Bobrujska. Obrazy te mówiły, że tylko nieliczna kompanja rodaków nosiła w duszy całą wolną ojczyznę, jej dalekie granice, jej armję, jej ustrój i sprawiedliwe prawo. Większość narodu ugięła się przed zwycięzcami, zaorała się w pracy powszedniej, kłóciła się o podział kromki chleba i osądziła, że stara sława Polski przeminęła. Jakże szczupły był zastęp tych, dla których Polska

¹ Por. „Głos Prawdy“, str. 241.

Niepodległa była ideałem całego życia, dorobkiem trudu, męki, i krwi, jakże niezliczona rzesza tych, którzy „Polskę otrzymali za darmo“, jako niespodziankę losu! Niespodziankę niezawsze pożądaną, niekiedy zaś wręcz kłopotliwą...

Magnat z pod znaku gen. Dowbora.

Jeżdżąc na wiece przedwyborcze do Mławy lub Ciechanowa, ileż razy Hołówko z przed oczu odganiał natrętne wspomnienie spotkania i rozmowy, jaką, w czasie swej podróży na wschód, miał z jednym z najwybitniejszych przedstawicieli naszego ziemiaństwa na Mohylowszczyźnie, Polaka, który w zarządzie cywilnym Dowbora-Muśnickiego zajmował wysokie stanowisko.¹ Ten dygnitarz w państewku Dowbora wymownie wtenczas — a było to wiosną roku 1918 w Bobrujsku — przekonywał emisariusza P. O. W., że należy dążyć do tego, aby wszystkie trzy zabory, łącznie z Litwą historyczną, we wspólnem zjednoczone ustroju, poszukały opieki pod berłem Wilhelma II tak, iżby król pruski stał się jednocześnie królem polskim.

— Król pruski?

— Tak, nikt inny, tylko Wilhelm — zapewniał gorąco magnat mohylowski. Tylko Wilhelm, przedstawiciel młodej, żywotnej dynastji Hohenzollerów, potrafi z Polaków zrobić dzielny, karny i pracowity naród. Tylko on zdoła w karbach utrzymać zbunto-

¹ Por. Tadeusz Hołówko: „Ziemiaństwo“, 1919. Str. 16, 17.

wane chłopstwo, postawić tamę rewolucji, ochronić kościół i tradycję.

— Znam ten program — rzekł Hołówko. — W pierwszym roku wojny streszczał się on w hasło Świętochowskiego: „Jeden pan — jeden bat!“ Tylko, że wtenczas chronił się on pod berło cara rosyjskiego.

— I to był błąd! — podchwycił z uniesieniem ziemianin. Rzeczywistą opiekę mogą nam dać tylko Prusy.

— Ależ panie! — zawołał, hamując gniew, Hołówko. — Pan tego nie mówi chyba poważnie? Wtłaczać Polskę pod but niemieckiego cesarza w chwili, gdy...

— Najpoważniej w świecie! — przerwał magnat, nieco urażony. I na dowód szczerości swych intencji pokazał Hołowce projekt odezwy, jaką on i jego przyjaciele zamierzali wydać. Odezwa, imieniem narodu polskiego, wyrażała pragnienie, aby cały naród zjednoczył się pod berłem królów pruskich.

— Do stu piorunów! — nie mógł już pohamować się Hołówko. — Z taką odezwą nie ośmieli się pan chyba wystąpić jawnie i głośno wobec rodaków?

— Jawnie i głośno — powtórzył z przekąsem ziemianin. — Zapewne. Po cichu wszyscy sąsiedzi zgadzają się ze mną. Gdy jednak chodzi o publiczną deklarację, braknie im odwagi. Tchórze!

I począł gorzko sarkać na „małoduszność“ polską.

Że ów magnat z pod znaku Dowbora nie był okazem jedynym w środowisku polskiego ziemiaństwa, o tem przekonywał się Hołówko właśnie w czasie swej przedwyborczej akcji kandydata do sejmu. Ziemianin z pod Mławy czuł, myślał, rachował i „spra-

wował się“ w dobie dziejowego przełomu niemal zupełnie tak samo, jak ziemianin z pod Mohylowa.

Póki Rosja była potęgą, korzył się przed potęgą Rosji i niepodległość Polski za śmieszną uważał chimere, wysiłek zaś dla jej zdobycia — za politykę awanturników. Gdy carat runął i łuna czerwona rozlała się na wschodzie, ziemianin kurczowo chwycił się bagnetu niemieckiego, przeniósł zaufanie swe ze wschodu na zachód, ale państwa własnego nie przestał uważać za chimere.

Pod maską Boga i Ojczyzny.

Ziemiaństwo w czasie wojny myślało naprawdę tylko o jednym: o swych majątkach. Legjony powstały, wyniosły sprawę ojczystą przed forum Europy, rzuciły wyzwanie okupantom; ziemiaństwo spokojnie liczyło krupy i sprzedawało buraki. Żołnierz polski krwawił się, znacząc mogiłami drogę do niepodległości; ziemiaństwo oczyszczało swe hipoteki z długów, uprawiało „pasek“ i w nieludzki sposób wyzyskiwało pracę służby folwarcznej. Za Józefem Piłsudskim i Kazimierzem Sosnkowskim zawarły się żelazne bramy Magdeburga: ziemiaństwo ani jednym protestem nie zadokumentowało swego gniewu lub żalu, niebawem zaś, w osobie Rady Regencyjnej, zasiadło do uczty przy stole Beselera.

Gdy Państwo Polskie, poza wolą i wysiłkiem brać ziemiańskiej, powstało wreszcie do życia, przedstawiciele jej odrazu zajęli wobec niego postawę nieufną i wrogą. Rząd ojczysty był pierwszym rządem, któremu brać owa pokazała zęby, z pasją i wściekłością

atakując gabinet Moraczewskiego i Thugutta. Całą niewyżytą pod zaborami energję buntu ziemianie skierowali przeciw Naczelnikowi Państwa, rzucając mu kamienie pod nogi, deptając jego dekrety, odmawiając rządowi jego pieniędzy i chleba. „Albo my u władzy — albo niech ta Polska pod władzą Piłsudskiego kona z głodu“ — głosił niepisany lecz niemniej przeto solidarnie wykonywany podówczas uniwersał ziemiański.

„I, oto, współ z fabrykantem — pisał Hołówko — współ z kupcem, spekulantem i kamienicznikiem, ziemiaństwo zamknęło swe kasy ogniotrwałe i swe śpichrze — i patrzyło z uśmiechem ironji na borykanie się z twardym losem pierwszego po tylu latach prawowitego rządu narodowego, w którym zasiadali chłopci i robotnicy“.

Czemże tak srodze drażnił i wyzywał brać ziemiańską ów pierwszy rząd narodowy? Czy radykalizmem swych poczynań społecznych? Czy groźbą dążeń wywrotowych?

Gdzież tam! Ziemianie czuli się „obrażeni“ w swych uczuciach już samym widokiem przedstawicieli włościan i robotników, zasiadających na wysokich urządach państwowych. „Jeśli rządowi Moraczewskiego można było coś zarzucić — stwierdza Hołówko — to raczej to, że był wobec kasty ziemiańskiej zanadto pobłażliwy“.

Za tę swą pobłażliwość zapłacił on wkrótce swym upadkiem, nie doczekawszy nawet otwarcia Sejmu, w którego przygotowanie i zwołanie tak wiele włożył usilności. „Jeśli nie umiał zmusić ziemian do płacenia podatków, do nabywania pożyczki państwowej — po-

wiada słusznie a nie bez goryczy Hołówko — to rzecz naturalna, że nie mógł się spodziewać, by mu pieniądze dostarczyli dobrowolnie“.

Ubiegając się o mandat do Sejmu w okręgu wybitnie rolniczym, Hołówko, występując z ramienia P. P. S., chciał uczynić zeń mandat wiary i niedoli chłopskiej, chciał stać się sam żywym tej niedoli głosem, wołającym o reformę rolną, o naprawę bytu służby dworskiej, o ziemię i pracę dla bezrolnych i małorolnych, a przede wszystkim o państwową dla pracy tej opiekę.

Ale występując w obronie wiejskiej biedoty, podając rękę pracownikom folwarcznym, Hołówko zmobilizował przeciw sobie zwarty a rozjuszony front obszarnictwa, jednocześnie zaś uzbroił w gromy kłętwe wszystkie kościelne kazalnice, które pod świętokradczem hasłem „Boga i Ojczyzny“ stanęły po stronie możnych i bogatych przeciwko małuczkiemu i ubogiemu.

Ziemiaństwo, które żałowało grosza na organizacje niepodległościowe, teraz, skoro już „Polska wybuchła“, nie poskąpiło pieniędzy na wybory do Sejmu, wypuszczając mandaty poselskie w pacht Narodowej Demokracji, w której widziało wtenczas najpewniejszą obronę swych majątków, samo zaś do obrony tej nie raczyło się fatygować.

Hołówko, gdziekolwiek stanął, spotykał przeciw sobie rozżarte, zuchwałe, płátne „hieny“ wyborcze. Poza sobą miał bezradną, rozproszoną, ciemną nędzę ludu. Głosy, które zdobył w dniu wyborów, były iskrami światła, wydartymi z twardej skały wiekowego bezwładu: ale czyż można się dziwić, że były

liczbą znikomą wobec przewagi głosów, jaką zyskali przekupnie „Boga i Ojczyzny“?

Hołówko przegrał swój pierwszy mandat poselski do Sejmu. Wraz z nim przegrał i tę jedyną szansę bezpośredniego udziału w budownictwie państwowem, jaką podówczas — w okresie wszechwładzy Sejmu — otwierała godność poselska.

Nie znalazło się w Sejmie miejsca dla rycerza wolności, który już wtenczas miał poza sobą krzyżowe etapy wygnania, turny moskiewskie, koleczaste druty obozów niemieckich, śmiertelne szlaki Ukrainy, krwawe starcia z knechtami okupacji...

Na trybunę sejmową odrodzonej Polski — poza plecami Naczelnika Państwa, który z garścią żołnierza biegł na obronę granic — wtargnie faryzeizm pod maską Boga i Ojczyzny, parlamentarny kretynizm austriacki, przyziemny oportunistyczny dzielnicowy, drapieżny głód prywaty, gust do swarów, lekceważenie urzędów ojczystych, bałwochwaleza cześć dla potęg obcych...

Mandat do Rady Miejskiej w Warszawie, używany w tym samym mniej więcej czasie, lubo zaszczytny, nie mógł być dla Hołówki żadnym równoważnikiem służby poselskiej: sprawy municypalne były drobiazgiem wobec zagadnień, jakie ważyć się miały i rozstrzygać w pierwszej izbie ustawodawczej.

Marzenie i rzeczywistość.

Hołówko, walcząc o mandat do Sejmu, daleki był od kojarzenia z nim jakiegokolwiek widoków na byt i karierę osobistą. Doznawszy wszakże zawodu na wy-

borach sejmowych, nie przewidywał, że czeka go w Polsce niepodległej zawód jeszcze osobliwszy: że, poprostu, uzyskanie kawałka chleba nie będzie dlań rzeczą łatwą. Oddawna, pracując w szeregach P. O. W. i P. P. S., przywykł działalność swą utożsamiać z łańcuchem ofiar i poświęceń. Życie jego było nieustannem tułactwem, koczowaniem z miejsca na miejsce pod grozą szpiegów i żandarmów. Odkąd w roku 1914 przybył do Warszawy i zaciągnął się pod rozkazy Polskiej Organizacji Wojskowej, nie posiadał właściwie dachu nad głową, stałego stanowiska; nie zaznał ani jednego dłuższego okresu spoczynku, wezasu, dostatku. Żył stale pod znakiem ostrego pogotowia. Był jednym z owych „ludzi bezdomnych“, których epos na długo przed wojną przeczuł i wślawił Stefan Żeromski.

Lecz, oto, Polska, o której marzył Hołówko, stała się rzeczywistością. Istniał już Rząd polski, powstały polskie urzędy, rozpoczął gwarną pracę Sejm Ustawodawczy... W każdej instytucji, która wyrastała, Hołówko mógł być wskazać cząstkę osobistego dorobku, cegiełkę wysiłku własnego i wysiłku ludzi podobnych sobie. Jednakowoż, dziwną ironją losu, który podówczas nad Polską zaciążył, te trudy i wysiłki, poniesione w walce o niepodległość, przestały być jakąkolwiek legitymacją w progu urzędów, które zajęły się t. zw. „rozbudową państwa“.

Jakiś były dygnitarz carski z Orła lub Irkucka, który sprzedał był swą polską duszę za ruble rosyjskie, a potem, uchodząc przed terorem bolszewickim, przypomniał sobie nagle o dawnym pochodzeniu, jakiś tyłowy generał austriacki, ba! nawet jakiś po-

kątny ciura obcego najazdu, gdy zapukał do urzędów nowej Polski, bywał w nich milej widziany i gościnniej witany, niż okryty bliznami bojownik niepodległości.

Z zastraszającym realizmem odsłaniał się teraz przed Hołówką nagi bezwstyd prawdy: gdy jedni o Polskę walczyli, drudzy — olbrzymią stanowiącą większość — dzielili między siebie tej walki plony i zdobycze, półgębkiem przytem sarkając na „wściekłe ryzykanctwo“ bojowników.

Wraz z upadkiem „Rządu Ludowego“ i objęciem władzy przez gabinet Paderewskiego, zaczął się ów znamienity proces „odwracania wartości“, któremu kres miał położyć dopiero przewrót majowy w roku 1926. Proces ten oznajmiał się coraz butniej głoszonymi tezami, że w odbudowie Polski nie to jest ważne, co własnemu zawdzięczamy wysiłkowi, ale to, co było darem obcej łaski lub wynikiem obcej mocarstwowej kalkulacji. Nie ci, którzy zrazu pierś wystawiali na kule moskiewskie, a potem zapełnili więzienia pruskie, ale ci, którzy przezornie i wygodnie czekali na orzeczenia Kongresu, okrzykiwali się teraz za najlepszych synów ojczyzny, pieli się ku najwyższemu dygnitarstwu, ton nadawali opinii, zasiedli uroczyście w pierwszych ławach Sejmu. „Bekowcy“, którym ongi Hołówko tak pięknie wystawił świadectwo, teraz wyobraziwszy sobie, że są bezpieczni i mogą być odważni, postanowili wziąć masowy odwet nad żywiołami walki i, mając swe gniazdo koncentracji w Sejmie, sięgali po ster Rzeczypospolitej. Widzieli, że Naczelnik Państwa, jako Wódz Naczelny, przez długie miesiące pochłonięty będzie krwawym, nad-

ludzkim trudem wykuwania granic: czyż to nie wymarzona sposobność, aby mu ręce skrępować w polityce wewnętrznej?

I, oto, stajemy wobec faktu, który przyszłego historyka, docierającego do źródeł odrodzenia Polski, przejmować będzie naprzemian gniewem, zdumieniem i zgrozą: w trzy miesiące po rozbrojeniu wojsk okupacyjnych, w obliczu niesłychanego ogromu niebezpieczeństw, młodemu zagrażającym Państwu, jednym z pierwszych aktów pierwszego, powołanego z woli i decyzji Naczelnika Państwa Sejmu było całkowite odarcie z władzy i znaczenia właśnie Głowy Państwa, w t. zw. „małej konstytucji“ z dnia 20 lutego roku 1919. Sejm Ustawodawczy, idąc za najgorszą tradycją schyłku i rozkładu Rzeczypospolitej szlacheckiej, odsuwał Rząd od inicjatywy i władzy działania, zastrzegał dla siebie prerogatywy zwierzchnictwa i przeistaczał się w jakąś potworną oligarchję o kilkuset miernych głowach, nie przerastających opłotków ciasnego podwórka.

Piłsudski przegrał stawkę na szlachetność uczuć i myśli Sejmu. Sam powie niebawem: „Szukałem w panach posłach odrodzenia i odrodzenia nie znalazłem“.

Cóż miał począć w owym okresie Tadeusz Hołowko? Cóż począć miał, skoro Wódz jego, poza dziedziną wojny był w znacznej mierze bezsilny i czuł się obezwładniony owymi upiorami niewoli, które wstały z pod gruzów obcego władztwa, a które on niebacznie ośmielił swoją wspaniałomyślną polityką wolności, polityką budowania spójni i zgody w narodzie? Zgoda została zrozumiana jako niwelacja zasług,

spójnia — jako dyktatura miernoty, wolność — jako pęknięcie wszelkich ograniczeń, tamujących prywatę i samowolę jednostki lub grupy.

Hołówko zrozumiał, że droga od Polski wyzwolonej do Polski naprawdę odrodzonej będzie niemnziej ciernista, niż droga wyjarzemia. Karta jego służby politycznej zdawała się tymczasem zamkniętą.

I rzecz charakterystyczna: w chwili, gdy przegrawszy na wyborach, odepchnięty od trybuny Sejmowej przez obłudę i przemoc, miałby Hołówko tysiąc powodów, aby skarżyć się i oskarżać innych, poddaje on rewizji krytycznej sam siebie; zaczyna od szukania przyczyn porażki w brakach własnego umysłu; pragnie wzmóc zasób swojej wiedzy i udoskonalić sprawność swojej myśli. Postanawia podjąć i uzupełnić swe studia prawnicze. Wśród pogłębionej i skupionej zadumy, która po każdej przychodzi porażce, Hołówko przystaje jakgdyby na uboczu głównego gościńca, ogląda się poza siebie i czyni krótki bilans minionego okresu. Piąty to już mijał rok, odkąd, jako młody filareta, porwany burzą dziejową, porzucił ławę studencką w Petersburgu. Pięć lat dobiegało kresu, odkąd wiedzę, czerpaną z książek i wykładów profesorskich, zastąpił twardą, mozolną szkołą doświadczeń, przeżyć i walk.

Widowym dowodem, że walki te nie poszły na marne, było to, że studja, zaczęte w stolicy carów, mógł on kończyć teraz w stolicy własnego Państwa, w Uniwersytecie ojczystym. Lecz triumf ten jakże ciężką okupił daniną z kapitału własnego życia osobistego i rodzinnego! Gdy on na wysuniętym walczył posterunku, poza nim, na tyłach społeczeństwa, na

tyłach pożogi wojennej, roztropna i trzeźwa młodzież słuchała wykładów, odbywała colloquia, składała egzaminy i „robiła“ doktoraty, skarbiąc sobie w ten sposób zasłużone tytuły do solidnej kariery w nowo-powstałym Państwie.

Czemże był w oczach tej udyplomowanej młodzieży nasz pokonany kandydat na posła? Czem był on w swoich własnych, nagle zaniepokojonych oczach? Czy nie groził mu na resztę życia los „wyko-lejeńca“, „dyletanta“ i „niedouka“? Nie bez popłochu wewnętrznego stwierdził, że trzydziestka — ów wiek słuszny, wiek duchowej dojrzałości, wiek powołania — nadeszła i wydzwoniła mu nad głowę, zanim zdążył zająć w „społeczeństwie“ określoną „pozycję“. Brak dyplomu, brak studjów ukończonych, wydał mu się w owej chwili dotkliwą jakgdyby szczerbą w budowie dalszego życia.

— Kształcić, kształcić się za wszelką cenę! — oto nakaz, który podówczas wydał sam sobie Hołowko, skoro ujrzał, że burza światowa zdawała się milknąć i życie w Polsce jęło układać się, przynajmniej na pozór, w nieco normalniejsze łóżysko.

Postanowił przystać na pierwsze zaofiarowane sobie, choćby najskromniejsze, zajęcie, byle móc sobie oraz rodzinie swej zapewnić minimum egzystencji materialnej i zyskać nieco czasu wolnego do pracy nad sobą. Gdy się nadarzyła sposobność, objął, istotnie, stanowisko w Ministerswie Pracy jako naczelnik wydziału prasowego. Nim jednak ten syn stepu zasiadzie przy biurku urzędnika, nim ten wice-minister Rządu Lubelskiego „kuć“ zacznie prawnicze skrypta uniwersyteckie, szarpnie go i poniesie pasja publicy-

styczna: to, co zamierzał wygłosić z trybuny sejmowej, postanowi zawrzeć i ogłosić w broszurze. Tak powstała nieduża rozmiarami, lecz znamienna treścią a kipiąca temperamentem rozprawka, p. n. „Ziemia-
nie“: rozprawka, która, zaledwie wydana, natych-
miast burzliwem ozwała się echem w społeczeństwie i niemniej burzliwe echa budzić miała aż do końca
życia autora, wypływając raz po raz cytata-
mi to w głosach jego przyjaciół, to w atakach jego przeciwników.

Ziemia- nie przeciw Państwu.

Hołówko w publikacji swej wychodził z założenia, że Polska, „jeśli chce ostać się jako państwo, musi zdobyć się na wielkie reformy społeczne; przede-
wszystkiem zaś na reformę rolną“, przyczem podkre-
ślał, że nie dość jest reformę taką uchwalić w za-
sadzie, jak uczynił Sejm Ustawodawczy, ale trzeba
ją rzetelnie i niezwłocznie urzeczywistnić.

Hasło reformy agrarnej, polegającej na podziale
obszarów dworskich — za większym, mniejszym lub
minimalnym wykupem — między służbę folwarczną
oraz małorolnych włościan, górowało podówczas
w całym niemal społeczeństwie (z wyjątkiem, oczy-
wiście, dworów, podlegających wywłaszczeniu). Za
przemożny nakaz racji stanu uznawała je także
i większość posłów sejmowych.

Skąd więc pochodziło to wściekłe oburzenie, jakie
rozpętała przeciwko sobie krótka broszura Hołówki?
Pochodziło stąd, że autor nasz brał swój postulat na
serjo, jako rzecz zbawienną dla Polski, gdy tymcza-

sem inni „dzwonnicy“ reformy rolnej bądź poddawali się jej ze zgrzytaniem zębów, jako ponurej konieczności, bądź też, jak się okazać miało, uważali hasło jej za manewr do skaptowania chłopów; za obietnicę, której ani myśleli dotrzymać.

W postulacie reformy rolnej cieszyła Hołówkę myśl o setkach tysięcy nowych samodzielnych gospodarstw chłopskich, mogących powstać na rozparcelowanych obszarach dworskich; otuchą poił go nowy siew demokracji wieśniaczej, ostoja przyszłej potęgi i odporności polskiej w obliczu Rosji komunistycznej. Niemniej wszakże cieszyła go też i myśl o likwidacji tej spleśniałej, sobkowskiej klasy, prywatą i egoizmem przeżartej, jaką w oczach jego stanowili ziemianie.

Cała broszura jego miała na celu wykazać, że ziemiaństwo było już oddawna, co najmniej od półtora stulecia, żywiołem znieprawionym i przegniłym: ono to, kurczowo ściskając w rękę batóg pańszczyźniany, wołało samo ugiąć szyi do obcego łańcucha, niż rozluźnić jarzmo na karku chłopu. Wołało stać się niewolnikami caratu, byle jak najdłużej mieć własnego niewolnika — w chłopie.

Bez wystrzału, bez czynnego protestu, szlachta przyjęła pierwszy rozbiór Polski; nie powołała do jej obrony chłopu, aby nie dzielić się z nim ziemią i wolnością. Uznała pana w obcym władcy, nie chciała uznać brata i obywatela w polskim chłopie.

„Jeśli przyszedł następnie — pisze Hołówko¹ — okres odrodzenia się duchowego i reform, to było to

¹ Por.: „Ziemiaństwo“, str. 4—5.

zasługą tej garści szlachty światłej i patryjotycznej, która zerwała pod wpływem wielkiej rewolucji francuskiej z tradycjami i poglądami szlachecko-ziemiańskiego ogółu. Wszelako ta część szlachty polskiej, która była po stronie konstytucji 3-go maja, pozostała w znikomej mniejszości w stosunku do ogółu ziemiaństwa. Pamiętajmy, że konstytucja owa zrodziła się i była opracowana w wielkiej tajemnicy, że jej twórcy byli spiskowcami wobec szerokiego ogółu ziemiańskiego, że miała ona przeciw sobie całą prawie szlachtę, siedzącą po folwarkach, prawie wszystkich biskupów, prawie całą magnaterję, której chaos i bezrząd były potrzebne dla obrabiania swych prywatnych interesów“.

„A jak wtenczas jeszcze to zacofane szlacheckie ziemiaństwo i magnaterja były silne — przypomina Hołówko — wskazuje fakt, że konstytucja 3-go maja nie odważyła się targnąć na społeczne przywileje ziemiaństwa“.

Nie odważyła się — dlaczego? Dlaczego twórcy przewrotu majowego w roku 1791 nie dali chłopom polskim tego, co zdobył już chłop francuski: ziemi i wolności osobistej? Czy nie rozumieli doniosłości tych zdobyczy dla ludu i dla zagrożonego Państwa? Rozumieli doskonale, ale rozumieli też, że dać włościaństwu chociażby tylko wolność obywatelską znaczy to wyzywać na walkę całe ziemiaństwo: ryzykować, że w obronie stanowego przywileju pogrzebie ono całą reformę.

„Wskazuje to tylko — mówi Hołówko — jak dałecie ów ogół ziemiańsko-szlachecki był jeszcze ciemny, egoistyczny i silny. Dlatego też największą obrazę

i krzywdę wyrządzają światłej pamięci twórcom konstytucji majowej ci, którzy wskazują na to, że byli oni szlachtą-ziemianami. Stanisław Potocki, Kołłątaj, Małachowski mieli tyle wspólnego z ówczesną szlachtą i ziemiaństwem, co z dzisiejszą ma Piłsudski, również szlachcie z pochodzenia“...

Charakteryzując warstwę ziemiańską, Hołowko, rzecz prosta, nie poto cofał się ku czasom Sejmu Czteroletniego, by procesować się z przeszłością i w martwych grzebać popiołach. Gromił on przeszłość, gdyż jej złowrogie widma i upiory dostrzegał w teraźniejszym współczesnym sobie pokoleniu ziemian. Jak na schyłku Rzeczypospolitej dawnej, tak i na progu nowej, ziemianie rościli sobie prawo do kontroli ponad kontrolą Sejmu, do władzy ponad władzą rządu. „Oto Związek Ziemian, rozjuszony projektem reformy rolnej — pisał Hołowko¹ — wyklucza z grona swoich członków ministra Janickiego i posła Czetwertyńskiego zato, że nie bronili interesów swej klasy: publicznie wymaga od ministra, aby na swem stanowisku dbał nie o interesy kraju, lecz o korzyści jednej grupy; od posła, wybranego w powszechnem głosowaniu, aby interesy ogółu składał w ofierze interesom „szczupłej garstki uprzywilejowanych“. Jak ongi, przed laty 130-tu, tak i teraz, w zaraniu odrodzonej wolności, ziemianie nietylko chcieli dyktować rządowi warunki, ale wręcz grozili mu rokoszem, gdy warunków tych nie przyjmował; uchylali się od pożyczek państwowych, nie płacili podatków, obrażali się na Państwo, a jednocześnie domagali się odeń siły

¹ Tamże, str. 38.

dla zbrojnego łamania wszelkich wystąpień służby folwarcznej, usiłującej walczyć o elementarne prawa człowieka.

Propagując myśl natychmiastowej realizacji reformy rolnej w drodze wyłączenia obszarów dworskich i przekazania tychże chłopom, Hołówko kategorycznie zastrzegał się przeciw naśladowaniu wzorów komunistycznych.

„Nie pójdziemy — oświadczał¹ — w ślady bolszewików i nie będziemy ludu wiejskiego karabinami zapędzać do państwa socjalistycznego... Ambicja moja pragnie tylko tego, aby robotnik i chłop polski szli w jednym szeregu z demokracją społeczną innych przodujących narodów Europy. A dziś do tego nam bardzo daleko. Dziś Polskę można porównać z jakimś archaicznym zabytkiem dawno minionej przeszłości“...

Dlatego to, zdaniem Hołówki, radykalna przebudowa naszego ustroju rolnego leżała w interesie młodego Państwa Polskiego nie tylko ze względów społecznych, lecz także politycznych i etycznych.

Rozsądna polityka państwowa na czemże polega, jeśli nie na tem, aby wzmacniać ubogich i sił przydawać małuczki? Ubodzy i małuczcy w każdym kraju stanowią przygniatającą większość: gdy więc oni w górę się dźwigają i rosną w siłę, wraz z nimi wzrasta i potęga kraju.

Reforma rolna potężnie pchnąć mogła naprzód rozwój Polski. Ale cel swój, jak wskazywał Hołówko, osiągała dopiero wtenczas i pod tym jedynie warun-

¹ Tamże, str. 38.

kiem, że ziemię z obszarów dworskich otrzymają ci, którzy jej naprawdę potrzebują, a zapłacić za nią nie mogą, to jest służba folwarczna, chałupnicy i małorolni, nie zaś bogaci chłopci, którzy mieli i ziemi dość i pieniędzy, aby jej jeszcze więcej dokupić.

Tak przeprowadzona reforma rolna osadzała na gruncie państwowości polskiej odrazu miljonowe rzesze ludu i z gruntu tego granitową czyniła podstawę naszej potęgi nowoczesnej. Pogłębiała naród polski o nową świeżą warstwę, do dziejowego powołaną życia, i rozszerzała jego duszę czynem wielkiej sprawiedliwości społecznej. Jednocześnie wobec granicy wschodniej stawiała mur warowny z piersi miljona nowych właścicieli ziemskich: żywy mur, wkorzeniony w ziemię i z ziemią tą stanowiący jedność nierozrwalną. Mur, o który rozbiłaby się każda pokusa komunistyczna i każda barbarzyńska inwazja.

Ważkie słowa Hołówki nie znalazły posłuchu w Sejmie... Przebrzmiały bez echa w społeczeństwie. To, na co zdobyły się w pierwszym zaraz roku po wojnie Czechy, Łotwa, Estonja, Litwa i Rumunja, wymiatając gruzy i zabytki feudalizmu w swych krajach, na co Francja zdobyła się już w pozaprzszłym stuleciu, niezłomnie kładąc podwaliny pod swą równowagę społeczną, to przerastało odwagę rozumu i sumienia ustawodawców polskich.

Słowa Hołówki przebrzmiały narazie, ale nie zgięły. Miały wrócić niebawem i wróciły już w roku następnym, pełne groźnej i tragicznej wymowy. Wróciły w łunie pożarów, wzniecanych przez armję bolszewicką, w łoskocie armat, w popłochu, bijącym aż pod progi suwerennej Izby. Sejm, który blisko dwa

lata stracił na nieobowiązującym gadulstwie i niepo-
czytalnej walce z Naczelnikiem Państwa, teraz, wobec
nadciągającego najazdu, w ciągu jednej doby zro-
zumiał, że w wojnie z Rosją nie osiągniemy stanow-
czej przewagi póty, dopóki najliczniejsza w narodzie
warstwa włościańska widzieć będzie w Polsce nie
matkę, lecz macochę.

Na wniosek Wincentego Witosa Izba poselska
w dniu 15 lipca roku 1920 przyjęła projekt ustawy
rolnej, oparty na zasadach, uchwalonych już rok te-
mu. Przyjęła go tym razem już nie większością jed-
nego tylko głosu, ale jednomyślnie, wszystkimi gło-
sami. Jednomyślność ta, jawiona tak skwapliwie, choć
tak późno, bo dopiero pod świstem kul bolszewickich,
świadczyła najlepiej, ile słuszności miał Hołówko,
gdy w reformie rolnej, likwidującej wielkopańskie
latyfundja, upatrywał najskuteczniejszą obronę prze-
ciw Rosji.

Gdyby w autorze „Ziemian“ tkwił doktryner lub
fanatyk, mógłby on być przekornej a nawet szatań-
skiej doznawać uciechy, patrząc, jak przedstawiciele
obszarnictwa i magnaci, którzy niedawno z grona
swej korporacji wykluczali członków za niedość żar-
liwe trwanie przy chorągwi stanowego egoizmu, te-
raz z entuzjazmem chronili się za chłopskie plecy,
gotowi byli z ludem dzielić się każdym majątkiem,
zagarniętym przez falę najazdu, i poprostu pchali
władzę do rąk przywódców partji robotniczej...

Niestety, w chwili, gdy nóż bolszewicki kładł się
na gardle nie tylko ziemian i magnatów, ale całej
zmartwychwstałej Polski, nie czas było na „ucztę
szyderców“.

Nie czas, zresztą, było i na realizację zbawionych reform, których uchwalenie przez Sejm mogło być tylko pięknym akordem propagandy patryjotycznej.

Ratunek Polski spoczywał teraz nie w słowach i zapowiedziach, nie w uchwałach i głosowaniach sejmowych, ale w mieczu Wodza, w bohaterstwie żołnierza.

Hołówko usłyszał wezwanie chwili. Zamknął kartę publicysty, oderwał się od książek, od studjów nad prawem, i znowu stał się żołnierzem. Stawił się tam, dokąd wołała go nagle powinność ojczysta. Kraj nie chciał jego rady w Sejmie. Nie słuchał go, gdy pragnął służyć mu słowem poza Sejmem. Więc pójdzie służyć mu krwią na polu walki.

Kula bolszewicka.

Tragiczne lato 1920 roku zastało Hołówkę na jednym z podmiejskich lotnisk Warszawy, gdzie, otoczony ciszą leśną, zamieszkiwał od kilku tygodni wraz z matką i rodziną, wertując teorje oraz kodeksy prawne i w spokoju gotując się do egzaminów, wyznaczonych na jesień.

Ale czyż spokój w życiu Hołówki mógł oznaczać coś innego, niż moment przelotny lub złudę?

Gdy, jadąc na lotnisko, opuszczał Warszawę, miał jeszcze w uszach pogłos patetycznych mów, jakimi marszałek Sejmu, Trąpczyński, witał zwycięskiego Wodza, „bez względu na różnice partyjne, widząc w nim symbol ukochanej armji, armji o takiej sile,

jakiej naród nasz nawet w swych najświetniejszych czasach nie posiadał“.

Lecz, oto, jednego z pierwszych dni lipcowych odwiedza Hołówkę młody Bohdan Straszewicz, ówczesny redaktor „Gazety Polskiej“, spędzający wczasy letnie w pobliskim osiedlu. Dzieli się z przyjacielem złowrogimi wieściami z frontu. I obaj w swych oczach pociemniałych odczytują nawzajem pytanie:

— Czy wolno korzystać z wczasów, gdy groźba zagłady staje ponad krajem?

Postanawiają niezwłocznie udać się do Warszawy, aby zasięgnąć języka. Wiadomości, jakie otrzymują, utwierdzają ich w przekonaniu o grozie niebezpieczeństwa. Hołówko wraca pośpiesznie na wieś, aby pożegnać się z rodziną, aby pożegnać się z książkami, pokreślonymi od uwag marginesowych w ciągu wielokrotnej lektury. Nie czas na Kwintyljana i Monteskusza, na Statuty Kazimierza Wielkiego i Volumina Legum, skoro dach pali się nad głową!

Gdy całe kluby sejmowe w tej tragicznej chwili nie widzą przed sobą zadań pilniejszych, jak wytaczać proces Naczelnemu Wodzowi, siejąc o nim w narodzie najpotworniejsze kalumnje, Hołówko, oceniwszy powagę sytuacji, bez jednego dnia zwłoki zgłasza się do wojska i już dnia 12 lipca staje w Jabłonie jako szeregowiec, przydzielony do 201 ochotniczego pułku piechoty, formującego się pod rozkazami Koca, a mającego działać na tyłach armji nieprzyjacielskiej. W tejże 9-ej kompanji, do której był wcielony, Hołówko odnalazł Straszewicza, spotkał się z Thuguttem, Witoldem Giełżyńskim i Eugenjuszem Śmiarowskim. Największą jednak radość w kompanji

sprawiło Hołówce spotkanie z Józefem Korczakiem, dawnym a serdecznym druhem i towarzyszem z „Samopomocy Robotniczej“, a potem Wydziału Pogotowia Bojowego P. P. S., tylu bohaterskimi czynami wstawionego w walce z okupacją pruską. Jak w Hołówce cnota żołnierska w jeden stapiała się kruszec z namiętnością publicysty, tak w Korczaku z animuszem bojowym splatał się entuzjazm poety. Śmierć tego poety-żołnierza, który wyszedł obronną ręką z setek starć bojowych jakgdyby poto, aby polec w ostatniej potyczce, jaka na ziemi polskiej się rozegrała (pod Nowemi Trokami, 18 października 1920), będzie dla Tadeusza ciosem, którego nie przeboleje do końca życia.

Front polski tymczasem łamał się i niepowstrzymanie odpływał ku zachodowi, ku środkowi kraju. Dnia 14 lipca, a więc w dwa dni po wstąpieniu Hołówki do pułku, kawalerja rosyjska zajęła Wilno. Pochód wojsk rosyjskich sprawiał wrażenie jakiegoś potwornego kalejdoskopu, jakieś nasuwającej się chmury gradowej, pod którą kruszyło się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy.¹

Gdzie nastąpi kres odwrotu? Pod trwogą tego pytania w pewnych grupach politycznych szaleje poprostu furja depresji. W struchlałych głowach, w tych zwłaszcza, które niedawno chełpiły się, że „otrzymaliśmy Polskę za darmo“, zaczynają snuć się jakieś czady pół-rezygnacji, pół-zaprzęństwa; jakieś rachuby reasekuracyjne: kto wie, co jeszcze być może? Gdy jedni marzyli o sławetnej koncepcji „Polski

¹ Por.: J. Piłsudski, „Rok 1920“.

Zachodniej“ ze stolicą w Poznaniu, pod protektorem Niemiec, inni, jak niejaki poseł Hryckiewicz, wyskoczą w tym właśnie czasie z namiętą w Sejmie obroną przeznaczonego na zburzenie symbolu moskiewskiej władzy w Warszawie, soboru prawosławnego, i znajdą dla swej małoduszności poparcie klubów prawicowych: kto wie, co jeszcze być może?

Przeciw gradowej chmurze ofensywy rosyjskiej, przeciw nastrojom wewnętrznej małoduszności, gdzież była opora i nadzieja obrony? Tylko w planie Naczelnego Wodza, tylko w ocknieniu energii narodu, tylko w szeregach ochotników, które, napływając ze wszystkich sfer społeczeństwa, przynosiły nie tylko czynnik siły liczebnej, ale przede wszystkim czynnik siły moralnej.

Kompanja, do której wszedł Hołówko, była jedną z tych właśnie komórek siły moralnej, które, rozmnożywszy się w tysiące, miały wzmóc ducha obrony i przeważać szalę zwycięstwa. Pracy i pośpiechowi, z jakim ochotnicy szkolili się w użyciu broni, w zasadniczych elementach sztuki bojowej, udzieliło się coś z wichury zdarzeń, które wtenczas gnały przez Polskę. Wszyscy, zarówno oficerowie, jak szeregowcy, w tym zbrojnym obozie czuli, że każda godzina jest droga: ćwiczenia na placach broni trwały, z małemi przerwami, od 5-ej rano do 9-ej wieczorem.

Gdy Hołówko w miesiąc potem, już w odgłosach powracającego wspaniałego zwycięstwa, myślał o gorączce tych ostatnich dni lipcowych, w oczach przewijał mu się wściekły wir scen, w których okrzyki komendy mieszały się fantastycznie z ostatnimi jeszcze echemi prawa konstytucyjnego, ryk armat

wrzynał się w monotonny chlupot deszczowej, ulewnej nocy, szalony atak na bagnety rozplątywał się w mroku czyichś mgłą zachodzących oczu.

Leżąc w Szpitalu Ujazdowskim i kurując się przez długie tygodnie z ciężkiej rany, odniesionej w bitwie, Hołówko nie umiał zdać sobie sprawy, w jaki sposób taki nawał zdarzeń mógł zawrzeć się w kilkunastu, ba! w kilku dniach! Ale ten właśnie gwałtowny bieg wypadków rozmachem swoim świadczył o wybuchu sił, które drzemały, lecz które w sercu narodu nie wygasły.

Jeszcze w niedzielę rano, dnia 25 lipca, brać ochotnicza, przed wyruszeniem na front, słuchała mszy polowej w Jabłonnie, a już w trzy dni potem, dnia 28, następuje pierwsze jej starcie z nieprzyjacielem pod wsią Korczakami (pow. Wysokie Mazowieckie) i pierwszy jej sukces bojowy: wydarcie wsi Suraz z rąk bolszewickich. Kompanja pod komendą Korkiewicza, Korczaka i Szmala, w łączności z resztą bataljonu, prowadzonego przez kapitana Gaładyka, stawia czoło najazdowi, twardnieje w oporze, po raz pierwszy powstrzymuje pochód wroga, a nawet przechodzi do natarcia. Posuwając się naprzód lub broniąc własnych stanowisk, oddział gęsto znaczy drogę swą śladami rannych i poległych. W jednej z potyczek ginie Bohdan Straszewicz. Z boju pod Surazem strzaskane wynosi ramię Stanisław Thugutt. W dwa dni potem, w nocy z 30 na 31 lipca, kula bolszewicka łamie i gruchoce prawe ramię Hołówki: straszliwy ból rozbitej kości oraz długotrwały wpływ krwi ścina go z nóg, nieuchronnie, zdawałoby się, wydając go w ręce nieprzyjaciela. Resztą przytomnej

świadości liczy bicie serca, liczy uciekające minuty, czuje pod głową ciężką, jak kamień, wilgotną rolę i czuje jednocześnie, jak w rolę tę wsiąka, kropla po kropli, jego krew.

— Więc to już śmierć — myśli z dziwnym, niezrozumiałym dla siebie spokojem — i z myślą tą zapada w miękką ciemną otchłań...

Z otchłani tej w pewnej chwili, po upływie czasu, z którego nie umiał zdać sobie sprawy, wyrwał go straszliwy ból. Podniósłszy powieki, ujrzał, że jakiś młody żołnierz schyla się nad nim, podnosi jego głowę, usiłuje podźwignąć jego nieruchome ciało i wprowadzić z niebezpiecznego miejsca. Ale ranny nie czuje w sobie siły, by wstać.

— Ratuj się sam, chłopcze — wyszeptał. — Po mnie już nie...

— Co to, to nie, towarzyszu Hołówko! Ja was znam. Ja was tu zostawić nie mogę.

I dźwignąwszy rannego z kałuży krwi, wziął go na bary, a zoczywszy opodał furmankę, skierował się ku niej i załadował towarzysza na wóz. Poczem, popędziwszy konia, odstawił rannego na posterunek sanitarny. Hołówko, wycieńczony upływem krwi, omdlał ponownie. Gdy odzyskał świadomość po raz wtóry i rozejrzał się wokół siebie, poznał po otaczających go mundurach, że jest wśród swoich: poprzez zarzewie gorączki odetchnął z ulgą. Dowiedział się przytem, że wiozą go do najbliższej stacji kolejowej, Szepietowa, i że ocalenie swe zawdzięcza młodemu żołnierzowi-robotnikowi.

O wiele później dopiero dowiedzieć się miał Hołówko o iście cudownem pochodzeniu furmanki, któ-

ra tak ważną rolę odegrała w tym bitewnym epizodzie. Była to furmanka, zarekwirowana jednemu z gospodarzy polskich przez bolszewika. Tej samej nocy, w której przed świtem ranny został Hołówko, kolega jego, Gieżyński, trwając na posterunku i widząc umykającego na wozie Moskala, wymierzył doń z karabinu i celnym strzałem zważył go z wozu. Spłoszony koń, poczuwszy luzem puszczone lejce, skręcił z drogi i poniósł galopem w pola, ku cofającym się placówkom polskim. Tam to właśnie zoczył go, jako niespodziane narzędzie ratunku, i zatrzymał ów żołnierz-robotnik w chwili, gdy, upadając ze zmęczenia, ścigany kulami bolszewików, dźwigał bezwładne, krwią zbroczone ciało Hołówki...

Rannego najbliższym pociągim, odchodzącym z Szepietowa, przewieziono do Warszawy, gdzie na dworcu, będącym stacją etapową, szczęśliwym trafem znalazł się Bronisław Ziemięcki. Zoczywszy Tadeusza z ręką złamaną, w stanie groźnej gorączki, natychmiast rzucił mu się z pomocą i sprawił, że bez zwłoki odstawiono go do Szpitala Ujazdowskiego. Jakoż nie było ani godziny do stracenia. Lekarz, dr. Radliński, obejrzawszy ranę, stwierdził daleko posunięty przebieg zapalenia ropnego i osądził, że amputacja ręki jest nieunikniona. Ale na miejscu operacji w szpitalu czuwała już ówczesna żona Tadeusza, pani Helena Derewojed-Hołówkowa. Z żarliwą energją zaprotestowała przeciw okrutnej decyzji chirurga i wyblagała, że podjęto ostatnią próbę ocalenia ręki. Operacja dała wynik pomyślny. Gorączka opadła. Pogruhotana kość jęła się powoli zrastać. Wracała jednocześnie władza w mięśniach.

Po trzech miesiącach rekonwalescencji Hołówko wyszedł ze szpitala zdrowy, z ręką uratowaną.¹

I z krzyżem *Virtuti Militari* na piersiach.

„Oficer polski“.

Zaledwie zwlókłszy się ze szpitalnego łóżka, skazany na przymusową oględność w ruchach, Hołówko zasiada do pisania swej pierwszej większej książki: „Oficer polski“. Ręką niecałkiem jeszcze wygojoną z ran kreśli karty, poświęcone idealnemu wizerunkowi oficera-obywatela.

Była jesień roku 1920. Pożar wojny dogasał nareszcie i na polskich ziemiach. Staliśmy wobec zwycięskiego pokoju z Rosją. Najazd bolszewicki był odrzucony daleko na wschód. Główne siły Moskwy były rozbite.

Ale czy znaczyło to — pytał sam siebie Hołówko — że już żadne niebezpieczeństwa z zewnątrz nie grożą naszej państwowości?

Nadzieja taka byłaby niebezpieczną kołysanką. Niepodległa Polska jest logicznym skutkiem klęski i upokorzenia Rosji i Niemiec. Naiwnym byłby ten, ktoby sądził, że państwa te łatwo pogodzą się ze swą klęską i nie będą żyły myślą odwetu. Dopóki zaś ta groźba odwetu nie zniknie, póty nad Polską wisieć będzie widmo ponownej zagłady.

¹ Długo, po odzyskaniu zdrowia, czynił Hołówko wszelkie możliwe starania i wysiłki, aby odnaleźć owego szlachetnego żołnierza-towarzysza, który mu ocalił życie. Niestety, poszukiwania pozostały daremne. Żołnierz ów poległ snadź w jednej z bitew późniejszych.

Jak groźbę tej zagłady odwrócić? Czy przez tworzenie i utrzymywanie wielkiej armji?

„Nie! — odpowiada Hołówko w swej książce:¹ — nie olbrzymie armje, lecz powszechne przygotowanie i przystosowanie całego narodu do służby wojskowej stanie się w przyszłości podstawą organizacji obrony państwa. Służba w wojsku nie powinna być długa; nacisk należy położyć nie na doprowadzeniu do perfekcji musztry formalnej, lecz na wykształceniu jak największych zastępów podoficerów, instruktorów i oficerów rezerwy, a także jak największej liczby żołnierzy wojsk technicznych“.

Punkt ciężkości w wyszkoleniu żołnierza Hołówko przerzucał na samo społeczeństwo, domagając się rozpowszechnienia wiedzy wojskowej we wszystkich warstwach narodu przy pomocy szkół, związków strzeleckich i towarzystw sportowych.

Spółeczeństwo polskie przed wojną było przejęte odrazą do wojskowości. I nie dziwnego: służba dla Polaka w armiach zaborców musiała być dla nas ciężka i upokarzająca.

„Ale, oto, od kilku lat — pisze dalej Hołówko — istnieje armja polska. Zgoła inny jest do niej stosunek społeczeństwa. Jest to bowiem armja, zrodzona z entuzjazmu i patryjotyzmu; jest to rezultat krwawych trudów najlepszej części narodu. Entuzjazm tworzył bohaterские Legjony Piłsudskiego; on to wiodł młodzież pod znaki „błękitnej armji“ Hallera w dalekiej cudnej Francji, upamiętnionej epopeją pierwszych legjonów Dąbrowskiego i Kniaziewicza;

¹ T. Hołówko: „Oficer polski“, str. 19, 20, 110.

ten sam zapal wybuchal animuszem zolnierskim w Bo-brujsku na Bialej Rusi, w Sorokach wzrod pol Bessa-rabji, w stepach Kubania, na mroznem wybrzezu Murmanu, na dalekim wschodzie Syberji. Zastepy dla armji polskiej tworzyla zawzieta, wytrwala praca P. O. W. Duchowa moc i tezyzne moralna wykuli dla niej wiezniowie Magdeburga i Benjaminowa, Szczypiorny, Marmarosz-Szygiet, stracenicy z pod Kaniowa, wiezniowie bolszewickiej Butyrki w Mo-skwie. Polot wreszcie i urok mlodzienczy tej armji naszej dala mlodziak akademicka, z piesnia wesoła opuszczajaca ławy szkolne, nieśmiertelne „orłeta“ lwowskie, mlodzi, kochani sztubacy i skauci, którzy, jak kwiaty ścięte, kładli się pokotem u stóp War-szawy w jej obronie!...”

Czyż między armją o tak bujnych źródłach du-chowych a społeczeństwem jest miejsce dla rozdźwię-ków i zgrzytów? Czyż armja, wysniona przez Żerom-skiego i Wyspiańskiego, a wypiautowana i sławą okryta przez Piłsudskiego, nie jest jednym z najpięk-niejszych wyrazów duszy polskiej: spełnioną jak-gdyby „Dumą o Hetmanie“?

„I oto dziś, z chwilą pokoju — pisał Hołowko¹ — zwalniani żołnierze tej armji, otoczeni urokiem tylu bitew, pochodów, cierpień i tułaczek po tylu krajach i tylu lądach świata, cudownymi staną się siewcami nowego życia w Polsce: oni to będą duszą tej przy-szłej w Polsce armji narodowej, której podstawy za-czynają się dopiero zarysowywać w psychice polskiej.

¹ Tamże.

Ale mocne podstawy organizacyjne tej armji może dać tylko korpus oficerski: korpus, składający się z oficerów-obywateli; korpus, zespolony z armją narodową w jedną, harmonijną całość.

A więc zginać musi oficer-kastowiec, przekazany nam we wzorach dawnych armij zaborecznych: oficer, który uważał siebie przez całe życie za coś lepszego i wyższego od reszty społeczeństwa, korzystał ze szczególnych przywilejów i rościł sobie do nich prawo na tej podstawie, że jest tym, który na wojnie krew swoją przelewa za innych.

Dziś okazało się wszakże, że są to przywileje nieuzasadnione. W wojnie ostatniej bił się i ginął w ogniu nie tylko oficer zawodowy, lecz i ten „cywil“ pogardzany, który jako oficer rezerwy przywdziewa mundur i idzie spełnić swój obowiązek wobec ojczyzny. Trzeba więc, wzywa Hołówko, aby oficer polski uświadomił sobie, że nie jest w niczem ani lepszy ani gorszy od reszty ogółu; że stanowi kość z kości, krew z krwi tego społeczeństwa, wśród którego żyje.

„Podstawą armji — rzekł swego czasu Piłsudski — jest dusza prostego żołnierza“. Ta teza zwycięskiego Wodza jest drogowskazem, którym Hołówko otwiera swą książkę i którym ją zamyka. „Jaka bowiem jest dusza żołnierza, taka jest armja. A dusza żołnierza będzie taka, jaką uczyni ją oficer-obywatel“.

W jego to ręce, istotnie, w ręce oficera rok rocznie naród oddaje to, co stanowi jego radość, jego nadzieję i piękno: — swoją młodzież.

„Ignis“.

Skoro ustała zawierucha wojny, nie, zdawałoby się, nie stało Hołówce na przeszkodzie, aby wraz z powrotem do zdrowia, wrócił do przerwanych tak niespodzianie studjów uniwersyteckich i ponownie podjął swe przygotowanie do egzaminów prawniczych.

Niestety, minęły już okoliczności, w których dzięki pomyślnemu splotowi warunków, mógł być on sobie pozwolić na krótkotrwały zbytek bezinteresownej pracy nad uzupełnieniem własnego wykształcenia. Twardy mus życia zapędzał go znowu w codzienne jarzmo doraźnego zarobku. Hołówko nie wrócił już do uniwersytetu! Nie wrócił do egzaminów, tak tragicznie odkładanych, tak gorąco upragnionych. Cień tego niedoboru iść będzie za nim przez wszystkie następne lata, jątrząc się cierpkim wyrzutem, skierowanym przeciw własnej doli, którą odczuwać będzie jako krzywdę: pomniejszenie swoich przeznaczeń, swoich przyrodzonych uzdolnień.

„Dla tych, którzy dziś rządzą Polską — pisać on będzie w jednym z listów prywatnych, jeszcze po dziesięciu latach, na półtora roku przed śmiercią — dla tych, którzy mi wydają rozkazy, jestem tylko wołem roboczym, którego życie osobiste nikogo wcale a wcale nie interesuje. A tymczasem jestem także człowiekiem i to o zmarnowanych, ale wielkich zadatkach. Ci, którzy rządzą Polską, nie wiedzą nawet, jak wiele poświęciłem dla Polski. Przez całe życie robiłem nie to, cobyem pragnął robić. Natura moja ciągnie mnie do książki, do twórczości pisarskiej.

Żywioł mój — to gabinet z obszerną biblioteką; żywioł mój — to włóczęga po świecie, zwiedzanie pomników cywilizacji, dzieł sztuki, muzeów... W tem bogactwie intelektualnem znajdowałaby ujście moja niespokojna natura. Tymczasem wszystko to mnie ominęło. Jestem zwykłym niedouczeniem, prymitywnym „kirgizem“, robiącym to, co najmniej mi odpowiada. Ale trudno, tak być musi, bo jestem Polakiem. Miałem wszystkie warunki, aby się zrusyfikować i stać się członkiem narodu, ongi potężnego. Zostałem jednak Polakiem, gdyż rozkochałem się w narodzie, który miał złoty wiek Jagiellonów. Wierzyłem, że znowu wiek ten wróci. Miałem zawsze pogardę dla niewoli, bunt i wiarę, że odzyskamy niepodległość. I to mnie popchnęło, porwało...”

Aktywa i passywa naszej epoki mało znają dokumentów życia, w których brzmiałaby równie przejmującym głosem skarga męskiej, wysokiej ambicji. Ambicji, której podcięto skrzydła.

Człowiek, który, walcząc na wojnie jako szeregowiec i kapral, czuł się na siłach, aby pisać kodeks moralny i obywatelski dla oficerów i dowódców, który, wcześniej jeszcze, z reduty konspiracyjnego tygodnika („Rząd i Wojsko“), poddając osądowi Radę Regencyjną, uprzedzał w stosunku do niej wyrok historii; który niebawem znajdzie w sobie dość powagi, aby piorunem przeorać czoła moralnych zabójców Narutowicza, ten szeregowiec z duszą urodzonego herolda i przewodnika, godnego wielkiej trybuny, posiadający już wtenczas cenne zdobycze przeżyć i przemyśleń do wypowiedzenia, zaprzęga się do „wozu“

wydawniczego, aby stworzyć warsztat, dzięki któremu wypowiadać się będą inni; inni sięgać będą po stanowiska i sławę.

Czy trzeba dodawać, że Hołówko, wszedłszy do spółki wydawniczej „Ignis“ (1921 r.) jako jej członek zarządu i pracownik, rozwinął w ciągu trzech lat niezmiernie owocną działalność, przenikniętą poczuciem obowiązku zarówno wobec społeczeństwa, jak i wobec autora? Może wypadłoby z naciskiem raczej podkreślić rzecz inną: że był on jednym z pierwszych, którzy, otrząsnąwszy proch bitew ze swego żołnierskiego uniformu, zadokumentowali w sposób tak brawurowy przejście z odcinka wojny na pole pracy kulturalnej. Nim otworzy sobie drogę do sejmu, nim sięgnie po udział we władzy, ręką, jeszcze stwardniałą od trudów bojowych i niezupełnie z ran ozdrowiałą, postanawia Hołówko podźwignąć i zagospodarować zdewastowany gmach polskiej inicjatywy księgarskiej na polu cennych literackich i historycznych wydawnictw. Plejada nowych talentów, rozkwit młodej twórczości polskiej, znaczonej nazwiskami tej miary, co Jan Lechoń, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Antoni Słonimski, nazwiskami, które odtąd weszły na stałe do literatury, staje się przedmiotem troski i namiętności tego bojownika, który, złożywwszy bagnet, rozpoczął ofensywę z pochodnią myśli twórczej w ręce. Był to okres niezbyt długi, lecz jakże płodny, jakże znamienity dla tej nieukozonej indywidualności, która w ubogich piaskach mazowieckich zachowała coś z wichru nieogarniętych stepów!

W latach owych powstał i na życiu literackim ważył jeden tylko miesięcznik, o którym rzecz można,

że udało mu się pochwycić i w kształt artystyczny zakląć coś z nowej ery powojennej: „Skamander“. Otóż, „Skamander“ był właśnie artystycznym i literackim wykładnikiem oraz wydawnictwem firmy „Ignis“. Jakże wiele historykowi przyszłemu, który z odległości czasu nad erą ową się pochyli, mówić będzie fakt, tak znikomy, sam przez się, że współcześni prawie go nie spostrzegli: fakt, że wydawnictwo „Skamandra“ zachwiało się w chwili, gdy je opuścił Hołówko; że trzeba było tego towarzysza „Kirgiza“ ze stepów turkiestańskich, któremu Piłsudski duszę przeczarował w rycerza i fanatyka polskości, aby pierwsze ognisko naszej myśli poetyckiej w Polsce odrodzonej rozbłysło na chwilę zbiorowym łukiem świetlistej tęczy nad zgłiszczami wojny, nad ziemią pożarów i morderstw.

Ludzie, którzy konsekwencję duchową mylą z mechaniczną prostolinnością, dziwili się nieraz, że Hołówko, szermierz i publicysta, mógł w życiu swoim otworzyć trzyletni nawias dla rozkosznej i swobodnej symbiozy z diatwą Apollina. Ale ludzie tacy zapominają, że to, co powierzchownemu oku wydaje się sprzecznością, w idealną wiąże się harmonję w głębszym wejrzeniu dialektyki. Już w liście, wyżej przytoczonym, widzieliśmy, jak żywy był w duszy Hołówki nurt utajonej nostalgji ku dziełom sztuki i literatury; jak mocne było w nim pragnienie kontemplacji wobec objawień piękna i pomników prawdy. Pierwsza podróż do Włoch będzie dla niego przeżyciem równie radosnem i świetlistem, jak dla młodego Renana, gdy z surowego wyrwał się seminarjum, podróż do Grecji. Odkrycie Wenecji i Florencji sta-

nie się dlań równoznaczne z odkryciem nowych strun i głosów w mowie własnej duszy. Spoglądając z ruin Fiesole na gród Medyceuszów, odnajdzie i wspólną powiąże myślą etapy drogi dziejowej, która do rozkwitu cywilizacji łacińskiej wiodła poprzez twardy trud rzymskiego legjonisty, która od żarliwej ascezy Dantego i Franciszka z Assyżu prowadziła do przepychu i bujności wieku Medyceuszów.

Co miał zczasem wyczytać ze scenariusza Włoch, to czytał tymczasem w instynkcie własnej duszy. Instynkt zaś podświadomy mówił mu, że owoce ducha dojrzewają tylko na drzewie wolności. I że twórczość prawdziwa rodzić się może jedynie ze zwycięskiej wiary w siły własne, w siły narodu.

„Dlaczego — pytał — nasze powstanie styczniowe, zamiast renesansu duchowego, jakim były dzieje wielkiej emigracji polistopadowej, wydało tylko nędzny plon stańczykierji w Galicji, pozytywizmu w Warszawie? Oto, dlatego, że powstanie ostatnie nie miało ani przez chwilę wiary w powodzenie, ani przez chwilę wiary w siebie“.

Zgodnie z tem przeświadczeniem Hołówko w żołnierzu legjonowym, i wogóle w żołnierzu walczącym o niepodległość, widział, a przynajmniej pragnął widzieć, nie tylko siłę zbrojną, która przeciwstawia się sile, ale zwiastuna i chorążego nowych wartości społecznych, kulturalnych, ideowych. Tęsknocie za tą świeżą ideową treścią życia w ramach wskrzeszonego Państwa dawał on dobitny wyraz wszędzie, gdzie postawiły go zadania chwili.

Ile zaś w tej pozornej romantyce tkwiło pierwiastków realizmu, pokazać miały lata najbliższe.

„Ignis“, zrazu przygodna przystań poetów, rozwinie się pod kierownictwem Hołówki w doniosłą placówkę nowych idei i prądów. Z tej to placówki skorzysta Józef Piłsudski w chwili, gdy, ustąpiwszy z Belwederu, szukać zmuszony będzie trybuny dla groźnych prawd, które chciano zagłuszyć, dla ciężkich oskarżeń, które usiłowano zdławić. Tu, pod znakiem „Ignisa“, ogłosi on swe wspomnienia o Narutowiczu. Tu wyda swój „Rok 1863“ i „Rok 1920“.

Kamienie rodaków.

Sejm Ustawodawczy, jak swarliwa jędra, po czteroletnim rozpasanem gadulstwie, dogorywałą opasłem łonie marszałka Trąmpezyńskiego. Konał, nie rozwiązawszy należycie ani jednego z zagadnień, do których był powołany, przejęty fanatyczną myślą tylko o tem, aby mandaty raz zdobyte utrwalić w izbach następnych i zamienić na dożywotnie prebendy. Z reformy rolnej sejm ten uczynił martwą sieć przepisów, które się nawzajem paraliżowały. Z ustawy konstytucyjnej zrobił pęta dla skrępowania władzy wykonawczej i zapewnienia klubom sejmowym nieograniczonej dyktatury żerowania na majątku publicznym.

Nadciągały nowe wybory, wyznaczone na jesień r. 1922. Hołówko, nie przestając pracować w „Ignisie“, w związku z rozpoczętą kampanją wyborczą wznowił swą kandydaturę na posła z ramienia Polskiej Partji Socjalistycznej. Sztab partji, nie bez przewidywania skutków, pozostawił mu do dyspozycji ten sam, co poprzednio, beznadziejny okrąg Puł-

tusk-Mława-Ciechanów. Niezrażony dawną porażką, Hołówko postanowił tym razem wystąpić ze zdwojoną energją. Czołowem natarciem zamierzył uderzyć na przeciwnika. Nie opuszczając ani jednej niedzieli, ani jednego święta, które były wyłącznemi okazjami przemawiania do większych zgromadzeń chłopskich, odbywających się przeważnie przed kościołem, po nabożeństwie, jeździł z wiecu na wiec, z odczytu na odczyt.

Podczas jednego z takich wyjazdów, w niedzielę 13 sierpnia, przemawiając na rynku w Mławie, Hołówko stał się ofiarą zbrodniczej napaści, która straszna, wstydem piekącą kartę stanowić będzie w rocznikach tamtejszego zaścianka.

Towarzysze z organizacji miejscowej, oczekujący Tadeusza na dworcu kolejowym, odległym o trzy kilometry od miasta, ostrzegli go już rano, że knuje przeciw niemu zamach jakaś bojówka „narodowa“, mająca krwawą urządzić „stypę“ socjaliście. Hołówko, jak zwykle, puścił pogrożki mimo uszu, towarzysze zaś mławscy z karygodną lekkomyślnością zaniedbali wszelkich środków ostrożności.

Hołówko, stanąwszy na rozległym rynku mławskim, z tyłu poza kościołem, widząc zgromadzony wokół siebie zastęp słuchaczy, zwarty w słonecznej ciszy niedzielnego popołudnia, rozpoczął mowę swą od poddania krytyce działalności minionego Sejmu. Dopóki charakteryzował ogólne tło polityczne ówczesnej sytuacji kraju, słowom jego towarzyszył, wśród pewnej części tłumu, niechętny lecz powściągliwy pomruk. Gdy jednak spróbował wkroczyć w krytyczny rozbiór sejmowej polityki tego obozu, który mandaty

swe zdobywał pod znakiem „Boga i Ojczyzny“, bo-
jówka miejscowa postanowiła mówcę pouczyć, że sro-
dze się myli, jeśli sądzi, że poto walczył o wolną Pol-
skę, aby móc w niej korzystać z wolności słowa.

Pierwsze, jakie świsnęły w powietrzu, kamienie,
zbrodniczą ręką mierzone w głowę Hołówki, zdawały
się głosić, że w Polsce ówczesnej wolność przysługi-
wała jedynie tym, którzy szarpali imię Naczelnika
Państwa lub zgóry szykowali broń do zamordowania
jego następcy, jeśliby tylko wybór nie wypadł po ich
myśli.

Widząc, Hołówko, że jest niemal samotny wśród
tłumu, podżegawczym judzonego szeptem, zszedł
z przygodnej trybuny i postanowił wrócić na dwor-
zec kolejowy. Idąc, hamował gniew całą potęgą woli.
Czuł niebezpieczeństwo, lecz nie przyśpieszał kroku,
wiedząc, że nie tak nie rozżagwia tłumu, jak widok
umykającej ofiary. Nie leżało w jego zamiarze wy-
woływać bójki, której wynik zresztą zgóry musiałby
być przesądzony: wszak, udając się na wiece, nie brał
on nigdy ze sobą broni. Ambicją Tadeusza w rozpra-
wach z rodakami było przekonać przeciwnika, nigdy
zaś pokonać go lub powalić. Niezliczone bojowej od-
wagi swej dowody złożył w walkach z nieprzyjacie-
lem zewnętrznym. Czyż ramię, przebite od kuli bol-
szewickiej, nie było dostateczną odwagi tej legity-
macją? I czyż nie powinno było stać się najświętszą
tarczą bezpieczeństwa i nietykalności tego rycerza
w obliczu swoich?

Ale, oto, okazać się miało, że rany, odniesione
w boju z nieprzyjacielem, żadnej nie posiadały wy-
mowy w oślepych oczach ówczesnych mławskich

„patriotów“! Zaledwo Hołówko, opuściwszy wiec, wszedł pod wysokie drzewa alei, prowadzącej do dworca kolejowego, posypał się za nim wściekły tłum mieszczan, uzbrojonych w cegły i kamienie.

— Bić żyda! bić socjalistę! bić bolszewika! — ryczała banda, ścigając bezbronnego człowieka i wężąc w powietrzu zapach krwi i rozkosz bezkarnego mordy.

Zgasłemi, struchlałemi oczami Hołówko spojrzał wokół siebie. Nie czuł krwi, która lepkim strumieniem sączyła się już z jego czoła, zranionego odłamkiem cegły, ale z potworną zgrozą myślał, że pierwszy celnie wyrzucony kamień może go zwalić z nóg. Przez całe swoje życie, on, który w życiu rozkochany był aż do szału i na kowadle woli wciąż hartował radosny pancerz dumy i odwagi, z przerażeniem i niemal ze wstydem widział, że nadchodzi moment, w którym życie mu wydzierają i w którym nadludzka nawet odwaga nie przyda się na nic. Czyż znikąd nie przyjdzie ratunek? Nikt nie rozerwie obręczy tego morderczego kłamstwa, które jemu każe uciekać i które owej zgrai nieszczęsnej każe go szczuć i ścigać, jak zwierza? Droga do stacji kolejowej wynosiła trzy kilometry. Trzy kilometry rozpaczy i agonji. Czy, naprawdę, nikt nie poda mu ręki? Czy sądzono mu paść trupem w niedorzecznej, plugawej bójce, pod kamieniami tych, których niedawno pierśią swą osłaniał? Znikąd pomocy na tej ziemi, którą tak hojnie krwią swoją napoił? do której biegł z Turkiestanu przez tysiące i tysiące mil, dla której dźwigał jarzmo więzienne i krwawił się o druty kolczaste?...

— Wtem — pisze „Robotnik“¹ — napotkano wreszcie trzech policjantów. Gdy się Hołówko odwołał do nich, aby spełnili obowiązek i stanęli w obro- nie samotnego i bezbronnego człowieka, policjanci zwrócili się do tłumu i zaczęli namawiać do spokoju. Gdy usłyszeli, że tow. Hołówko jest socjalistą, ucie- kli... Uciekł też napotkany w drodze sierżant policji. Co widząc, jeden z napastników chwycił za cegłę i za- częł nią walić w tow. Hołówkę. Uderzył go w twarz cegłą, o mały włos nie wybił oka... Tłum za jego przykładem rzucał w bezbronnego kamieniami...

I niewątpliwie dzień 13 sierpnia 1922 r. stałby się kresem życia Hołówki, gdyby nie nadbiegła mu niespodziewana odsiecz młodzieńcza w osobie Stęfana Płoskiego, studenta uniwersytetu, oraz jego dwóch czy trzech kolegów, bawiących podówczas w Mławie na wakacjach.

Nie byli to socjaliści; nie wiązała ich z osaczonym żadna spójnia partyjna. Wystarczyło, że byli ludźmi, że byli młodzi, że mózgi ich nie były omro- czone krwiożerczem faryzeuszowstwem miejscowej parafji. Widząc, że napastnicy, rozzuchwaleni bez- karnością, szli ku zbrodni, wieczną hańbę gotując murom Mławy, szlachetni młodzieńcy wdarli się mię- dzy rozbestwiony tłum, krzykiem i pięścią powstrzy- mując jego pościg; gdy zaś wysiłki ich nie odnosiły skutku, tknięci instynktem, skupili się przy Hołówce, wsparli go pod ramiona i, odpierając własnymi dłoń- mi ataki, podążyli jak najśpieszniej ku stacji. Tłum, zuchwały wobec człowieka samotnego i zlanego

¹ Nr. 221, 15/VIII 1922: „Bandyckie metody“.

krwią, stracił znaczną część animuszu, skoro tylko ujrzał przeciw sobie tych paru zdecydowanych młodzieńców, zwłaszcza, że młodzieńcy owi znali i głośno wymieniali nazwiska prowodyrów napaści.

Powstrzymani w rozpędzie napastnicy nie dawali jednak za wygraną i ścigali rannego na całej trzykilometrowej drodze, aż do progów stacji. Tu, szczęśliwym przypadkiem, wzniosłszy zakrwawione powieki, Hołówko ujrzał na peronie swego znajomego i przyjaciela, pułkownika J. Rzymowskiego, który, wracając ze wsi, przybył nieco wcześniej na stację i czekał na najbliższy pociąg do Warszawy. Nareszcie ten szczuty i kamienowany bojownik mógł sobie powiedzieć, że nie legnie pod ciosami rąk kainowych...

Groźbą użycia broni i powagą munduru oficer polski osłonił ściganego człowieka i ostrem słowem wezwał obecną na peronie policję, aby rozprószyła zgraję.

Teraz impet napastników zwrócił się przeciw pułkownikowi.

— Co to za oficer? Jak on śmie? Co za jeden? Broni socjalisty! Kala mundur wojskowy! Obraża uczucia narodowe!

Hołówko tymczasem, wspomagany przez studentów, chwiejąc się na nogach, przewiązywał rany, obmywał włosy, pozlepiane od potu i zapiekłej krwi...

Krew spłynie z potokami wody, zabliźnią się też po kilku tygodniach i rany, pozostawiając na twarzy i czole blizny jako jedyne świadki tego strasznego dnia i tej straszej, iście upiornej drogi; ale sam

dzień ten nigdy w pamięci, nigdy w duszy Hołówki nie zaginie. Widok stłoczonej cizby odtąd zawsze wywoływać w nim będzie niezatartą wizję mordu i zbrodni, zawsze ścigać go będzie wspomnieniem, gorszej od zwierzęcia, ludzkiej zezwierzęconej tłuszczy.

— O wiecu w Mławie — pisał w dwa dni potem „Robotnik“ — wiedziały władze. Gdzie był komendant policji, który wiedząc doskonale o tem, co gotują Ossowscy, Siudaki i Wróble — ile że wróble na dachu o tem w Mławie świegotały — schował policję i sam się nie pokazał, wydając bezbronnego towarzysza naszego w ręce szajki oprawców? Co to za magistrat, którego sekretarz przewodzi tłumowi bezmyślnych łobuzów, zachęca do mordu i pierwszy kamieniem w głowę godzi?

Na swe retoryczne pytania, żadnym zresztą nie poparte czynem, naczelny organ P. P. S. próżno oczekiwał odpowiedzi od władz, do których z nazbyt naiwną ufnością się zwracał. Odpowiedź, wprawdzie, przyjść miała i przyszła, istotnie niebawem, ale jak grom padła ze strony nieoczekiwanej, wstrząsając posadami Państwa. Kainowy fanatyzm stronnicy, bezkarnie ubroczywszy ręce w krwi Tadeusza Hołówki, ani myślał składać broni u stóp najradykałniejszej nawet retoryki. Zbrodnia, wylęła w mroku bratobójczej doktryny, rozpełźnie się po kraju, sięgnie nierównie wyżej i uderzy w Prezydenta Rzeczypospolitej... Nieszczęsny, zaślepiony Siudak mławski, złudzony i łudzący innych bezkarnością, utoruje drogę zbrodni Eligjusza Niewiadomskiego.

Rokosz prawicy.

Ponury epizod mławski, istotnie, był jakgdyby krwawym prologiem o wiele straszniejszej tragedji, która w kilka miesięcy potem rozegrać się miała w stolicy. Był on jednym z licznych faktów, świadczących o ciężkiej atmosferze walk politycznych, które rozpały się w Polsce w okresie wyborów do sejmu i senatu 1922 roku i które doprowadziły wkońcu do pamiętnych wypadków z dnia 11 grudnia, a w pięć dni później do tragicznej śmierci Gabrjela Narutowicza, pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, obrażonego na mocy świeżo uchwalonej konstytucji.

Dziwny, złowrogi obraz przedstawiały ulice Warszawy dnia 11 grudnia 1922 roku. W dniu tym od rana po całym mieście snuły się podburzone tłumy, wszędzie słyhać się dawały słowa gwałtowne, ostre, pełne nienawiści, a fala wzburzenia przelewała się z krańców w krańce stolicy. Przez Nowy Świat co chwila przeciągały szeregi zmobilizowanej młodzieży i z okrzykami — „niech żyje faszyzm“ — „precz z Narutowiczem“ — „niech żyje Mussolini“ — w wojskowym ordynku kierowały się na wyznaczone sobie posterunki. Około godziny 11-ej z domów na Nowym Świecie wymaszerowały uszeregowane czwórkami oddziały z brauningami w rękach i, zajmwszy Plac Trzech Krzyży, ze wszystkich stron zagrodziły dostęp do siedziby władz ustawodawczych przy ulicy Wiejskiej.

O cóż chodziło tym rozkołysanym tłumom? Jaka namiętność pchała broń morderczą do rąk tej podnieconej młodzieży?

Chodziło o to, aby przemocą powalić dzieło konstytucji i nie dopuścić do jej wstąpienia w życie w osobie nowoobranego Prezydenta. Uzbrojona w brauningi młodzież zebrała się poto, aby kulami zatrzymać idących spełnić swój obowiązek członków Zgromadzenia Narodowego i Gabrjelowi Narutowiczowi, powołanemu wolą przedstawicieli narodu na najwyższe w państwie stanowisko, nie pozwolić na złożenie przepisanej prawem przysięgi.

Był to więc rokosz ulicy, rokosz tłumów, zorganizowany przez jedno, chciwe władzy stronnictwo, które, przegrawszy na gruncie prawa, a nie chcąc z przegraną się pogodzić, postanowiło odegrać się na drogach anarchji.

Uległszy przegłosowaniu w połączonych izbach Sejmu i Senatu, sięgnęło po morderczy argument kuli rewolwerowej.

Bezmyślną, pobudliwą mobilizując gawiedź i grając na ambicjach niedojrzałej młodzieży, stronnictwo to usiłowało pokazać, że żaden w państwie krok, choćby przez najwyższe postanowiony instancje, nie ma znaczenia, o ile nie zyska dodatkowej aprobaty jego partyjnego sztabu. Jak ongi bunt Targowicy zniweczył konstytucję majową, tak teraz, po latach 130-tu, nowa konstytucja paść miała pod ciosami zhuntowanej prawicy sejmowej. Czyn tej prawicy był o tyle potworniejszy, że konstytucja, przeciw której wiodła ona uzbrojone tłumy, była przeważnie jej własnym dziełem.

O godzinie 2-iej w Alejach Ujazdowskich ukazał się w otoczeniu szwoleżerów powóz Prezydenta Rzeczypospolitej, który jechał do gmachu sejmu dla zło-

żenia przysięgi. Posłowie oraz senatorowie prawicy postanowili nie brać w tej ceremonji udziału. Ich stronnicy tymczasem dopuszczali się na placach i ulicach najdzikszych wybryków. Gdy orszak Prezydenta zbliżył się do ulicy Pięknej, tłum, podżegany przez zbrodniczą agitację partyjną, zakotłosał się niepokojnie i, wydając dyszące nienawiścią okrzyki, rzucił się ku pojazdowi. Rozpierzchły się spłoszone konie szwoleżerów — i Gabrjel Narutowicz pozostał bez asysty w obliczu rozjuszonego motłochu. Ceremonjał urzędowy, tudzież prosty nakaz przyzwoitości wymagał, aby Głowie Państwa w tak uroczystej chwili towarzyszył prezes rady ministrów. Ale ówczesny naczelnik rządu, prof. Nowak, wolał nie narażać swej cennej osoby na gniew rokoszan; ponieważ zaś nie miał też i tej odwagi, aby otwarcie stanąć po ich stronie, wybrał drogę pośrednią i chyłkiem przemknął się do sejmku, aby tam bezpiecznie czekać... na dalszy przebieg zdarzeń.

Prezydent Narutowicz był przez własnych ministrów wydany na łup rozkiełzanej ulicy. W jednej chwili uniosły się w górę laski, kije, drągi, a grad pocisków, ulepionych ze śniegu i błota, posypał się na Dostojnika, uosabiającego majestat odrodzonej Polski. Na szczęście powóz ruszył — i Prezydent, zbryzgany ulicznym błotem, zdążył w porę stanąć przed Zgromadzeniem Narodowem. Tym razem jeszcze zamach się nie udał. Jego kielich goryczy nie był jeszcze spełniony. Pić go będzie jeszcze kilka dni, dopóki nie znajdzie w nim na dnie własnej krwi...

Podnosząc rękę na Elekta, rokoszanie tem zuchwalej postępowali sobie z elektorami. Mając zgóry za-

pewnioną bezkarność wskutek poniechania władzy przez rząd, rozparcelowany między partje, bojówki „narodowe - faszystowskie“ zapędziły część posłów i senatorów do bram okolicznych domów i tam, pod terorem, przetrzymali ich ponad godzinę czasu. W liczbie steroryzowanych znaleźli się obaj sędziwi koryfeusze P. P. S., Bolesław Limanowski i Ignacy Daszyński.

Lecz gdzież był w owym dniu, tak złowrogą stanowiącym datę w dziejach odnowionej Polski, Tadeusz Hołówko?

Bądźmy pewni: znajdziemy go tam, gdzie zagrożony majestat prawa bronił się przeciwko przemocy rokoszan.

Na pierwszą wiadomość o rozpoczynających się rozruchach dnia 2 grudnia pośpieszył Hołówko do siedziby Okręgowego Komitetu P. P. S. w Alejach Jerozolimskich, skąd współ z kilkudziesięciu towarzyszami wyruszył na odsiecz posłom, osaczonym przez narodowo-demokratyczne bojówki na Placu Trzech Krzyży. Z rozwiniętym czerwonym sztandarem, uwieńczonym chwałą bohaterskich bojów przeciw wszystkim najeźdcom ziemi polskiej, ten niezwalczony, płomienny Bohun państwowości polskiej na czele robotników dążył znów na linję ognia, aby czoło stawić hydrze, którą nazwie niebawem nową „węwnętrzną okupacją“ Polski.

Przedzierając się wśród tłumu rozagitowanej gawiedzi, Hołówko na nieznanych, bezimiennych twarzach, w nieznanych bezimiennych oczach rozpoznawał ten sam szal zarazy, który go ścigał i omal nie ukamienował na strasznej drodze mławskiej. Tak!

ta zaraza ze wspólnego, z tego samego wypłynęła źródła...

Po zwolnieniu uwięzionych w bramie jednego z domów kilku posłów, grupa robotnicza, prowadzona przez Hołówkę, wracała przez Nowy Świat ku Alejom Jerozolimskim w tym samym szyku i nie związając sztandaru. I, oto, niespodzianie, na skrzyżowaniu tych ulic, obrońcy Zgromadzenia Narodowego zostali ostrzelani, bez żadnej ze swej strony zaczepki, gęstym ogniem rewolwerowym przez rozstawioną na chodnikach bojówkę „narodowo-faszystowską“. Od strzałów tych padł zabity robotnik Kałuszyński, który niósł w owej chwili sztandar, kilku otrzymało rany. Wśród rannych był i Tadeusz Hołówko, któremu kula, tym razem swojska, drasnęła policzek. Zabrawszy zabitego i uprowadzając rannych, grupa robotnicza wycofała się w Aleje Jerozolimskie.

Ocierając krew ze zranionego policzka, Hołówko musiał sobie z ciężkim sercem powiedzieć, że obrona Rzeczypospolitej przeciw warcholstwu własnych obywateli będzie niemniej wymagała hartu, niż walka przeciw obcym najazdom. Tak! Epizod mławski z przed czterech miesięcy rozrósł się teraz, przeistoczył się w lawinę zbrodni. Tam i tu zaraza ze wspólnych płynęła źródeł rozkładu. Patrząc na ogarnięte furją, półprzytomne tłumy rokoszan, uzbrojone w morderczy oręż, Hołówko, mimo rzetelnych wysiłków pamięci, nie mógł sobie przypomnieć, aby choć jednego z tych walecznych mężów, którzy teraz zagradzali mu drogę, widział w potyczkach z Niemcami, lub później w bitwach z Rosją bolszewicką, lub, jeszcze wcześniej, w bojach z Rosją carską, Nie, ci

ludzie chwycili za broń teraz po raz pierwszy. Po raz pierwszy wyszli na bój dopiero przeciw ojczyznej władzy. Ci, którzy wzniesli laski i pałki przeciw Narutowiczowi, nie wznosili ich przedtem nigdy przeciw Skałonom i Beselerom. I ten, który był ucieleśnieniem i ofiarą tej zarazy, a w chwili owej czaił się już do mordu, Eligjusz Niewiadomski, nigdy w czasach niewoli, jak wyzna sam wobec sądu, nie porywał się na życie ujarzmicieli, nie targał jarzma ucisku.

O „podeptanym honorze narodu“ i o „niebezpieczeństwie“ Polski ten „mściciel krzywd“ nie wiedział nic w tych czasach, gdy nahajka moskiewska świstała po ulicach Warszawy nad głowami starców, kobiet i dzieci. Nie wiedział o nich, gdy Prusak zaciskał pęto na szyi głodnego ludu. Znieważonym uczuł się dopiero wtenczas, gdy na Elekta Rzeczypospolitej, obok głosów polskich, padły też i głosy tych narodów obcych, które pod wspólnym z nami mieszkają dachem państwowym. Zgromadzenie Narodowe dokonało elekcji Prezydenta bez aprobaty stronnictwa, które stanąć chciało ponad konstytucją i narodem. Samobójcza zajadłość partyjna, powodująca ręką Niewiadomskiego, wyraziła się w tem właśnie, że strzał swój wymierzył on nietylko w konstytucję, ale i w uosobioną jedność Państwa: w człowieka, który jako Prezydent żywym był świadectwem, że obce narodowości pragną w Polsce widzieć nie organizację ucisku, lecz podstawy współpracy.

Tragiczna śmierć Narutowicza przełamała — zdawało się — nastroje społeczeństwa. Przerażeni następstwem swoich podżegawczych wystąpień, zwłaszcza

zaś zaniepokojeni groźną postawą, jaką po zabójstwie Prezydenta zajęły rzesze robotnicze i ludowe, kierownicy rokoszu wyparli się udziału swego w czynie Niewiadomskiego. Niektórzy z nich szczerze, niektórzy obłudnie, potępili jego zbrodnię. Jeszcze inni, policzkując swoją własną wczorajszą postawę, w wątpliwość podawali umysłową i moralną poczytalność przestępcy. Zgniła rewolucja prawicowa, wydawszy czyn zbrodniczy, nie miała odwagi otwarcie wziąć go na swój rachunek i zgnilczemi odruchami strachu zacierała krwawe ślady za sobą. Poseł Stanisław Stroński, obok Bolesława Koskowskiego,¹ najognistszy podówczas podżegacz tłumu, czując się moralnie zbryzgany krwią Narutowicza i drżąc o własne życie, uciekł z domu i przez szereg dni ukrywał się u znajomych.² Ten popłoch i ta ucieczka były niejako samowyznaniem winy i odpowiedzialności za dni minione. Były pieczęcią z ognia, którą główny winowajca mimowoli wypalił na swem czole — i na czole swego stronnictwa.

Groźba zemsty i odwetu, istotnie, wisiała w powietrzu. W chwili gdy konał Prezydent Rzeczypospolitej w Zachęcie, stutysięczny tłum zebrał się, aby pochować robotnika Kałuszyńskiego, który idąc w pochodzie obok Hołówki padł z ręki partyjnego towarzysza Niewiadomskiego. Z błyskawiczną szybkością wieść o morderstwie w Zachęcie obiegła niezliczone szeregi orszaku pogrzebowego. Jedno słowo wystar-

¹ Por. „Kurjer Warszawski“, 13 grudnia 1922 r.

² Por. F. Tommasini: „La Risurrezione della Polonia“, str. 59.

czyłoby, aby tłum runął do miasta pełen gniewu i zemsty.

Hołówko szedł tuż za trumną Kałuszyńskiego, w jednym z pierwszych szeregów orszaku. Kula Niewiadomskiego, po zbrodni mławskiej, po krwawych zamachach na placu Trzech Krzyży, uderzyła weń jak rękawica wyzwania i urągowiska... Jedno słowo, jeden okrzyk podniety, a sto tysięcy ludzi rozpali się w sto tysięcy żagwi!...

A jednak słowo to nie padło. Dlaczego?

„Bo ci, którzy mogli dać rozkaz — odpowie Hołówko niebawem w swej pięknej książce o „Prezydencie Gabrjelu Narutowiczu“ — nie mogli przewidywać, gdzie i kiedy skończyłaby się ta wojna domowa. A jednocześnie każdy z tego olbrzymiego tłumu widział przed swemi oczami męczeńską postać zamordowanego Prezydenta, który — wierny sobie — jakgdyby wołał do nich i błagał, aby nie wszczynali w imię jego wojny domowej, której los niewiadomo dokąd zaprowadziłby Polskę“.

Relikwja i taran.

Sposób, w jaki Hołówko ujmował motywy swego obozu w dniach grudniowych, bezpośrednio po zabójstwie Narutowicza, przynoszą zaszczyt jego uczuciom obywatelskim. Jednocześnie słowa jego wystawiały najszczytniejszy pomnik poległemu Prezydentowi, oblekając jego postać w misję rozjemcy, w mandat pokoju i przebaczenia.

Czy jednak te szczytne, pojednawcze słowa tra-

fiły, czy mogły trafić do przekonania struchlałym, lecz bynajmniej nie skruszonym hersztom rokoszu?

Niebawem miało się okazać, że to, co Hołówko w stanowisku swego obozu podnosił jako dar wspa-
niałomyślności i wyższość przewidywania, przeciwnicy zrozumieli jako słabość i chwiejność.

Nie minęło dni kilka, a Stanisław Stroński, ośmielony bezpieczeństwem, pierwszy wyszedł z ukrycia. Nie minęło dni kilkunastu, a wślad za nim wyszła i cała niewiadomszczyzna. Rokoszanie, którzy zrazu wypierali się solidarności z zabójcą, po jego osądzeniu i egzekucji nanowo oprawili go, jak święty obraz, w ramy nabożeństwa i postanowili obrazem tym, niby taranem, torować sobie drogę do władzy. W tem połączeniu charakteru relikwji z charakterem taranu odbiło się bodaj bez reszty moralne oblicze niewiadomszczyzny. Ci, którzy niedawno kwestjonowali poczytalność Eligjusza Niewiadomskiego, teraz podjęli, pod łaskawą a dziwną opieką duchowieństwa, akcję gloryfikowania postaci straconego zabójcy, czyniąc zeń jakoby jednego z nowych świętych polskich. Urządzali solenne modły za jego duszę. Organizowali uroczyste obchody, prowadzili pielgrzymki całe na grób skazańca. Imię Niewiadomskiego, w obłokach kadzideł, wzbijało się pod sklepienia świątyń, jako imię bohatera narodowego.

Gniew głęboki zatargał sumieniem Hołówki, gdy patrzył na tę recydywę zarazy, gniew tem głębszy, im szersza była uprzednia chęć przebaczenia, pojednania i zapomnienia.

Zrozumiał, że przebaczenie odnosi swój zbawienny

skutek moralny jedynie wtenczas, gdy przychodzi po wymiarze kary. Przebaczenie bez kary jest pobłażaniem i uprawnieniem zbrodni. Niedosć na tem: przebaczyć to — w życiu politycznem — jeszcze nie znaczy zapomnieć. Pamięć, jako czynnik ciągłości duchowej, bywa niezbędnym podkładem wszelkiej konsekwentnej polityki. Myśleć i działać politycznie, znaczy to — nosić w sobie przeszłość i budować przyszłość. I, oto, z myślą o przyszłości Hołówko postanawia utrwalić tragiczny obraz dni grudniowych. Kreśli dzieje życia, pracy, marzeń i zgonu Gabrjela Narutowicza. Rzuca światło na obalamucone demagogją tłumy. Odśłania nędzę i ślepotę pokolenia, wyrosłego w okowach i więzienną przeżartego psychozą. Pokazuje tragedję, w której, aby pokolenie ślepców przejrzało, Człowiek Wolny zginąć musiał z ręki niewolnika.

„Marzył Prezydent Narutowicz o tej chwili — pisze Hołówko w ostatnim rozdziale swej książki — gdy w całym przepychu i powadze, na jakie stać Rzeczpospolitą, zetknie się na Zamku z narodem, z przedstawicielami wszystkich jego warstw, urzędów i władz. Przyszła wreszcie ta upragniona dla niego chwila: 19 grudnia wyruszył z Belwederu kondukt żałobny... O, jakże ten pochód na Zamek swą świetnością przeszedł najśmielsze oczekiwania Prezydenta... Szło na czele ukochane przezeń wojsko polskie wszystkich rodzajów broni; niesiono następnie niezliczone wieńce, z których niejeden wycisnąłby mu łzy rozczulenia, gdyby mógł przeczytać napisy na szarfach... Szły dalej szeregi duchowieństwa, a tuż

za trumną kroczyli: Rząd, Sejm, Senat, przedstawiciele narodów całego świata, Rada Miejska stolicy, delegacje z całej Polski, olbrzymie tłumy robotników; włościanstwo, mieszczenie, organizacje i towarzystwa społeczne Warszawy“.

Wśród tłumów, które odprowadzały Prezydenta na Zamek, Hołówko dostrzegł i zanotował wszystkich dostojników i przedstawicieli Państwa. Dostrzegł i w sposób szczególny podkreślił obecność Józefa Hallera, Stanisława Strońskiego i tylu, tylu innych, którzy jeszcze kilka dni temu wątpili o polskości i patriotyzmie Narutowicza, a teraz szli za jego wożem żałobnym, przykuci łańcuchami sumienia.

Jednej tylko postaci, najważniejszej i najdroższej dla siebie, nie dostrzegł Hołówko za trumną Narutowicza. Wymieniając i notując wszystkich innych, mimowoli uwydatnił on nieobecność Józefa Piłsudskiego i nieobecności tej dał historyczną wymowę. B. Naczelnik Państwa, istotnie, w kondukcje żałobnym udziału nie wziął i brać nie chciał. Nie chciał za trumną Przyjaciela iść wespół z tymi, którzy go zaszczyli i którzy niebawem mieli wysławiać jego mordercę.

I ta, przez Hołówkę uwydatniona, nieobecność dla oczu patrzących w przyszłość stanowiła niezłomny fakt, że jest w Polsce myśl, która wszystko waży; że jest w Polsce serce, które nie zapomina.

Pisząc swą piekącą i czystą, jak łza, książkę o Gabrjelu Narutowiczu, Hołówko najgłębszą tajnią instynktu zjednoczył się z myślą i pamięcią Wodza. Tajemnym przeczuł instynktem, skąd uderzy grom odkupienia i sprawiedliwości.

Walka z krzywdą społeczną.

Na dwóch zrębach, w pojęciu Hołówki, opierał się gmach państwowości polskiej: na sprawiedliwości społecznej i sprawiedliwości narodowej.

Z głębokiej wiary w potęgę ideału sprawiedliwości płynął jego radykalizm społeczny. Jego udział w ruchu robotniczym. Socjalizm Hołówki miał charakter wybitnie idealistyczny, obcy wszelkiemu dogmatyzmowi i doktrynie. Autor opowieści „Przez kraj czerwonego caratu“ nigdy nie był „socjalnym demokratą“ w stylu dawnej Międzynarodówki, jakkolwiek nie potępiał tych pierwszych pionierów socjalizmu, którzy, zapatrzeni w hasła wyłącznie społeczne, głusi pozostawiali na zagadnienia narodowe. Stanowisku swemu w tej dziedzinie dał on wyraz już w „Głosie Młodych“ na schyłku roku 1913, w jednym z najwcześniejszych swoich wystąpień publicznych. „Czyż należy się dziwić — pisał — że pierwsza socjalistyczna partja w Polsce, „Proletarjat“, negowała zagadnienia życia narodowego? Wszak w owych czasach polskość była w pewnych kołach utożsamiana z klerykalizmem i wstecznictwem, a na straży wielkich mogli stali ludzie, którzy zgubili sprawę, za którą tamci legli w grobach. Każdy obchód narodowy stawał się manifestacją patryjotycznych uczuć dostojnych w prostej linii potomków Targowiczan, gdy przywdziewając bogate kontusze, z jednakim zapałem i szlachecką werwą święcili uroczyste odsłonięcia pomników¹ bo-

¹ Hołówko ma tu na myśli udział grupy ziemian polskich w obrzędzie odsłonięcia pomnika Katarzyny II w Wilnie r. 1904.

haterów naszych... i obcych". Socjalizm Hołówki, bliższy Mickiewicza i Worcella, niż Marxa, był socjalizmem serca, łakącego czynu; płynął z wiary w człowieka, w jego siły twórcze, w jego prawo do wolności indywidualnej i zbiorowej. Była to postawa nawskroś romantyczna. Hołówko nie umiał i nie mógł wtłoczyć się w ciasne ramy doktryny partyjnej nawet wtenczas, gdy — jak w latach 1923—1924 — wchodził w skład naczelnych władz Polskiej Partji Socjalistycznej i brał udział w jej Centralnym Komitecie Wykonawczym.

Tem zato szerzej otwartą miał duszę na odgłosy życia, na krzywdę cierpiącego człowieka. Bolał go i szarpał zawód, jakiego rzesze pracownice w Polsce doznawały pod rządami Witosza i Głębińskiego; przerażały go karykatura i urągowisko, w jakie zmieniły się hasła „Chrześcijańskiej Jedności Narodowej“, przełożone na praktykę rzeczywistości. Publicystyczne pióro Hołówki, jak ostry lancet, uderzając w miejsca nabrzmiałe bólem i krzywdą, dobywało najaw całe sploty wyzysku i zdzierstwa, obnażało obłudę, przypalało kłamstwa. Z niepospolitą siłą zajaśniał podówczas w talencie Hołówki ów rzadki dar pisarski, który w drobnych napozór faktach wskazać potrafi symptomy doniosłych przemian. Na gorącym niejako uczynku chwytając dokumenty życia, w jednym nieraz fenomenie zamykał Hołówko cały dramat społeczny; jeden jakiś szczegół charakterystyczny, djabelnie podpatrzony, podnosił do godności niezapomnianego symbolu. Nieraz przygodna wiadomość kronikarska wyrastała — pod piórem Hołówki — na surowy pręgierz, pod którym wił się

i miotał bezradnie cały ówczesny rząd „prawdziwie narodowy“.

Ogłasza, razu pewnego, rząd ów błogą nowinę, że władze państwowe, chcąc przynieść ulgę głodnej ludności robotniczej, zajęte są „regulowaniem sprzedaży mięsa psiego“. Hołówko czyta komunikat, dający tak szczególny wyraz trosce rządów ówczesnych o dobro ludności, zestawia tę jego treść, zaiste, sobaczą, z treścią obietnic i nadziei, któremi Polskę karmiono podczas wyborów... I, oto, z tych zestawień rodzi się, nie! wybucha na łamach „Robotnika“ artykuł Hołówki, p. n. „Psie mięso“. Artykuł, w którym żalosne szczątki upolowanego psa, mające służyć za potrawę na stole robotniczym, stają się krzykiem zniewagi i zgrozy, jako plon „prawdziwie narodowej“ polityki, zagajonej w maju roku 1923 przez Witosa, Marjana Seydę i Głębińskiego, a uosobionej w Dmowskim i Korfantym.

Do źródeł własnej duszy.

Jak nie mógł Hołówko pogodzić się z krzywdą społeczną, tak nie mógł się pogodzić i z krzywdą narodową. Rzeczypospolita Polska była dla niego wspólną macierzą dla wszystkich zamieszkujących ją narodów; miała być wspólnem dobrem, do którego każdy winien coś wносить. Rozwinięcie myśli państwowej wśród mniejszości narodowych — zwłaszcza zaś Ukraińców, Białorusinów i Żydów — wciągnięcie ich w wir wspólnej pracy dla wspólnego dobra, stało się

¹ 9 sierpień 1923.

w owych latach naczelnem dążeniem jego działalności, i dążeniem takim pozostanie aż po kres jego życia. Rozumiał on, że po rolę czynnika samodzielnego w polityce międzynarodowej Polska sięgać może tylko w oparciu o zgodne i harmonijne współżycie z mniejszościami narodowymi: zredukowana do swych granic etnograficznych Polska stałaby się jakąś Belgją nadwiślańską, zmuszoną zrzec się czynnej roli w świecie i rękojmi swego bezpieczeństwa szukać jedynie bądź w traktatach neutralności, bądź w dobrej woli... sąsiadów. Dlatego Hołówko pragnie mniejszościom narodowym w Polsce zapewnić wszelkie podstawy i widoki ich gospodarczego i kulturalnego rozwoju; nie chce łamać ich odrębności narodowej, pragnie im dać wszelkie prawa, jakimi cieszyć się będą obywatele polscy, żąda od nich natomiast jednej tylko rzeczy bezwzględnej: lojalności państwowej. Nic nie było mu do końca życia wstrętniejsze, niż brutalny nacjonalizm, niż dążenie do wytępienia jednych na rzecz drugich. Nacjonalizm polski, głoszony przez Romana Dmowskiego i jego szkołę, raził Hołówkę swoją szczególnieżwyrodniałą cechą, polegającą na tem, że brutalność i zadzierżystość wobec słabszych — Żydów lub Białorusinów — umiał przedziwnie kojarzyć z uległą poddańczością wobec silnych: Francuzów, Anglików, Rosjan a nawet Włochów. Niemniej ostro przecież przeciwstawiał się on i wszelkim tendencjom nacjonalistycznym w łonie naszych mniejszości. Ideałem Hołówki był, naprawdę, ustrój szczerego, bratniego współżycia ludów, które z wyroku historii przemieszały się wzajemnie z sobą na olbrzymich przestrze-

niach kresów Rzeczypospolitej. Wierzył on, że misją Polski jest nieść wolność narodom Wschodu Europy, dać im możliwość wszechstronnego rozwoju ich kultury. Tę romantyczną wiarę w cywilizacyjne posłannictwo Polski traktował Hołówko nie jako pusty frazes, ale z całą szczerością bezwzględnego przekonania. Nie zrażały go przeszkody. Nić porozumienia, starganą dziesięciokrotnie, gotów był nawiązywać po raz jedenasty i setny. Wielka namiętność polityczna kojarzyła się w jego naturze z żywiołową pasją osobistą. Z pasji tej, razu pewnego, wypowiadał się Hołówko na jednym z posiedzeń „Prometeusza“, zrzeszenia, grupującego przedstawicieli niewyzwolonych narodów imperjum sowieckiego oraz ich przyjaciół polskich. Na zebraniu tem Hołówko, tłumacząc obecnym, dlaczego tak gorącym sercem współczuje wyzwoleniczym dążeniom narodów, stwierdził, że jedną z głównych pobudek było jego pochodzenie: zrodzony z ojca powstańca na dalekich rubieżach caratu, wśród obcych narodów, wychowany w ideałach rewolucyjnych i powstańczych walk o niepodległość, nauczył się widzieć w odbudowie Polski nietylko cel życia narodu polskiego, ale także i naturalny warunek wyjarzmięcia innych, ciemnionych przez Moskwę narodów.¹

W wyznaniu tem wyjawiał on jeden z najgłębszych sekretów swej duszy. Hołówko nie „specjalizował się“, jak się komuś podobało powiedzieć, w sprawie mniejszości w Polsce, on poprostu — jak trafnie wy-

¹ Por. S. J. Paprocki: „Hołówko wobec problemów narodowościowych“.

raził się Stanisław Thugutt — był tym, który od najmłodszych lat swych szukał sposobu rozplątania tego koleczastego węzła, który się między nami a mniejszościami zadzierżgnął, w którym niszczeję one i my. Był takim, i innym być nie mógł, nie umiał, i na szczęście nie chciał. Już z obrazu jego dzieciństwa widzieliśmy, jak wiele w duszę Tadeusza przelało się odrębnych, znamiennych cech białoruskiej krwi jego ojca, jak wiele pierwiastków odziedziczył z ducha matki, szczerzej i żarliwiej Polki, ale już pochodzącej z Turkiestanu. Ten urodzony w głębi stepów azjatyckich „Kirgiz“ o nieposzlakowanym, dynamicznym patriotyzmie polskim, był niemniej przeto w syntezie polskiej przedstawicielem jej wschodnich, kresowych pierwiastków. I dlatego może z takim uporem walczył przeciw odrzucaniu ze współczesnej duszy polskiej składników, któremi ona przez wieki nasiąkała, którym niegdyś winna była największą potęgę i najwyższy blask, bez których pozostałaby dziś żałosnym kaleką.

Walcząc o kresy wschodnie oraz o ich udzielne równe prawa w całokształcie Rzeczypospolitej, Hołówko walczył w istocie rzeczy o najgłębszą treść swej duszy, docierał do jej istotnych źródeł. Rolę dla siebie, pole dla swej wielkości, widział tylko w wielkiej Polsce: w ojczyźnie Jagiellonów, w orbicie myśli Batorego i Piłsudskiego. W Polsce okaleczał jej, sam siebie widział — kaleką.

Niedarmo ten kresowy rycerz, gdy był jeszcze „mołojcem“, rozkochanym w bohaterach Sienkiewicza, rysował ideał swój w junackiej, zwichrzonej postaci Bohuna. Niedarmo potem, wstępując jakby

mimowoli w uczucia i w mowę kresowego junaka, w momentach uwielbienia i przekory, nazywać będzie kobietę polską, nazywać będzie, jeszcze w ostatnich miesiącach życia, nawet żonę swoją: — „Laszka“.

W nazwę tę, wymawianą śpiewnym kresowym akcentem, obok przekory i uwielbienia, kładł lęk i entuzjazm, podziw i dumę, tęsknotę zdobywcy i czar posiadania: czyż uczucia, jak bukiet kwiatów związane i zawarte w tej nazwie, a wyrażające stosunek do wybranej kobiety, nie malują zarazem jego najprawdziwszego stosunku do Polski?

Rok w Paryżu.

Na stanowisku członka Centralnego Komitetu Wykonawczego P. P. S., dzieląc cały czas swój między pracę wydawniczą w tow. „Ignis“ a pracę publicystyczną w partji, Hołówko pozostawał aż do początków roku 1925, kiedy, pod wpływem namowy ze strony swoich przyjaciół, zdecydował się wyjechać na przeciąg roku do Paryża. Intencją przyjaciół było zetknięcie Hołówki z życiem Zachodu, stworzenie dla niego warunków, w których — oderwany od kraju — mógłby zająć się sobą, poświęcić czas swój studjom, pogłębić swą znajomość obcych języków i kultur.

Tak, mając lat 36, ów syn Turkiestanu po raz pierwszy styka się ze stolicą nowoczesnej cywilizacji, z autentycznym ogniskiem twórczości europejskiej, z kuźnią łacińskiego ducha. Przedtem okruczy społeczeńści francuskiej, rozbite ale nieuległe, widywał jedynie w niemieckich obozach jeńców. Wtenczas, przed laty dziesięciu, obeując z Francuzami w obre-

bie kolezastych drutów niewoli, uległ on po raz pierwszy podbojowi nieodpartego czaru Francji. Uległ nie bez walki. Raził go bowiem zrazu ciasna, zamknięta w sobie, „oportunistyczna“ — jak mawiał — wyłączność Francuzów, którzy wyosobniając się od reszty jeńców, zgóry spoglądali na swych towarzyszków niedoli, Polaków zaś nie raczyli nawet odróżniać od Rosjan.

Wszelako razu pewnego zdarzyło się, że Hołówko wraz z grupą francuską udał się do wspólnej łaźni obozowej. Jeńcy zrzucili swe znoszone mundury i oto Tadeusz, zdumiony, dostrzega, że wśród kilkudziesięciu ludzi niema prawie ani jednego, któryby nie miał ciała pokiereszowanego bliznami! Ci „oportuniści“ byli ofiarnymi patriotami. Jakże szybko, w mgnieniu oka, zmienił się do nich uczuciowy stosunek Hołówki! Pierwszym wyrazem szacunku dla Francji stała się w Hołówce odtąd cześć dla francuskiego żołnierza.

Teraz Ville-lumière olśniła go potęgą ducha, estetyką formy, dojrzałą umiejętnością życia, doskonałym umiarem, głęboką sztuką radości, która, jak pozłota słoneczna, kładła się na murach gmachów, igrała w zgiełku ulicznym, jaśniała w twarzach ludzkich.

Hołówko, który, od szkolnej poczynając ławy, buntował się przeciw zaborcom, teraz dopiero, odechnąwszy powietrzem Paryża i kulturą Francji, poczuł, że jest naprawdę czarująco wolny; że ponad rozkoszą buntu stoi rozkosz i męka tworzenia. I tu, na bruku paryskim, na tym samym bruku, po którym chodząc Mickiewicz wypiautował ongi swą religję cierpienia i mesjanizmu, nowy przybysz ze wschodu

w nieśmiałej próbie pokusi się o przewycięzenie tej świętej negacji; spróbuje przewyciężyć w sobie swoje wczoraj i przez wysiłek ten wydobyć z siebie część owej siły dziejowej, której potrzebuje, której wymaga Polska dzisiejsza, Polska rzeczywista, Polska nie ze snów wieszcza, ale z krwi i ciała. Tu, w Paryżu, po raz pierwszy, prawdopodobnie, zrodzi się w jego duszy myśl, że losem naszego pokolenia jest nie tylko niesienie ciężkiego po dziś dzień brzemienia przeszłości, ale także podważenie i dźwignięcie w górę jeszcze większego ciężaru — przyszłości. W ojczyźnie Jaurès, Poincaré i Clemenceau uczył się Hołówko tego, jak dawny, w destrukcyjnych formach zasklepiony patryjotyzm polski przelewać w formy konstruktywne i twórcze. Gaśł w nim i odchodził w przeszłość ideał Kordjanów, Konradów i Judymów, narastała cnota i hart męża stanu, zapatrzonego w Kołłątajów, w Czarnieckich, w Żółkiewskich. Bez roku studjów, spędzanego we Francji, w rozgwarze jej politycznych walk i przełomów, Hołówko nie miałby tych mocnych argumentów, tych akcentów wyrazistych, na jakie zdobędzie się niebawem, gdy z trybuny sejmowej *salus Rei publicae* stawia ponad dawne gesty, ponad dawne zawołania i nawet ponad dawne — bohaterstwo.

Myśl o Polsce towarzyszyła mu bowiem stale, nawet w światowym wirze Paryża. Owszem, na gruncie paryskim szczególnie żywotnej treści nabierało dlań to, co po dzień dzisiejszy jest osią wszystkich naszych zainteresowań politycznych: zagadnienie stanowiska Polski wśród narodów, zwłaszcza wśród ludów, które żyły lub zmuszone są żyć dotychczas pod zaborem Ro-

sji. Paryż jest nietylko uniwersalną reprezentacją świata możliwych. Jest to również klasyczne azylum emigrantów politycznych, szukających ucieczki przed terorem, który ich wygnał z kraju. Włoch i Węgier, którzy uszli przed różgami faszyzmu, spotykają się tutaj z uchodźcami z Rosji, Ukrainy, Białorusi lub Gruzji, chroniącymi się przed tyranją rządów bolszewickich. Łatwo wyobrazić sobie, z jaką namiętnością w tym środowisku podnieconych temperamentów politycznych pograżał się chciwy działania temperament Hołówki! Jego rdzenna znajomość mowy rosyjskiej przydała mu się w Paryżu w sposób nieoczekiwany. Wśród najhałaśliwszych ulic paryskich otoczyły go wieńcem żale Białorusi, nadzieje Ukrainy, rycerskie dumy Gruzji, bratnie urazy i przysięgi Litwy. Z rozlewnością, właściwą swej impulsywnej naturze, ponawiały w krótkim czasie tysiące nici głębokiej przyjaźni; pobudował tysiące mostów, które prowadziły przedstawicieli tych narodowości ku rozumieniu Polski, jako swej orędownicy i opiekunki.

Wśród tego zastępu ludzi wydziedziczonych i ubogich, lecz bogate piastujących nadzieje, Hołówko czuł się piastunem ich przyszłości. Był w swoim żywiole. Był, jak nikt inny, powołany do tej pracy, którą sam sobie wynalazł i której oddał się całą duszą. Czyż sam przed laty niewiele nie był takim samym bezpaństwowym tułaczem? A ci, którzy dziś spożywają gorzki chleb wygnania, czy wcześniej lub później nie staną u steru władzy w swych krajach? Hołówko umiał w piersi emigrantów przelać wiare, której sam posiadał tak wiele, i w ogniu tej wiary topić

najbardziej zadawnione uprzedzenia, przesady oraz wzajemne urazy.

Zasłuchani w śmiałe wywody młodego obywatela tej odrodzonej, męskiej Polski, która z takim brawurowym impetem odparła najazd wschodniego despotyzmu, niosąc w odezwach swego wodza manifesty wolności ludom pobratymczym, zasłuchani w słowa, zapatrzeni w oczy Hołówki, ubodzy tułacze, z obcej korzystający gościnności, czuli się władcami i uczestnikami przyszłości, którą ongi zapowiadały im sztandary polskie, niosące dumne hasło: „Za naszą wolność i waszą“.

Ostatnia okupacja.

Między biernem bytowaniem rozszarpanego narodu pod władztwem zaborców a nowymi warunkami, powołującami tenże naród do niepodległości, do urabiania swego życia zbiorowego własnymi rękami — przepaść była tak ogromna, że bardzo trudno było oczekiwać, iżby mogły u nas sprawnie funkcjonować wolnościowe urządzenia demokratyczne, wzorowane na instytucjach zachodnich.

Wszelako, nazajutrz po wojnie, zapanowała na świecie taka atmosfera, że wszystko wydawało się możliwe i łatwe. Optymizm wilsonowski zalewał obie półkule i budził w szerokich kołach wiarę, że w ludzkości dokonywa się głęboki przewrót duchowy, który niebawem pozwoli wszystkim narodom korzystać z dobrodziejstw wolności i ustalonego pokoju. Za tą zbyt pochopną i niecierpliwą wiarą przyjąć musiało

rychłe rozczarowanie. Rozczarowanie szczególnie dotkliwie i bolesne dla tych, którzy ideał niepodległości żywili trudem, poili krwią własnego życia, i którzy stanawszy wobec jego realizacji, silili się daremnie, aby w zniekształconym obrazie rozpoznać rysy, wypiastowane w dawnych snach.

Hołówko, wracając z Paryża do kraju na schyłku roku 1925, a więc po rocznym niemal pobycie, niezawodnie miał jeszcze w uszach swych odgłosy serdecznych i gorących rozmów, toczonych z emigrantami wschodniej Europy, pod hasłem wspólnej wiary w wielką, odrodzoną Polskę. W rozmowach tych, pełnych polotu, wskazywał on Polskę jako najpewniejszą oporę i nadzieję wszystkich tych ludów, które wspólnie z nami niepodległość odzyskały; wszystkich tych ludów, które dopiero do niepodległości dążyły.

„Niema bowiem dla Polski — tłumaczył on owym spragnionym pociechy emigrantom — większej i lepszej gwarancji zachowania własnej niepodległości, jak zwycięski pochód dziś ujarzmionych narodów ku wolności, jak utrwalenie się wolności tych narodów, które ją jednocześnie z nami uzyskały. I dlatego dla nas stokrotnie ważniejszą jest rzeczą, aby utrwały i wzmacniały swoją niepodległość Litwa, Łotwa, Estonja, Czechosłowacja, Jugosławja, aniżeli to, by Francji powodziło się w Marokku, albo Wielkiej Brytanji w Indjach. A z drugiej strony — w żarliwym uniesieniu zapewniał Hołówko — Polska interes swój wiązać musi ze sprawą ludów, dążących do niepodległości. Pęd Ukrainy, Białorusi, Kaukazu do bytu niepodległego czemże jest — pytał — jeśli nie dalszym ciągiem tego samego łańcucha, którego jednym

z ogniw stało się i nasze również wyzwolenie? W imię czego, w imię jakiego, bądź narodowego, bądź państwowego interesu, mogłoby Polsce zależeć na powstrzymaniu i zniweczeniu dalszego pochodłu tej wolności ludów? W imię czego, w imię jakiej godności, czy służby politycznej, miałaby Polska skazywać się dobrowolnie na rolę ofiary w kleszczach niemiecko-rosyjskiego ucisku?¹

Ale, oto, stanąwszy w Warszawie, zetknąwszy się oko w oko z rzeczywistością kraju, rozejrzawszy się po tendencjach rządu i nastrojach wszechwładnego Sejmu, Hołówko zadrżał: zdjęła go trwoga na wspomnienie słów, które niedawno tam, w gronie paryskich przyjaciół, z taką wiarą i pewnością siebie wygłaszał. Czyż słowa te na tle wszystkiego, co zastawał w Polsce, nie były kłamstwem? Czy on sam, malując w Paryżu kraj swój kolorami własnych aspiracji, nie był kłamcą i uwodzicielem? Czy z miłości ku Polsce nie sfałszował jej istotnego oblicza? Siedząc w Paryżu, wśród obcych, czy nie zanedbto ulegał skłonności, aby to, co jest złego w Polsce, usprawiedliwiać, tłumaczyć i tuszować? Rok temu, przed swym wyjazdem, dostrzegał on już w rządach kraju wiele objawów zła, które z całą odwagą wytykał. Teraz, po powrocie, z przerażeniem zmuszony był stwierdzić, że rozkład posunął się o wiele dalej i głębiej. Polska stawiała się jakąś ponurą groteską, która zapożyczony u obcych demokratyzm i parlamentaryzm wyrodziła w parodię praworządności.

¹ Por. T. Hołówko: „Zagubiona złota hramota“. Droga, r. 1926.

Cóż wspólnego z wizją, dla której Hołówko w Paryżu jedną przyjaźń pobratymczych narodów, miała owa rzeczywista Polska, która swego największego obywatela skazała de facto na banicję? Owa Polska, w której klasa robotnicza była łupiona w biały dzień przez formalną zmwę fabrykantów? W której z reformy rolnej uczyniono drwiny z włościaństwa?

— A więc to ma być Polska — pytał sam siebie Hołówko — ta, o której śniliśmy na tapczanach więziennych; o którą szliśmy bić się i przelewać krew naszą; której wizja schylała się u naszych szpitalnych wężgłowi i pocałunkami koła żar i ból naszych ran?... To ma być Polska? Ten kraj, gdzie konstytucja jest świstkiem papieru, z którego kpi pierwszy lepszy policjant, częstokroć ku temu zachęcany przez swoich ministrów? Gdzie to, co jest powietrzem dla Europy Zachodniej, wolność obywatelska, wolność słowa i wyznania, wdeptane jest w błoto, gdzie chłop prapolskiej ziemi krakowskiej mógł być bity kolbami i do więzienia pędzony zato, że chciał się do Boga modlić w mowie ojezystej i stworzyć swój własny kościół narodowy?

Z tych pytań, szarpiących bólem, narodziły się dwa artykuły Hołówki, oba wydrukowane w „Drodze“, wychodzącej podówczas pod redakcją Adama Skwarczyńskiego: jeden ogłoszony w styczniu 1926, wkrótce po przyjeździe z Paryża, p. n. „Ostatnia okupacja“, drugi — „Zagubiona złota hramota“, w kwietniu tegoż roku, już niemal w przededniu przewrotu majowego.

Ktokolwiek zbliżała znał Tadeusza Hołówkę, wszystkich uderzała w jego naturze niezwykła zdol-

ność, będąca darem głębokiej, przenikliwej i czujnej intuicji. Ta intuicja, prawdziwy stanowiąca skarb dla pisarza politycznego, czyniła z jego duszy instrument niesłychanie wrażliwy na utajone fermenty mas, na gniew, wzbierający pod ziemią, na to, co nurtuje w głębi, co nadciąga z oddali. Ileż razy tym swoim wzrokiem intuicyjnym dostrzegał on rzeczy zakryte dla trzeźwych oczu zwykłych zjadaczy chleba! Gdy w roku 1912 niewidzialny pęd poniósł go z nad Newy do stóp Wawelu, na błonia krakowskie, aby tam stanąć w szeregach strzeleckich, któż przewidywał, że ów prąd, który go porwał, był wielkim prądem dziejowym? Gdy, zamknięty w obozie jeńców w Stendhalu, przepowiadał Niemcom, upojonym pychą, twarzą rolę „murzynów historii“, któż mógł wiedzieć, że, rozwaliwszy carat na pożytek Polski, sami runą pod ciężarem swych bezpłodnych zwycięstw? Pamiętamy, z jakim witał zapałem burzę rewolucji na wschodzie, trafnie przewidując, że, rwąc traktaty caratu, skruszy ona resztki więzów, krępujących Polskę. W duszy tego żywiołowca było zawsze coś z pocisku, bijącego w przyszłość. Nigdy jednak ów zwiastun burzy, żyjący w Hołówce, z większą nie objawił się siłą, niż w tych właśnie dniach, krwawymi dymiących oparami, które poprzedzały przewrót majowy.

„Ostatnia okupacja“... Czy już w tym nagłówku nie brzmiał wyrok zagłady na wszystko złe, w które uderzyć miała karząca dłoń sprawiedliwości?

Nasz parlamentaryzm, który miał prowadzić odnowione państwo, od samego początku osiadł na grzędzawisku. Nie wyszła z wyborów do Sejmu żadna zwarta większość, a wszelkie próby jej utworzenia

nie dały pozytywnych wyników. Nasze warstwy posiadające, zarówno ziemiaństwo, jak i kapitał miejski, chciały się oddać wyłącznie swym interesom materialnym, nie rwały się bynajmniej do władzy i chętnie przekazywały ją jakiejś postronnej sile, któraby umiała stanąć na straży tych interesów. Tą siłą, biorącą w „pacht“ interesy ziemian i przemysłowców, stała się w pierwszych sejmach „narodowa demokracja“, osłaniając interesy owe raz sztandarem „Boga i Ojczyzny“, to znów chorągwią „Chrześcijańskiej Jedności Narodowej“.

Następowały się doniosłe kwestje, które wymagały stanowczych i odpowiedzialnych decyzji, a właśnie najtrudniej było o decyzje w tem licznym zgromadzeniu, podzielonem na partje i frakcje, ale dziwnie zjednoczonem w poczuciu i w obronie wspólnego przywileju poselskiego. Ów przywilej, wygładzając różnice partyjne między posłem prawicowcem a lewicowcem, stawał się czynnikiem, który z nich obu czynił solidarnych członków jednego ciała, mogącego lekceważyć zwykłych obywateli. Sejm, odgradzony od masy wyborców, Sejm, pomiatający społeczeństwem i zabezpieczony w swych prerogatywach na całą kadencję, przestawał być przedstawicielstwem, a zmieniał się w oligarchję, złożoną z 444 tyranów. Każdy z tyranów owych dostawał się do władzy nie drogą wyróżnienia swoich poprzedników, ani jakąkolwiek inną drogą gwałtu, lecz na podstawie „głosu woli ludu“, w szczególny zresztą sposób storturowanej przez ordynację wyborczą; nie zmieniało to jednak w niczem faktu, że od momentu głosowania do wygaśnięcia mandatu wszyscy stawali się w zasadzie

udzielnymi władcami, nieodpowiedzialnymi przed nikim i z nikim się nie liczącymi.

Jak zapalczywie, jak bezwzględnie, jak daleko w obronie swego przywileju szli „suwereni“ sejmowi, Hołówko pamiętał z krwawych wypadków grudniowych (1922), których uwiecznieniu całą poświęcił był książkę. „Zabito Prezydenta, aby współzawodnik suwerenności wiedział i rozumiał, czem grozi walka z suwerenami“.

Te prawdziwie dantejskie słowa Piłsudskiego służyły jakgdyby za motto wystąpień, w których sumienie polskie — tak nieubłagane w sercu Tadeusza Hołówki — dawało znać, że już dłużej nie zdoła dławić w sobie męczarni i wstydu.

Zwiastun burzy.

Pomimo zagarnięcia całej władzy przez Sejm, pomimo ustawicznego obalania gabinetów i przystosowywania nowych do zmiennych większości sejmowych, Hołówko napróżno upatrywał śladu jakiegokolwiek — co do osób i miejsca określonej — odpowiedzialności za losy państwa: odpowiedzialność ta była doszczętnie rozprószona — była wszędzie i nigdzie. Każda grupa sejmowa sięgała po część władzy, ale uciekała przed jej całością, nie chcąc odpowiadać za całość. Prawica obsiadała skarb, ale nie troszczyła się o bezpieczeństwo i obronę kraju; centrum „piastowskie“ okupowało urzędy ziemskie i starostwa, nie dbając zato o wymiar sprawiedliwości; Polska Partja Socjalistyczna broniła, jak lwica, stanowisk swoich w Kasach Chorych oraz instytucjach opieki

społecznej, ale z niesłychaną obojętnością patrzyła na to, kto uczy i wychowuje w szkole państwowej dzieci robotnicze. Zasada planowej parcelacji, za zgodą Witosa i Głębińskiego uchylona na obszarach rolnych, święciła opłakane triumfy na terenie administracji Państwa. Aparat administracyjny, podzielony między sfery władania rozmaitych grup sejmowych — jak ongi dzielony bywał między familje magnackie — był ponadto mącony przez ciągłe interwencje poselskie. Wobec zaś sprzecznych nacisków ze strony różnych posłów sejmowych, wytwarzało się w biurokracji polskiej przekonanie, że najbezpieczniejszą metodą urzędowania jest wypróbowana w dawnej Austrii praktyka odraczania wszelkich spraw doniosłych ad calendas graecas. O protekcjach i naciskach poselskich w latach 1920—1926 zaczynało się mówić już całkiem głośno jako o panującym systemie, mówić powszechnie, pogodnie, a nawet przyjaźnie. Stępieła opinja społeczna, wydana na łup potężnych spółek dewastacji, nie miała sił do buntu. Opór urzędów przeciw znieprawiającym presjom poselskim stawał się coraz słabszy. Napór klubów sejmowych na obniżanie dochodów skarbu szedł w parze z niepohamowaną tychże klubów dążnością do wydymania wydatków państwowych. Zamętowi władz naczelnych w Państwie odpowiadał chaos w szerokich sferach społeczeństwa. Łamała się jedna więź za drugą, ginęły szczątki zaufania do własnych sił; wywracały się bez silniejszego wrażenia same podstawy ustroju demokratycznego. Oligarchja sejmowa, obezwładniwszy rząd i odgrodziwszy się od społeczeństwa, sama z kolei wyzuta została z władzy na rzecz ściślejszej

szego w swem łonie ośrodka, w postaci t. zw. „Konwentu senjorów“. Ten to Konwent senjorów był wtenczas właściwym dyktatorem Polski. Był dyktatorem — dodawał Hołówko — anonimowym, a więc najgorszą postacią dyktatora: składając się z głów sześciu lub siedmiu, był w istocie bez głowy. Ta anonimowa, podlegająca nastrojom, żarłoczna a tchórzliwa i nieodpowiedzialna przed nikim dyktatura była, nadmiar wszystkiego, zapieczętowana w swej zgubnej roli dożywotnio: wobec ordynacji wyborczej, usuwającej zapomocą t. zw. „list państwowych“ świadomą wolę wyborcy w akcie głosowania, kto raz zasiadł w świętem gronie senjorów sejmowych, ten mógł być z tego grona wysadzony chyba tylko granatem ręcznym: cała legalnie wyrażona wola Polski była wobec tych możnowładców bezsilna.

„I któż w tych warunkach jest istotnym wrogiem parlamentaryzmu w Polsce? — pytał Hołówko — kto otwiera drzwi różnym monarchizmom, faszyzmem i komunizmom? W imię prawdy należy powiedzieć, że istotny wróg parlamentaryzmu siedzi na ulicy Wiejskiej w Warszawie, że jest nim niedołączny, strupieszasty, a mimo to chciwy władzy — Sejm. On to swym uporem ściąga na głowę narodu burzę. Bo coraz większej liczbie ludzi w Polsce, szukających wyjścia z tej ślepej ulicy, w którą Sejm zapędził życie polskie, przychodzi na myśl, czy nie pozostała jedyna droga — droga rewolucji — aby naprawdę wcielić w życie konstytucję, utrwalić ustrój parlamentarny, przeprowadzić sanację skarbu, stoczyć walkę z wielogłową hydrą sprzedażności, biurokracji, wykonać reformę rolną, utrwalić i ugruntować ustawodawstwo

robotnicze, związać, nie kajdanami, lecz miłością i zaufaniem Kresy z Polską — słowem, aby w drodze walki znieść okupację zgnilizny i podłości, która dziś rządzi Polską. Wyznam szczerze, nie będę w liczbie tych, którzy tej burzy będą się bali i uciekali przed nią. Przeciwnie, jeśli zbrodnicze niedołęstwo Sejmu doprowadzi... do starcia, z radością i nadzieją wyciągnę ręce ku nadchodzącej burzy“.

Oczekiwanie walki, jak zwykle u Hołówki, przestacza się w jej pragnienie, a pragnienie, ledwo powzięte, już pali się zadatkiem czynu.

W błyskawicach groźnych zapowiedzi, jak pod łuną pożaru, cała ówczesna rzeczywistość polska woła ku niemu krzykiem alarmu.

„Błądą i oszustwem jest frazes, że Polska powstała jako rezultat szczęśliwego zbiegu okoliczności lub dla naprawy wiekowej krzywdy dziejowej. Dawną Polskę djabli wzięli dlatego, że nikomu nie była potrzebna. I ta Polska, która dziś prezentuje swoje oblicze, gdyby istotnie odpowiadało ono jej wewnętrznej treści, również nikomu nie byłaby potrzebna. Polska musi zrozumieć, że powstała do nowego życia tylko dlatego, że w dziejach ludzkości rozpoczął się nowy okres“.

Hołówko znalazłby się zapewne w kłopotcie, gdyby mu wypadło sformułować, na czym polegają znamiona i wymagania, niesione przez ów nowy okres. Ale rozumiał, a więcej jeszcze czuł instynktownie jedno: że Polska, jeśli ma ostać się jako państwo, nie może budować na tem, co stało się ruiną monarchji Romanowów, Habsburgów i Hohenzollernów. Nie może

ić w przyszłość „szlakiem, utartym i wydeptanym na jej ziemi przez chamskie buty zaborców“.

„Raz już Polska — przestrzegaj — zawaliła się w przepaść przez egoizm i prywatę klas posiadających. Dziś znowu ten egoizm święci swoje triumfy w Polsce. Ludowi polskiemu, gdy Polska stała nad przepaścią w roku 1920, Sejm ślubował jednomyślnie dać ziemię i wolność“.

Były to, niestety, śluby wiarołomne: krew chłopska obficie zrosiła rolę, gasząc pożar bolszewicki, lecz skoro niebezpieczeństwo zostało ugaszone, sejm i rząd zapomniały o swych uroczystych przyrzeczeniach.

„Dziś ziemia i nadal pozostaje w posiadaniu zdegenerowanej warstwy ziemiańskiej i spadkobierców „królewiat“ i targowiczán... Cały wysiłek klas posiadających idzie już dziś w tym kierunku, aby robotnikowi, znękanemu bezrobociem, odebrać jego prawodawstwo społeczne, a całemu ludowi, robotnikom i chłopom, ich wolności polityczne... Ciemny w dziejach Polski okres stuletni XVII—XVIII w. przeszedł pod znakiem rządów Rzymu nad duszą i myślą narodu polskiego. Dziś Polska znów jest we władzy Rzymu, dziś znowu państwo jest sługą pokornym episkopatu rzymskiego, dziś znowu w odmet niewoli i sieroctwa spycha różnowierców. Czarna noc obskurantyzmu i sobkowstwa ponownie rozpościera rządy nad krajem... Tak ponuro, tak duszno jest w Polsce, jak bywa duszno tylko przed wielką burzą wiosenną. Czyż nie widzicie, jak na niebie, nad ziemią polską, zbierają się coraz groźniejsze chmury?...“

Słabi duchem, widząc te gromadzące się chmury, zaczynali już szeptać trwożne, z kłamstwa i niemocy poczęte, słowa: „Finis Poloniae“.

„Ale ja wam, słabi duchem — woła Hołówko — mówię, że trzeba całą duszą, całym sercem prosić Boga o tę burzę, o szybkie jej przyjście. Im większe będą pioruny, im potężniejsza ulewa, tem lepiej dla umęczonej ziemi polskiej! Trzeba o tę burzę modlić się tak samo żarliwie, jak modli się o nią chłop polski w czasie długotrwałej posuchy letniej — i jak modlił się Mickiewicz o wielką wojnę ludów“.

Natężając pragnienie przewrotu aż do żarliwego tonu modlitwy, Hołówko składał najwymowniejsze świadectwo, jak wielką przywiązywał doniosłość do burzy, która wytrącić miała władzę z rąk przekupniów, handlujących Państwem. Ale modląc się o tę burzę, stawał znów z piersią odśloniętą, w pierwszej linji boju. Wołając o piorun kary na głowy możnowładców sejmowych, Hołówko kary tej domagał się wtenczas — i to należy podkreślić — gdy możnowładcy owi byli jeszcze potęgą groźną i nieprzebieającą w środkach. Fakt ten, powtarzamy, należy podkreślić z naciskiem, gdyż minie czasu niewiele, a surowy osąd i żądanie kary na „ostatnich okupantów“ podejmie cała Polska Partja Socjalistyczna. „Złodzieje grosza publicznego, piastujący urzędy państwowe, a zwłaszcza byli ministrowie... (tu następuje szereg najbardziej znanych nazwisk działaczy politycznych ery 1923—1926) mają być doraźnie ukarani“ — oto ogłoszona w „Robotniku“ uchwała Centralnego Komitetu Wykonawczego P. P. S. z dnia 15 maja 1926 roku.

Jak dużo mówi ta uchwała w zestawieniu z datą! Widać z niej, że organ P. P. S. nie pośpieszył, ale i nie spóźnił się ze swym wyrokiem ani o jeden dzień: zażądał on „kary doraźnej“ na przeciwników politycznych w tej samej chwili, w której spostrzegł, że byli już pokonani i rozbrojeni. W tej tak charakterystycznej postawie P. P. S., która, biorąc na swój rachunek zwycięstwo Piłsudskiego, przekazywała mu jedynie rolę egzekutora swych partyjnych kondemnacji, tała się w zarodzie owa przepaść moralna, która niebawem stanąć miała między przywódcami socjalizmu polskiego a Tadeuszem Hołowką.

Przewrót.

Nie mylił się zwiastun burzy: w godzinach zamętu i upadku wiary, gdy najmężniejsze serca ogarniało zwątpienie, uderzył grom wypadków majowych! W jednej chwili cała rozproszkowana i nieuchwytna odpowiedzialność za rządy Państwa skupiła się w jednym człowieku.

Burza przyszła, ale nie z tej strony, z której oczekiwał jej Hołowko. Nie zdobyła się na położenie kresu „ponurej grotesce oraz parodji demokratyzmu i praworządności“ zorganizowana w stronnictwach lewicowych demokracja polska. Kilkuletni udział w biesiadzie sejmowładztwa wystarczył, aby w partjach wytrawić wigor i uśpić sumienie. Radykalne programy „lewicy“ nie przeszkadzały jej iść w cichej lub jawnej nawet koalicji z najczarniejszą „reakcją“, a niebawem, jak przekona się Hołowko, każą jej swe

osiwiałe w bojach autorytety wytaczać w obronie strupieszających urzędów państwowych.

Rewolucja majowa nie była również wybuchem „świętej indygnacji“ ludu. To tylko genjusz narodu, żywy w Piłsudskim, wybuchnął gniewem i ocalił Polskę z jaskini przekupniów, jak trzy lata temu wyniósł ją z jaskini łotrów, zbryzganych krwią Narutowicza.

Piłsudski postawił wszystko z siebie na jedną kartę i nie mógł nie wygrać, gdyż cała Polska pragnęła wtenczas tej odpowiedzialności skupionej i wyraźnej; pragnęła też zmiany, przełomu i zerwania z nieznośną chorobą dnia. Lud instynktownie zrozumiał i rozpoznał w Piłsudskim swoją własną wolę i przyklasnął mu z entuzjazmem, gdy tymczasem patentowani „przywódcy ludu“ nawet podjąć czynu nie umieli. Dopiero wówczas, gdy przewrót stał się faktem i stworzył nowy układ stosunków politycznych, owi patentowani przywódcy pomyśleli o tem, aby uwić w nim dla siebie gniazdko wpływów i jeśli głos zabierać, powtarzając zużyte owe swoje „demokratyczne“ formułki o „parlamentaryzmie“, o „nowem przedstawicielstwie ludowem“, o „nowych wyborach“... Nie spostrzegli, że głos ich, dochodzący z poza sceny, którą dobrowolnie opuścili, może być tylko głosem samozwańczym, lub, co najwyżej, głosem z budki suflera.

Zawód, jakiego doznał Hołówko na gruncie demokracji, był tem dotkliwszy, że od dłuższego czasu nie brakło w opinii i w prasie wypowiedzi, które wskazywały na postępujący rozkład stronnictw lewicowych, a mianowicie na ich organiczną niemoc

i niechęć do stawiania czoła obozowi społecznego wyzysku i państwowej anarchji. Historycznym tej niechęci pomnikiem stał się polubowny uścisk dłoni, wymieniony w przededniu niemal przewrotu majowego między Stanisławem Thuguttem a Stanisławem Grabskim. W tym uścisku zgody stała odpowiedzialność za krew Narutowicza: lewica uroczystej udzieliła amnestji gloryfikatorom zabójcy Prezydenta; tego Prezydenta, którego głosami własnymi na tragiczny posterunek wyniosła. Wiele z tych krytycznych i ostrzegawczych wypowiedzi ukazywało się na łamach tej właśnie „Drogi“, której Hołówko był tak gorliwym współpracownikiem. Już na dzień miesiąc przed rewolucją majową Adam Skwarczyński zamieścił w tem, redagowanem przez siebie, czasopiśmie artykuł „Znów w awangardzie“, który rozebrzmiał jak pobudka, zwołująca „legunów i peowiaków“ pod stary sztandar Wodza, aby w obronie „nowej Polski walczyć z całą rodzimą małością“. W tymże zeszycie „Drogi“ znalazło się jeszcze znamiennejsze, jeszcze ściślej w swych intencjach określone, a bijące w jasno postawiony cel, przemówienie Bogusława Miedzińskiego, wygłoszone na zjeździe legionistów w rocznicę sierpniową roku 1925:

„Czem są legioniści w Polsce? — pytał Miedziński i odpowiadał: — Jesteśmy nietylko związani z walkami o wolność naszą, jesteśmy w Polsce czemś więcej. Jesteśmy tym żywym fermentem, który powoduje wzrost lub upadek rozmaitych idei, czynów i faktów. Jesteśmy przedstawicielami Polski żywej, Polski młodej, Polski przyszłej... Byliśmy zawsze żołnierzami świadomymi. Każdy z nas miał w du-

szy swej obraz, jak wyglądać ma Polska, o którą walczył. I dlatego praca nasza nie jest jeszcze skończona...”

Czyż każde słowo w tem przemówieniu nie tętniło już zapowiedzią żołnierskich kroków Komendanta, maszerującego na Warszawę, aby zerwać z jej szyi upokarzające jarzmo? A czemuż był wreszcie każdy numer tygodnika „Głos Prawdy“, każdy zamieszczony w nim artykuł Wojciecha Stpicyńskiego, jeśli nie rzucanym wciąż ponad głowę demokracji apelem, lokującym jedyną wiarę, jedyną moc odrodzenia w nieustraszonym Samotniku Sulejówka?

Hołówko wierzył w twórczą siłę działania Piłsudskiego, ale pragnął też wierzyć w demokrację i wierzył w nią, istotnie, do ostatka. Wierzył w nią, gdyż ideał jej tkwił głęboko w jego piersi i wyrastał z tradycji rodzinnego domu. Co ważniejsza: w demokracji widział on jedyne źródło energii, zdolnej odrodzić duszę narodu; w demokracji widział nowy stosunek do człowieka pracy, nowy braterski stosunek do człowieka innej mowy, pochodzenia i wiary w Polsce. Niepodległość bez demokracji uważał za formę bez treści. „Niepodległość państwowa — mówił — to tylko ta najlepsza forma bytu narodu, w której jest on sam panem swego losu, forma, w której może on rozwinać wszystkie swoje zasoby duchowe i materialne, wykazać istotną swoją wartość. Niepodległość więc — to właśnie rozumne i świadome kierowanie swym losem, istotne planowe spożytkowanie swych sił, zasobów i zdolności“.

Ale, oto, demokracja, która miała dać treść wewnętrzną odbudowanej Polsce, sama stała się formą

zewnątrzną i pustą, szyldem malowanym na gmachach publicznych. Wsiąkła w kluby sejmowe, w intrygi i przetargi partyjne, w konwent senjorów, w nieetykalność poselską, wkońcu zaś we wzajemnie poręczaną sobie bezkarność wielkich szkodników, zdzierców i zbrodniarzy, o ile ci szkodnicy i zbrodniarze zaopatrzeni byli w mandat posła sejmowego.

Rozbrat między formą a treścią w demokracji polskiej szedł tak daleko, że tyranja formalistyki godziła w sam sens postanowień prawnych. Rządy sejmowładze były największą szkołą niepraworządności, jaką wogóle można sobie wystawić. Duch prawa był zabijany przez jego literę. „Prawo formalne — widział ostrym swoim wzrokiem Hołówko¹ —” było tak respektowane i tak ściśle przestrzegane, że nawet zamachy stanu... robiono w zgodzie z prawem formalnem. Bo, oto wtedy, gdy N. Demokracja w grudniu 1922 robiła zamach na Zgromadzenie Narodowe, wyprowadziła poprostu na ulicę tłumy swych zwolenników, którzy mieli tylko utrudnić i opóźnić przyjazd obranego Prezydenta do gmachu sejmowego: w 15 minut po wyznaczonym terminie przewodniczący, zgodnie z konstytucją, musiałyby oświadczyć, że Prezydent nie stawiał się, aby złożyć przysięgę. Rząd biernie przyglądał się działalności podburzonych tłumów, gdyż prawo formalne gwarantuje w Polsce wolność zgromadzeń i pochodów. Gdy zaś młodzież akademicka ciskała kamieniami i błotem w jadącego na Zgromadzenie Narodowe Prezydenta, policja biernie przyglądała się temu, gdyż formalnie

¹ Por. T. Hołówko: „Ostatni rok“, str. 20, 21.

nie był on jeszcze Prezydentem i niewiadomo było, czy nim będzie, a poza tem prawo formalne mówi o poszanowaniu swobód młodzieży akademickiej, podlegającej sądom autonomicznym senatów wyższych uczelni. Gdy następnie prokuratura, pod naciskiem oburzonej w swych najlepszych uczuciach i godności narodowej opinii publicznej, wystąpiła do Sejmu z żądaniem wydania sądom posłów — głównych organizatorów rozruchów ulicznych w dniu zaprzysiężenia Prezydenta Narutowicza, Sejm zgodnie z formalnem prawem odmówił ich wydania, i sprawcy tej hańby dotąd nie są ukarani za swoją zbrodnię! Gdy pisma N. Demokracji gloryfikowały pamięć mordercy Prezydenta Narutowicza, prokuratura milczała, gdyż prawo formalne mówi o wolności słowa w Polsce; gdy w całej Polsce urządzano po kościołach uroczyste nabożeństwa za spokój duszy tegoż mordercy i zbrodniarza, rząd nie miał odwagi tych nabożeństw zabraniać, gdyż prawo formalne mówi, że w Polsce istnieje wolność religji... I oto przyszedł rząd Witosa-Korfantego, zwany przez prosty lud rządem Chjeno-Piasta, rząd tak ponury i cyniczny, jakich mało znają dzieje Polski, a jednak rząd ten wobec prawa formalnego był rządem najbardziej legalnym, najbardziej zgodnym z literą konstytucji...

Gromem protestu przeciw deptaniu żywej treści demokratyzmu w imię jego martwych obrządków, był właśnie przewrót majowy: oto dlaczego Hołówko od pierwszej chwili w rozstrzygającym boju stanął całą duszą po stronie Marszałka Piłsudskiego; od pierwszej chwili, gdy w noc majową samotny, milczący człowiek wyruszył z Sulejówka do ponownej,

być może, najcięższej walki o przyszłość Polski. Nikt żywiej nie czuł, nikt głębiej od Hołówki nie rozumiał, że w tej nocy przełomu, istotnie, waży się i przesila los Państwa Polskiego. Gdyby paraliż i bezwład anarchji trwał w Polsce nadal, Państwo nie mogłoby się oprzeć naciskom zewnętrznym i parciu sił odśrodkowych wewnątrz.

Przeświadczenie o zbawczej doniosłości przewrotu majowego nie tylko nie zmaleje, ale stopniowo wzrastać będzie w Hołówce z biegiem lat. W ostatnim jeszcze roku przed śmiercią wystawi on mu wspańnięte świadectwo, z dumą stwierdzając swą przynależność do obozu, który przewrót majowy uważa za konieczność historyczną, świadczącą o sile i zdrowiu moralnem naszego narodu. Twórcy zaś tego przewrotu czyn ów poczytywać będzie Hołówko do końca życia za jedną z największych jego — wśród tylu nieśmiertelnych — zasług wobec narodu, stawiających go w pierwszym szeregu największych ludzi, jakich dzieje Polski wydały.¹

Konsekwencje historyczne.

Uważając przewrót majowy za największą wobec całego narodu zasługę Marszałka Piłsudskiego, Hołówko sądził przecież, że jeśli kto człowiekowi temu winien wdzięczność szczególną i bezgraniczną, to obóz demokracji, reprezentujący najszerze rzesze ludowe. Jeśli kto obowiązany był zrozumieć, jak wiele, jak niezmiernie wiele ocalone zostało krótką bitwą w dniu

¹ Por. T. Hołówko: „Ostatni rok“, str. 19.

12 maja 1926, to posłowie demokracji. Oni to przede wszystkim, patrząc na rozlew krwi, powinni byli zdać sobie sprawę z ciężaru własnych grzechów i zaniedbań. Powinni byli zapłakać krwawymi łzami bólu, wstydu i upokorzenia, jak płakała podczas tych trzech dni bratobójczej walki dusza Hołówki. Bo w dniach owych przekonał się on, że naprawdę dusza ludzka może płakać... Płakać nad tem, że musimy przeżywać tak straszne i upokarzające nieszczęście, jak wojna domowa. Całe jednakże oburzenie jego skierowane było nie przeciw temu, który złamał prawo formalne demokracji, ale przeciwko tym wszystkim, którzy go przymusili złamać literę prawa, aby ratować jego treść. „Moralna odpowiedzialność za walki majowe — wyznaje Hołówko¹ — cała wina i grzech za trupy i rannych, którymi usiane były ulice Warszawy, spada nie na Komendanta, lecz na tych, którzy wytworzyli taką sytuację w Polsce, że trzeba było aż przez rozlew krwi ratować Państwo, jego godność i zdrowie moralne narodu“.

Tak... Ale czy wśród „tych, którzy taką sytuację wytworzyli“, — zapytał Hołówko — nie było też posłów demokracji? Czyż cierpliwość i wierność Polskiej Partji Socjalistycznej nie sięgała aż do rządu „koalicyjnego“, „kadłubowego“, wreszcie i Witosowego? Próbując na to pytanie odpowiedzieć, Hołówko wkraczał w sam środek tragedji majowej. W oparach krwi, którą wypadło okupić zbawienny przewrót, dymiły oskarżenia i wyrzuty, skierowane przeciw „najszanowniejszym“ autorytetom demokra-

¹ Por. „Ostatni rok“, str. 27.

cji polskiej. Wszak Piłsudski, jeśli zmuszony był ważyć się na swą straszną decyzję, to tylko dlatego, że demokracja polska żadnej decyzji w porę powziąć nie umiała. Udzieliwszy amnestji moralnym sprawcom zbrodni, dokonanej na Prezydencie Narutowiczu, z niemniejszą wspaniałomyślnością przebaczyła sama sobie wszystkie swoje winy i błędy. Piłsudski, zdobywając się na rewolucję majową, w najgłębszem przekonaniu Hołówki, wypełniał jedynie tę gnuśną i bezwolną próżnię, jaką w Polsce wytworzyła demokracja, sprzedając swe pierworodzstwo polityczne za nędzną misę soczewicy przy stole Witosy i Korfanteo. Lecz jeśli Witos i Korfanty byli tylko figurami, wysługującymi się rodzimemu „paskarstwu“ i zagranicznemu zdzierstwu, to czemuż byli posłowie naszej demokracji, wysługujący się — sługusom?

Piłsudski, rozcinając mieczem rozmaite „pakty lanckorońskie“, odkuwając demokrację od wozu przygodnych triumfatorów o pokroju moralnym senatora Hammerlinga lub ministra Kucharskiego (zaprzadawcy Żyrardowa), wyświadczał jej największą, jaką mógł, przysługę: zwracał jej wolność, lekkomyślnie utraconą; otwierał przed nią nanowo wszystkie drogi rozwoju.

Pogromca oligarchji sejmowej nie poszedł bowiem drogą najłatwiejszą, t. j. dyktatury. Naprzekór tym, którzy mu wszechwładzę dyktatorską pchali do rąk, po dokonaniu operacji wtłoczył dalszy rozwój wypadków w łożysko obowiązującej narazie w Polsce konstytucji, dokonywując jedynie w sierpniu 1926 r. najniezbędniejszych w niej poprawek. Intencją było Piłsudskiego, aby stare, złe prawo formalne w drodze

ewolucji ustąpiło dobrowolnie miejsca nowemu dobremu prawu formalnemu, które będzie odpowiadało istotnym potrzebom Państwa, będzie w zgodzie ze zbiorową moralnością publiczną, będzie wyrazem istotnego poczucia prawa i sprawiedliwości.

Droga, wybrana przez sprawcę rewolucji majowej, była ogłędną drogą rozważań, umiaru i eksperymentowania w poszukiwaniu nowych form ustrojowych, drakońską zato stać się miała kuracją w stosunku do ludzi, reprezentujących złe obyczaje polityczne. Była to droga bardzo ciężka, wymagająca wielkiego napięcia sił i wytrwałości, powodująca często kolizje między złem prawem formalnym a nową treścią, tworzącą się w jego ramach, ale — nie waha się twierdzić Hołówko jeszcze na kilka miesięcy przed zgonem — jest to droga demokratyzmu i parlamentaryzmu, która nie pozwala zboczyć na manowce faszyzmu lub komunizmu. „Droga, którą kroczy Marszałek Piłsudski — pisał Hołówko, a pisał słowa te już po kongresie krakowskim i po surowej karze brzeskiej, jaka spadła na jego organizatorów¹ — jest w istocie swojej, mimo zewnętrznych pozorów, drogą demokratyzmu, drogą ewolucji, stopniowej przebudowy organizacji państwa, drogą perswazji“. I na potwierdzenie swej tezy przytaczał niezbitą, a istotnie wymowną fakt, że dzisiejsza Polska nie zna emigracji politycznej, której ponury cień towarzyszy zawsze systemom ucisku państwowego. Europa zna emigrację rosyjską, ukraińską, włoską, chorwacką, widziała hiszpańską, ale nie zna i nie

¹ Por. „Ostatni rok“, str. 29.

widziała po przewrocie majowym emigracji politycznej polskiej.

Czy Hołówko dostrzegał sprzeczność, jaka zarysowywać się musiała między zachowaniem urzędzeń i zasad państwa demokratycznego a sumą władzy, koncentrującej się coraz wyłącznie w ręku Piłsudskiego?

Dostrzegał, niewątpliwie. Ale sprzeczność tę uważał, poczęści, za tymczasową. Tymczasowość uważał za główną różnicę, wyodrębniającą dyktaturę Piłsudskiego wśród innych współczesnych dyktatur europejskich. Tamte stosowały metody odmienne, gdyż tam dyktatura była celem sama w sobie. Tu, w Polsce, dyktatura, w pojęciu Hołówki, miała być tylko środkiem, wiodącym do celu. O podobieństwie w rządach między Polską a Włochami, na przykład, nie mogło być mowy choćby dlatego, że, gdy Mussolini wchłonał ideologję nacjonalistyczną i na niej oparł swój patos i swój autorytet, Piłsudski władzę z rąk nacjonalizmu wyrwał i stosunek do obcych narodów, zwłaszcza zaś do mniejszości narodowych w Państwie Polskiem, oprzeć postanowił na zasadach współpracy pokojowej i równouprawnienia. Gdy Enrico Corradini we Włoszech zasiadł po prawicy Mussoliniego, jego odpowiednik polski, Roman Dmowski, pozostał wobec Piłsudskiego na stanowisku nieprzejednanej opozycji. Socjaliści, którzy przewrót majowy zaliczają do przewrotów faszystowskich, mimo woli zapożyczyli się w arsenale propagandy bolszewickiej, która ma aż nadto wyraźny interes, aby naród polski przedstawić jako wasala obcych potęg i niewolnika obcych wzorów. Ale ulegając tej propa-

gandzie, polscy wyznawcy Marxa zapominają, że w terminologii bolszewickiej również i oni sami figurują, jako „zamaskowani faszysci“.

Nie! Przewrót majowy nie był — jak chcą jego przeciwnicy i malkontenci, a jak, zapewne, chcieliby jego pasorzyci, przyzwyczajeni na cudzych żerować wysiłkach — nie był bramą wejściową dla faszyzmu; był on mieczem, który niebezpieczeństwo faszyzmu od wrót Polski odparł. Odparł w ostatniej niemal chwili, gdy faszyzm w osobie Korfantego i Witosa sięgał po tyrańską władzę, aby wydać Państwo Polskie na łup tym wszystkim, którzy jego wartości nie znali i sądzili, że znać nie potrzebują, ponieważ otrzymali je „za darmo“.

Wychodząc z założenia, że systemu rządów, wyłonionych przez przewrót majowy, nie można uważać za stały i normalny, Hołówko tem gorętszy, tem skwapliwszy kładł nacisk na realizację zadań, zadań ogromnych, które rządowi tym przypadły w udziale. „Wypadki majowe — pisał¹ — muszą mieć konsekwencje historyczne, musi po nich Polska dźwignąć się odnowiona, wręcz inna, stokroć lepsza, aniżeli była przed temi wypadkami. I niezawodnie inicjatorowi i twórcy tych wypadków historycznych najwięcej na tem zależy, — ale równie szczerze i gorąco zależy na tem i nam — polskiej demokracji. Tu jest istotny mocny węzeł moralny, łączący polską demokrację z tym Wielkim Człowiekiem, który wyszedł z jej szeregów i do końca pozostanie jej sztandarem i symbolem“.

¹ T. Hołówko: „O zmianę konstytucji“, str. 6.

Czytając te słowa, nasycone wiarą demokracji, ale i pietyzmem żołnierza, słyszy się niemal przejmujący, prosty jak bicie serca, żywy głos Tadeusza Hołównki. Widzi się jego oczy roziskrzzone zapałem, przenikliwie i bystro — wśród namiętnej dysputy — poszukujące oczu zarówno przyjaciela, jak przeciwnika: przyjaciela, aby podwoić w nim zapał, przeciwnika, aby go przekonać i zjednać. Widzi się go i słyszy w jednej z najdramatyczniejszych chwil jego życia.

Dramat, przed którym stanął wtenczas Hołownko, istotnie, sięgał najgłębszych podstaw jego świadomości, a polegał na rozdzźwiękach, jakie coraz ostrzej zarysowywały się między Piłsudskim a stronnictwami lewicowymi, zwłaszcza zaś Polską Partją Socjalistyczną.

Dopóki rozdzźwięki te płynęły z rozbieżnego pojmowania taktyki, wskazanej po dniach majowych, można było nie zwracać na nie większej uwagi, bo taktyka jest rzeczą wtórną i dopiero dojście do celu rozstrzyga, czyja droga była pewniejsza. Niebawem wszakże antagonizm z pola taktyki przeniósł się na sprawy zasadnicze. Piłsudski pierwszą konieczną konsekwencję dokonanej przez się rewolucji widział w zasadniczej przebudowie naszego ustroju państwowego i, jako wstęp ku niej, uważał za wskazane poczynienie w konstytucji szeregu zmian, umożliwiających podźwignięcie władzy wykonawczej, tak bardzo przez uprzednie sejmy sponiewieranej. Stąd zrodził się rządowy projekt, dotyczący zmiany konstytucji. Szatę prawną temu projektowi dał prof. W. Makowski, ale inicjatorem reformy, którą projekt zawierał, był Piłsudski: sam bowiem fakt, że projekt

taki wpłynął pod obrady Sejmu, mógł być tylko następstwem przewrotu majowego.

Stronnictwa lewicowe, a specjalnie P. P. S., od razu wobec projektu zmiany konstytucji zajęły stanowisko nieufne i nieprzychylne.

Hołówko był człowiekiem głęboko przywiązanym do swej partji, ale jednocześnie najszczytniejszy tej partji sztandar, uosobienie jej bojowej tradycji, wcielony epos jej bohaterstwa, widział w Józefie Piłsudskim. Pisując artykuły w „Robotniku“, z dumą myślał o tem, że ogłasza je w piśmie, którego Piłsudski był pierwszym redaktorem i założycielem. Wobec ogromu przywiązania, jakim darzył pospołu i partję i jej dawnego wodza, każda między nimi rozterka zamieniała się w konflikt, rozszczepiający jego własne serce.

Pracując w partji, Hołówko od dłuższego czasu dostrzegał, że w łonie jej zmagają się dwa przeciwne kierunki: jeden, który — jak i dawniej, w okresie walk o niepodległość — chciał dążenia warstwy robotniczej zamknąć wyłącznie w obrębie interesów materialnych, — i ten kierunek miał przewagę; drugi, który pragnął klasę robotniczą bardziej zespolić z tem, co rozstrzyga o losach narodu i państwa.

Z ciężkiem sercem zdecyduje się „towarzysz Kirgiz“ na zerwanie z partją, która, jak sam się wyrażał, „odnalazła go w stolicy carów i nauczyła kochać Polskę czynem“. Nim jednak zerwie z nią ostatecznie, rzuci na szalę dwóch zmagających się w niej prądów swą krótką, lecz ciekawą broszurę „O zmianę konstytucji“. Broszura ta, wydana w lipcu roku 1926, niosąc ważki argument na rzecz podjętej przez Piłsudskiego

reformy konstytucji, była pierwszą zarazem poważniejszą próbą politycznego i społecznego uzasadnienia przewrotu majowego. Praca Hołówki nie nawiązała nici, rwących się między partją a jej dawnym wodzem. Mimo to, a może właśnie dzięki temu, po zostanie ona jednym z najszlachetniejszych pomników publicystyki polskiej w naszych czasach, tak ubogich w rysy pomnikowe. Usuwając się z partji, w której nie odnajdywał już wspólnych pragnień, Hołówko jeszcze w chwili rozstania, żegnając dawnych przyjaciół, zapragnął podzielić się z nimi tem, czem służył im zawsze: myślą szczerą, bezinteresowną i nieubłaganą.

Polityka narodowościowa.

Podnosząc z naciskiem, że „wypadki majowe muszą mieć swoje konsekwencje historyczne“, Hołówko wysuwał na czoło zagadnień dwie najpilniejsze a doniosłe potrzeby: potrzebę nowego ustawienia stosunku Polski do mniejszości narodowych oraz konieczność zasadniczej przebudowy naszego ustroju państwowego. Oba te zagadnienia w jego umyśle organicznie wiązały się ze sobą. Nie jest przypadkiem, że, gdy nareszcie uda mu się wejść do Sejmu, oba wielkie przemówienia, jakie z trybuny sejmowej wygłosi, poświęcone będą tym właśnie dwu naczelnym sprawom: zagadnieniu kresów wschodnich (9/II 1931) i zagadnieniu naprawy konstytucji (3/III 1931). Punktem wyjścia dla rozważań Hołówki nad kwestją narodowościową w Polsce jest postulat silnego Państwa Polskiego, a więc ten sam, który prze-

wodniczył wszystkim jego pracom nad reformą konstytucji. W niezadowoleniu mniejszości narodowych z ich położenia w Polsce dopatrywał się Hołówko zawsze jednego z największych niebezpieczeństw dla przyszłości Rzeczypospolitej. Naodwrot, siła Państwa Polskiego, zdaniem jego, zależeć będzie od tego, czy „wszyscy jego obywatele będą w niem czuli się dobrze“, czy „będą Polskę kochali za tę wolność i troskę o swój byt, którą odczuwać będą, gdy wzamian z największą radością w razie potrzeby staną w obrobie państwowości polskiej, nie szczędząc dla niej ofiary z życia i mienia“.

Z takiego wychodząc założenia, Hołówko już w roku 1922, w broszurze wydanej p. n. „Kwestja narodowościowa w Polsce“, wyłożył swe poglądy na politykę mniejszościową. Broszura pochodziła z czasów, gdy Autor, żywą uprawiając działalność w szeregach Polskiej Partji Socjalistycznej, kandydował z ramienia jej do Sejmu. Służąc za wykładnię programu partyjnego, publikacja Hołówki nosiła wybitne znamię akcji propagandowej; to zaś znamię nie mogło pozostać bez wpływu na treść broszury. Mimo to jednak zarówno idea podstawowa, jak i wnioski, do jakich doszedł Hołówko w tej publikacji, pozostaną bez zmiany w jego późniejszych dojrzałych wynurzeniach.

Za jedno z najważniejszych zadań naszej polityki mniejszościowej uważał on podówczas urzeczywistnienie tych postanowień konstytucyjnych, w których poręczono wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej, bez względu na narodowość i wyznanie, zupełne równouprawnienie polityczne i religijne wszystkich narodowości w Polsce, możność pielegnowania swej

mowy i swych właściwości narodowych, a przede wszystkim używanie swego języka ojczystego w szkołach, zakładach społecznych, religijnych i dobroczynnych.

Drugą zasadą, wskazaną przez Hołówkę, było bezwzględne przeciwstawienie się dążeniom, zmierzającym do asymilacji narodowej, czyli do wynarodowienia, jako w praktyce nieosiągalnym, a jednocześnie podsycającym tendencje odśrodkowe wśród mniejszości narodowych. „Zmarnowana byłaby energia narodu polskiego — pisał w swej broszurze Hołówko — utopione byłyby olbrzymie środki z wręcz przeciwnym rezultatem, bo ze spotęgowaniem obrażanego i krzywdzonego uczucia narodowego, rozpaleniem straszliwej nienawiści do narodu i Państwa Polskiego“. Zapędom wynaradawiającym przeciwstawił Autor inny program, którego cechą przewodnią byłoby „danie pełni swobód i możliwości rozwoju narodowego wszystkim mniejszościom narodowym, ale w takiej formie, aby te swobody nie osłabiały, lecz, przeciwnie, wzmacniały Państwo Polskie“. Ustalając te zasady ogólne, Hołówko, w formułowaniu programu polskiej polityki narodowościowej, starannie rozróżniał poszczególne zagadnienia mniejszościowe, mianowicie kwestję ukraińską w trzech województwach południowo-wschodnich i na Wołyniu, kwestję białoruską, żydowską i niemiecką. Już to zróżnicowanie zagadnień w naszej polityce mniejszościowej wskazuje na wysoki stopień realizmu, z jakim Hołówko do spraw politycznych podchodził. Ten realizm stanie się najpewniejszą rękojmią konsekwencji w rozwoju jego zasadniczej linii politycznej. W okre-

sie jego namiętnej opozycji — przed przewrotem majowym — uchroni go przed wybrykami frazeologii. W okresie pomajowym, gdy Hołówko zajmie jedno z czołowych stanowisk w obozie Marszałka Piłsudskiego, ten sam realizm pozwoli mu zachować w pełni świeżość i wrażliwość umysłu na potrzeby, na dole i niedole kresów wschodnich. W miarę rozrostu swoich wpływów w Państwie, będzie on sobie zastrzegał coraz szerszy wgląd w kwestje mniejszościowe w Polsce, ale nie zmieni zasadniczo na kwestje te swoich poglądów programowych. Stanie się może powściągliwszy w formułowaniu swych tez: wypowiadać je będzie już nie tylko ze stanowiska rozważań teoretycznych, ale ze stanowiska praktycznych wyników, jakie z takich lub innych posunięć rodzić się mogą dla rządu i Państwa.

Hołówko bowiem, w zakresie swej działalności politycznej, nie był tylko wytwórcą literatury. Słowo głoszone, czy słowo drukowane, było dlań przeważnie narzędziem lub przewodnikiem działania. Sztandar publicysty i pisarza nosił wysoko; czuł wagę i ciężar służby, jaka się z nim wiązała. „Ze wszystkich funkcyj, które w służbie publicznej pełniłem — mówi on w jednym miejscu¹ — najwyżej cenię funkcję publicysty, który ma odwagę wypowiedzieć to, co myśli, choćby wiedział, że zdanie jego w tej chwili jest niepopularne i przeciwstawia się t. zw. opinii publicznej“. Ten postulat odwagi w publicystyce czemże jest, jeśli nie skierowaniem do siebie samego wezwaniem, aby słowo, wybiegające z pod pióra publicysty, miało pełne pokrycie w kruszcu jego woli i charakteru?

¹ Por. „Ostatni rok“, str. 9.

Dlatego też, propagując swoją ideę polityki narodowościowej, starał się on jednocześnie wykuwać dla niej środki realizacji, torować dla niej drogi propagandy. Widzieliśmy, z jakim nakładem czasu i energii uprawiał on siew swoich politycznych zasad w emigranckich kołach Paryża, skupiając wokół siebie wygnańców lub wysłanników Ukrainy, Gruzji, Białorusi, usiłując ich partykularystyczne pretensje wyrównać oraz ich odrębne dążenia zbratać na łonie wspólnego ideału wolności i demokracji.

Wróciwszy z Paryża, w grudniu 1925 objął on kierownictwo Instytutu Badań Spraw Narodowościowych; w roku zaś następnym, powodowany tą samą nieustępliwą intencją kojarzenia myśli teoretycznej z drogą praktycznego działania, wstąpił, jako członek czynny, do Komisji Rzecznawców dla spraw mniejszości narodowych i województw wschodnich.

Jeśli przewrót majowy Hołówko witał jak erę wybawienia, to właśnie dlatego, że chciał widzieć w nim wybawienie z bezczynności, na jaką skazywały go rządy sejmowładcze w tej najważniejszej dla niego sferze działania: w polityce narodowościowej. To, że mniejszości narodowe podczas wyborów do pierwszego sejmu zgrupowały się we wspólny blok, cementowany nienawiścią do Polski, było dla Hołówki nie tylko tragicznym błędem naszej polityki; był to w jego sercu wielki ból osobisty, krwawa zniewaga dla najgłębszych w jego duszy przekonań o zadaniach i posłannictwie Państwa Polskiego. Orjentował się on dobrze, że głównym promotorem ówczesnego bloku mniejszości narodowych byli Żydzi; że oni właśnie innym narodowościom na Kresach dawali pieniądze

i dawali swoich agitatorów, i to najlepszych, bo bezinteresownych, zapalonych. Każdy Żyd w małym miasteczku był żywiołowym agitatorek na rzecz Bloku mniejszości narodowych, t. zn. był żywym klinem, rozsadzającym jedność i spójnię Państwa Polskiego.

Czyż polityka, która wszystkie mniejszości narodowe spychała we wspólne gniazdo nienawiści przeciw Polsce i wszystkie je oddawała pod komendę agitatora żydowskiego, nie była zaprzepaszczeniem najbardziej świetlanych tradycyj polskich, nie przekreślała szlachetnej treści odezw, z jakimi Piłsudski, jako zwycięski Wódz Naczelny, wkraczał do Wilna, na Białoruś i na Ukrainę? A nadewszystko polityka taka czyż nie była małodusznem wycofaniem się polskiej myśli państwowej z odcinka najbardziej zagrożonego i wydaniem Kresów na łup obcej propagandy?

Hołówko rozumiał, że interes Państwa Polskiego, najzupełniej na tem polu zbieżny z interesem cywilizacji zachodniej, wymaga nie tego, aby mniejszości w Polsce szukały węzłów wspólnych między sobą, ale aby narastała więź, łącząca każdą z tych mniejszości z ogólnym kompleksem państwowym. Rozczłonkowanie Bloku mniejszości narodowych na jego odłamy składowe i wejście z każdym odłamek zosobna w układy odrębne wydało się Hołówce pierwszym, najpilniejszym nakazem chwili po przewrocie majowym. Party gorączką działania, nawiązał on nie porozumienia nasamprzód z klubem posłów ukraińskich Wołynia. Zagadnienie ukraińskie uważał on słusznie za klucz do regulowania naszej polityki narodowościowej. Postulaty, jakie wysunęli Ukraińcy Wołynia w zakresie administracji miejscowej oraz

szkolnictwa, uznał Hołówko za zupełnie możliwe do pomieszczenia w ramach państwowości polskiej. Jeden z postulatów wstępnych polegał na żądaniu stworzenia w łonie rządu stanowiska podsekretarza stanu dla spraw mniejszościowych. Jakąż przytem niezmierną dla Hołówki było satysfakcją moralną, że, gdy spytał, kogo życzyliby sobie widzieć na tem doniosłym stanowisku, usłyszał od posłów wołyńskich oświadczenie, że ich intencjom najbardziej odpowiadałaby jego właśnie osoba.

Wrogi, twardy Blok mniejszości jął kruszyć się pod wpływem pierwszych samorzutnych poczynañ Hołówki. Otwierało się niezmiernie płodne pole dla dalszych prób i usiłowań. Gdybyż odczuto w owej chwili możliwości, tkwiące w tych pierwszych krokach dobrowolnego parlamentarjusza! Niestety, możliwości owe rozbitły na chwilę i zgasty w próżni. Hołowce nie udało się w pierwszym zaraz roku po przewrocie majowym stanąć na tym posterunku, do którego rwał się z całej duszy i na który przeznaczały go, jak nikogo poza nim innego, wyjątkowe dane umysłu, charakteru, przeżyć osobistych i talentu.

Historja nie pozostawia żadnego marginesu dla poprawek i przypuszczeń co do dróg, jakimi poszłyby zdarzenia, gdyby... gdyby... Nie będziemy też wdawali się w dociekania, czy i jak wielu tragicznych zgrzytów uniknąć mogłaby nasza polityka mniejszościowa, gdyby na czele jej kierownictwa stanął odrazu po przewrocie majowym Tadeusz Hołówko. Czy możliwe wówczas byłyby rozboje i pożary, w których ginął dobytek obywateli naszych w Małopolsce Wschodniej? Czy konieczna wówczas byłaby pacyfi-

kacja, która tak posępnie odbiła się echem w duszy i polskiej i ukraińskiej? Czy wpływy komunistyczne w „Hromadzie“ białoruskiej sięgnęłyby wówczas aż tak daleko, że trzeba je było tłumić za kratami więzienia? Czy zawziętość Litwy stężałaby wówczas w ten nieprzebity mur separatyzmu, jakim Kowno odcięło się od Polski i Warszawy? Pytania te są zagadkami, o których rozwiązanie próżno zwracalibyśmy się do historii. Wszystkie pochłonał je na wieki milczący grób, w którym spoczął Hołowko i jego niespełniony sen. Ale właśnie ten, kto staje nad jego świeżym grobem i poprzez krwawą grozę jego męczeństwa spogląda ku latom ubiegłym, zdumiewać się musi gorzkiej igraszce losu, który tam, gdzie odrazu powinien był stanąć Hołowko jako żywy wykładnik rewolucji majowej wobec mniejszości narodowych, postawił Meysztowicza i Radziwiłła, postawił Nieśwież, Ołykę i Dzików... Kaprys jakichś złośliwych paradoksów, czy może zadawnionych nałogów, sprawił, że oblicze, którem Polska, obmyta krwią przewrotu majowego, zwróciła się do Kresów Wschodnich, było nie żywym obliczem odmiany, ale staroświecką maską pleśni, która niedawno jeszcze korzystała się przed pomnikiem Katarzyny-carycy, stawionym na cmentarzysku dawnych powstań polskich...

Naczelnik Wydziału Wschodniego.

Nie szeroka, żywotna arena polityki mniejszościowej, ale urzędnicza służba dyplomatyczna pochłonać i uwięzić miała swoisty talent Hołowki na całe długie trzy lata: 1927—1930. Mianowany dnia 1-go marca

1927 na stanowisko Naczelnika Wydziału Wschodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Hołówko na tym posterunku, niewątpliwie wysokim i zaszczytnym, lecz jakże ciasnym dla jego uzdolnień, pozostawał aż do okresu, poprzedzającego rozwiązanie drugiego sejmu. Czyż trzeba dodawać, że przez cały ciąg służby wywiązywał się z zadań swoich znakomicie, zyskując uznanie kolegów i pochwały przełożonych? „Nie był to urzędnik zwykły — powiada o nim w swem pozgonnem wspomnieniu b. premier, Walery Sławek — urzędnik, spełniający jedynie swoje obowiązki. Miał on głębokie poczucie znaczenia i roli, jaka Polsce przypada z racji jej położenia geograficznego, a również jej siły, a zarazem kierunku i charakteru oddziaływania na sąsiadujące z nami narodowości“.

O stopniu zaufania, jakim obdarzano Hołówkę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i jakie pokładał w nim osobiście Marszałek Piłsudski, powołujący go nieraz do Belwederu na ważne narady, świadczy szereg niezmiernie trudnych spraw, które bądź jego opiece, bądź jego wykonaniu powierzono. W początkach roku 1928 jako prezes delegacji polskiej udaje się do Kowna, aby wszcząć rokowania z Litwinami na tematy, zalecone przez Ligę Narodów. Po raz drugi na czele takiejże delegacji jedzie do Kowna w czerwcu tegoż roku. Ten drugi wyjazd nie był wolny od momentów szarpiących nerwy, w rezultacie zaś stał się jeszcze jednym dowodem wspaniałej brawury, z jaką Hołówko pokonywał spiętrzone na swej drodze trudności i niebezpieczeństwa. Przed wyruszeniem w podróż otrzymał on kilka listów ostrzegających go

przed zamachem, jaki, rzekomo, planowali nań studenci litewscy w Kownie. Stanowisko Litwy wobec Polski było w owym czasie istotnie nacechowane bezwzględnością i napastliwą nienawiścią. Ale ani listy ostrzegawcze, ani złowrogie pomruki polityków litewskich nie powstrzymały Hołówki od spełnienia obowiązku służbowego. Postanowienie jego w owej chwili było tem szczytniejsze, że, jadąc do Kowna, odbywał podróż w towarzystwie nowozaślubionej żony, która wprawdzie podróży jego nie stawiała przeszkód, ale pod warunkiem, że jej niebezpieczeństwo podzieli. Jakoż tłum, który oczekiwał delegację polską na dworcu w Kownie, nie wróżył nic dobrego. Zwarta gromada studentów, stojąca na peronie dworca, zdawała się zapowiadać jakąś wrogą, dziką demonstrację. Hołówko, wyrzawszy z okien wagonu, nie mógł nie dostrzec wyzywającej i groźnej postawy tłumu. Ale nie zawahał się ani przez chwilę. Ujawszy młodą małżonkę pod ramię ruchem jak najnaturalniejszej swobody, wysiadł z pociągu i równym, spokojnym krokiem skierował się ku wyjściu, gdzie spodziewał się zastać samochód rządu kowieńskiego. I, oto, widok tego spokoju, zwłaszcza zaś obraz zaufania, jakie biło z faktu, że delegat Polski w to miało, najeżone złością przeciw Polsce, wstępuje z żoną: ten obraz stał się niespodzianką psychologiczną, która przełamała nastrój wrogiej demonstracji, załłopotała i rozbroiła tłum.

Zadawniony spór polityczny nie mógł, rzecz prosta, przeistoczyć się w porozumienie i zgodę. Wszelako prawość i powaga Hołówki sprawiły, że rokowania z rządem kowieńskim odbyć się mogły w atmo-

sferze, niezmaconej żadnym wybrykiem lub odruchem namiętności. Gdy zaś po dwóch tygodniach Hołowko opuszczał Kowno i znów znalazł się na dworcu kolejowym, wyrazem zmienionego nastroju stała się obecność litewskiego ministra spraw zagranicznych, który osobiście zegnał delegata polskiego na peronie, młodej zaś jego towarzysze wręczył bukiet nadnie-meńskich kwiatów.

Jeszcze wyższe zadanie przypadło w udziale Hołowce w roku 1929: poprzedzone wizytą w Moskwie doprowadzenie do podpisania umowy, wprowadzającej w życie pakt Kelloga między Polską, Rumunją, Estonją i Łotwą a unją Sowiecką. Przy jednym wspólnym stole porozumienia zasiadła z jednej strony Polska w otoczeniu zaprzyjaźnionych z nią państw sąsiedzkich, z drugiej zaś — Związek republik, reprezentowanych na Kremlu. Wszystkie państwa zawaręczyły sobie wzajem poszanowanie pokoju i odrzucenie wojny jako środka rozstrzygania sporów międzynarodowych. To pomyślne przeszczepienie paktu Kelloga z zachodu na wschód i oddanie pod jego patronat całej długiej granicy, biegnącej od morza Bałtyckiego ku Czarnemu, było pięknym osobistym sukcesem Hołowki, a jednocześnie pokaźnym dorobkiem dyplomacji polskiej. Oceniał w pełni zdobycz i zasługę swego dzielnego współpracownika minister August Zaleski, gorącemi słowy w liście osobnym dziękując mu za „pełną poświęcenia i owocną pracę w całym okresie prowadzenia trudnej akcji dyplomatycznej, która ostatecznie uwieńczona została całkowitym rezultatem“. Zaufanie ze strony Marszałka Piłsudskiego, pochwały Zaleskiego, pochlebna opinia Sławka —

oto fakty, przekonywające nas, że Hołowce nie zbywało na dowodach uznania ze strony tych właśnie ludzi, na których zdaniu najwięcej mu zależało. Jeszcze silniej od pochwał cudzych wspierało go, rzecz jasna, własne poczucie sumiennie wykonywanej powinności.

Wzruszające w prostocie swej świadectwo wystawia Hołowko temu poczuciu powinności w jednym z listów do żony, pisanym w marcu roku 1930. „Moja treść życia — wyznaje — to twardy obowiązek wobec Polski i moich przekonań. Stoi mi zawsze przed oczyma ideał mojej Polski — wielkiej i wspaniałej, tej istotnej potęgi na Wschodzie Europy. Ta Polska — to moja treść, moje dążenie. Gdy zginie we mnie wiara w Polskę, przestanę żyć. Ale wiem, że tak nie będzie, i dlatego wszystkie swoje siły oddaję tej Polsce i oddawać będę aż do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi...”

A przecież ani uznanie i wdzięczność najbardziej ważkich osób, ani wewnętrzny głos przeświadczenia o pożytku pełnionej służby, nie dawały Hołowce szczęścia w okresie najwybitniejszych nawet jego powodzeń w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pierś Hołowki, pierś kresowego Bohuna, dusiła się w obrzędach protokołu dyplomatycznego, karłała w szrankach kariery urzędniczej. „Wiesz dobrze — pisze on w innym liście do żony z tegoż miesiąca i roku — jak męczę się wewnętrznie swoją obecną pracą; jak chcę pracy większej i wartościowszej... Tęsknię do tego, aby w Polsce odegrać wielką rolę, aby zaważyć na jej losach, aby zostawić po sobie dobrą pamięć... Jestem ambitny, ale nie w przecięt-

nem znaczeniu tego słowa. Żyje we mnie tęsknota do rzeczy wielkich, do wielkich zdarzeń...”

I wtenczas to z pod pióra tego człowieka, który skarżyć się nie umiał, wrywa się ów stłumiony szloch żalu i rozpacz, który wszyscy jego przyjaciele zachowają w księdze wspomnień, jako najdroższą po nim pamiątkę: suchą gałązkę z korony tego drzewa, jakim było bujne, szumne drzewo jego życia. „Polska stała się moją *idée fixe* — pisze w liście z tych samych czasów: — wierzę, że będzie cudem świata i służę jej wiernie, jak pies. Ale los kazał służyć nie słowem, nie piórem, lecz głupią, ciężką pracą codziennego urzędnika. I służę. I przeklinam to życie urzędnicze i wściekam się, ale ciągnę wóz obowiązku...”

Czy słuszną, czy celową, czy nieuniknioną było rzeczą wprzęgać tego junaka kresów do pługą biurokratyzmu? Oto jedno z tych pytań, które z ponad grobu jego wyrastają. On sam nie stawiał go nigdy, stwierdzając jakgdyby przykładem swego życia słowa Żeromskiego — że w Polsce „niejedno ramię dostojne musi ciągnąć szlę, jak koń, gdy braknie konia“... „Jeśli dziś męczy mnie to, co robię — pisze dalej — to nie dlatego, żebym uważał, że dzieje mi się krzywda, że mnie nie doceniają, ale dlatego, że w głębi duszy zapytuję siebie, czy to nie jest maximum tego, na co mnie stać, czy moje zdolności istotnie wybijają się ponad przeciętność. A że jestem dumny, więc zamykam się w sobie i milczę, bo przypuszczam, że te wątpliwości mają i inni...”

Nie czuł Hołówko tych wątpliwości w sobie i nie podejrzywał ich w innych, gdy, jadąc do Kowna,

stawiał życie na kartę, gdy, udając się do Moskwy, miał w oczach wizję potęgi polskiej na Wschodzie, jako pionierki pokoju, bezpieczeństwa i cywilizacji... Ale, gdy wracały dni szarego urzędowania na ulicy Wierzbowej, nieskończone kolejki śniadań dyplomatycznych, żmudna pańszczyzna spotkań i pożegnań na Dworcu Głównym, bezdusznych frazesów, czarnych fraków i liturgicznych toastów bankietowych, Hołówko popadał w przygnębienie i nudę, zaczynał wątpić o sobie; wątpił o treści swego życia, przeklinał to życie i buntował się przeciw uperfumowanemu jarzmu, w jakie go wtłaczono. „Czyż po to — myślał — modliłem się o pioruny i o burzę majową, aby stać się urzędnikiem V-go lub IV-go stopnia?”

Florencja.

Jedyną w tym okresie pociechą Tadeusza bywały krótkie lub dłuższe wyjazdy zagranicę, odbywane zazwyczaj w towarzystwie żony, pani Janiny, z którą dzielił i wymieniał wrażenia podróży. Najczęstszym celem tych wycieczek była Genewa, siedziba Ligi Narodów. Każda z takich wycieczek wpłatała się barwną nicią w szarą przędzę jego służby, otwierała mu okno na wielki świat idei i prądów, wstrząsających Europą... Jakże szczęśliwy czuł się wtenczas, gdy od czasu, przeznaczonego na uroczyste i zwykłe jałowe posiedzenia dyplomatyczne, udało mu się odkraść kilka lub kilkanaście dni, aby móc je obrócić w całości na obcowanie z myślą, sztuką, literaturą, lub bodaj nawet z krajobrazem Zachodu!

Taka okoliczność szczęśliwa zdarzyła mu się la-

tem roku 1928. Polska na forum Ligi Narodów stała do rozprawy z Litwą i jej niesfornym duchem wrogości i przekory w osobie Waldemarasa. Hołowko wybrał się, jak zwykle, z żoną, i, aby mieć więcej czasu w podróży, wyjechali z Warszawy nieco wcześniej. Jadąc przez Czechy i Austrię, zatrzymali się w Wiedniu dla zwiedzenia słynnej galerji obrazów, stanowiącej dumę dawnej stolicy Habsburgów.

Hołowko, którego towarzysze i koledzy znali jedynie jako bojownika idei, opętanego furją ruchu i dążenia, tu, wobec arcydzieł sztuki, przeistaczał się w wyznawcę nieśmiertelnych form piękna, gotowego całe godziny spędzać przed obrazem Rembrandta, Rubensa lub Tycjana. Ten „zwiastun burzy“ posiadał w sobie najczystszy dar zachwytu i umiał zdobywać się na niepokalaną ciszę kontemplacji. Myśl jego, urzeczona wrażeniem bijącym z dawnego obrazu lub starej klasycznej rzeźby, otwierała sobie perspektywę w głąb wieków minionych; biegła ku czasom rozkwitu i przepychu kreacji, z widoczną zaś rozkoszą spoczywała na dziełach i pomnikach włoskiego rinascimenta.

Radość jego sięgała szczytu, gdy po nudnej sesji genewskiej, w której, jak czkawka, wracały zawsze te same stale odraczane a nigdy nie rostrzygnięte spory, wyrwał się ze swą wierną towarzyszką do Włoch, aby, przemknąwszy przez tunel Simplonński, okoliwszy cudne pobrzeże Lago Maggiore, zawadzić o Medjolan, Genuę lub Wenecję i na ostatku upić się boską urodą Florencji.

Twardy i lśniący jak emalja błękit tokański przypominał Tadeuszowi modre, bezchmurne firma-

menty Turkiestanu; złote słońce na tarasach Fiesole lub krążgankach Santa Croce wywoływało z jego pamięci upalne dni Dżarkentu. Skąpany w zdroju podwójnego szczęścia, płynącego z jawy piękna i ze snów dalekiego dzieciństwa, jakże lekko, jak rzeźko czuł się ten czterdziestoletni już prawie mężczyzna, zbiegając ze wzgórz toskańskich ku żółtym falom Arna! Zapominał wtenczas o swej urzędniczej pańszczyźnie; strącał ruchem niecierpliwym z bark niepokornych i nie pochylonych wszystek ciężar swych minionych lat, ciężar tego, co w nich przeżył, prze-walczył, przecierpiał. Na nowo czuł we krwi bujny smak życia, czuł w sobie pęd i rozmach; na nowo wierzył, że jeszcze życie stoi przed nim otworem, że miarę swej indywidualności odsłoni dopiero w tem, co ma nadejść...

Florencję znał Hołówko już od roku 1924, dzięki epizodycznej wycieczce z Paryża, w którym, jak wiemy już, spędzał wtedy czas dłuższy. Wszelako teraz dopiero, odwiedziwszy ją po czterech latach ponownie, rozkochał się w niej, jak tylko Polak, syn chmurnej północy, rozkochać się może w tym klejnocie marmurów, wyłożonych słońcem. Niedarmo rzekł niegdyś Henryk Sienkiewicz, że każdy z nas posiada dwie ojczyzny: swoją własną oraz Italję. Dla Hołówki zdanie to było czemś więcej, niż wyrazem artystycznego zachwyty. Było dlań wyznaniem jakiegoś głębszego, niemal mistycznego związku z burzliwą, pełną wielkości i tragizmu ojczyzną Danta, Galileusza, Ariosta. Quattrocento i cinquecento florenckie było dla Hołówki jednym z najpotężniejszych objawień ludzkości.

Błądząc bulwarami Lungarna lub stając w zadumie przed dziełami największego mocarza rzeźby w kaplicy Medyceuszów, zdawał się on oddychać czarem i potęgą owych tytanicznych czasów. Wszystkie sztuki, dźwignięte i odrodzone w inspiracji Dantego, osiągnąwszy dojrzałość, zjednoczyły się podówczas w Michale Aniele, jakgdyby nato, aby umrzeć nagle, jak nagle wybuchły. Erudycja odkopała wówczas już niemal całe bogactwo antyku i zaczynała pracować nad tem, aby je zrozumieć; Kolumb odkrył Amerykę, Kopernik ruch nadawał ziemi, Luter dawał wolność sumieniu, Rafael do ostatecznej piękności wywiódł formę, Juljusz II był ostatnim wojownikiem papieżstwa, Florencja była pierwszą i ostatnią gminą Italji...

Jakieś powinowactwo duchowe, jakaś organiczna więź podświadoma ciągnęła i przykuwała Hołówkę do „grodu czerwonej lilji“; przykuwała go tem silniej, że poznał ten gród nie w pierwszej ekstazie młodości, ale w pełni dojrzałego wieku męskiego.

W żywiołowym rozmachu ludzi, którzy wzniesli katedry i gmachy Florencji, którzy w marmurze wyrzeźbili swoje sny i zaklęli w nich cały wszechświat piękna i potęgi, odnajdywał on coś z własnego żywiołu, z własnych nieuskromionych dum.

Nieraz, gdy całym wysiłkiem woli wtapiał się w obrazy przeszłości, z przed oczu jego zdawały się znikać granice wieków. Daleka przeszłość migotała jak dno w przejrzystym potoku współczesności. Wydawało mu się, że świat dawno umarły wraca do życia, że obrazy i posągi nagle ożyły. Że on sam, zmieniony w obraz lub posąg, odszedł w przeszłość, od-

płynął poza grób, i patrzy sam na siebie z odległości dwunastu pokoleń.

Wewnętrzny nurt życia płynął w Hołówce zawsze głębokiem łożyskiem wiary religijnej, dla której „nie wszystko kończy się tutaj“. Ale religja Hołówki nie miała nigdy, nawet w jego latach młodocianych, nie wspólnego z kanonami mieszczańskiego katolicyzmu, rozdającego wieczyste nagrody po zniżonej cenie.

Bóg, w którego wierzył, bliższy był raczej wyobraźni poetów, niż dogmatom teologów. Jak Juliusz Słowacki w „Beniowskim“, tak samo Hołówko nie uznawał Boga, któryby tylko był bogiem „robaków i tego stworzenia, co pełza“. Jego Bóg, jak prometejski demiurg Słowackiego, „lubi huczny lot olbrzymich ptaków, a rozhukanych koni on nie kielża“. Z tej wulkanicznej czary życia i umiłowania potęgi zrodziła się w piersi Hołówki, jak ongi w piersi Słowackiego, wiara w byty wielokrotne, w wędrówkę dusz, poprzez próby narodzin i zgonów, wstępujących na coraz wyższe szczeble siły, światła i samoopanowania.

Ta wiara, niesiona fantazją a odżywiana przybo-rem sił ciągle młodych i jakgdyby przelewających się przez krawędź jednostkowego bytu, szczególniej potężnego bodźca doznała w Hołówce wśród murów, świątyń i muzeów Florencji, wśród nieśmiertelnego ogrójca jej sztuki. Pół na jawie, pół we śnie, stając przed obrazem Perugina, wpatrywał się w postać młodego chłopca, którego twarz i oczy dziwnie targnęły jego duszę: czy to dziwne i nieodparte wrażenie nie jest jakimś odbiciem wspomnienia? I czy sztuka, utrwalająca przelotną chwilę, aby ją ponieść

przez pokolenia, nie jest mistyczną pocztą dusz, przesyłających sobie znaki i pozdrowienia ponad falami wieków i łańcuchami mógł?

Kiedy na miesiąc przed wyjazdem do Truskawca, lekarze, zalecając Hołówce odpoczynek i lekką kurację, wskazywali mu, jako najwłaściwsze miejsce klimatyczne, uzdrowisko w Montecatini, radość z nadziei odpoczynku bladła wobec radości nowego zobaczenia Toskanji i możliwości odwiedzin Florencji. Niestety, wyrzec się musiał wyjazdu do Włoch. Po dwudziestu latach krwawej, dosłownie własną krwią syconej pracy w służbie ojczystej, nie udało mu się, przy najskromniejszym życiu, zgromadzić kilkuset złotych, które były niezbędne na wyjazd do Montecatini. Wyrzeknie się więc tego, co zapowiadało osobistą rozkosz; poprzestanie na tem, co uważał za konieczność: postanowi podreparować gdzieś w kraju swoje nerwy i swe nadszarpnięte serce. Wybierze Małopolskę Wschodnią i — pojedzie do Truskawca.

„Kłamać nie potrafię“.

Okres, który otwiera się z chwilą przewrotu majowego, przez to samo, że jest dotychczas otwarty, należy nie do kompetencji historyka, ale do kompetencji polityka. W stopniu jeszcze wyższym zastrzeżenie to obowiązuje w stosunku do tych wypadków późniejszych, które nastąpiły po kongresie krakowskim t. zw. „Centrolewu“ oraz po spowodowaniem przez ów kongres rozwiązaniu sejmu w roku 1930 i represjach, jakie spadły na głównych prowodyrów kongresu. Bezstronna i przedmiotowa ocena tych

ostatnich lat historii Polski jest nad wyraz trudna. Sam proces historyczny, niosący nas na swej zmiennej i burzliwej fali, nie jest skryształizowany i zakończony. Uczucie, które zawsze głos zabiera wcześniej, niż rozum, przesycę jeszcze całą atmosferę, napełnioną sprzecznymi odgłosami tych niedawnych zdarzeń.¹

Gdy jedne grupy społeczeństwa opanowane są sztucznie podsycanem przekonaniem, że wszystko, z czem przychodzą, co głoszą, co czynią i nawet to, czego nie czynią nowe rządy, jest a priori złe, szkodliwe, zgubne, niskie, a przede wszystkim nieuzasadnione i bezprawne, grupa druga, idąca w cuglach Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, gotowa bywa zaaprobować mniej lub więcej szczerze każdy krok gabinetu, w każdym dopatrzeć się głębokiej racji stanu, dla każdego znaleźć choćby ex post uzasadnienie, a przynajmniej rozgrzeszenie.

Hołówko należał do ludzi, których usta nie splamiły się nigdy słowem pochlebstwa. Jego kark organicznie był niezdolny do ugięcia się choćby na cal jeden dla przypodobania się możliwym, zwycięzcom lub piastunom władzy.

Wszystkie trzy rządy zaborcze miały przeciw sobie jego nieustraszonego animusz bojownika, rewolucjonisty i żołnierza. Gdy po zamknięciu się Piłsudskiego w Sulejówku nastąpiły w Polsce rządy krajowej „okupacji“, Hołówko w walce z niemi szedł, jak widzieliśmy, aż do krańca determinacji, na którym omal nie poległ — ukamienowany. Po przepędzeniu

¹ Por. Eugenjusz Kwiatkowski: „Dysproporcje“, str. 257.

„okupantów“ byłoby rzeczą zrozumiałą, gdyby, zjednoczywszy się z dziełem rewolucji majowej, uradowany zwycięstwem, przymrużył oczu na niedobory nowego reżymu. Ale Hołówko nie zawieszał samodzielności sądu nawet wobec tych, z którymi razem siedł we wspólnym obozie. Już pierwszy gabinet Kazimierza Bartla nastęczał Hołówce sporo zastrzeżeń. Chwiejnym, jednocześnie kapryśnym i kompromisowym krokiem gabinet ten przypominał mu jakąś nową edycję dawnych „profesorskich“ rządów Nowaka lub Ponikowskiego. „Otrzymaliśmy rząd — pisał Hołówko w lipcu 1926¹ — który, chociaż grzmi i błyska, ale nietylko ulewy, nawet deszczu nie daje: rząd, który wielu tygodni potrzebuje na bezowocne szukanie nowych wojewodów i ambasadorów; rząd, który sądzi, że urokiem imienia niektórych swoich ministrów, faktem swej ucziwości i osobistej pracowitości, wykrzesze nowy ogień z Moskalewskich, Kozickich, Skirmuntów...”

Jeszcze silniej zaniepokoić musiał Hołówkę sojusz obozu majowego z grupą konserwatystów, reprezentujących latyfundja magnackie i kartele przemysłowe, a także coraz szerzej rozpościerający się wpływ duchowieństwa rzymskiego na oświatę publiczną. Rozporządzenie ministra Bartla, otwierające drogę inkwizycyjnemu dozorowi w dziedzinie szkolnych praktyk kościelnych, odbiło się w umyśle Hołówki złowrogiem echem wieku XVIII, z czasów, poprzedzających Komisję Edukacyjną i Kuźnicę Kołłątajowską.

¹ Por. T. Hołówko: „O zmianę konstytucji“, str. 11, 12.

Przymierze rządu ze sferami klerykalno-konserwatywnymi tłumaczył sobie Hołowko jako konieczność taktyczną, ale dlatego właśnie czujność i niepokój budził w nim każdy objaw, nastroczający obawę, że przymierze taktyczne przeistoczy się może w solidarność polityczną i społeczną. „Pani wie najlepiej, jak kocham Komendanta — czytamy w jednym z jego najcharakterystyczniejszych listów do drogiej sobie osoby, pisanym w lipcu roku 1927 z Wilna — a jednak strach mnie ogarnia na myśl, że za żadnych rządów w Polsce odrodzonej kler rzymski nie doszedł do takiego znaczenia, jak za jego rządów. Było coś oburzającego do głębi w tej aneksji, na którą rząd pozwolił klerowi rzymskiemu w czasie sprowadzania zwłok Słowackiego, poety tak płomiennie nienawidzącego formalistycznej, bezdusznej wspaniałości Rzymu. Jest też coś upokarzającego i w tym pośpiechu, z jakim Prezydenta i cały rząd ściągnięto do Wilna na uroczystość dzisiejszą, tak jaskrawo bezdusznie rzymską“.

Uroczystość, o której tak ujemny znajdujemy osąd, była to słynna w Wilnie urzędowa koronacja cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Koronację tę odecelebrowano z niebywałym nakładem przepychu i świetności zewnętrznej, w splendorze pozłotowin, wieńców i świecideł, przy udziale najwyższych dostojników Państwa. Opis, jakim uroczystość tę uczcił w swoim liście Hołowko, równocześnie wtedy bawiący w Wilnie, otwiera ciekawą perspektywę w głąb jego istotnych przeżyć religijnych — szczerych, surowych i prostych, a jednocześnie daje miarę jego niezależności ducha wobec koniunktur

chwili. „Jestem sam w domu — zwierza się w tymże liście Hołówko — a może i w całej dzielnicy, bo wszyscy wyruszyli na uroczystość koronacji. Wolałem zostać w domu i pisać... Zresztą i takbym nie poszedł. Nie dlatego, że jestem „heretykiem“,¹ któremu nie godzi się patrzeć na takie bałwochwalstwo, ale dlatego, że wszystko burzy się we mnie przeciwko tej uroczystości. Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej był cudowny dzięki temu, że był taki prosty i cichy, że naprawdę szukała w nim biedna, gnębiona polskość ucieczki i opieki... Na wszystko targnęła się zbójcka ręka Moskali, nie miała jednak odwagi tknąć tego obrazu, odebrać go ludowi polskiemu. Obraz ten był ostatnim szańcem obronnym polskości Wilna; dlatego też był tak kochany i czczony przez wszystkich. Lecz ta Polska niepodległa zachowała dziwny pociąg do strojenia się i nadal w pióra papuzie: wszystko chce utopić w blichtrze i pompie. Więc i ten obraz cudowny, taki prosty i ludowy, postanowiono ukoronować, otoczyć jakimiś zewnętrznymi oznakami honoru, dostojeństwa i majestatu. Włóczęgą tedy od wczoraj ten biedny obraz po Wilnie w pochodach, stawiają przed nim straż honorowe, jakgdyby nie wystarczało to, że klękały przed nim serca pokoleń... Słowem, robią wszystko, aby bolesną matkę Chrystusa zamienić w sztuczną księżniczkę... I rzecz dziwna! Lud instynktownie odczuł, że tu coś dzieje się fałszywego, że odbierają mu to, co tak serdecznie ukochał właśnie za ubóstwo i prostotę. Lud

¹ Hołówko w maju r. 1927 zerwał z kościołem rzymskim, z którym duchowo nigdy nie miał nic wspólnego, i przeszedł na kalwinizm. Od tej pory żartobliwie nazywał siebie „heretykiem“.

czuje gorycz także i z tego powodu, że dostęp na uroczystość zastrzeżono tylko dla możnych tego świata, że na plac katedralny, kędy odbywa się obrzęd koronacji, można dostać się tylko za biletami, że zbudowano trybuny, na które, jak na widowisko, wpuszczani są tylko ci, co należną uiścili opłatę. Czy nie dlatego tak mało przybyło pielgrzymek?... I czy sam Bóg sprawiedliwy nie oburzył się na ów ceremonjał profanacji, na śmieszną pompę, stosującą protokół dyplomatyczny do matki Ukrzyżowanego? Bo, oto, ranek był cudowny, a koło południa, przed samą uroczystością, niebo zachmurzyło się nagle, deszcz lunął na błyszczące cylindry, a grzmoty huczą zdaleka...”

Czytając te dumne, głęboko ludzkie słowa, gniewnym zaostrzone sarkazmem, docieramy do najgłębszego bodaj sekretu Hołówki: poznajemy sekret jego siły. Siła tego człowieka, istotnie, polegała na tem, że w każdej chwili życia mógł on, chciał i musiał być w zgodzie ze sobą. Zasada zgody z własnem sumieniem była dlań czemś więcej, niż zasadą postępowania. Stanowiła ona składnik atmosfery, którą oddychał, z której czerpał moc i zdrowie. „Kłamać nie potrafię — pisał on i miał prawo pisać w innym liście z późniejszej serji r. 1930 — nie tylko w dziedzinie czynów, ale nawet myśli. I dlatego tak prosto mogę patrzeć ludziom w oczy. Mówić prawdę staje się moją pasją, bo nic niema we mnie dziś do ukrycia... To, co często stanowi punkt słabości każdego działacza politycznego — jego życie prywatne, które bywa nieraz sprzeczne z tem, co głosi on publicznie — we mnie jest dziś proste i czyste... Świadomość, że

gdyby mi kazano mówić, to mówiłbym tylko o przeżyciach czystych i pięknych, daje mi tę siłę moralną, którą ludzie czują... W kłamstwie można wegetować, jak świnia w błocie, ale nie można żyć i tworzyć. Jestem z rodziny twórczych ludzi — bez entuzjazmu i wiary nie zrobię wielkiego. Ale, żeby był ten entuzjazm, życie, osobiste nawet, musi być piękne i moralnie czyste...”

Bunt nietykalnych.

Obóz pomajowy, mając w Hołówce niewyczerpane źródło entuzjazmu, zyskał w nim także i nieodstępny krytyka swych działań. Ale krytycyzm Hołówki jakże zasadniczo różnił się od krytyki, uprawianej przez grupy opozycyjne! Krytycyzm jego wspierał się na trzonie samokrytyki i samoanalizy. Na błędy i braki rządu gotów on był patrzeć zawsze jako na część własnej winy i własnej odpowiedzialności. Stąd płynął ów ból i sarkazm, z jakim je wytykał, czując, że w pewnej mierze wytyka je samemu sobie i swemu pokoleniu.

Czyż człowiek nawet najzdolniejszy nie bywa skazany na współpracę z takimi ludźmi, jakich mu dostarcza społeczeństwo? Cóż więc dziwnego, że idea Piłsudskiego, tak dobitnie zmanifestowana w przewrocie majowym, przełamując się następnie przez organy państwowe i organizacje społeczne, uległa i ulegać musiała ciśnieniom środowiska i zabarwieniom zewnętrznym? Polityka nie jest apostołstwem. Zadania jej nie wyczerpują się w tem, aby nieść światu dobrą nowinę. Ona musi idee swe wcielać

w życie. Zwycięstwa swe realizować musi nie za błękitami, ale tu, na ziemi, w środowisku ludzi, powodujących się interesem, namiętnością i egoizmem. Niezawsze pozwolić sobie może na to, aby sięgać po najwyższe dobro. Aż nazbyt często poprzestawać musi na tem, aby wybrać mniejsze zło.

To też, gdy grupy opozycyjne uznały za cały swój obowiązek zwalczać na każdym kroku rząd i jego poczynania, przekopać Polskę wzdłuż nieprzebytym rowem granicznym wedle tego jednego hasła: za rządem lub przeciw rządowi, — jak nigdy tego nie dokonano w Polsce wobec żadnego z dawnych rządów zaborczych,¹ Hołówko, nawet krytykując rządy pomajowe, stwierdzał zbawienność przełomu, który im dał początek. Bój dni majowych był dla niego bojem o przyszłość Polski. Z poczucia pewnych, dostrzeganych przez siebie braków, zaniedbań i wykolejeń polityki pomajowej czerpał nie opór negacji, ale tem gorętszą chęć natężenia sił własnych, skupienia sił ideowo pokrewnych sobie, aby te braki polityczne wyrównać, ścieżki błędne naprostować, wykolejeniom zapobiec.

Czuł nieprzepartą potrzebę działania, ale czuł również i to, że teraz tylko działalność na wielkiej arenie politycznej może odpowiedzieć zadaniom, jakie stawiał sam sobie i jakie miała prawo stawiać mu Polska.

I, oto, arena taka nareszcie stanęła przed nim otworem. Kończył się w księdze życia Hołówki trzyletni rozdział spokojnej, lecz nieznośnej wegetacji

¹ Por. E. Kwiatkowski: „Dysproporcje“, str. 257.

na stołku urzędniczym. Na nowo wzywała go burza, wypływająca ponad widnokreśli. Na nowo chwycić go miały w ramiona wielkie namiętności polityczne, gwałtowne kontrasty, potężne wiry prądów, ścieraających się w Państwie. Jak tylekroć dawniej, jak zawsze, walczyć on będzie i tym razem w pierwszej linji boju. Ale jednocześnie będzie jednym z przywódców, jednym z głównych kierowników kampanji.

Obóz Marszałka Piłsudskiego, zaatakowany w swym naczelnym dorobku — w powadze władzy wykonawczej — przez lewicowe sztaby partyjne, zmuszony był, pod karą kapitulacji moralnej, podjąc rękawicę wyzwania i odeprzeć spiętrzony napór opozycji. Odpór rządu musiał być tem bardziej stanowczy, że zasady demokratyzmu, jakimi kierował się zrazu w swej polityce Piłsudski, przez wielu rozumiane były jako dowody słabości, braku decyzji i programu.

Tak wydawało się wielu, a przedewszystkiem tym, przeciwko którym przewrót majowy był skierowany i z którymi bezwzględna toczył walkę. Atawizm anarchji podniósł znowu głowę, a widząc — zdawało mu się — bezkarność, nabierał rozpędu.

Hołówko z urzędniczego swego ustronia przy ulicy Wierzbowej ze wzrastającym śledził niepokojem przybór tych anarchistycznych nastrojów w Sejmie ówczesnym. Wbrew logice, wbrew duchowi parlamentarizmu i dobrym jego obyczajom, opozycja w Sejmie tym nie dała laski marszałkowskiej największemu klubowi, pragnącemu współpracować z rządem. Marszałek Daszyński stał się wodzem zjednoczonej opozycji, która nie miała żadnego wspólnego

programu pozytywnego, a łączyła się jedynie w nienawiści do Piłsudskiego. Taka opozycja, złożona z najbardziej sprzecznych żywiołów — z tych, którzy chcieli po przewrocie majowym wieszać, i z tych, którzy mieli być powieszeni¹ — rozpoczęła systematyczną walkę podjazdową przeciw rządowi, wiedząc dobrze, że nie może przeciwstawić mu żadnego własnego programu działania. Wytoczyła ona sprawę przed Trybunałem Stanu przeciwko ministrowi skarbu, godząc się z tem, że szerokie masy zrozumieją sprawę tę jako oskarżenie rządu o „roztrwonienie“ pięciuset miljonów złotych, i nie krępując się względami na to, że ta brutalna walka Sejmu z rządem podrywa stanowisko Polski zagranicą. Przez długi czas wszystkie te manewry uchodziły opozycji bezkarnie, gdyż wszystkie je osłaniała prerogatywa netykalności poselskiej...

Zaufana w bezkarność opozycja latem roku 1930 postanowiła przejść do walnego natarcia. W czerwcu zwołała sławetny kongres krakowski. Zjazd odbywał się pod hasłem walki o prawo, wolność ludu i obalenie dyktatury Piłsudskiego. Z trybuny wiecowej, ustawionej na rynku Krakowskim, zabrzmiał na całą Polskę głos samozwańczy, wytykający Prezydentowi Rzeczypospolitej, że jest „niepomny swej przysięgi“, że winien ze swego stanowiska ustąpić, gdyż stanął po stronie dyktatury. W rozgwarze uniesienia nie tytułowano już nawet Głowy Państwa Prezydentem, ale wskazując nań, jako na przygodnego „mieszkańca Zamku“, zgóry niejako składano go z urzędu:

¹ Por. str. 310.

tak ręczo i niecierpliwie śladem uchwał wiecowych sunęła butna, wiecowa egzekutywa!

Ale, podejmując zamach na Prezydenta, organizatorzy kongresu krakowskiego postawili kropkę nad i. Postawili się sami zbyt wyraźnie w sytuacji tych, którzy przed ośmiu laty na innym rynku miejskim obrzucali kamieniami i błotem Narutowicza, jadącego na Zgromadzenie Narodowe. Zbyt pochopną, niebaczłą ręką rozdarli zasłonę, pokrywającą aż do owej chwili wstydlivy sekret ich niewzruszonej pewności siebie.

Sekret ów polegał na tem, że panowie posłowie, tworząc w Sejmie Ustawodawczym konstytucję, skroili ją w ten sposób, by samych siebie stawić ponad prawem.

I w samej rzeczy: konstytucja 17 marca przewiduje procedurę karną dla wszystkich obywateli, dla wszystkich urzędników; przewiduje ją dla ministrów, ustanawia ją nawet dla Prezydenta Rzeczypospolitej, skoro ten działać będzie na szkodę Państwa. Jedynie o sposobie karania posłów sejmowych zapomnieli ci, którzy tę konstytucję układali. Innemi słowy, posłowie, uchwalwszy sobie największe prawa i prerogatywy, uchyliłi wszelką nad sobą, prawnie zastrzeżoną odpowiedzialność, wyszedłszy snadź z założenia, że poseł nie może być winien, a w każdym razie o winie jego stanowić może tylko koleżeńska korporacja, do której należy. Niech poseł popełni polityczną zbrodnię, oczywistą dla całego społeczeństwa: skoro Sejm uzna, że nie jest on winien, niema takiej instytucji, która byłaby władna rozstrzygnąć spór między obrażeniem sumieniem społeczeństwa a kastową de-

cyzją Sejmu. Pierwszy Sejm normalny, odmawiający sądom wydania posłów, którzy zaprzęśli Żyrardów w ręce obcych spekulantów; odmawiający, wcześniej jeszcze, wydania posłów, którzy organizowali zamach na Zgromadzenie Narodowe w grudniu 1922, a tem samem moralnie rozgrzeszający ten zamach, dwakroć obraził zbiorowe poczucie praworządności w społeczeństwie: dowiódł, że posłowie nie tylko związali się wzajemną poręką solidarności, ale gotowi są korzystać z niej, jak z prawa azylu dla ściganych przez sądy.¹

Na to sejmowe prawo azylu liczyli organizatorzy kongresu krakowskiego. Ciskając swą rękawicę rządowi, byli absolutnie pewni, że Marszałek Piłsudski nie ośmieli się rozwiązać Sejmu; byli pewni, że Sejm nie wyda ich sądom; byli pewni, że każda próba areztowania ich bez zgody Sejmu stałaby się jaskrawem złamaniem konstytucji, a więc rozwiązałaby ręce przeciwnikom rządu i pozwoliła w walce z nim na otwarty apel do „siły fizycznej“.

Ta pewność siebie, wybujała na zastarzałej grzędzie bezkarności, była dla Hołówki rysem najmniej pociągającym, a także najmniej wybaczalnym w postępowaniu organizatorów kongresu krakowskiego. Winy tych ludzi nie umniejszała w oczach jego okoliczność, że kongres się nie udał, że, zamiast spodziewanych stu tysięcy, kilka zaledwie zgromadziło się tysięcy uczestników. Nie rozgrzeszało tych ludzi, jego zdaniem, i to, że po uchwaleniu rezolucji spokojnie rozjechali się na wczasy letnie, bo udali się tam, aby

¹ Por. T. Hołwko: „Ostatni rok“, str. 42 i nast.

nabrać sił na wrzesień, gdy mieli jednocześnie w dwudziestu miastach urządzić zebrania i z dwudziestu punktów rzucić w społeczeństwo zarzewie fermentu.

Ta akcja „rewolucyjna“, przeplatana wywczasami w zbytkownych kurortach, ten „gniew ludu“, na zimno inscenizowany w zacisznych gabinetach, wysłanych dywanami, te groźby, ciskane z poza mandatów, warujących bezpieczeństwo, ta odwaga, wyzywająca pioruny, ale truchlejąca, by jej w tłoku nie nadeptano na odcisk — cała ta ówczesna postawa opozycji była jakgdyby szczególnie obliczona na to, aby wywołać w duszy Hołówki uczucie śmiechu, lekceważenia i niesmaku. Rzeczywistość miała niebawem wykazać, jak krótkowzroczni byli owi politycy, którzy zamierzali krzykiem zmusić Piłsudskiego do kapitulacji. W oczach jednak Hołówki za wyrokowało o nich przedewszystkiem to, że w krótkowzrocznych politykach tkwili mali ludzie. Ta ich małość właśnie sprawiła, że rezolucje i groźby kongresu krakowskiego przeistoczyły się w płaską fanfaronadę.

Niemniej wszakże fakt pozostawał faktem: ci mali, lecz pewni bezkarności fanfaroni chcieli wszczynać rewolucję i zaczętnali od tego, na czym załamał się zgniły rokosz niewiadomszczyzny w grudniu 1922. Jakoż moralni mandatarjusze Niewiadomskiego odrazu życzliwem odkrzyknęli się echem na rezolucje „Centrolewu“, rozpoznawszy w nich dalszy ciąg swego niefortunnego rokoszu z przed lat ośmiu: co więcej, spodziewali się, że nowi rokoszanie wezmą odwet za dawną ich porażkę i, obalając rządy Piłsudskiego, zpowrotem otworzą im drogę do „utraco-

nego raju“ oligarchji sejmowej. Narodowa Demokracja nie wzięła wprawdzie udziału w kongresie krakowskim, ale nie pozostawiła żadnych wątpliwości, że uczestnikom jego całkowitego udziela błogosławieństwa.

„Powszechna opinja Krakowa — pisała „Gazeta Warszawska“ dnia 1-go lipca 1930 — widzi w uchwałach i manifestacjach „Centrolewu“ zapowiedź rewolucji przeciwko dyktaturze Piłsudskiego... Rezolucje „Centrolewu“ nie obalą z godziny na godzinę obecnego regimu. Są jednak w walce z dyktaturą Piłsudskiego wielkim krokiem naprzód. Są zapowiedzią czynnej walki z użyciem wszystkich środków, jakie zawsze stają do dyspozycji tym, którzy podejmują walkę z dyktaturą. Zdaje sobie z tego sprawę nawet konserwatywny „Czas“, stwierdzając melancholijnie, że po manifestacji krakowskiej przyjdą dalsze, coraz częstsze i coraz agresywniejsze. To już nie parlamentarzyści tylko, to już nie przywódcy stronnictw jedynie — to politycznie uświadomione masy wołają: precz z dyktaturą! Nie oszczędzają również mieszkanka Zamku...”

Całą potęgą tchu, nagromadzonego w płucach a tłumionego od dni majowych roku 1926, obóz dawnej niewiadomszczyzny dał w podniesione żagle „Centrolewu“. Partje zaś lewicowe, wchłaniając ten zastruty dech, zabijały w sobie resztę postulatów, jakimi mogły przemówić do serca Hołówki. Zabijały w sobie żywotną i odrodczą moc dążeń, na jakie staćby je było niewątpliwie, gdyby walczyły samodzielnie i walczyły naprawdę. Przyjmując zasilek niewiadomszczyzny i godząc się na wspólny z nią

front przeciw rządowi Piłsudskiego, lewica demokratyczna składała na progu sojusznika, jako okup, i swą lewicowość i swój demokratyzm. W cóż zmieniały się najistotniejsze postulaty lewicy polskiej — wolność słowa i sumienia, świeckość nauczania, rozdział kościoła od państwa, reforma rolna, wyłączenie obszarów dworskich i klasztornych na rzecz pracowników rolnych, kontrola państwowa nad wielkim przemysłem — w cóż obracały się te hasła z chwilą, gdy ich szermierze jęli równać front z ich najzagorzalszymi przeciwnikami? Co oznaczała „wolność obywatelska“ w ustach nacjonalistów, dzielących mieszkańców Rzeczypospolitej na obywateli pierwszej i drugiej klasy? Co oznaczała praworządność w języku chwalców Niewiadomskiego? Co oznaczał parlamentaryzm, zbryzgany krwią Narutowicza?

Hołówko, jak widzieliśmy z jego listów, nie wszystko w swoim obozie aprobował. Ale to, co go tam najbardziej raziło, co wydawało mu się najbardziej sprzeczne z duchem przewrotu majowego — serwitut klerykalizmu i wielkiego ziemiaństwa — to w jeszcze jaskrawszej, już zgoła niewybaczalnej formie występowało w obozie opozycji, nad którą zaciążył sojusz z kłamstwem, z obłudą, z szarlatanerią. „Wiem o tem, że jestem w jednym szeregu z księciem Radziwiłłem — odpowie Hołówko Mieczysławowi Niedziałkowskiemu w pamiętnym liście otwartym — ale tysiąc razy wolę być z nim w jednym obozie, aniżeli w obozie przeciwnym, wspólnie z Korfantym, Witosem i Rybarskim“.¹ Ta odpowiedź jest

¹ Por. T. Hołówko: „Ostatni rok“, str. 121.

podwójnie znamienna. Naprzód, zawiera ona w sobie utajone wyznanie, że sojusz obozu pomajowego z reprezentacją fortun magnackich nie wniósł żadnej idei twórczej i nowej do kapitału zakładowego nowego ruchu; że stał się dla ruchu tego kompromisem, balastem i niebezpieczeństwem przyszłego rozkładu. Nie kładzie też Hołówko pod owym kompromisem swego podpisu. Ale z drugiej strony stwierdza, że „tysiąc razy“ gorszy wydaje mu się kompromis, polegający na współdziałaniu socjalizmu z partją biskupów i prałatów, z „demokracją“ chrześcijańską i narodową. Nie lekceważy on balastu Radziwiłłów, ale przeraża go straszliwy ciężar, jaki wzięła na barki opozycja w osobach Korfantych, Witosów, Rybarskich.

Nazwiska te były dla Hołówki jakgdyby uosobieniem rządów owej „wewnętrznej okupacji“, którą złamał dopiero przewrót majowy. Ktokolwiek łączył się i sprzymierzał z nimi, ten zaprzedawał dorobek tego przewrotu, stawał wpoprzek przyszłości polskiej. Obrona tego dorobku, pokrywająca się w oczach Hołówki z walką o konstytucję, była głównem zadaniem Bloku, powołanego do współpracy z rządem Piłsudskiego. Walka ta, górując nad całym horyzontem Polski, przekreślała wszelkie dawne ugrupowania i podziały. Miała się odbywać na innej płaszczyźnie i wymagała nowych kryterjów układu i doboru sił.

Oto przyczyny, dla których Hołówko czuł się oddzielony przepaścią od „Centrolewu“ i jego uchwał krakowskich. W rządach Piłsudskiego, przy wszelkich serwitutach, jakie je obarczały i przeciw któ-

rym buntował się wewnątrz, widział on jedyną możliwą dźwignię naprostowania i odnowienia ustroju Państwa. W obozie opozycji dostrzegał tylko głowy obrócone wstecz, patrzące tęsknie ku dniom przeszłości.

Skupiając myśl i nadzieję swą na Piłsudskim, nie mógł Hołówko oprzeć się zdumieniu i zachwytowi nad dalekością widzenia i przenikliwością umysłu tego Człowieka, który już z tragedji dni grudniowych 1922 wyczytał i na ich zasadzie postawił diagnozę choroby, w jaką Polska popadła nazajutrz po swem zmartwychwstaniu. Hołówko wybornie pamiętał, że Marszałek Piłsudski, mimo najzarliwszych nalegań przyjaciół, nie chciał brać i nie wziął udziału w kondukcie żałobnym za trumną zamordowanego Prezydenta. Ci, myślał Hołówko, którzy podówczas gorszyli się uporem Piłsudskiego, czy teraz, nareszcie, zrozumieli groźną wymowę tego kroku? Wszak lewica, łącząc się teraz z obozem dawnej „okupacji“ i rzucając jej pod nogi swe programy, uśmiercała Narutowicza po raz drugi...

Nowe zadania.

Piłsudski w roku 1930 stał sam na sam z krnąbrną duszą Polski, podobnie jak sam na sam zmagał się z nią w roku 1926 w dniu bitwy majowej; jak oko w oko stanął wobec niej w roku 1922, po zabójstwie Narutowicza, jak, wcześniej jeszcze, walczył z nią i przeciwstawiał się jej w długim łańcuchu lat wojny i przełomów, z których każdy był walką na śmierć

i życie. Idąc na skruszenie „okupacji wewnętrznej“, wiedział Piłsudski, że w walce tej oprzeć się będzie musiał tylko na sobie i na tych, których sam w swej twardej szkole bojów wychował. Wiedział, że jeśli w początkach swej walki nie będzie, zapewne, mógł liczyć na pomoc partyj lewicowych, to w dalszym jej ciągu z pewnością liczyć się będzie musiał z ich czynnym oporem.

I opór ten przyszedł: kongres krakowski wypowiedział Piłsudskiemu wojnę. Sejmowe sztaby partyj lewicowych, wstępując w ślady prawicy, uznały, że obrona prerogatyw poselskich jest ważniejsza od zagadnienia ustroju Państwa. Interesom starszyny partyjnej podporządkowano interesy społeczeństwa. Fetyszowi form i pozorów demokracji poświęcono troskę o jej treść i istotę.

Piłsudski nie chciał otwartej walki z lewicą: z odłamem, z którego wyrósł i z którego od ćwierćwiecza rekrutował niemal wyłącznie wszystkie swoje siły bojowe. W szeregu wywiadów, ogłaszanych w prasie a skierowanych pod adresem lewicy, przestrzegał ją przed hazardem lekkomyślnych kroków, biczując zaślepienie jej wodzów wyrazami, zdolnymi przebić sumienie hipopotama. Dopiero po kongresie krakowskim spostrzegł, że walka jest nieunikniona, że dalsze odraczanie starcia byłoby tylko potęgowaniem gorączki i chaosu w Państwie. Aby uśmierzyć gorączkę i zapobiec chaosowi, należało szybkim ruchem przeciąć wrzód i usunąć ropę. Piłsudski postanowił rozwiązać Izby prawodawcze, wyłuskać posłów z otulającej ich bezkarności, aresztować nieprawnych, zdeptać recydywę niewiadomszczyzny

w zarodzie i w nowych wyborach odwołać się do opinii kraju.

Jako zręczny taktyk i wytrawny polityk, biorąc do rąk inicjatywę, zgóry zapewniał sobie przewagę w działaniu. W tej samej chwili, gdy organizatorzy kongresu krakowskiego, syci oklasków zebranych na Kleparzu i ciesząc się rzuceniami w przestrzeń zapowiedziami triumfu, rozjechali się na wypoczynek, nie podejrzewając, by Sejm mógł być rozwiązany, Piłsudski zmobilizował wszystkie najlepsze siły swego obozu i pełną parą włączył się do pracy w kraju, do przeciwdziałania propagandzie rozkładowych haseł „kleparskich“.

— Spotkał mnie ten wielki zaszczyt — pisze Hołowko¹ — że i ja znalazłem się wśród tej ekipy.

Ten wielki zaszczyt był dlań jednocześnie ogromną ulgą i głęboką radością: ulgą, bo, wezwany do pracy przedwyborczej, mógł wyrwać się nareszcie z dusznego dla swej piersi gabinetu urzędnika; radością, bo, powołany przez swego Komendanta, wracał do upragnionej roli politycznego działacza i publicysty, do roli, wróżącej nowe zadania i wielką odpowiedzialność.

Jako pole działania wyznaczono mu województwa wschodnie, t. j. te właśnie ziemie, których los najbardziej leżał mu na sercu, z którymi czuł się duchowo najściślej spokrewniony. Po dwukrotnej porażce wyborczej u progu pierwszych sejmów w okręgu mławskim, dokąd nie bez złośliwej tendencji, niby na stracony posterunek, wysyłał go sztab Polskiej Partji

¹ Por. T. Hołowko: „Ostatni rok“, str. 45.

Socjalistycznej, Hołówko znalazł teraz, nareszcie, arenę, o której marzył. Schodząc z posterunku przy ulicy Wierzbowej, z rozkoszą uświadomił sobie, że odtąd, wolny i niekrępowany względami na stanowisko urzędowe, odda się pracy, do której ciągnęło go serce. Nie czuł już żalu za tę trzyletnią — jak mawiał — pokutę, na której trzymała go surowa wola Komendanta. Ponosiło go wrażenie, że pękła więź, która go przykuwała do klatki; że teraz otworzy skrzydła na ogromnym, doniosłym, historycznym szlaku... Czyż ziemie wschodnie — gniazdo Chodkiewicza, Kościuszki, Mickiewicza — nie były od wieków kolebką i żywiołem wielkości w losach Rzeczypospolitej?

Opuściwszy Warszawę, Hołówko w pierwszych dniach lipca 1930 udał się do Wilna. Uczyniwszy je swą podstawą operacyjną w akcji przedwyborczej, postanowił objechać pokolei wszystkie miasteczka i powiaty naprzód województwa wileńskiego, potem Nowogródzyczyny i Polesia. W żywiołach, zagadnieniach, dążeniach i nawet konfliktach, jakie na ziemiach tych spotykał, odnajdywał pierwiastki własnej indywidualności. W zetknięciu się z nimi, naprawdę rósł, mężniał, nabierał szerokiego oddechu, ujarzmiął ludzi czarem swej żywotności, tonem gospodarza i organizatora. Odwiedziwszy pod Nowogródkiem swą ojcowską i pradziadowską Puszcę, o której tyle nasłuchiwał się w dzieciństwie jako o widonym ułamku utraconej i dalekiej ojczyzny, brał odnowa w posiadanie tę „rodową“ siedzibę, wraz z jej skromnym dworkiem, starami drzewami, z całym jej ubogiem, lecz najdroższem dziedzictwem. Czuł się synem i dzie-

dzicem tej ziemi, bo węzły, które łączyły z nią jego ojców, na nowo krwią własną napoił.

Idąc na Kresy wschodnie z ideą Marszałka Piłsudskiego, miał prawo głosić szczerze, że idzie do ludu białoruskiego, jak brat do braci rodzonych. „My nie chcemy was wynaradawiać i krzywdzić — mówił na niezliczonych wiecach i zgromadzeniach — my chcemy, ażebyście z nami wspólnie znosili całą dolę i niedolę, która stoi przed nami. Nam, którzy chcemy w tych województwach wschodnich pełnić wielką cywilizacyjną pracę, zależy na tem, aby lud białoruski współ z nami, tak samo szczerze i usilnie, jak i my, pracował“.

Wskazania te były nowością nietylko dla Białorusinów, ale i dla znacznego odłamu tamtejszych Polaków, zwłaszcza tych, którzy stanowili na kresach napływowy osad urzędniczy, pochodzący z ery sejmowładczej. Z ust Hołówki chłop białoruski, nareszcie, dowiadywał się tego, co było odwieczną a zapomnianą prawdą tej ziemi: że, jeżeli wogóle istnieje naród białoruski, to dlatego, że przez trzysta lat zgórą, zaczynając od wieku XV, na tych równinach białoruskich, pod Połockiem, pod Wielkimi Łukami, pod Orszą i Witebskiem krwawiły się wojska Rzeczypospolitej. Walczyły one, ażeby ziem tych bronić zarówno od zagonów tatarskich, jak później od uroszczeń wielkich książąt moskiewskich, którzy nie uznawali odrębności narodu białoruskiego i chcieli z ziem tych, jak z włości Pskowa i Nowogrodu, stworzyć ziemię rosyjską. Jeżeli dziś naród białoruski istnieje, to dlatego, że ocalał pod skrzydłem Rzeczypospolitej. Ocalał on i odrębny byt swój zachował,

oczywiście, nie poto, aby dziś stać się ofiarą polityki wynaradawiającej w Polsce odrodzonej. Odrzucając polonizację przymusową, jako nierealną i szkodliwą dla stron obu, szukał Hołowko rozwiązań praktycznych, któreby pozyskały chłopów białoruskiego dla państwowości polskiej. Za środek najskuteczniejszy ku temu uznaje on współpracę gospodarczą, opartą o prawdziwe równouprawnienie społeczeństwa polskiego i białoruskiego. „Chodzi o to — głosił Hołowko — aby do psychologii tych obu społeczeństw przeniknęła świadomość, że są współgospodarzami tego kraju, co jest taką samą prawdą, jak to, że dawna Rzeczpospolita nie była własnością i dziełem tylko narodu polskiego, ale także i litewskiego, białoruskiego, ukraińskiego“. W imię założeń tych, jak najostrzej zwalczał on tendencje szowinistyczne po stronie zarówno polskiej, jak białoruskiej. Wypowiadając się ze względów pedagogicznych przeciwko szkole utrakwistycznej (poronionej przez Stanisława Grabskiego), jednocześnie domagał się kategorycznie szerokiego uwzględnienia w szkolnictwie wszystkich szczepów języka i literatury białoruskiej oraz historii W. Ks. Litewskiego.

Główny i stały nacisk kładł on na sprawę udziału społeczeństwa białoruskiego w życiu ogólnopaństwowym, a także na sprawę stosunku Polaków do ludu białoruskiego. Jak łatwo, a jak beznadziejnie stosunek nasz do naszych współobywateli-pobratymców ulec może zatruciu, pokazuje, niestety, przykład Małopolski Wschodniej. „Od chwili uzyskania autonomii dla Galicji, jako prowincji w państwie Habs-

burgów — mówił i pisał Hołowko — czyniliśmy wszystko, aby elementu ukraińskiego nie dopuścić do współrządów w autonomicznym kraju. Wszystko to, co element ukraiński osiągnął w Galicji Wschodniej przed wojną, zdobył w walce z Polakami, pod osłoną rządu wiedeńskiego. I jakiż był rezultat? Rezultatem była wojna bratobójcza w roku 1918; wojna tych dwóch społeczeństw, od wieków żyjących razem na tej samej ziemi. A dziś? Dzisiaj społeczeństwo ukraińskie w Małopolsce Wschodniej dąży do stworzenia zamkniętego w sobie organizmu. Ma własne urzędnia ekonomiczne z doskonale prosperującemi bankami spółdzielczemi, kooperatywami rolniczemi i spożywczemi. Organizacje te nie potrzebują kredytu od nas, otrzymują go bowiem na tańszych warunkach z Berlina. Czyż wyniki takie odpowiadają interesom Rzeczypospolitej? — „Otóż, jeśli nie chcemy, aby to samo powtórzyło się i w stosunku do ludności białoruskiej — konkludował Hołowko, zwracając się pod adresem tamtejszego społeczeństwa polskiego — nie powtarzajmy pomyłek! I dlatego dziś powinniśmy nietylko powołać lud białoruski do czynnego udziału w ciałach samorządowych, nietylko korzystać z jego pracy w urzędach państwowych, ale również wzywać go do współpracy we wszystkich organizacjach społecznych, ekonomicznych i kulturalnych. Kasy Stefczyka, spółdzielnie rolniczo-handlowe, kooperatywy spożywcze, straże ogniowe, związki młodzieży wiejskiej, organizacje sportowe, kółka rolnicze, partje polityczne powinny najchętniej witać w swoich szeregach element białoruski“.

Pionier idei państwowej.

Postulat równości, braterstwa i współpracy między elementem polskim a białoruskim uważał Hołowko za tem ważniejszy i pilniejszy, że, nieco dalej na wschód, tuż za miedzą graniczną, istniał również ruch białoruski, organizujący się w Mińsku, zmienne wprawdzie przechodzący koleje, ale mający na swe usługi Uniwersytet białoruski, język białoruski w urzędach, słowem to wszystko, co zamyka się w pojęciu Białoruskiej Republiki Sowieckiej. Czyż to wszystko — pytał Hołowko — nie będzie oddziaływało na Białorusinów w Polsce?

— Rzecz jasna — odpowiadała mu rzeczywistość — że nie tylko oddziaływać będzie, ale już oddziaływa.

Dowody przenikających z poza granicy wschodniej wpływów komunistycznych widział Hołowko w smutnym procesie „Hromady Białoruskiej“, który jej przywódców, z przekonania nacjonalistów, zaprowadził do polskich więzień pod zarzutem współdziałania z bolszewizmem.

Interes i dobro Rzeczypospolitej wymaga, aby Mińsk nie wywierał na ludność białoruską w Polsce jak najmniejszej siły przyciągania. „Aby przyciągania tego nie było — upominał Hołowko¹ — nie widzę innej drogi, jak ta, aby ruch białoruski w Polsce miał swój własny ośrodek, aby rósł i rozwijał się na drogach polskiej kultury, t. zn. w drodze ścisłej współpracy ze społeczeństwem polskim, pod ochroną pań-

¹ Por. cykl artykułów w „Gazecie Polskiej“ p. t. „Kresy“. Lipiec—sierpień 1930.

stwowości polskiej, dającej ruchowi temu pod swym dachem pierwiastki i podstawy zachodnio-europejskie. Niech ruch białoruski Polsce zawdzięcza, że będzie miał możność kształtować się na wzorach zachodniej kultury i wejść do wielkiej rodziny narodów, które w kulturze tej żyją“.

Hołówko wierzył, że jeśli naród białoruski ostoi się po tamtej stronie granicy, to tylko w zmaganiu się z kulturą narodu rosyjskiego. Tam, w orbicie Unji sowieckiej, Polacy ze swą kulturą i obyczajem nie są groźni. Białorusin natomiast z Polski, w zachodniej wychowany kulturze, będzie dzięki tej właśnie kulturze, posiadał w sobie odporną siłę narodową, nie będzie ulegał przemożnemu wpływowi kultury rosyjskiej, dziś posiadającej taki sam rozpęd asymilacyjny wśród ludu białoruskiego po tamtej stronie granicy, jak kultura polska wśród naszych Białorusinów-katolików.

„Tylko Białorusin uświadomiony narodowo — powtarzał z naciskiem Hołówko — ale wychowany w kulturze zachodniej, przeciwstawi się niwelującemu wpływowi, idącym z Moskwy przez Mińsk. Jeśli pozostawimy masę białoruską w Polsce w dzisiejszym jej stanie kulturalnym, pielęgnując jej bierność, a nawet ciesząc się z tego, że nie może określić swej narodowości i podaje się za „tutejszą“, to później lub wcześniej da się ona wciągnąć w wir tych fal, które idą z tamtej strony granicy; bo dziś kulturalnie, językowo i psychicznie bliższa jest ona kulturze rosyjskiej, niż polskiej. Jest to prawda i nie należy zamykać oczu, aby tej prawdy niemiłej nie widzieć“.

Rozumiał nasz pionier idei państwowej na Kre-

sach, że, ze stanowiska polskiej racji stanu, chodzi nie o to, czy przeważać tam będą Polacy, czy Białorusini i Ukraińcy; chodzi przede wszystkim — jak wielokroć powtarzał — o to, „aby granica Państwa Polskiego była jednocześnie granicą kultury zachodniej; aby ci wszyscy kresowi Polacy, Białorusini i Ukraińcy czuli, że są dziećmi wielkiej rodziny narodów zachodnich i że Rzeczpospolita jest tem państwem, które ich wszystkich we wspólnej kulturze wychowywało“.

Aby docenić wagę tych słów, należy przypomnieć, że były one wypowiedziane już po raptownym zwrocie, jaki zaszedł w przychylnej dla Białorusinów polityce Sowietów po tamtej stronie granicy: z początkiem, mianowicie, roku 1930 Moskwa, zatrwożona zdobyczami „nacjonalizmu“ białoruskiego, postanowiła rozgromić jego gniazdo główne w Mińsku. Na sygnał, dany z Kremla, nastąpiło wykrycie „spisku nacjonalistów białoruskich“, poczem wedle recepty G. P. U. zainscenizowano szereg procesów przeciw spiskowcom, krwawemi zakończonych wyrokami. W polskich kołach zachowawczych, skupiających się wokół „Słowa“ wileńskiego, a reprezentujących opinie kresowego ziemiaństwa, powstała obłesna pokusa, aby pogrom miński wyzyskać dla przytłumienia ruchu białoruskiego w Polsce. Hołówko pokusę tę odrzucił od siebie i z całą stanowczością przeciwstawił się jej w obrębie swego obozu. Publicystów, gnuśnie idących na lep tej pokusy, aby przypodobać się magnatom, nie wahał się wytykać jako dusze ekonomiczne, które w prywacie wielkopańskiej utopiły zmysł polityczny. Nie na pogromach, uprawianych

przez Moskwę, ale na drożdżach kultury polskiej budował on swój program zespolenia i współpracy wszystkich ludów Rzeczypospolitej. Wolność, którą niósł na kresy, była refleksem jego wiary w samorzną siłę kultury polskiej, w jej czar i rozlewność. Nie każdego, rzecz prosta, stać na to, aby wolnością i kulturą dzielić się z innymi. Kto sam nie czuje w sobie ich żywego źródła, kto nosi w sobie jałowość i posuchę, ten zawsze w stosunkach z innymi skazany bywa na środki zewnętrznego nacisku i przymusu. Narodowa Demokracja, niosąc niepolskim żywiołom politykę pięści, była w zgodzie ze sobą tak samo, jak w zgodzie ze sobą był Hołowko, gdy głosił wolność i równouprawnienie.

Eksperymentowi komunistycznemu przeciwstawił Hołowko typ samodzielnego rolnika, siedzącego na własnym zagonie, t. j. ten typ, który się obecnie tworzy na kresach wschodnich dzięki polityce scalanania gruntów i upemnorolnienia gospodarstw. Nie lękał się on rozwoju samodzielnej inteligencji białoruskiej. Owszem, jak najgoręcej sam sprzyjał wysiłkom młodzieży, która z nad Piny i Prypeci dążyła do gimnazjów i uniwersytetów, aby, w nowoczesną uzbroiwszy się wiedzę, wrócić do swej dzielnicy i pracować nad jej gospodarczem i umysłowem podniesieniem, powołując do życia własną literaturę białoruską, własną prasę i sztukę. Iluż ubogim synom Białorusi sam torował drogę do Wilna i Warszawy, iluż poufnie wspierał ze swych skromnych osobistych zarobków! Wzamian od swych młodych przyjaciół białoruskich nie żądał żadnych deklaracji politycznych, oczekując jedynie lojalności w stosunku do Pań-

stwa Polskiego i niezależnego stanowiska wobec Moskwy.

Temi samemi kryterjami kierował się i w swej akcji wyborczej. Przemawiając do ludności, zgromadzonej na wiecu w Sarnach lub Oszmianie, nie obiecywał tego, co się ma robić w przyszłości, ale wskazywał na to, co już było dokonane. Pytał ludności, czy chce, aby powróciły czasy, gdy Kresy wschodnie były miejscem zesłania dla administracji, gdy po kraju włóczyły się bandy dywersantów, napadających na pociągi?

Nie ulega bowiem wątpliwości — i słuchacze przyznawali mu słuszość — że w okresie od zawarcia pokoju ryskiego do przewrotu majowego rząd traktował województwa wschodnie jak kulę u nogi. Kresy wschodnie stanowiły polski Sybir. Każdy urzędnik, który sięgnął na siebie dyscyplinarkę, bywał za karę wysyłany na Kresy. Samorząd tam nie działał, bo ludność niepolaska, białoruska czy żydowska, była traktowana jako zasadniczy wróg Państwa, którego trzeba od wszelkich wpływów i udziału w życiu Państwa usunąć.

Jak w innych dziedzinach życia publicznego, tak i w polityce kresowej zmiana nastąpiła od chwili przewrotu majowego. Od tej dopiero chwili została wprowadzona administracja, która całą ludność, bez różnicy narodowości i wyznania, traktować miała obiektywnie. Dzięki tej zmianie, połączonej z wprowadzeniem w życie normalnego samorządu, jesteśmy świadkami — stwierdził Hołówko — że w szeregu gmin wójtami najbardziej lojalnymi są ludzie, którzy

jeszcze parę lat temu byli „hromadowcami“. W ramach samorządu jeły zanikać dawne tarcia między ludnością polską i białoruską, ukraińską czy żydowską. W każdej dziedzinie, w dziedzinie kredytów, budowy dróg, szkolnictwa, komasacji i meljoracji rolnej, zaszedł na Kresach olbrzymi postęp. „Dzisiaj w każdym sejmiku, w jego poczekalni wiszą — mówił Hołówko — dane statystyczne, często ujęte w formę obrazków, dane cyfrowe o tem, co istniało tam przed odbudowaniem Państwa Polskiego, co było zrobione do roku 1926, a co powstało po tym roku przełomowym“. I nie mylił się, gdy, wybrany na posła tych ziem, oświadczał z trybuny sejmowej, że te właśnie cyfrowe dane, te statystyczne zestawienia, obrazujące pracę przez Państwo włożoną w Kresy, zadecydowały tam o zwycięstwie listy wyborczej Marszałka Piłsudskiego. Gdy w dawnych wyborach większość mandatów z województw wschodnich zgarniały nie listy polskie, ale przedewszystkiem komunizujące, teraz po raz pierwszy zwyciężyła tam lista polska, krocząca pod znakiem Piłsudskiego, a przemawiająca głosem i argumentami Tadeusza Hołówki. Rolnicy Polesia, włościanie z pod Wilna i Nowogródka, odwrócili się od komunistów i poszli za tą listą, która głosiła, że Państwo Polskie chce pracy pozytywnej, uprawianej w zgodzie wszystkich zamieszkujących je ludów.

I, rzeczywiście, najwialniejszym czynnikiem sukcesu, jaki Hołówko odniósł na wyborach, było to nowe z jego strony podejsie do Kresów: to nowe polityczne kryterjum, które pozwoliło mu w ziemiach

wschodnich ujrzyć nie „ciężar“ dla Państwa Polskiego, ale jego „płuca“: podstawę jego mocarstwowej potęgi.

Ten przełom w kryterjach ze szczególną siłą uplastyczniał się w oczach Hołówki razu pewnego, gdy, jako kandydat na posła, występował na zgromadzeniu przedwyborczem w Lidzie.

Jeden z uczestników zgromadzenia, wywołując echa przeszłości, przytoczył epizod, w którym, jak w kropli wody, odbiła się cała tęcza rządów przedmajowych. Opowiedział on, mianowicie, że w roku 1920 do ówczesnego premiera, Wincentego Witosa, zgłosiła się delegacja uchodźców z Mińszczyzny. W owym czasie prowadzono właśnie rokowania pokojowe w Rydze. Widząc, jak zarysowywa się granica wschodnia naszego Państwa, przyszła ta delegacja do Witosa, aby wskazać, że granica jest krzywdząca, że pozostawia poza obrębem Rzeczypospolitej obszary, na których ludność polska i jej wpływ jest silny. Premier ówczesny odparł na to, że tak, jak już granice Państwa Polskiego zarysowały się w rokowaniach ryskich, może orzec, że państwo to i tak będzie zbyt duże.

— Cóż miał na myśli premier Witos — rozważał Hołówko — gdy twierdził, że Państwo Polskie będzie zbyt duże? Z pewnością nie myślał ani o dzielnicy Krakowskiej, ani o Lwowskiej. Mógł on mieć na myśli tylko województwa wschodnie...

I, istotnie, w latach dawniejszych, chociażby w Sejmie Ustawodawczym, nie ujawniano dla ziem wschodnich zbytnej łaskawości. Dosyć przypomnieć fakt — i fakt ten Hołówko nie bez ironji przytoczył

zaraz w pierwszej swej mowie poselskiej (9 lutego 1931) — że Piłsudski, podejmując jako Wódz Naczelny swą historyczną wyprawę wileńską (1919), szykować i dostosowywać ją musiał do feryj wielkanoconych, t. j. do okresu, w którym Sejm był nieczynny, ażeby to ciało „suwerenne“ w działaniach mu nie przeszkadzało. Obronę ziem wschodnich przeżywać trzeba było pokryjomu, poza plecami Sejmu, jak zdrożną kontrabandę.

Tragiczna konieczność.

Po dwakroć zdobywać musiał Piłsudski ziemie wschodnie, wydzierając je z rąk najazdu rosyjskiego. Po dwakroć żołnierz polski wkraczał zwycięsko do Lidy, Wilna i Nowogródka.

Czy, bijąc komunizm w walce wyborczej i zdobywając mandaty dla listy, która reprezentowała ideę współpracy z rządem Marszałka Piłsudskiego, Hołówko nie miał prawa sądzić, że, wyzwalając Kresy z pod zaboru demagogji, zdobywa je niejako po raz trzeci? zdobywa już nie siłą oręża, ale słowem braterstwa i programem pokoju? Swoją służbę polityka i posła chciał on rozumieć jako dalszy ciąg tej wyzwalającej i ofiarnej służby, którą pełnił przedtem jako żołnierz, walczący na tym samym froncie. Czyż nie walczył i teraz pod godłem tego samego Wodza? Czyż w walce tej nie świeciła mu ta sama gwiazda wielkiej Rzeczypospolitej, silnej i potężnej wolnością i szczęściem swoich ludów?

Ale te właśnie myśli i odczucia, nurtujące na dnie jego duszy, kazały Hołowce pilnie nadstawiać uszu

na każdy odgłos kroków i działań Piłsudskiego. Pochlōnięty swą robotą przedwyborczą, koczując z miasta do miasta, łódką lub czółnem nieraz przeprawiając się przez rzeki i rozlewiska poleskie, by dotrzeć do najgłuchszych wsi, nie tracił on ani na chwilę poczucia, że odcinek jego jest tylko fragmentem frontu, na którym stoczyć musi walkę Piłsudski. Czy mu starczy sił? Czy mu dopiszą ludzie? Czy zrozumie go większość narodu?

Kładąc wszystek płomień swej duszy w akcję rozpoczętą na Kresach Wschodnich, Hołówko czuł, jak ciężkim osadem na wysiłkach jego kładzie się mrozący powiew, idący z serca kraju, z Krakowa, w którym wciąż rozbrzmiewały echa butnych manifestów opozycji.

Podróżując po kraju, zastawał on wszędzie stan przygnębienia wśród najlepszych, najtęższych ludzi swego obozu. W najmężniejszych załamywała się wiara w rząd. Nikt nie mógł zrozumieć tajemniczej obojętności rządu, która graniczyła z rezygnacją, a wyglądała na bezradność lub zacząjenie się w zasadzce. Wszysey z przerażeniem myśleli o bierności, z jaką ten, któremu rzucono wyzwanie, czekał na zapowiedziane przez „Centrolew“ demonstracje, mające odbyć się w całym kraju w dniu 14 września.

„Ileż trzeba było wysiłku i perswazji — wyznaje Hołówko¹ — aby ludzi uspokoić i zapewnić, że Marszałek Piłsudski nadal iść będzie drogą parlamentarną, że wybory do Sejmu są kwestją najbliższego czasu. Wszysey oczekiwali zamachu stanu, z jednej lub dru-

¹ Por. „Ostatni rok“, str. 45.

giej strony, strajków generalnych, słowem — nowego okresu wewnętrznych zaburzeń“.

Ale Marszałek Piłsudski czuwał i, milcząc na swym posterunku, nie przestawał dłoni trzymać na pulsie kraju. Trafnem okiem przeniknął, że tymi, którzy najgroźniej straszili kraj widmem zaburzeń, byli ci właśnie, którzy skrycie najgoręcej je podsyćcali i najbardziej na nie liczyli.

W momencie, oddawna przez siebie upatrzonym, ale dla przeciwników jak piorun niespodzianym, stanął na czele rządu, rozwiązał Izby, wyznaczył nowe wybory...

Przeczekał dni kilka, jakby udzielając opóźnień czasu na zmianę stanowiska, poczem widząc, że partje „Centrolewu“ nie zwijają swych sztandarów walki z „dyktaturą“, rozkazał dnia 10 września aresztować i osadzić w twierdzy brzeskiej głównych siewców rozruchu, dając jednocześnie poznać, że tym razem areszt nie będzie — jak ongi dla księcia Sapiehy i jego współspiskowców w r. 1919 — wilegjątką z kwiatami, kuchnią francuską i konjakiem. Dlatego to skutek aresztów był zdumiewająco szybki: w ciągu dnia jednego gorączka rozruchowa spadła w całym kraju. W ciągu dnia jednego umarła, w popiół obróciła się legenda o sile „Centrolewu“. Przywódcy jego, osadzeni w Brześciu, ujrzeni się hetmanami bez wojska. Nie ujęła się za nimi klasa robotnicza, której sztandarem tak manifestacyjnie wymachiwali. Nie wystąpiła w ich obronie. Czy ze strachu przed siłą Marszałka Piłsudskiego? Nie. Przypuszczenie takie byłoby zniewagą dla rycerskich, bojowych tradycji robotnika polskiego. Robotnik ten, jeśli nie drgnął na

wieść o smutnej przygodzie swych rzekomych przywódców, to dlatego, że ich za przywódców nie uważał, że uznał Brześć za rzecz słuszną i konieczną. Jeśli odgłos Brześcia wydobył z ukrycia jakąś prawdę utajoną, to była nią przedewszystkiem rewelacja, że to, co stało między masą ludową a genjuszem Polski, wcielonym w Marszałku Piłsudskim, było w olbrzymiej większości swej jedynie zaporą. Ani umysłowo, ani — co ważniejsza — moralnie, nie dorosło do tego, by Polskę w przyszłość prowadzić. Lud w Polsce jest zdrowym materiałem moralnym. Świadczą o tem te olbrzymie postępy uświadomienia obywatelskiego, jakie poczynił w pierwszych latach niepodległości, zanim entuzjazmu jego wewnętrzna „okupacja“, ale również i demagogja, nie zahamowała; świadczy ten bystry pęd chłopca do oświaty i organizacji, ta postawa chłopca i robotnika w r. 1920 wobec najazdu, a wreszcie ów powszechny oddźwięk, jaki znalazł przełom majowy i powrót do władzy Piłsudskiego. Ale to, co podawało się za ludu tego przedstawicielstwo, co chciało zań mówić i działać i co tak dobitny wyraz znalazło w kongresie krakowskim, było tylko praw jego uzurpacją, tylko pasorzytnictwem na jego pracy. Kongres krakowski, który zrazu wskazywał na swe rezolucje jako na chmurę gradową, wiszącą nad krajem, okazał się balonikiem, który, roztrąciwszy się o mury Brześcia, osiadł na opinji wspomnieniem igraszki i cierpkim smakiem mydliny. Stary lew Belwederu jednym energicznym posunięciem dowiódł, że potrafi wybaczać najcięższe nawet obelgi, gdy godzą weń osobiście, ale nie pozwoli szarpać zębami Państwa, które krwią swoich żołnierzy odkupił i zbudował.

Hołówko, na wieść o rozwiązaniu Sejnu i rychłym terminie wyborów, poczuł nareszcie aktualną, żywotną doniosłość swej roboty na Kresach. Wszystkie zapowiedzi i alarmy przeciwników, bądź przekreślające Piłsudskiego w rachubie politycznej, bądź posądzające go o dążność do zamachu, okazały się tem, czem były od początku: kłamstwem i oszczerstwem.

Wobec rozpisania wyborów, w których szef rządu, stanąwszy na czele pierwszej listy, zwracał się z otwartym do kraju apelem o współpracę, inicjatorowie kongresu krakowskiego znaleźli się w roli nie tylko naiwnych polityków, nie orjentujących się w istotnych zamiarach Piłsudskiego, ale i w roli fantastów, posługujących się zmyślonemi groźbami i alarmami.

— Bo jakże teraz — pytał Hołówko — wyglądały krakowskie rezolucje „Centrolewu“, mówiące o zamachu stanu, grożące siłą fizyczną, nazywające dyktatorskim rząd, który odwołuje się do zaufania narodu?

Gdybyż jeszcze ci ludzie naiwni, stanąwszy w obliczu wyborów, przyznali się do błędu; gdyby, stwierdziwszy, że Marszałek Piłsudski nie myśli o zamachu stanu, zawrócili z bezdroża i poniechali burzenia kraju! Nie — oni walkę z rządem zamierzali nadal jak najostrzejszemi prowadzić środkami! Zapowiedzianych na 14 września demonstracyj w całej Polsce bynajmniej nie odwołali!

Chodziło im najwyraźniej o to, aby, mimo uszu puściwszy apel rządu do wyborców, wyprowadzić na ulice miast tłumy, podżegane z ukrycia, wywołać starcia z policją, kartki wyborcze skapać w krwi

ludzkiej i krzyk tej krwi, niewinnie przelanej, rzucić w twarz „dyktaturze“ jako płomienny gniew ludu.

Ta pracowicie obmyślona reżyserja potknęła się o Brześć. Ludzie, którzy nieśli w kraj zarzewie anarchji, zapomnieli, że z chwilą rozwiązania Sejmu utracili nietykalność. Sprawiedliwość, tak długo w stosunku do nich skazana na bezsilność, odzyskała nareszcie wolną rękę. Gdyby nie skorzystała z niej teraz, dałaby dowód, że w Polsce ramię jej ściga tylko słabych i maluczkich, potentaci partyjni natomiast drwieć sobie z niej mogą, ile zechcą. Hołówko widział, ku czemu parła recydywa sejmowładztwa: nietylko bólem, ale i wstydem piekło go wspomnienie tej bezkarnej kuli, która raniła go w policzek, gdy w dniach grudniowych 1922 biegł na odsiecz Zgromadzeniu Narodowemu. Czyż powaga Państwa ma być raz jeszcze wydana na łup zbuntowanego możnowładztwa, pieczętującego się tym razem herbem lewicy? Poza głowami „Centrolewu“ Hołówko dostrzegał cienie wszystkich głów i rąk, które wieńczyły Niewiadomskiego. W złowrogim rozbłysku intuicją odgadniętej prawdy zrozumiał tragiczną konieczność Milczka Belwederu.

I raz jeszcze, całą szczerością duszy, całą wagą sumienia, zespolił się z chorągwią Wodza. Hołówko nie należał do tych, którzy w cieniu Brześcia gotowi byli przemykać się chyłkiem na zaszczytne stanowiska, a jednocześnie w rozmowach poufnych ronili łzy i westchnienia nad losem więźniów brzeskich. Brześć był, w pojęciu Hołówki, jak w pojęciu całej klasy robotniczej, karą ostrą i bezwzględną, ale sprawiedliwą i zasłużoną. Przekonaniu swemu dał wyraz

już w liście do Mieczysława Niedziałkowskiego, ogłoszonym 24 września 1930, a więc pod świeżym wrażeniem twardej decyzji Piłsudskiego. Przekonania swego nie zmieni i wtenczas, gdy po wyborach „ponura i ciężka“ sprawa brzeska runie lawiną protestów pod nogi rządu i większości rządowej w nowym Sejmie.

Kara.

Wśród protestów, których pociskami opozycja próbowała zasypać zwycięską większość w Sejmie, szczególnie ważki wydał się Hołówce „List otwarty“ kilkunastu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, wystosowany w grudniu 1930 do prof. Adama Krzyżanowskiego. Zwracając się doń jako do jednego z tych, którzy zdobyli mandat poselski z ramienia Bloku rządowego, profesorowie w liście swym publicznie interpelowali kolegę, jakie zamierza zająć stanowisko wobec faktów, ujawnionych w Sejmie a charakteryzujących bezwzględną metodę traktowania więźniów w twierdzy brzeskiej. Waga interpelacji profesorskiej wzmogła się w oczach Hołówki jeszcze bardziej, gdy poseł Krzyżanowski, nie wytrzymawszy naporu opinii opozycyjnej, ugiął się, złożył mandat sejmowy i ustąpił z Bloku współpracy z rządem. Czyż ten krok znanego uczonego i powszechnie szanowanego człowieka nie wskazywał, że, kto nie bierze moralnej odpowiedzialności za Brześć ze wszystkimi jego szczegółami, ten nie ma prawa zatrzymywać mandatu? Hołówko, który nie umiał dwoić sumienia między życiem publicznym a prywatnym, nie mógł nie uznać, że alternatywa,

przed którą stanął i którą na swój sposób rozstrzygnął prof. Krzyżanowski, jest alternatywą wszystkich posłów Bloku, a przede wszystkim jego przywódców.

Na niezliczonych wiecach i zebraniach, występując jako kandydat do Sejmu z listy Marszałka Piłsudskiego, Hołówko wobec tysięcy i dziesiątków tysięcy słuchaczy piętnował kongres krakowski, a jednocześnie dowodził, że, kto kongres ów potępia, ten musi dać aprobatę karze brzeskiej. Niedosć na tem. Porównywając znaczenie Brześcia z pogromem zborowszczyzny przez wielkiego króla Stefana, Hołówko nie osłaniał tego faktu kotarami wstydlivej dyskrecji, ale, owszem, stawiał go w ognisku powszechnej uwagi, kładł karę Brześcia między najważniejsze czyny Piłsudskiego i nie wahał się twierdzić, że czyn ten „pozostanie w pamięci narodu polskiego“ jako „synonim surowej, lecz sprawiedliwej kary dla każdego, kto prawo, autorytet Państwa i moralność publiczną obraża“. Ale przykład ten, jeśli pozostanie, to pozostanie w pamięci powszechnej dlatego, że był właśnie takim, jakim był — to znaczy karą surową.

Wiadomość o aresztowaniu ludzi, którzy znaleźli się w Brześciu, nie była dla Hołówki, dawnego członka P. P. S., przeżyciem błahem i lekkim. Wielu z tych, których tak twarda dotknęła kara, byli to ludzie osobiście nieskazitelnie uczciwi, ideowi; ludzie, z którymi, nadomiar, wiązały go wspomnienia długoletniej pracy i bojowania pod wspólnym zaszczytnym sztandarem. Ale ludzie ci, jakkolwiek z tytułu swych stanowisk żadnych interesów na Pań-

stwie nie robili, podzielili los innych więźniów Brześcia, ponosząc, zdaniem jego, karę zato, że jako politycy bronili złego systemu państwowego, pokrywającego szkodnictwo lub zbrodnie innych. Brześć głęboko wstrząsnął świadomością Hołówki. Skoro jednak w sumieniu swem rozstrzygnął on, że krok Piłsudskiego był niezbędny, nie wątpił już o tem, że, jeśli Brześć ma być nauką na przyszłość, jeśli ma urość do zbawczego symbolu, to więźniowie brzescy musieli być traktowani narówni z innymi więźniami. Niewolno było dopuścić do tego, by masy ludowe mogły sądzić, że nawet w więzieniu ci, którzy przez tyle lat bezkarnie szkodzili Państwu, są traktowani lepiej, niż aresztant z ludu, który odbywa karę za małe grzechy.

Tak czuł, tak rozumował Hołówko, gdy jako kandydat na posła występował na arenie wyborczej. Takim uczuciom i takim sądom dawał wyraz na tyśiącznych zgromadzeniach ludowych. A wypowiadając to, co czuł i myślał, nie wątpił jednocześnie, że wyraża i najaw dobywa to, co leżało na dnie dusz i sumień ludu, że w głosie jego wyborecy odnajdują głos swój własny. „Ten tylko, kto w tym momencie, jak ja — wspomina Hołówko — był na głębokiej prowincji, wie, jak potężne wrażenie wywarł na szerokich masach narodu Brześć. Nareszcie! — oto tem jednym słowem można określić głos ludu: nareszcie — mówił lud — nareszcie jest sprawiedliwość w Polsce, nareszcie są wszyscy równi wobec prawa. Nikt nie ma prawa obrażać Polski i podnosić ręki na jej majestat, — ani taki bogacz, jak Korfanty, ani taki potężny polityk, jak Witos... Marszałek jest

sprawiedliwy: posadził do więzienia naszego Rogulę, ale posadził i Witosa — taki był powszechny głos chłopów białoruskich, płynący ze świadomości, że nie tylko posłowie białoruscy, ale i polscy, jeśli szkoda państwu, znajdują się w więzieniu“.¹

I, oto, w chwili, gdy ów węzeł solidarności, jaki zadziergnął się między akcją i myślą Hołówki a duszą ludu, dał wynik pozytywny w zwycięstwie, odniesionem przez listę rządową, gdy województwa wschodnie, które dawniej obdarzały zaufaniem nie listy polskie, ale przedewszystkiem komunizujące, tym razem powierzyły swe główne przedstawicielstwo zwartej grupie posłów, pragnących współpracować z rządem, gdy, wkraczając do Sejmu na czele tej grupy posłów, Hołówko, jako ich regionalny przywódca, czuł się jednym z triumfatorów zwycięskiego obozu, a stać się miał także jednym z jego filarów, jako wiceprezes Bloku Bezpartyjnego, — w tej samej chwili wybuchnął protest, w którym z niesłychaną gwałtownością zakwestjonowano i jego moralne prawo do triumfu, i zwycięstwo listy rządowej, i samą podstawę tego zwycięstwa: zakwestjonowano moralne znaczenie Brześcia. To, co on w duszy ludu budował jako symbol sprawiedliwości, to kilkunastu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, mniej lub więcej zasadnie mianujących się intelektualną elitą narodu, wytknęło jako „hańbę XX wieku“, jako czyn, który „hańbi imię Polski w Europie“.

Marszałek Piłsudski bawił w tym trudnym dla

¹ Tamże, str. 47, 48.

Hołówki momencie na dalekiej wyspie Maderze, pochłonięty kuracją i oddzielony od Polski tysiącami kilometrów, które nie pozwalały mu brać czynnego udziału w zdarzeniach kraju. Hołówko, który tyle włożył osobistego żaru w akcję wyborczą i tak do dna duszy wierzył w czystość swej pracy, stanął nagle oko w oko z odpowiedzialnością równie straszną, jak straszne okazały się szczegóły kary brzeskiej. Ciężaru tej odpowiedzialności bynajmniej nie próbował ani zmniejszać, ani lekceważyć, ani od siebie odsuwać. Wiedział, że plecy jego są dość mocne, aby za nimi spokojnie stanąć mogło stu lub dwustu postów. Ale on za kimże miał stanąć, by schronić się od losu? Od lat dwudziestu stał zawsze w pierwszej linji boju, w pasie ognia, odsłaniając pierś na kule wrogów, na ciosy przeciwników, na zbrodnicze kamienie motłochu. Nie cofnie się, nie ugnie i teraz. Nie odwróci się od odpowiedzialności. Za mandat własny i za mandaty tych wszystkich, których czuł się przywódcą, zapłaci pełną cenę, odmierzoną wagą sumienia.

Rozmowa z sumieniem.

Tak zrodziło się w Hołówce postanowienie, aby na „List otwarty“ kilkunastu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego odpowiedzieć indywidualnym listem własnym, skupiającym w sobie to wszystko, co absolutnym prawom jednostki, wysuniętym przez interpelacje i protesty, przeciwstawić może ideologia zbiorowości, a przede wszystkim myśl polska,

wytopiona z dziejowych przeżyć i doświadczeń swego narodu. Tak zrodziła się ta namiętna rozprawa¹ — „Brześć“, w niewymyślnym napisana języku, ale tak do głębi przesycona żywiołem szczerości, tak żarliwie docierająca do sedna zagadnień, które życie nasze nurtują, że, czytając ją dzisiaj, ulegamy wrażeniu, jakgdybyśmy własne swoje dzieje czytali.

Hołówko zaczyna od tego, że, walcząc z przeciwnikami politycznymi, stawia ich na najwyższym piedestale szacunku. Krzyżując szpadę z przedstawicielami nauki polskiej na najstarszym, umiłowanym przez naród Uniwersytecie Jagiellońskim, nie tylko gotów jest prawdziwie uznać w nich tę elitę intelektualną, za jaką sami się w liście swoim podali, ale idzie dalej i obleka ich w uczucia, zaczerpnięte ze skarbniicy najszlachetniejszych, ba! wręcz bohaterskich przeżyć! Ten wierny, prosty, szary żołnierz Piłsudskiego nie umiał argumentować inaczej, jak odłamami własnego życia, strzępani epopei, która szumiała w jego krwi szumem przebytych walk. Dlatego w każdej jego pracy publicystycznej tkwi na dnie element spowiedzi. Jego słowo rodziło się z pnia jego przeżyć. Jego argument polemiczny był zawsze jakby dalszym ciągiem i rozwinięciem logicznem jego życiorysu. Tak było już w najwcześniejszej dobie „Głosu Młodych“, gdy obcy, nieznany przybysz z głębi Azji musiał bronić swych praw do przemawiania imieniem całej Polski przeciw „ideologom ojczyzstego ghetta“. Tak było później w dobie „Wid-

¹ Stanowi ona część pierwszą tego tomu enuncjacyj politycznych, który, już po śmierci Autora, ukazał się w druku p. n. „Ostatni rok“.

nokregu“, gdy, odpierając atak Świętochowskiego na młódź legjonową, cisnął mu w tępe oczy garść świa-
tła z własnych podwawelskich wspomnień strzelec-
kich. Taki też podkład autobiograficzny ma i ostat-
nia rozprawa Hołówki, będąca odpowiedzią na list
profesorów krakowskich. Niedarmo Ignacy Matu-
szewski nazwał list ten „rozmową z sumieniem“.

Na wstępie znajdujemy nakreślony przez Auto-
ra — jakże prostymi, lecz przejmującymi słowy! —
obraz owych straszliwych katuszy i upokorzeń, które
przed laty przeżył on w Stendhalu, w potwornym,
karnym obozie dla jeńców, dokąd zesłany był przez
władze okupacyjne za wyraźne na łamach „Widno-
kregu“ sformułowanie programu niepodległości-
wego. Wiemy już, że okres tych przeżytych katuszy
pozostał do końca życia Hołówki jego najstraszniej-
szem wspomnieniem. Ale dlaczego i pociągał do
to wspomnienie teraz, pisząc o karze Brześcia?

Czy może dlatego, aby dać do zrozumienia, że
wycierpiawszy sam tak wiele, ma prawo moralne
spokojnie spojrzeć na cierpienia innych? Czyż poto,
aby wywołać mniemanie, że, jeśli on przeżył takie
piekło męki, to mogli je przeżyć i inni? A może
chciał powiedzieć, że, jeśli tak potworne rzeczy mo-
gły dziać się w Niemczech, to mogą zdarzać się
i w Polsce? I jeśli tam nie wywoływały reakcji i obu-
rzenia, to nie powinny wywoływać go i u nas?...

Nie! Po tysiąc razy nie! Ten, kto zna Hołówkę,
wie dobrze, że w imię obrony takiej sprawy, w imię
takiego zagadnienia, nie wzięłby on pióra do ręki.
Jeśli wskrzeszał on piekło Stendhalu, to jedynie
poto, aby na tym przykładzie stwierdzić, że mimo

osobistej męki i upokorzeń, jakie przeżył, potrafił swych osobistych przykrości nie stawiać wyżej ponad swój ówczesny pogląd polityczny.

„Widząc — pisze¹ — codziennie barbarzyńskie postępowanie administracji obozu, widząc, jak te praktyki były tolerowane przez wyższych oficerów, ludzi należących w cywilnem społeczeństwie do adwokatury i sądownictwa, zadawałem sobie pytanie, jak może zdarzać się to wszystko w narodzie, który wydał Schillera, Kanta, Hegla, Wagnera... Gdyby mnie wtedy, zadającego sobie to dręczące pytanie, odnalazł jakiś uczony niemiecki i powiedział: „Panie Hołówko — to wszystko, co dzieje się w niemieckim obozie dla jeńców, ta poniewierka waszej godności ludzkiej, jest hańbą XX wieku, jest wstydem dla narodu i kultury niemieckiej. Niech pan będzie spokojny: ja i grono najwybitniejszych uczonych podniesiemy publicznie głos protestu“ — odpowiedziałbym mu, dziękując serdecznie: „Nie, Panie profesorze! Teraz nie należy tego czynić; teraz nie wolno... Żołnierze wasi prowadzą obecnie ciężką walkę na froncie, która wymaga największego napięcia moralnego, wiary w słuszość sprawy, o którą walczą. Nie wolno tym żołnierzom rzeczami strasznymi i ponuremi, które są odwrotną stroną medalu wojny, zasłaniać istotnych celów, o które wojna się toczy. Żołnierzowi waszemu, choć jest synem narodu, który jest wrogiem mego narodu, w imię wolności i niepodległości mej Ojczyzny życzę w tej chwili zwycięstwa. To, co się tu dzieje, jest straszne i sławy

¹ „Ostatni rok“, str. 15, 16.

wam nie przynosi, ale jest nieistotne w porównaniu z zasadniczem zjawiskiem wojny i walki, w której, ze stanowiska interesów swego narodu, życzę wam zwycięstwa““.

I tak było istotnie. Przebywając w obozie niemieckim, Hołówko czuł, że Niemcy, walcząc z Rosją, spełniają zadanie, które w istocie myśmy powinni byli spełnić. Żołnierz niemiecki w krwawym wysiłku rozbił kajdany, które więziły i krajały Polskę. Jakże wobec tego faktu przejściową i nieistotną stało się rzeczą, że żołnierze niemieccy pastwili się nad bezbronnymi jeńcami, że poniewierali więźniami cywilnymi, upatrując w nich szpiegów wojennych!

„Otóż dlatego, że sam uniałem zdobyć się na obiektywizm — pisze Hołówko, wyjawiając sens i cel swego przykładu' — dziś, gdy chodzi o mnie, jednego z żołnierzy tego obozu polskiego, który na swych barkach dźwigał ciężar walki o niepodległość, a i w tej chwili również toczy walkę, wymagającą od nas najwyższego napięcia, mam prawo spytać Panów: co mieliście na myśli, gdy pisaliście w swym liście, że „liczne wydarzenia, jakie zaszły w ostatnich latach, podważają, według naszego głębokiego przekonania, moralne podstawy życia społecznego w Polsce, a przez to samo zagrażają rozwojowi, a w dalszych konsekwencjach nawet istnieniu Państwa Polskiego“?

„Co należy rozumieć przez to tajemnicze zdanie?“ — pyta Hołówko autorów protestu. — Czyżby panowie profesorowie mieli na myśli przewrót ma-

¹ „Ostatni rok“, str. 18, 27, 28, 37, 38.

jowy? Jeśli tak, to dlaczego nie podnieśli głosu protestu natychmiast, jeszcze w obliczu świeżych mogił ofiar bitwy majowej? „Muszą bowiem Panowie przyznać — pisze dalej Hołówko — że Brześć jest logiczną konsekwencją przewrotu majowego. Cóż znaczą formalne uchybienia — jeśli miały nawet istotnie miejsce w zastosowaniu procedury karnej względem więźniów brzeskich — w porównaniu ze złamaniem konstytucji w maju 1926 roku? Co znaczą cierpienia więźniów brzeskich wobec cierpień kilku tysięcy rannych i poległych oraz wiecznego smutku wdów, rodziców i dzieci, którzy potracili w starciach majowych swych najbliższych?... Jeśli przewrót majowy był aktem odebrania steru z rąk złych wodzów ludu w ostatniej chwili przed katastrofą — to Brześć był karą surową zato, że wodzowie ci prowadzili Państwo do zguby, a usunięci od steru, nie mogli pogodzić się ze swym losem skompromitowanych i nieudolnych sterników, lecz nadal przeszkadzali temu, który ujął ster w swe dłonie mocne i uczciwe“.

Hołówko, jak widzimy, nie zaprzecza okropności i grozy tego faktu, że ludzie, którzy zajmowali naczelne stanowiska w Państwie, ludzie, z których nazwiskami związane są historyczne karty naszych walk o niepodległość, znaleźli się w ponurym lochu więziennym. Jakże stać się mogła taka rzecz okropna? I kto za tyle grozy i wstydu poniesie odpowiedzialność przed historją i przyszłemi pokoleniami?

Ale ta właśnie ostro zarysowana odpowiedzialność każe stanąć mu wobec alternatywy: albo jest wstydem piekącym dla narodu, że wśród swych mi-

nistrów i przywódców miał ludzi, którzy zasłużyli na to, by znaleźć się w polskim więzieniu, albo jest wstydem dla Polski to, że stanął na jej czele rząd, który dla swych celów nie zawahał się wtrącić do więzienia ludzi zasłużonych, a tem samem wymierzyć policzek całemu społeczeństwu.

Lecz profesorowie, którzy wystosowali interpelację do posła Krzyżanowskiego, milczeli w dniach rewolucji majowej. I nie podnieśli protestu również nazajutrz po dniu 10-ym września, który był datą osadzenia w Brześciu organizatorów kongresu krakowskiego. Czyż nie znaczy to, że dali oni aktowi uwięzienia swą moralną aprobatę, wystąpili zaś z protestem dopiero wtenczas, gdy wyszły najawciennie strony Brześcia, dotyczące wyjątkowo surowego traktowania więźniów?

Protest w takim zakresie Hołówko gotów był uznać za usprawiedliwiony, ale pod warunkiem, aby zwracał się on zasadniczo przeciw regulaminom i praktykom, stosowanym dotychczas w więzieniach zarówno wojskowych, jak cywilnych. Wszelako w interpelacji profesorów znalazł on nietyle nowoczesną nutę oburzenia na to, że w ogóle tak surowy istnieje regulamin więzienny, ile podźwięk dawnych nałogów Polski szlacheckiej, żądanie przywilejów, nawet w więzieniu, motywowane stanowiskiem i tytułem.

„Nie, Panowie! — odpowiedział Autor¹ — hańbą dla byłego ministra jest to, że siedział w polskim więzieniu; ale nie jest dlań hańbą, że, skoro dostał

¹ Tamże, str. 61.

się do więzienia, to narówni z innymi wynosił kubły, szorował korytarze, stawać musiał na baczność przed władzami więziennymi: takie bowiem są prawa więzienne, obowiązujące wszystkich. Więzienie jest wszędzie więzieniem...”

„W Brześciu musiało dochodzić do tragicznych konfliktów. Więźniowie chcieli, by traktowano ich jak ministrów, wojewodów, posłów, mężów stanu, wodzów narodu, administracja zaś traktowała ich jak każdego innego więźnia. Musiało to doprowadzić do zatargów i kar...”

Zabierając głos w sprawie Brześcia i jego następstw, Hołowko, jak widzimy, wybiegał daleko poza problemat dobrego czy złego zastosowania norm procedury karnej oraz regulaminu więziennego, a nawet poza pytanie co do możliwych lub istotnie popełnionych przeciw tym normom uchybień i wykroczeń. On sprawę tę ujmował w wymiarze historycznym. W wymiarze nie tylko ostatnich lat dwunastu, t. j. okresu życia Polski odrodzonej, ale bodaj tych ostatnich kilku wieków, które patrzyły na schyłek, uwiąd a potem i niewolę ongi potężnego narodu. „Zbyt drogą zapłaciliśmy cenę za naszą odzyskaną wolność — powiada w konkluzji swej rozprawy — zbyt wiele ponieśliśmy dla niej ofiar i poniewierki, aby dziś być sentymentalnymi i humanitarnymi wobec tych, którzy nasz skarb najdroższy, własne Państwo, chcieli utopić ponownie w błocie anarchji, warcholstwa i spisków”.

Nowe bohaterstwo.

Odżegnując się od sentymentalizmu i humanitaryzmu, Hołówko miał, oczywiście, na myśli tę ich zwyrodniałą karykaturę, którą miniona niewola nawarstwiła w duszach słabych, uciekających od walki i gloryfikujących słabość właśnie dlatego, że ją niosły w sobie i że jej nie umiały przewyciężyć.

Ale rozprawa Hołówki, przeciwstawiając się nawarstwieniom czasów niewoli, świadczyła jednocześnie, że czasy te nie minęły daremnie. Przynosiła ona dowód, że istnieje już dziś w psychice narodowej odrodzone poczucie racji stanu. Jest to prąd, do którego odwołał się obóz Piłsudskiego. Prawda — niełatwo nurt ten oczyścić z ławic namułu. Walka w psychice polskiej między starym nałogiem a nową wolą siły trwa i trwać będzie sporo czasu. Odbywa się ona w całym społeczeństwie, więcej: w duszy każdego Polaka. Rozprawa Hołówki — to jeden z walnych jej etapów.

Dawne metody myślenia, wczorajsze formy czucia pokutują w każdym z nas, a stanowią tem silniejszą pokusę, że stroić się mogą w klejnoty, wypożyczone ze skarbcza najwspanialszej poezji i tradycji, jaką wydał kiedykolwiek naród ujarzmiony, aby opromienić i uszczytnić jarzmo. Ale klejnoty te dlatego właśnie, że są wypożyczane z przeszłości, świecą blaskiem fałszywym i ukazują przeto fałsz owych rzeczy, którym miały służyć.

Genjusz wielkiej naszej poezji narodził się nie z ducha ofensywy, ale z pobojuwisk klęski. Skrzydła do górnego lotu rozwinął nazajutrz po Wielkiej Przegranej.

Serce swe umieścił nie w piersi żołnierza, idącego do boju pod Grochowem lub Ostrołęką, ale w samotnej więziennej celi Konrada, zapatrzonego w szlaki sybirskie, po których mknęły kibitki, uwożące bezsilnych i okutych... Nie glorioła zwycięskiego czynu, ale glorioła Golgoty jaśniała nad głowami Konrada, Anhellego, Trydjona, Kordjana. Widząc naród swój powalony w niemocy, poezja romantyczna uczuła nieufność do zwycięzców, uczuła pogrom i niedolę tam nawet, gdzie one na cześć nie zasługują. Podjęła na skrzydła archanielskie i ku niebiosom wyniosła takie nawet czoła, które padły w walce z najistotniejszymi walamami Państwa, narodu i cywilizacji. Słowacki, a za nim i Żeromski, podejmując spór Zborowskiego z królem i kanclerzem, stanęli po stronie zbuntowanego magnata przeciw idei trudu i przymusu, w jakim budował Polskę geniusz państwowości. Naród, który po r. 1831 w swych najlepszych synach stał się narodem emigrantów i banitów, patrona swego i wyobraziciela ujrzał w buntowniku i banicie. Przemiana wartości dokonana została z przerażającą konsekwencją. Świętością Polski uczyniono nietykalność anarchji... Samuel Zborowski, jako dźwignia i symbol, służył wtenczas lepiej ujarzmionemu narodowi, niż Zamoyski, Żółkiewski, Batory... Skazaniec, odarty z karmazynu, oddający swą hardą szyję pod topór hajduka, wymowniejszym był symbolem powalonego narodu, niż wielki zdobywca, potężny władca, przed którym ongi truchleli carowie Moskwy.

Ta poezja martyrologji, wróżąca prawdziwe zwycięstwo „za błękitami“, miała w sobie, niewątpliwie, cudowną moc odnowicielską. Zapobiegła temu, aby

naród, runąwszy w proch, uczuł się prochem. Była ona świątynią, do której przychodzili modlić się niewolnicy, aby z modlitwy czerpać pociechę i otuchę.

Ale to, co w bezwładzie niewoli mogło być czynnikiem wytrwania — ów język i tradycja podziemi, spisów i buntów — czemuż stawały się w słońcu i świetle niepodległości? Czy nie stawały się kłamstwem i odwróceniem wartości? Czy dłoń okuta łańcuchem miała i nadal dlatego, że bezsilna, pozostać najwyższym symbolem polskiego prometeizmu? Więzień, skazaniec i banita, czy mieli i nadal stanowić przednią straż ducha polskiego? Żółkiewski, czyż miał i nadal walić się na kolana, aby tak, jak w rozpacznej wizji Żeromskiego, w szlochu i jęku pokuty całować buty Samuela? Więzienne cele Brześcia, dlatego tylko, że były świadkami poniewierki ludzkiej, czyż mają prawo dziedziczyć chwałę i tradycję wileńskiego klasztoru xx. bazylianów, którego murami wstrząsał bunt Konrada?

Oto było pytanie! Najgłębsze, tragiczne pytanie, które trawiło duszę Hołówki póty, dopóki płomiennym krzykiem nie dobyło się na jego usta i dopóki na nie, przynajmniej sam sobie, nie dał odpowiedzi. Bo odpowiedź, którą dał w sprawie Brześcia profesorom Wszechnicy Jagiellońskiej, była przede wszystkim głosem, który miał jego własne uśmierzyć niepokoje. Dlatego to odpowiedź ta, w tak znacznej mierze, stała się zarazem jego osobistą spowiedzią, spisaną jakgdyby w przeczuciu i uprzedzeniu tak bliskiej już wówczas śmierci. Na zarzuty zawarte w interpelacji nie odpowiedział Hołówko mową adwokacką lub prokuratorą; tę satysfakcję pozostawił on w pełni proku-

ratorom i adwokatom bohaterów brzeskich. On pisał, dosłownie, swoje myśli krwią: kawałami serca i całego swego życia. Krwią, trudem, dorobkiem i prawdą całego życia stwierdzał, że dawne miary i oceny, dawne hasła i więcej: dawne bohaterstwo — nie starczą. Że istnieje inne, mniej romantyczne może, ale trudniejsze jeszcze i surowsze bohaterstwo władzy, zimna i twarda prawda pełni odpowiedzialności, i na to bohaterstwo właśnie trzeba umieć się zdobyć. Że Polski nie wolno nie tylko roztrwonić ani sprzedać, nie tylko niewolno jej przegadać w Sejmie lub na wiecu wyborczym — lecz nie wolno jej także pięknie przemarzyć. Chleb niepodległości jest twardy, a zdobywać go trzeba codziennie trzeźwym, nieustannym wysiłkiem. Państwo własne nie jest bynajmniej namiotem, pod którym drzemać wolno na łonie słodkiej bez troski i swawoli.

Wiedział Hołówko doskonale, że Brześć nie mógł się w procedurze sądowej i nie potrzebował tego dowiadywać się aż z interpelacji poselskiej w Sejmie lub z „Listu“ luminarzy krakowskich. Ale ktoś twierdził kiedykolwiek, że Piłsudski zatrzyma się przed paragrafem procedury tam, gdzie chodzi o sprawę Polski? Wszak, aby dźwignąć ją z niewoli, rozwalił kordony, które dzieliły jej ciało i które także były wyryte w paragrafach kodeksu i procedury, wprowadzie obcych, ale przez przeważną większość rodaków jak najsolenniejszemu uznawanych! Aby dźwignąć ją z anarchii, podniósł rękę na konstytucję i obalił rząd, który w jej uroczystych paragrafach miał swe jak najbardziej legalne oparcie! W istocie rzeczy nie kodeks

i nie procedurę, ale własne imię dziejowe rzucał Piłsudski na szalę w chwili, gdy wydawał nakaz uwiecznienia w Brześciu byłych posłów.

Jednostka a Państwo.

Przewrót majowy, w pojęciu Hołówki, był aktem samoobrony Państwa przeciw złym prawom formalnym, a nadewszystko przeciw złej i w złej wierze stworzonej konstytucji. Był aktem walki rozpoczętej, ale bynajmniej jeszcze nie ukończonej. Końcowym sukcesem i zamknięciem przewrotu majowego mogła być, zdaniem Hołówki, tylko reforma konstytucji: oparcie ustroju Państwa na zasadach zgodnych z charakterem narodu polskiego, z danymi jego sytuacji dziejowej, geopolitycznej i gospodarczej. Pod tem wezwaniem szedł obóz Piłsudskiego do wyborów. Dla tego celu powstał do życia Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. W ramach tego zadania mieściło się to wszystko, o co Hołówko miał walczyć w Sejmie jako jeden z głównych przywódców jego większości. Pierwszą mowę poselską poświęcił on swym umiłowanym Ziemiom Wschodnim; ale już drugą w całości wypełnił tematem konstytucji. Dlatego to każdy, kto pod jakimkolwiek pozorem i choćby w najuroczystszych szatach stawał w poprzek pochodni rewolucji majowej, dopuszczał się, w oczach Hołówki, najcięższej i niewybaczalnej winy: zaprzepaszczał dzieło naprawy konstytucji. Rozumiał on, że, jeśli przewrót majowy nie wcieli się w nowe Prawo, krew, która go okupiła, będzie w znacznej mierze stracona. Nie zwiódł

go zawołania opozycji. Nie wzruszyły go jej wieńce martyrologji. Lament brzeski ucichał i konał w jego duszy wobec okrucieństwa, jakie stałoby się udziałem tych, którzy polegli w bitwie majowej, gdyby okazało się, że polegli daremnie. Wiedział i widział, że opozycja walczyła wcale nie o prawo i nie o wolność, ale tylko o prawo dogodne dla siebie, tylko o wolność dla swych przywódców. Walczyła, mianowicie, o powrót do takiego układu stosunków, w których Sejm byłby w praktyce jedynym źródłem władzy zarówno prawodawczej, jak i wykonawczej. Można ustrój taki nazwać „demokracją parlamentarną“, można go nazwać „sejmowładztwem“ — nie zmieniało to postaci rzeczy w przekonaniu Hołówki. Cała opozycja, włączając w to i Narodową Demokrację, walczyła właśnie o to; on walczył przeciw temu. Walczył o oddzielenie władzy wykonawczej od władzy ustawodawczej. Mówiąc terminami konstytucyjnymi — opozycja pragnęła, aby akt tworzenia rządów był przesądzony przez wybory do parlamentu, Hołówko zaś, współ ze swym obozem, uważał, że w warunkach polskich naród składać musi swoje upoważnienia do rządzenia krajem w akcie wyboru Prezydenta. Daleka od przeciwstawiania się demokracji opinja Hołówki reprezentuje raczej najpewniejszą ustroju demokratycznego asekurację. Polega ona bowiem na tezie, że w rządach demokracji musi być w pewnej przynajmniej mierze uwzględniony także pierwiastek autokratyczny, t. zn. że pewien zakres władzy osobistej pozostawać musi poza granicami politycznej kontroli. Twierdzenie to jest zresztą tylko zastosowaniem starej i wypróbowanej tezy, że „każda

forma rządów powinna zawierać w sobie zarazem środki zaradcze przeciw własnemu brakom“.¹

Konieczność wzmożenia w naszej konstytucji pierwiastka autokratycznego głosił Hołówko już nazajutrz po przewrocie majowym,² gdy, wołając o naprawę ustroju państwowego, stał jeszcze w szeregach Polskiej Partji Socjalistycznej i nawet przemawiał jej imieniem. Z tym większym naciskiem uzasadniał ten sam postulat teraz, gdy, rozszedłszy się z dawną swą partją, stanął w czołowym szeregu większości sejmowej. Czuł, że zmieniwszy barwę partyjną, nie odmienił kierunku dążenia. Mowę, jaką wygłosił na temat konstytucji w marcu 1931, mógłby włączyć, z zachowaniem całkowitej logiki i harmonji, jako rozdział końcowy do rozprawy, ogłoszonej przez siebie w lipcu 1926: pion myśli jest ten sam i ta sama podstawa pionu.

To właśnie poczucie niezachwianego pionu w dążeniu do wydzwignięcia Rzeczypospolitej z grzęzawiska chaosu i anarchji pozwalało mu patrzeć i na przewrót majowy i na sprawę Brześcia, jako na nieuniknione, jakkolwiek tragiczne, krwią i cierpieniem znaczone etapy tego samego procesu.

Wolność jednostki? — Hołówko nie zapominał o jej prawach. Ale pamiętał także, że ze stanowiska absolutnej wartości jednostki ludzkiej potępić należałoby nie tylko Brześć, nie tylko przewrót majowy, nie tylko rewolucję francuską, ale każdą rewolucję

¹ Por. Lawrence Lowell: „La crise des gouvernements representatifs et parlementaires dans les démocraties modernes“.

² Por. T. Hołówko: „O zmianę konstytucji“, r. 1926.

i każdą wojnę, ba! każdą religję, niosącą nowy ideał w łunach nowej krucjaty, a więc — całe dotychczasowe dzieje ludzkości. Wolność jednostki jest pojęciem, które kształtowało się właśnie poprzez wojny, rewolucje i przewroty. Człowiek, oczywiście, żyje nie poto, aby być rządzony. Czemże jednak byłaby wolność obywatelska bez organizacji przymusu, który zawarty jest w organizacji państwa? Mądrość prawodawcy na czemże polega, jeśli nie na tem, aby między sumą zbiorowego przymusu a sumą swobód indywidualnych właściwą utrzymać proporcję? Proporcja ta wszakże nie da się zamknąć w powszechnej i niezmiennej formule i ulega wahaniom w zależności od wielu rozmaitych czynników, których lekceważyć nie wolno pod karą anarchji lub niewoli. Aby jednostka kwitnąć mogła na grzędzie swych swobód obywatelskich, musi istnieć Państwo, które skutecznie tych grząd strzeże i broni. Cóż z tego, że szlachcie dawnej Rzeczypospolitej chadzał w swej nietykalności osobistej, jak król w purpurach i gronostajach? Gdy Rzeczpospolita upadła, jej karmazyny i gronostaje stały się szmatą pod butami najeźdźców. Nie wolność sama przez się, lecz walka o wolność jest rzeczą świętą. Wolność, źle i gnuśnie użyta, może przerodzić się w wegetację pasorzytów, jak życie szlachty naszej w zaraniu w. XVIII.

Podchodząc do epoki, otwierającej się wraz z przewrotem majowym, zastrzegliśmy, że nie nastał jeszcze czas, aby można ją było poddać ocenie ze stanowiska historji. Sądy, jakie o niej wydają zarówno przeciwnicy, jak zwolennicy Piłsudskiego, są głosami polemiki politycznej, t. j. głosami stron, ściierających się

w walce. Takim też głosem jest i pozostanie odpowiedź Hołówki na list profesorów krakowskich. Jest to głos rozumu, ale i głos namiętności. Głos sędziego, ale i głos bojownika. To pewna, że historyk przyszły, gdy kłaść będzie na wadze pokolenie, które jest pokoleniem Tadeusza Hołówki, nie będzie mógł pominąć dokumentu, jaki zawarty jest w jego rozprawie o Brześciu. Znajdzie on w niej autentyczny dowód, wykazujący, ile siły i męstwa potrzebowało to pokolenie, aby przewyciężyć w sobie przeszłość dla przyszłości, bierność wczorajszych ukochań dla surowej prawdy, jakiej wymaga każda żywa miłość, — aby przewyciężyć nałogi dla działania i słowa dla rzeczy.

Apel z poza grobu.

Dlaczegoż głos, niosący w sobie tyle żywej i krzepiącej otuchy, miał stać się dla nas głosem, przychodzącym z za grobu? Dlaczego Hołówko nie ogłosił swej rozprawy natychmiast po napisaniu? Czemuż praca, w którą włożył tyle temperamentu, tyle żaru uczuć, tyle głębokich przeżyć i przemyśleń własnych, spoczęła na dnie teki i wogóle nie ukazała się za jego życia?

Z zamiaru napisania odpowiedzi na list profesorów krakowskich zwierzał się on przyjaciółom swym już w ostatnich dniach grudnia 1930. Wszelkie poszlaki wskazują na to, że zamiar swój wykonał on w ciągu krótkich feryj sejmowych, związanych ze świętami Bożego Narodzenia. Tok słowa burzliwy, nieco chaotyczny a niestęchanie bezpośredni, potwier-

dza domysł, że „odповідź“ pisana była „jednym tchem“, w spontanicznym porywie, i że zamiar, pierwotnie szczupłej zakrojony, pod piórem dopiero rozrósć się musiał w rozległy zarys ideologii przewrotu majowego i jego konsekwencji.

Czy nato w tem, co pisał, dał tyle z siebie, aby to wszystko natychmiast pogrzebać? Stając w obliczu Brześcia, czuł, niewątpliwie, Hołówko potrzebę wyjaśnienia przedewszystkiem samemu sobie politycznego i moralnego gruntu tej sprawy. Wszelako zbyt namiętnym był on działaczem, indywidualnością zbyt ekspansywną, aby w tak doniosłej sprawie poprzestać na cichym rozrachunku przed konfesjonalem własnych kryterjów.

Z notatki „od Wydawcy“, poprzedzającej pośmiertną edycję¹ rozprawy o Brześciu, a pochodzącej od pani Janiny Hołówkowej, żony Tadeusza, dowiadujemy się, że rozprawa ta nie doczekała się publikacji za życia Autora z przyczyn natury technicznej. „Pochłonięty — głosi notatka — przez pracę bieżącą, Tadeusz Hołówko nie znalazł dość czasu na opracowanie bruljonu i przygotowanie go do druku“. Notatka powyższa zgadza się z wrażeniem, jakie odnotowujemy z lektury „Brześcia“; zgadza się i z charakterem rękopisu, który nosi znamiona pracy intensywnej, ale i niezmiernie pośpiesznej, niemal gwałtownej. Dlaczego jednak Autor bruljonu swego nie poddał ostatecznemu opracowaniu? Dlaczego nie znalazł dość czasu na drobne stylowe poprawki, skoro w tym samym, jak wiemy, okresie pisał w pełni rozmachu lite-

¹ W tomie p. n. „Ostatni rok“, wydanym w kwietniu 1932 r.

rackiego drugi tom swych porywających wspomnień „Przez dwa fronty“?

Nie pomyliły się chyba, przypuszczając, że, jeśli Hołowko nie opracował, pod względem formy, i nie ogłosił za życia swej odpowiedzi na list profesorów krakowskich, to powstrzymały go od tego kroku czyniki głębsze, niż „przyczyny natury technicznej“, i że przyczyną istotną mógł być tylko brak zachęty ze strony kierowniczych ośrodków obozu rządowego.

Wstąpienie ze strony obozu rządowego w szranki publicystyki i otwarcie dyskusji publicznej na temat Brześcia, zwłaszcza zaś zagajenie jej akordem tak potężnym, jak ten, który wnosił Hołowko, musiałoby stać się i dla strony przeciwnej żelaznym listem wolności słowa i równouprawnienia. Tak więc od razu byłyby zerwane po jednej i po drugiej stronie tamy wszelkich wędzideł i hamuleców. I większość rządowa i opozycja zyskałyby możliwość, ale stanęłyby i wobec konieczności bronięcia swoich stanowisk — aż do najgłębszych podstaw — w pełnem świetle jawności. Organizatorzy kongresu krakowskiego, wyszedłszy z Brześcia, musieliby zawiesić swe wieńce męczenników w szatni sejmowej i uzbroić się w argumenty prawa, logiki, racji stanu. Ale czyby je znaleźli? Rząd musiałby stawić czoła argumentom opozycji, ale dzięki temu, obok atutów siły, mogłby wygrać swe atuty słuszności. Hołowko, pisząc swą broszurę, był pewien, że jest to najlepszy sposób, aby zagadnienie „Brześcia“ z torów szerzenia fermentu i jątrzenia namiętności skierować na tory wyjaśnienia faktów i odważenia prawdy.

Rysowała się w jego myślach, poniekąd, owa groź-

na, ale i wspinała rozprawa, jakiej widownią przed laty 345 był sejm warszawski, sądzący zbrodnicze tumulty Zborowskich. Burzę, którą rozpetał miecz kary, spadłej na szyję Samuela, przyjął wtenczas sam król Batory otwartem i dumnie podniesionem czołem; ta stanowcza postawa króla rozstrzygnęła właśnie o zwycięstwie rządu. „Bóg świadkiem — mówił Batory wobec senatu i posłów ziemskich, a więc wobec całej Polski ówczesnej¹ — jak niechętny do tej sprawy przystąpiłem, od jak dawna wiele znosiłem, jak długo czekałem, aby żałował... Napróżno nad tym się litować, który sam nie miał litości... Jeżelibyśmy temu człowiekowi (t. j. Krzysztofowi Zborowskiemu) tak usposobionemu, jakie miłosierdzie okazali, nie inaczej zrobilibyśmy, jak gdybyśmy podali miecz szalonemu... Gdyby na burmistrza praskiego ośmielił się kto takie rzeczy mówić, jak on na nas w Proszowicach, nie uszłoby mu to bezkarnie“.

Hołówko, w swej rozprawie o Brześciu, niedarmo powoływał imię Batorego, z całej duszy pragnąc, aby sprawa więźniów brzeskich stanęła na Sejmie roku 1930 w tym samym majestacie surowości, ale i jawności, w jakim sprawa zborowszczyzny wysławiona i rozegrana została na Sejmie roku 1585. Jedyńy wszelako człowiek, który miałby siłę, aby słowo Batorego dźwignąć i w wyrok dziejowy zamienić, nie był podówczas obecny w Polsce, ci zaś, którzy rządy kraju sprawowali, cofnęli się przed rozprawą w szrankach otwartej dyskusji. Nie przyjęto wniosków opozycji, aby szczegóły regulaminu więzien-

¹ Por. J. Szujski: „Dzieje Polski“, t. III, str. 100.

nego lub możliwych przeciw niemu wykroczeń zbadać i przeświecić w drodze normalnie wskazanej. Lecz skoro odtrącone zostały skargi opozycji, zbyteczne wydawało się i wystąpienie Hołówki. Tak spoczął w archiwum płomienny rękopis Hołówki, aby ukazać się w druku dopiero w pół roku po jego zgonie, w chwili, gdy utracił już swą wymowę pobudki, otwierającej walną dyskusję, a stał się, jak stwierdza notatka wydawcy, tylko „dokumentem epoki“.

Tu raz jeszcze ponowić należy uwagę, o której zapominać nie wolno, ilekroć dotykamy zdarzeń i konfliktów świeżych, nieostygłych jeszcze pod lawą polemiki, która się wokół nich toczyła. Przedwczesną, mianowicie, rzeczą byłoby orzekać dzisiaj, kto ze stanowiska racji stanu więcej miał słuszności wobec konfliktu brzeskiego: ci, którzy, jak Hołówko, pragnęli, aby wypalił się on w ogniu wszechstronnej krytyki i oceny, czy też ci, którzy wpędzili go pod skórę organizmu społecznego, pozostawiając w opinii domniemanie, że opozycja miałaby w tej sprawie do powiedzenia o wiele więcej, niż jej mówić dozwolono. Bez odpowiedzi pozostać musi i to ciekawe pytanie psychologiczne, czy Hołówko, który z tak gorącym zapamiętem rwał się do dyskusji z opozycją, sam nie uznał jej za zbyteczną w dalszym rozwoju wypadków, słysząc i widząc, jak ci, którzy wyszli z Brześcia, wypierali się solennie wszystkiego, co czynili i głosili przed Brześciem. Cóż mogło skłaniać go do krzyżowania szpady z przeciwnikiem, który uciekał sam przed sobą? Jakikolwiek jednak o Brześciu wyda sąd historia, faktem jest, że stanowisko, które zajął w tym konflikcie Hołówko, zgodne jest z całościową linią jego

charakteru, z jego naturą, tak wierną prostym, żołnierskim impulsom prawdy i szczerości. Był on głęboko przeświadczony o moralnem znaczeniu kary brzeskiej i sądził, że znaczenia tego „nie wolno zmarnować w powodzi tanich oburzeń na takie lub inne traktowanie więźniów“: ale dlatego właśnie pragnął pokusę i podstawę dla takich oburzeń uchylić radykalnie przez skrupulatne ustalenie tego, co było prawem uwiecznionych a co było obowiązkiem administracji więziennej.

Głos jego, wydany w edycji pośmiertnej, postradał to, co było jego intencją polityczną. Ale tracąc ostrze aktualne i polityczne, nie stracił bynajmniej swej wymowy moralnej, w tych, mianowicie, akcentach, które uderzają nie w krzywdę tego czy innego więźnia, ale wogóle w otwartą ranę współczesnego więziennictwa.

Więzienia bowiem na całym świecie, jak przypuszcza Hołówko, są do siebie mniej lub więcej podobne. Każdy, kto był w więzieniu, wie dobrze, że między jego ofiarami a administracją odbywa się nieustanna walka, która często znajduje wyraz w buntach, gwałtownościach, wyzyskach i bójkach.

— I mnie — pisze Hołówko¹ — bito kolbami, sadzano do ciemnic, rozbierano do naga i robiono upokarzające rewizje, kazano nietylko kubły plugawe wynosić, ale i spać w nieczystościach zawszonemu aż do ran na ciele...

Więzienia polskie są z pewnością nie gorsze, ale też nie wiele lepsze od tych, w których miesiące i lata

¹ „Ostatni rok“, str. 61.

zmuszeni byli cierpieć Walery Sławek i Aleksander Prystor, Wacław Sierószewski i on sam, Tadeusz Hołówko, bądź jako aresztant rosyjski, bądź jako cywilny jeńiec niemiecki. Ale cóż stąd? Czyż ze wspomnienia doznanych katuszy mamy czerpać aprobatę dla ciemnych kart teraźniejszości? Czyż więzienia w Polsce — pyta surowem głosem Hołówko — mają wzorować się na turmach rosyjskich lub na lochach okupacji? Nie! Sama myśl taka byłaby dlań zniewagą wobec tych wszystkich ideałów ludzkości i kultury, o które walczył, walcząc o Polskę. Nie uchyla się on od protestu przeciw poniewieraniu więźniów, ale pod warunkiem, aby protest był stawiony na gruncie zasadniczym, nie zaś w nawiasie przywileju. Domaga się ludzkiego regulaminu dla więźniów wszystkich, wszystkich bez różnicy stanu i klasy społecznej, nie zaś tylko dla osób uprzywilejowanych z tytułu swego majątku albo uprzednio zajmowanego stanowiska.

I ten apel w głosie Hołówki nie zaginie. Apel już nie polityka, ale poprostu człowieka, podniesiony w obronie człowieczeństwa. Wołać on będzie do sumień polskich z za grobu, jak wołał za życia.

Strzał na emigracji.

Głęboko w szufladzie biurka schowany, spoczywał niewydany rękopis Hołówki w sprawie Brześcia. Ale sprawa sama nie milkła. Minął listopad i grudzień roku 1930, nadszedł rok nowy: lawina protestów toczyła się i grzmiała po kraju. Opozycji uśmiechnęła się niespodziewana pokusa: przegraw-

szy walną bitwę na płaszczyźnie wyborów, skwapliwie pochwyciła sposobność, aby odegrać się na więziennym dziedzińcu Brześcia. Dla Hołówki nastały dni ciężkiej próby. Krewka namiętność publicysty, czującego wyższość swego stanowiska i pragnącego dać mu wyraz publiczny, zmagająca się w jego piersi ze skrupułami polityka, zmuszonego uzgadniać swe kroki z ogólnymi dyrektywami obozu. Nękany szarpiącą bezczynnością, Hołówko z dusznej atmosfery warszawskiej wyrывał się co tydzień — choćby na dwa dni — do Krynicy, gdzie przebywała jego żona, ale po każdym powrocie do Warszawy, popadając w wir bieżących spraw i zebrań, trafiał wciąż na tę samą niepozbytą zjawę: „Znowu — pisze w jednym z listów do żony, pochodzących z drugiej połowy stycznia 1931 — sprawa brzeska stanęła na porządku dziennym... Ludzie się łamią, tchórzliwi się chowają, cały ciężar podtrzymania ich i dodawania im ducha spada na Sławka i na mnie, a i mnie samemu tak ciężko czasem na duszy... i nie mam przed kim się wynurzyć, więc milczę samotnie... W poniedziałek najbliższy jest posiedzenie sejmowe w sprawie Brześcia, na którym przemawiać będzie premier Sławek; będzie to więc posiedzenie decydujące... Nie mogę, choćby na krótko, zapomnieć o tych sprawach, które mnie tak męczą głęboko... Ale trudno, znasz mnie, wiesz, że im gorzej jest, tem bardziej się zacinam...”

Nierychło zatem, po dwóch dopiero miesiącach, w ośrodkach kierowniczych obozu rządowego zdecydowano przeciwstawić się legendzie, usiłującej więźniów brzeskich przerobić na ostatnich polskich prometeidów. Walery Sławek, jako ówczesny prezes ra-

dy ministrów, wszedł na trybunę sejmową i z całą odwagą biorąc na swój obóz niepodzielną odpowiedzialność za Brześć, przedstawił go jako twardą, lecz nieuniknioną konieczność, podyktowaną przez dobro Państwa, aby „osadzić na miejscu zuchwałą anarchję“. Powaga rządu, acz późno, była ocalona. W zwięzłych, lapidarnych zdaniach wypowiedział Sławek to, co stanowiło wniosek ostateczny w rozprawie Hołówki. W ramach formalnego prawa konflikt rządu z opozycją miał znaleźć rozwiązanie przed kratkami sądu; politycznie jednak i moralnie stawał on przed ową instancją o wiele wyższą, o której mówi Hołówko: przed trybunałem Historji. Historja zaś na szalach swych waży nie intencje, nie interpelacje, nie skargi nawet i cierpienia, ale czyny i wyniki czynów. Cierpienie bez godności, jak skarga bez woli, jest niczem w pochodzie narodu, tak samo zresztą, jak władza bez użytku. Brześć dla przyszłości Państwa będzie wart tyle, ile zaważą rzeczy, które rząd wykona dzięki wzmocnionej władzy, jaką w swoich rękach skupił. W polityce — rozumował Hołówko — jak w chirurgji: wartość operacji mierzy się nie jej bezbolesnością, ale skutkami, jakie sprowadza dla organizmu, choćby za cenę chwilowego bólu. Deklarację rządu, odciążającą kraj z ucisku zmory brzeskiej, powitał Hołówko z tem większą ulgą, im donioślejsze widział zadania na drodze Sejmu i Bloku, do którego wszedł na czele swej pokaźnej i zwartej grupy regionalnej.

Rozumiał on, że zadania te uda się podjąć i wykonać jedynie w atmosferze najściślej spójni zaufania między wolą Bloku sejmowego a dążnościami

ni społeczeństwa. Zarówno zasadnicza przebudowa ustroju państwowego, wyrażająca się w reformie konstytucji, jak i ta jeszcze bardziej zasadnicza, bardziej wewnętrzna reforma — przebudowa duszy polskiej, która wyrazić się powinna w nowym stosunku obywatela do obywatela, jednostki do Państwa, Państwa do kościoła i religji, przedsiębiorcy do pracownika, Polaka do narodowości niepolskich, a związanych z Polską wspólną dolą państwową — wszystkie te postulaty znaleźć mogły w Sejmie pomyślną realizację jedynie w oparciu o zaufanie społeczeństwa i pod naciskiem jego żywej i czujnej opinji. Ciało, mianujące się Blokiem Współpracy z Rządem, zdoła o tyle spełnić swe zadania dziejowe, wierzył Hołówko, o ile, przede wszystkim, samo utrzyma się w płaszczyźnie bezpośredniej współpracy ze społeczeństwem.

Niedarmo, przytem, Hołówko spędził trzy pracowite lata w głównym ośrodku naszej polityki zagranicznej. Poza każdym zagadnieniem natury wewnętrznej nauczył się on dostrzegać jego tła i jego refleksy międzynarodowe. Rozumiał ściśle związek między trzonem naszego ustroju politycznego a stanowiskiem Polski w Europie. Doceniał w pełni znaczenie należytego regulowania naszych spraw narodowościowych dla rozwoju polskiej siły mocarstwowej. Rękojmię a zarazem i warunek tej siły zakładał na tem, „aby niepolska ludność województw wschodnich sama przestała ciążyć ku Rosji“ i w Polsce znalazła ochronę swych narodowych dążeń. Pewność i bezpieczeństwo naszych granic wschodnich były w jego oczach równoznaczne z przyrostem bezpieczeństwa

i odporności polskiej na zachodzie. Ten nieustraszony i waleczny żołnierz, ostrzelany i poszarpany kulami w niezliczonych bojach, był namiętym budowniczym pokoju i zdawał sobie sprawę, że troska o pokój jest wspólnem zadaniem całej Europy. Że nie można tego zadania dzielić na fragmenty, rozbijać na terytorja: strzec pokoju nad Renem, a podkopywać go nad Wisłą, gasić ogień na Zachodzie, a podpalać świat od Wschodu. Ale pokój — rozumował Hołówko — może być trwały tylko wtenczas, gdy jest oparty na współpracy ludzi wolnych i narodów niepodległych. Pokój niewolników, pokój ludów ujarzmionych, byłby albo kamieniem martwoty na karkach rezygnacji, albo maską kłamstwa na twarzy tłumionego buntu. Dlatego niebezpieczeństwem dla Europy wydawał mu się nietylko każdy szczęk broni, każdy odgłos zbrojeń, wywołujący groźbę orężnego starcia, ale i każdy jęk, dobywający się z podziemi, lub dochodzący z dróg wygnania, a świadczący o nieodkupionych, niewyzwolonych aspiracjach całych ziem, całych narodów.

Taki eichy a tragiczny jęk, zaiste jęk zdeptanego ludu, przebił duszę Hołówki jednego z dni grudniowych 1930 roku, gdy, przeglądając w gazecie depe-sze zagraniczne, trafił na straszny zgon Ramiszwilego.

Noe Ramiszwili, bohater Kaukazu, mężny syn Gruzji, padł na ulicy Paryża pod kulami mordercy!

Dla szarej rzeszy czytelniczej depesza ta była tylko wieścią z kroniki wypadków. Dla Hołówki była tragicznym odgłosem z wielkiego pola walki, a jednocześnie i głębokiem wstrząśnieniem osobistem.

W krwawym nimbie ofiary stanął nagle przed oczyma Hołówki ów człowiek o żelaznej woli, stalowym charakterze i poświęceniu bez granic: wcielony los swej szlachetnej, rycerskiej ojczyzny, podbitej i ujarzmionej, ale nieugiętej i niepokodzonej z obcem władztwem. Ileż godzin spędzili razem na wspólnych, serdecznych rozmowach i zwierzeniach, gdy przed kilku laty spotkali się w Paryżu wśród emigranckich kół Wschodu Europy! Na gruncie emigracji paryskiej Ramiszwili był jedną z najbardziej poważanych i czerujących postaci. Wiekiem nieco starszy od Hołówki, harmonizował z nim idealnie swym temperamentem, animuszem i heroicznym rozmachem energii. Jak Hołówko, miał on poza sobą cały epos bojów i ofiar, poniesionych dla zdobycia niepodległości. Gdy w maju 1918 Gruzja oderwała się od Rosji, Ramiszwili stanął na czele pierwszego wolnego rządu w odrodzonym kraju. On też był duszą wszystkich gabinetów następnych. Gdy w całej Rosji ówczesnej i na Kaukazie szalała wojna domowa, przeplatana rzezią, w Gruzji pod rządami Ramiszwilego panowały spokój, bezpieczeństwo i wolność obywateli. Ale wolność ta, wraz z niepodległością, runęła pod ciosami wojsk czerwonej Moskwy, która niemniej od caratu zainteresowana była w posiadaniu perły Kaukazu: przebogatych źródeł naftowych. Noe Ramiszwili, wraz z innymi członkami rządu narodowego, uszedł zagranicę, unosząc w piersi bunt swej górskiej, śnieżnoczolej krainy. Obrawszy Paryż za swą główną kwaterę wygnańczą, przebiegał Europę wzdłuż i wszerz, organizując łączność rozproszonych gruzińskich związków rewolucyjnych ze wszystkimi

stronnictwami Kaukazu i prowadząc walkę z zaborcą sowieckim.

I oto ten nieustępliwy bojownik niepodległości swego narodu padł, śladem Petlury, z rąk skrytobójcy. Padł w dniu, którego data utkwiała w szczególniejszy sposób w pamięci Hołówki, gdyż była to właśnie data otwarcia nowego Sejmu, z którym tak ważne kojarzył on widoki i zadania. Poza tem inna przypadkowa okoliczność w zgonie zwyciężonego lecz nieugiętego wodza Gruzji zastanowić musiała Hołówkę, którego psychika, jak wiemy, obdarzona intuicją, tak wyjątkowo podatna była na wymowę zdarzeń tajemniczych i groźnych. Wódz Gruzji, jak przed nim prezydent Ukrainy, ginął pod gradem kul, wymierzonych z tyłu w głowę z tak zimną premedytacją, że ręka zabójcy odsłaniała raczej metodę wytrawnego siepacza, niż wybuch namiętności osobistej. Czyż oba te zabójstwa nie zdawały się rysować w głębi kulis jakiejś wizji trybunału, rażącego wyrokiem zagłady każdego, kto chce na wschodzie torować drogę ideom narodowościowym i prawom ludu do własnego państwa?

Śmierć Ramiszwilego, jak zgon Petlury, mroczną żałobą zawisła nad czołem Hołówki, gdy z trybuny sejmowej rozwijał program pokojowego i braterskiego współżycia Polski z pobratymczymi narodami naszych województw wschodnich. Wiedział on, że program taki, gdy jest szczerze przedsiębrany, staje się niebezpieczeństwem dla tych właśnie mocy, których tendencja, ekspansja, lub może tylko spekulacja gry politycznej, z istotną troską o dobro tych narodów nie wspólnego nie ma.

Rozmowy z Ukraińcami.

Jakieś złowieszcze fatum sprawiało, że Hołówko, który w każdej walce narodu przebijał się przez kule i ocierał o śmierć, nie przestał kroczyć pod ostrzałem nawet wtenczas, gdy niósł zgodę, pokój i braterstwo.

Czy z losu tego zdawał sobie sprawę? Powiedzieć możemy tylko to, że jakkolwiek nieraz groźne nawiadzały go przecucia, a szept ich ostatni znajdziemy w jednym z listów, pisanych w Truskawcu niemal w przededniu katastrofy, to jednak żadne przeciwności nie zdołałyby go zawrócić z drogi, którą uważał za drogę swego sumienia i za drogę dobra powszechnego.

Będąc gorącym przyjacielem narodu ukraińskiego i dążąc z całej duszy do polsko-ukraińskiego porozumienia, Hołówko z niepokojem śledził wypadki, rozgrywające się na południowym wschodzie Polski. Z niecierpliwością oczekiwał momentu, kiedy stan umysłów i położenie polityczne pozwoli na rozplątanie zawiłych problematów i szukanie dróg, wiodących do unormowania stosunków polsko-ukraińskich na obszarze trzech województw południowo-wschodnich. Korzysta też z pierwszej, jaka się zdarzyła, sposobności, aby wziąć udział w rozmowach z przedstawicielami społeczeństwa ukraińskiego, mających doprowadzić do porozumienia, lub choćby wyjaśnienia stanowisk. Rozmowy te, które ze strony polskiej prowadził Hołówko wspólnie z Januszem Jędrzejewiczem, odbyły się w marcu 1931 r. Nie dały one wprawdzie wyników realnych, ale mimo to były zda-

rzeniem politycznem o doniosłym znaczeniu i odbiły się głośnem echem w prasie polskiej i ukraińskiej, a nawet zagranicznej.¹ Ponieważ echa te zniekształcały właściwy obraz rozmów, Hołówko wystąpił w „Gazecie Polskiej“ (20 marca) z artykułem o charakterze enuncjacji, w którym przedstawił przebieg i treść polityczną pertraktacyj.

Stanowisko, jakie zajął Hołówko, równie dalekie jest od fanatyzmu stronnictwa narodowego, jak od deklaracji stronnictw lewicowych. Stronnictwo Dmowskiego, wyznając w teorii zasadę amymilacji, neguje w zupełności możność istnienia narodu ukraińskiego w granicach Polski, a nawet poza jej granicami. Stronnictwa lewicowe, przeciwnie, nie żałują Ukraińcom obietnic, ale nie czynią, aby ich dotrzymać. Nie mają one odwagi cywilnej, by sobie powiedzieć, że teoria ich nie była stworzona dla krajów mieszanych, do których należy Małopolska Wschodnia, i że trzeba dla dzielnic tej poszukać dróg nowych. Oficjalnie lewica jest za autonomją z odrębnym sejmem oraz pięcioprzymiotnikowym systemem wyborów i, gdy tylko jest pewna, że wniosek upadnie, zawsze gotowa jest zgłosić w Sejmie odpowiedni projekt. Negacja jednych niewiele przeto różni się w praktyce od hojności drugich. „Wolimy już endeków — mawiają często Ukraińcy — przynajmniej głoszą oni to, co myślą“. W istocie rzeczy, i jedni i drudzy jątrzą i gmatwają sprawę, nie próbując nawet ruszyć jej z martwego miejsca. Jeśli ruszyć ją chcemy istotnie, musimy, zdaniem Hołów-

¹ Por. St. J. Paprocki: „Tadeusz Hołówko wobec problemów narodowościowych“.

ki, zacząć od tego, aby prawdę mówić zarówno Ukraińcom, jak i sobie samym.

— Społeczeństwo ukraińskie — tłumaczy Hołówko — winno zrozumieć, że dawna Ruś Czerwona przez 600 lat należenia do Państwa Polskiego ulegała głębokiemu wpływowi kultury polskiej, stała się krajem mieszanym polsko-ukraińskim. I dlatego Ukraińcy winni pogodzić się z tem, że ta dzielnica stała się integralną częścią Polski i że wszystkie rachuby na zmianę sytuacji są zawodne. Z drugiej strony ogólne interesy narodu ukraińskiego, jako całości, wymagają, aby Państwo Polskie było silne i dlatego konflikt polsko-ukraiński w Małopolsce Wschodniej ma charakter wybitnie lokalny i sprzeczny jest z racją stanu obu narodów. Dlatego też Ukraińcy w Małopolsce Wschodniej nie tylko z poczucia wojny przegranej w roku 1918, ale i z realnej oceny stosunków zarówno w tej dzielnicy, jak i sytuacji międzynarodowej, a przede wszystkim w imię racji stanu narodu ukraińskiego jako całości, winni szczerze stanąć na stanowisku obywateli Państwa Polskiego, którego wielkość i siła leży i w ich interesie narodowym.

Przemawiając z tak surowym realizmem do narodowego poczucia Ukraińców, Hołówko jeszcze surowszych dobywa akcentów, gdy zwraca się do rodaków-Małopolan, gdy przywołuje ich do rzeczywistości i przypomina, że dzielnica, którą zamieszkują, nie jest pod względem etnograficznym dzielnicą czy sto polską, lecz mieszaną; że więc żywioł ukraiński ma prawo uważać się w niej za współgospodarza kraju. Platforma ugody polsko-ukraińskiej w Mało-

polsee Wschodniej nie była więc w oczach Hołówki rzeczą nieosiągalną. Ale zarysować się mogła tylko na podstawie bezwzględnej zobopólnej szczerości; na podstawie uprzedniego wyrugowania po jednej i po drugiej stronie fałszywych uroszczeń i małostkowych nienawiści.

Do Ukraińców przychodził on nie z rygorem policyjnym lub represją militarną, ale z hasłem wielkości i godności narodu ukraińskiego. Do rodaków zwracał się nie w imię lokalnych ambicji, ale w imię idei historycznej, która poza rubieżami waśni sąsiedzkiej ukazywała twórczą cywilizacyjną rolę Polski u progów Wschodu Europy.

W słowach Hołówki pojęcia, hasła i nazwy, na sieczkę zmielone przez młyny partyjne, nabierały na nowo krwi, pędu i siły. Poza słowem „Ukraina“ czuło się utajoną dynamikę 40-miljonowego narodu. Poza nazwą „Polska“ czuło się tysiąc lat historii, wykuwającej na swym warsztacie formy współżycia nie dla jednej klasy, nie dla jednego szczepu, ale dla całej Rzeczypospolitej ludów, klas, języków i wyznań, zjednoczonych pod znakiem wspólnej kultury i wspólnej wolności.

Oto dlaczego serce Hołówki drżało z trwogi, aby ta wolność, która daje siłę, lecz która już raz wyrodziła się u nas w swawolę i rozbiła nas w drzazgi, gubiąc dzieło Batorych i Żółkiewskich, nie zbłądziła na bezdroża po raz drugi i nie ugrzęzła w anarchji. Oto źródło, z którego płynął jego tak surowy sąd w obliczu wszelkich tumultów i rokoszów, podrywających węgły Państwa. Oto ogień, z którego wyniósł wyrok na zbrodnię niewiadomszczyzny i jej późniejszych

nieszczęsnych naśladowców. Gromił on swawolę i wichrzycielstwo, widząc w nich nie przejaw indywidualizmu, ale gnuśną skłonność do zżerania sił własnych we wzajemnych tarciach domowych. Współ z tym, który najgłębiej w rany polskie wejrział — z Żeromskim Stefanem — widział i ostrzegał, że Polska nie potrzebuje obawiać się żadnej potęgi zewnętrznej, ale „lękać się i drzeć powinna przed krnąbrną, niełacną, kresu nie znającą duszą“ własnych swych obywateli.

Jeśli tak twardo stanął on przy Piłsudskim, to dlatego, że w nim widział najsilniejszy instynkt narodowy, najmocniejszą więź Państwa, najkonsekwentniej wyrażoną wolę ku temu, aby wszystkich obywateli polskich spoić żywotną i prężną organizacją państwową. Ta żywotna organizacja państwowa była dla Hołówki kamieniem węgielnym, aby na nim most trwałej zgody budować między Polską a Białorusią, między Polską a Ukrainą, między Polską teraźniejszości a Polską dawnej chwały. Wiedział on, że dla Polski małej i skurczonej w sobie niema miejsca w Europie. Że los jej polega na brzemieniu wielkości, które dźwigać musi pod karą upadku. Że może pod brzemieniem tem upaść, jak już raz upadła, gdy próbowała je uchylić, ale złożyć go ze swych ramion nie może.

Ten złoty most ugody między Polską a jej pobratymcami niósł w sobie Hołówko jako najcenniejszy skarb państwowości polskiej, jako rękojmię jej siły i równowagi, a zarazem jako żywioł własnej energii i bujność własnej duszy.

Kule, które weń ugodziły w Truskawcu, strza-

skąły w jego osobie przedewszystkiem ten żywy most ugody, na którym Polska tak wiele mogła i miała prawo budować.

Ostatnie miesiące.

Nie były więc frazesem i pustym popisem retorycznym słowa Hołówki, gdy, przemawiając w Sejmie w sprawie konstytucji, zwrócił się do wszystkich posłów, nie wykluczając posłów opozycji, z wezwaniem do pracy nad reformą ustroju Rzeczypospolitej. Naprawa konstytucji, podartej w strzępy już przez rokosz grudniowy 1922 i kule Niewiadomskiego, wysławiane bluźnierczo po kościołach, była dla Hołówki jednym z najważniejszych zadań, które należało podjąć i przeprowadzić w nowym Sejmie.

Polska, stojąca nierzędem, lub Polska, stojąca wysiłkiem dyktatury, nie może stworzyć ośrodka skupienia dla ludów, które szukają schronienia pod jej tarczą. Hołówko, jako przedstawiciel województw wschodnich, wiedział lepiej, niż ktokolwiek inny, że centrum, aby móc promieniować na kresy, musi zdobyć się na samoopanowanie własnych rozbieżności, na kolosalny wysiłek ładu, spójni i organizacji.

Do udziału w tym wysiłku zapraszał on szczerze całą opozycję, wychodząc z założenia, że między nią a rządem dość będzie i poza tem uzasadnionych punktów przeciwieństwa, że natomiast w budowie żywej konstytucji zainteresowana jest zarówno prawica, jak lewica, Blok rządowy zarówno jak jego przeciwnicy.

„Nie spekulujcie na tem — ostrzegał posłów opo-

zycyjnych — że my w tej sprawie nie mamy żądanej większości. Bo nie o to chodzi. My w społeczeństwie wytworzymy taki nastrój, że ono zrozumie, iż obok kryzysu ekonomicznego, który jest przejściowy, troską jego jest myśleć i o dniu jutrzejszym, o przyszłości. Potrafiemy w społeczeństwie wytworzyć taki nastrój, że biada temu, kto zechce iść śladem Sicińskiego, posła z Upity, i wystąpić z *liberum veto*. Praca nad konstytucją nie jest sprawą, w której wolno przeciwstawiać się wielkiej fali narodu. Upewniam Panów, że w dniu, w którym będzie uchwalana nowa konstytucja, miliony ludzi w Polsce siedzieć będą przy radjo i słuchać naszych rozpraw, na ulicach zaś tysiączne tłumy w radosnym nastroju czekać będą na szczęśliwy rezultat naszej pracy“.

Te słowa nadziei były niemal ostatnie, jakie Hołówce dane było wygłosić z trybuny sejmowej. Kończąc swe przemówienie na temat konstytucji, zamknął je wyrazem przekonania i wiary, że „Bóg naszej pracy pobłogosławi, bo ona płynąć będzie z najlepszej troski o Państwo, z troski o kulturę i oświatę w tem państwie, o harmonję i radość życia“.

Gdy z ust jego padło to wysokie, uroczyste, a tak niespodziane w rozgwarze sejmowym imię „Bóg“, na ławach lewicy, gdzie siedzieli posłowie socjalistyczni, dawni towarzysze Hołówki, jedna czy dwie twarze przymuszonym wykrzywiły się uśmiechem, aby zlekceważyć ten religijny apel i położyć go na karb fałszywej frazeologii, nadużywanej przez „panów i księży“.

Hołówko nie podjął zaczepki. Ten drwiący, płaski uśmiech czyż nie z tych samych wypłynął niewybred-

nych źródeł, które posądzały go, że „zaprzedał się magnatom“, że „szuka uciech grubych i prostackich“, że „za swą wierność żołnierską dla swego Wodza śni po nocach o koronie hrabiowskiej“? Ani jednym słowem nie odparł tego uśmiechu swoich dawnych towarzyszy. Przeczuwał może, że niewiele minie czasu, a usta, które przymusiły się do uśmiechu w owej chwili, wstydzicie się będą swego grymasu, jak piętna duchowego ciury.

Nieustający wyścig pracy, gorąca atmosfera walki, ciężar odpowiedzialności, dźwiganej w Sejmie i w Bloku, nie pozostały bez wpływu nawet na wyjątkowo odporne zdrowie Hołówki. Razu pewnego, latem, po dniu znojnego wysiłku, Hołówko omdlał z wyczerpania. Serce, przeciążone trudem, odmówiło posłuszeństwa. Gdy przywieziono go do domu i ułożono w spokoju, odzyskał samopoczucie, ale stwierdził znaczny ubytek sił. Diagnoza lekarska wykazała osłabienie mięśnia sercowego. Doktor Zieliński, nie strasząc pacjenta, zalecił jednak jak najrychlejszy wyjazd na odpoczynek, z właściwą połączony kuracją, i wskazywał Montecatini lub Truskawiec. Był koniec lipca: okres najlepszy do wyjazdu. Hołówko, który sam nie pamiętał, kiedy chorował po raz ostatni, a prawie nigdy się nie leczył, teraz przejął się swym atakiem sercowym, jako poważnym sygnałem alarmowym.

Rzecz znamienna: ten nieustraszony śmiałek, który niezliczone razy igrał ze śmiercią, a parę razy zbliża się o nią otarł, teraz dopiero, pod diagnozą lekarską, dojrzał i ocenił smak oraz wartość życia. W szme-

rach i niepokojach nadwyreżonego serca zatrwożył go obraz losu, z którego drwił pod kulami. Myśl, że zdrowie, że siły fizyczne miałyby go zawieść teraz, gdy szedł ku zenitowym zadaniom życia, gorzką i nieznosną ironją wkradła mu się do duszy. Jego stanowisko w Bloku, a więc stanowisko w Sejmie i rola w Państwie, wzrastały z każdym miesiącem. W całej Polsce zaczęto się oglądać na to, co mówi, co czyni, dokąd zmierza Tadeusz Hołówko. Swoją ogłoszoną podówczas książką „Przez dwa fronty“ stanął odrazu bardzo wysoko w literaturze ojczyściej. Pióro publicysty, oddawna zapewniające mu szeroki wpływ na umysły, przyodziło się teraz w trwalsze walory i wzniosło się na poziom rzetelnego artyzmu. W rzadkiem bogactwie natury, łącząc w sobie talenty polityka, mówcy i pisarza, każdym z nich stawał w pierwszym szeregu czołowych ludzi swego pokolenia. Cieszył się szacunkiem i zaufaniem Marszałka Piłsudskiego. Osiągnął jeden z tych wyjątkowych w życiu ludzkim punktów, z których otwierają się drogi ku najważniejszym stanowiskom w kraju. Nie rwał się do władzy, ale rozumiał, że ku niej dojrzewa i że ona ominąć go nie może. Jeśli dotychczas nie śpieszył się do niej, jak inni, to właśnie dlatego, że chciał ją osiąść jako zdobycz zasługi, nie zaś otrzymać jako zaliczkę losu.

Ilekroć myślał o przyszłości, o latach, które ma jeszcze przed sobą, zawsze kojarzył z niemi zdarzenia, które nadać mają dopiero właściwą treść i wagę jego nazwisku. W nadziejach swoich nie przekroczył jeszcze grzbietu tego wzgórza, które uważał za wzgórze swego życia. Coś szeptało mu w tych nadziejach,

że poza linią owego grzbietu odsłonią się prawdziwe, nowe i wielkie horyzonty jego działalności. Czuł, że o własnej sile pnie się w górę. Że nieodparta moc każe mu iść wyżej i wyżej. Że nieprędko jeszcze nastąpi przełom, po którym ścieżka życia zwolna zacznie zstępować w dół.

I, oto, w takim natężeniu ducha, potknąć się o *myocarditis*, drobny termin techniczny, poza którym tai się w komorze serca czarna brama śmierci!...

Hołówko postanowił leczyć się z tą samą energją, którą kładł w każdy swój zamiar. I, jak zazwyczaj, pod wpływem skupionej energii, z tła niedoli wyrzała ku niemu nagle myśl pociechy. Myśl, aby zabrać żonę i razem jechać do Włoch, do Montecatini, skąd, nie przerywając kuracji, tak rozkoszne a bliskie możnaby czynić wycieczki do niezapomnianej Florencji, myśl ta zyskiwała na sile tem bardziej, że żona, po ciężkiej, niedawno przebytej chorobie, również potrzebowała odpoczynku i opieki. Ale Hołówko, mając lat 40 i zostawszy jedną z najwpływowszych osobistości w Państwie, był, jako ojciec rodziny i gospodarz domu, tym samym ubogim niefrasobliwcem, którego znały młodzieńcze czasy Filarecji. Progi jego ustronnego mieszkania na ulicy Topolowej, obijane stopami możnych i bogatych, były progami, w których stale panowała studencka, niemal spartańska prostota, a częstokroć i surowy gościł niedostatek. W czasie, którego wszystkie ambicje wirują wokół osi interesów gospodarczych, materialnych, zarobkowych, Hołówko, jako indywidualność, był człowiekiem, którego życie w najmniejszym stopniu nie potwierdzało teorii o zwierzchnictwie spraw material-

nych. „Gdy na komisji spraw zagranicznych mówiono o traktacie handlowym z Niemcami, wyrwał się kiedyś Hołowce frazes zniechęcony: *Może nawet mniej sprzedamy tych znakomitych świń*“. Frazes ów, podchwycony i przypomniany przez St. Mackiewicza w „Słowie“, jakimż jest oryginalnym rysem w charakterze Hołowki! Snując swój miraż podróży zagranicznej, nie policzył się Hołowko z zasobami swej nikłej kasy domowej, którą, nadomiar, nadszarpnęła już uprzednia choroba żony. Względy budżetowe kazały naprzód wyrzec się wspólnej wycieczki do Włoch. Potem, gdy padł wybór na uzdrowisko krajowe, kazały mu wyrzec się także i towarzystwa żony. Z rozkosznego planu, który na chwilę olśnił wyobraźnię Hołowki obietnicą świeżych, porywających wrażeń, pozostawała tylko, jako jedyna rzeczywistość, wada serca i nuda kuracji. Długo buntował się Hołowko przeciw Truskawcowi, gdyż nie lubił uzdrowisk krajowych, gdzie oblegało go mnóstwo znajomych, ugrzecznionem natręctwem płoszących spokój prawdziwego odpoczynku. Od naszych stacyj klimatycznych wołał swoją litewską lub białoruską wieś. Jeszcze bardziej buntował się przeciw temu, aby jechać samemu, pozostawiając w Warszawie żonę z małą córeczką. Opór jego przełamała niespodziana śmierć ministra Czerwińskiego: poddawszy się operacji chirurgicznej, Czerwiński, rówieśnik Hołowki, nie wytrzymał jej następstw i zmarł w sile wieku, właśnie wskutek osłabionej działalności serca. Zło-wroga *myocarditis* wyrwała z szeregów obozu pomajowego jednego z najdzielniejszych pracowników.

Hołówko nie śmiał już dłużej bronić się naleganiom żony, która przyrzekła mu solennie, że poniechany odpoczynek letni powetuje sobie w jesieni. Zdecydował się jechać sam i rzeczywiście wyjechał do Truskawca natychmiast po pogrzebie zmarłego ministra, odprowadzony do pociągu przez żonę i Tadeusza Szturm de Sztrema, jednego z najwierniejszych przyjaciół.

Z krótkich, urywanych słów, jakie zamienił Hołówko na dworcu, i z kilku znamiennych rozmów, jakie miał przedtem z kolegami, wnioskować należy, że wybierał się do Truskawca w ciężkim nastroju. Ciążyło mu przewidywanie nudy, jaką spodziewał się zastać na deptaku uzdrowiska; jeszcze bardziej ciążyły mu wrażenia, jakie przeżył na pogrzebie ministra Czerwińskiego.

Wewnętrzny bunt, istotnie, podrywał go, ilekroć wracał myślą do katolickiej obrzędowości, w jaką ubrano ostatnią posługę, składaną człowiekowi, który nie był katolikiem, który z katolicyzmem rozstał się w dojrzałym wieku, z wolnej, dojrzałej decyzji, i o którym wiadano, że na łożu niemocy pozostał do ostatka wierny swoim przekonaniom religijnym. Korzystając z chwili, w której konającego odbiegła już samowiedza, dokonano nad stygnącymi zwłokami formalnej ceremonji, aby dla doczesnej chwały kościoła katolickiego „rewindykować“ duszę, która należała już do wieczności i do Boga. Hołówkę, jak mówił, ta zewnętrzna ceremonja „nawrócenia“ bolała tem bardziej, że sam był, jak Czerwiński, członkiem gminy kalwińskiej, cześć dla swej religji czerpał nietylko

z tradycji, ale z żywych źródeł duszy, wewnętrzną zaś swoją spójnię z Bogiem wynosił ponad wszystko, co zatrącało targowiskiem ziemskich zabiegów i ambicji.

Truskawiec.

Stan ucisku i podrażnienia, wywołany przeżyciami ostatnich dni w Warszawie, a podsycany stale tęskną wizją utraconych Włoch, nie odrazu rozprószył się w Truskawcu.

„Nie wiem, jak dalej pójdzie, bo kurację zaczynam od jutra — pisał w dwa dni po przyjeździe do żony, pozostałej w stolicy — ale przypuszczam, że oszaleję tu z nudów. Te tłumy ludzi, gęsim krokiem zmierzających z kubkami do źródeł, i ja w tem towarzystwie, co za upadek! I to ma być urlop — lato! Uczciwie ten miesiąc wysiedzę, ale sądzę, że Bóg oszczędzi mi na przyszłość tej przyjemności. Wolę całą zimę się kurować, ale mieć lato na włóczęgę lub szczerą wieś“...

Zwolna jednak kuracja jęła wciągać w swą monotonna, uspokajającą orbitę niesfornego pacjenta. „Wstaję o 6-tej rano i idę do „Naftusi“ — donosi po tygodniu już znacznie złagodzonej tonem. — Następnie, jeśli jest dzień kąpieli, biorę kąpiel solankowo-gazową, w przeciwnym razie idę do domu na śniadanie i do jedenastej leżę, czytając książki. O 2-ej znowu „Naftusia“, krótki spacer, obiad, po obiedzie spacer dłuższy i znowu „Naftusia“. Potem lekka z jarzyn kolacja — i kładę się do łóżka, gdzie przed snem znowu czytam. Co drugi dzień między 6

a 7-mą masaż. Życie tu więcej, niż jednostajne, ale muszę to wszystko wytrzymać, bo kuracja robi mi dobrze“...

Tak minął tydzień drugi i trzeci. Kuracja, istotnie, robiła mu świetnie. „Straciłem cztery kilo — z triumfem obwieszcza w liście z 24 sierpnia — od wielu lat najniższa waga. Co ważniejsza, serce się uspokoiło, czuję się zupełnie zdrow. Nogi smukłe i silne, jak u jelenia... Wrócę zdrow, pełen energii i chęci do pracy. Odrazu też zabiorę się do wykończenia książki...“¹

Wszelako przybór sił żywotnych wyraził się w powrotnej fali buntu przeciw „zesłaniu“, przeciw „idjotycznemu“ życiu, jakie narzucał rygor kuracji i charakter uzdrowiska. Nie szczędzi też w tym samym liście soczystych epitetów, aby scharakteryzować to życie, sprowadzające się do wegetacji barana, „który wespół z całymi stadami takich samych baranów, starych szkap, lub otyłych krów, cztery razy dziennie, kroczy do wodopoju, zwanego *naftusią*... Nadomiar złego od paru dni leje deszcz bez przerwy...“

Gorsze od deszczu, jak słusznie przewidywał Hołowko, okazało się uprzejme, lecz niepozbyte wścibstwo znajomych i nieznajomych, którzy w znakomitym publicyście, głośnym polityku i współprzewódcy wielkiego klubu sejmowego widzieli żywą a łakomą dla swej ciekawości „sensację“. „Nie mogę — skarży się w jednym z listów — pokazać się w publicznych miejscach, bo co chwila ktoś mnie zaczepia i narzuca się ze swoją osobą. Każdy naturalnie chce mówić

¹ Mowa o książce: „Przez kraj czerwonego caratu“.

o polityce, a ja choć ten miesiąc chciałbym o niej zapomnieć“.

Od natarczywej „polityki“ i sideł „towarzystwa“ uciekał Hołówko do swego pensjonatu sióstr służebniczek. Pensjonat ten, utrzymywany przez zakon unicki, wybrany zrazu dla względów oszczędnościowych, podobał się następnie warszawskiemu gościowi także dzięki swemu położeniu zdala od zgiełku przyjezdnych, na skraju lasu, prawie już na wsi. Podczas słoty, nie wychodząc z pensjonatu poza przepisowemi godzinami zabiegów leczniczych, zatapiał się w lekturze książek, przywiezionych z Warszawy. Czytał z zajęciem ostatni, świeżo ogłoszony przez Michała Bobrzyńskiego III-ci tom „Dziejów Polski w zarysie“. Przerzucał barwne, jak film, pamiętniki ks. Bülowa. Dni pogodne wabiły go na dalekie, śródleśne spacery. Im sprawniej, pewniej biło ukojone, wzmożone serce, tem dłuższe stawały się wycieczki. Razu pewnego, zapuściwszy się w głąb kniei, Hołówko zbłądził w nieznaney okolicy i kilka godzin upłynęło, nim odnalazł drogę powrotu. Żona, gdy jej napisał o tej przygodzie, ogarnięta niepokojem, lub tknięta przeczuciem, wymogła na nim, aby zaniechał dalszych przechadzek samotnych. Odtąd namawiał i brał za towarzysza drogi kogoś z wybranych przyjaciół, spotkanych na miejscu, a dających rękojmię swobody, szczerości i dyskrecji. Chętnie widział towarzystwo dawnego kolegi swego z Min. Spraw Zagranicznych, a późniejszego posła Rzeczypospolitej w Rydze, Mirosława Arciszewskiego: z nim wiódł często długie i ożywione rozmowy. Niemniej jednak chętnie wybierał się na spacer z pułkownikiem Głazkiem, który, jak nikt in-

ny, nadawał się do tego, aby być partnerem milczenia. Wacław Głazek, który wiernymi krokami towarzyszył Hołówce niemal do ostatniego dnia życia,¹ do samego progu śmierci, był tym, który przed wielu laty, w zaraniu młodości, na gruncie petersburskim, wprowadził „towarzysza Kirgiza“ w progi Polskiej Partji Socjalistycznej. On też potem ułatwił mu pierwszy tajemny „wypad“ do Krakowa, na walną uroczystość grunwaldzką w roku 1910.

Dwadzieścia lat miało teraz właśnie od owego „Grunwaldu“. Dwadzieścia lat koleżeńskiej przyjaźni, ale i dwadzieścia lat historii, która odmieniła oblicze Europy. Gdy między dwoma przyjaciółmi stanie takich lat dwadzieścia, wspólnie przeżytych, we wspólnej przewalczonej sprawie, nie brak im nigdy tematów do rozmowy. Co ważniejsza, nie brak im nigdy powodów, aby zapamiętałe, całemi godzinami milczeć... W milczeniu tedy, rączemi, „jeleniami“ krokami przemierzali dalekie przestrzenie wśród pól i lasów. Hołówko był zawsze tęgim piechurem. Czyż ongi nie przewędrował wpoprzek stepów Eurazji, od morza Kaspijskiego, aż hen, po zachodnią ścianę chińską? W niemieckim obozie jeńców dniami całemi, nieraz i długimi godzinami nocy, zerwawszy się z barłogu, maszerował po ciasnym dziedzińcu, między barakami, tam i zpowrotem, ulegając potrzebie ruchu, która była tyranią jego natury. Ile wtenczas przemierzył setek kilometrów w przekłętym kole niewoli? Teraz, wędrując polnemi i leśnemi ścieżkami, rad był, że dawna wraca mu lekkość. Z rozkoszą od-

¹ Wyjechał on z Truskawca w przededniu katastrofy.

najdywał w sobie ten sam, co dawniej, długi i głęboki oddech, długi i sprężysty krok. Znów brała go w ramiona niepożyta, nieśmiertelna młodość. Na cięciwie odrodzonych sił fizycznych, jak na cięciwie łuku, znów zakładać mógł strzały prężnej, dalekonośnej woli. Wśród nieobjętej ciszy letniego popołudnia, nieprzerwanej ani jednym słowem, Hołówko zatrzymywał się niekiedy w drodze, przystawał na chwilę ze swym milczącym towarzyszem i oddychał głęboko, jakby pragnął wchłonąć w siebie jak najwięcej tej ciszy i pogody. Niekiedy, idąc, schylał się raz po raz, zrywał wysokie trawy lub zwisające gałązki, targał je w rękach i potargane odrzucał od siebie precz, jakby rozprawiając się gniewnie z niewidzialnymi przeszkodami lub troskami. W wyjątkowych momentach, półsłówkami, zwierzał się towarzyszowi z zamiarów, układanych w myśli. Wtenczas wybuchała w nim stale gwałtowna chęć powrotu do Warszawy, do swego biurka i porzuconego na nim rękopisu. Paliła go niecierpliwa chęć jak najszybszego uporania się z drugą częścią swych „wspomnień emisariusza“. Pragnął jeszcze więcej, niż w tomie pierwszym, zawrzeć elementu osobistego, barwy przeżyć indywidualnych, jedynych i jak najwierniej odtworzonych. W tej osnowie przeżyć osobistych miał odbić się koloryt obozu, do którego należał. Alboż człowiek nie jest miarą wszystkiego? Jednostka nie jestże sprawdzianem idei, której służy i którą wciela w siebie? Rola Piłsudskiego i jego żołnierzy w odbudowaniu Polski ma już swój rozdział w historjografji. Rozdział ten znalazł Hołówko nawet w czytanych przez siebie podówczas „Dziejach Polski“ konserwatysty — Bobrzyńskiego. Ale jemu, gdy

siegał do epopei „peowiackiej“, chodziło o coś innego. Chciał pokazać, że jeśli „piłsudczycy“ tworzyli niepodległość Polski, to i niepodległość tworzyła typ i charakter „piłsudczyka“. Tylko w walce o niepodległość, w walce na śmierć i życie, mogli byli ci ludzie wyrósć i okazać swą miarę prawdziwą. Jeśli wolność ojczyzny była dla nich celem, to jednocześnie walka o tę wolność stała się dla nich szkołą hartu, woli, poświęcenia, dzielności. Już w pierwszym tomie swych „wspomnień“ dał Hołówko rozległą galerję portretów, malowanych z natury, a przedstawiających kontrast owych dwóch obozów: obozu rezygnacji i obozu walki. W drugim tomie kontrast ten sięgnąć miał wyżyn antytezy dziejowej. Jednocześnie myślał Hołówko o objęciu wielkiej trybuny prasowej. Działalność publicystyczna wydawała mu się niezbędnem dopełnieniem służby poselskiej, a mandat talentu był połączony dlań z niemniejszą odpowiedzialnością, niż mandat okręgu wyborczego. Czuł napór zadań, piętrzących się przed rządem i sejmem w polityce wewnętrznej, nie spuszczał z oka olbrzymich przemian, jakie odbywają się za naszą wschodnią i za naszą zachodnią granicą. Rozumiał, że każda z tych przemian, to nowy postulat, lub nowe wyzwanie, skierowane ku Polsce. Przewidywał, że jakkolwiek potoczą się wypadki, on będzie stał w ich ośrodku, może na bardziej ważnym, może na niebezpiecznym posterunku. Ale ani ciężar zadań wewnątrzno-krajowych, ani mroczniejące horyzonty Europy, ani niebezpieczeństwa walki nie były mu straszne teraz, gdy na nowo czuł się zdrów, silny i młody...

Śmierć.

A tymczasem nadchodziły już ostatnie dni sierpnia. Ostatnie dni pobytu zamierzonego w Truskawcu...

Hołówko zaczął oddychać myślą o powrocie. Drażnił go teraz i niecierpliwił każdy wschodzący dzień, który, im bliższy wieczora, tem wydawał mu się jakby dłuższy i leniwszy... „Załączam Ci upoważnienie do Sejmu — pisze 27-go sierpnia do żony, ustalając termin wyjazdu. — Podejmij diety poselskie 1-go września i przyślij mi telegraficznie, lub sama przywieź... Brak mi tu 250 złotych. Wyślij mi zaraz, bo naprawdę wyjeżdżam, 3-go najdalej. Dość już mam tego Truskawca! Zle się już czuję, jestem zły jak wilk, który samotnie przemyka się po lasach, a wszystko dlatego, że jestem sam“...

Jest coś z mrozącej, ajschyłowskiej grozy w tych słowach, gdy zestawia się je z bliską już datą śmierci. Im szerzej, im niecierpliwiej wznosiła się do oddechu jego pierś, pełna żądz i uniłowania życia, tem ciśniej zamykał się krąg uciekających dni. Już bowiem nie na tygodnie, ale na dni i godziny mierzył się czas jego życia. Śmierć szła śladem jego stóp; tropiła, zapewne, każdy jego krok. Śledziła zdala jego głowę samotną i wyniosłą wśród tłumu, obejmowała go we śnie uściskiem kościstych ramion.

Czyż ucisk zbójeckiej obręczy, która zaciskała się wokół jego jasnego i ufego czoła, nie odbił się w myślach, w snach, w przeczuciach jakimś złowrogim a ostrzegawczym znakiem?

Głuchy ślad przeczucia znajdujemy w jednym

z listów do żony, z połowy sierpnia. Po zwykłych skargach na monotonne życie kuracjusza z pod pióra Hołówki wypłynęło urwane, zagadkowe zdanie: „Jedynie co mnie martwi — to sen. Długo usnąć nie mogę... Wciąż budzę się... i wciąż dręczą mnie dziwnie niepokojące sny... Tak jakby miały być wkrótce jakieś wielkie wypadki. A może“...

To pewna, że pobyt w unickim pensjonacie sióstr służebniczek nie nastreżał mu aż do końca żadnych podejrzeń lub zastrzeżeń. Był najzupełniej zadowolony z warunków, jakie mu tam zapewniono. Gdy pytano go, dlaczego wybrał ten jedyny w Truskawcu pensjonat ukraiński, odpowiedział krótko, że uczynił to świadomie i że jest mu tam bardzo dobrze. Nie przywiązywał też żadnej wagi do krążących wśród kuracjuszków pogłosek, podających w wątpliwość państwową lojalność kierownictwa pensjonatu. Nie sprawdzał, ile mieściło się prawdy w wersji, jakoby po terrorystycznym napadzie na pocztę w Truskawcu, furtki osiedla sióstr służebniczek, znajdującego się blisko poczty, były przy nagłym pościgu za terrorystami otwarte, wbrew zwyczajowi.

Piątek, dzień 28 sierpnia, niemal cały upłynął Hołowce w towarzystwie starego kolegi Głazka, który wieczorem tego dnia wyjeżdżał już do Warszawy. Razem maszerowali do źródeł uzdrowiającej wody... Razem odbyli ostatni spacer... Wieczorem, Hołówko, odprowadziwszy kolegę na stację, pilnym głosem przekazywał mu do wykonania szereg zleceń po powrocie do Warszawy.

„Jak tylko przyjedziesz, kochany, zajdź zaraz do mego mieszkania na Topolowej i powiedz żonie mej,

że ja dłużej tu siedzieć nie będę... Niech ona już do mnie listu nie wysyła... Dość mam kuracji. Czuję się zdrów. Najpóźniej trzeciego września wyjeżdżam."

Pociąg, wiozący przyjaciela, ruszył i skrył się niebawem w obłokach pary i mgłach przestrzeni.

Hołówko pozostał sam na sam ze śmiercią. Teraz dopiero, gdy dzieliły go od powrotu, jak sądził, trzy lub cztery dni, czas ten zaciążył mu nad głową jakąś straszną chmurą. Gdy nazajutrz rano, przy „Naftusi”, spotkali się z Arciszewskim, nie taił, że radby opuścić Truskawiec jak najprędzej i że czeka tylko na „diety”, aby opłacić pensjonat. Kolega zaproponował mu pożyczkę 200 złotych. Hołówko, naglony pośpiechem, przyjął propozycję, rad, że uda mu się dzięki temu przyspieszyć swój wyjazd z Truskawca. Możliwy powiedzieć, że powietrze tego uzdrowiska zaczynało uciskać go jak ołów. Jak poprzedniego dnia z pułkownikiem Głazkiem, tak ostatniego dnia z Arciszewskim nie rozstawali się prawie wcale. Spędzili godziny poobiednie w klubie, poczem udali się razem na spacer. Hołówko, podniecony wyjazdem, dawał upust swej uciechu. Na myśl o Warszawie odzyskiwał humor, promieniował, żartował, śmiał się owym swoim młodzieńczym śmiechem, który rozbierał, zjednywał, triumfował pogodą i zdrowiem.

Było już koło szóstej po południu, gdy się pożegnali. Hołówko podążył do swego pensjonatu, gdzie czekał go masaż, stanowiący część zwykłych kuracyjnych zabiegów. Słońce przed zachodem utonęło w gęstych chmurach, które odzywały się dalekim pomrukiem grzmotu. Nadciągała burza. Ostatnia burza w życiu Hołówki. I ostatnia wśród burzy walka,

w której — bezbronny, zaskoczony w zasadzce — miał ulec. W pensjonacie zastał list od żony, która zapowiadała swój przyjazd na najbliższy wtorek do Truskawca. Hołówko nie zmienił swej decyzji wyjazdu i postanowił przybyciem swoim do Warszawy uprzędzić wyjazd żony. Zażądał przedstawienia sobie rachunku i oznajmił, że nazajutrz, w niedzielę, wyjeżdża... Gdyby nie pora spóźniona i konieczność spakowania rzeczy, wyjechałby natychmiast.

Tymczasem przyniesiono mu książkę pamiątkową ss. służebniczek z prośbą, aby wpisał swe nazwisko. Hołówko nie odmówił i upamiętnił swój pobyt w pensjonacie słowami aprobaty i uznania dla jego zarządu, wypisanemi na pół godziny przed zgonem. Olbrzymia czarna chmura już stała nad Truskawcem. Grzmoty przetaczały się z hukiem. Ulewa, niesiona nawałnicą, przygięła lasy do ziemi. Ludzie pochowali się w zamkniętych komorach. Świst wichru pomieszał się z łoskotem ulewy.

Nawałnica, ulewa, pioruny, czarna, nieprzenikniona noc i czarniejsze od nocy lasy okoliczne: oto zbroja, w której taił się morderca. Słusznie zauważył ktoś, kto znał Hołówkę, że ostatnie godziny jego życia, to jakby życia jego skrót. Był wieczór i burza dokoła. Piorun bił za piorunem, ziemia drżała od grzmotu i wichury. Hołówko chciał mieć chwilkę dla siebie samego. Położył się do łóżka, spoczął myślą na swym domu rodzinnym, na tem, co miały przynieść mu dni najbliższe. W ręku trzymał list, zawierający wiadomość o zdrowiu najmłodszej córeczki. Na litery, tętnące miłością, ręką żony kreślone, padały błyskawice, idące z za okna. Z za drzwi poraziło go w głowę

i plecy sześć kul rewolwerowych, od których próżno usiłował, poderwawszy się z łóżka, nagać zasłonić się ręką. Bo nawet w obliczu zbrojeckiej przemocy, pod gradem kul, bijących w głowę, chciał się bronić i próbował walczyć.

Padł, jak żył, w walce i burzy.

Nad mogiłą.

Wieść, że Hołówko nie żyje, że padł zabity w Truskawcu, miała w sobie, lecąc przez Polskę, coś z gromów, które towarzyszyły jego śmierci. Ból, żal, rozpacz i smutek piorunem uderzyły w duszę narodu. Tyle młodości płonęło w jego piersiach, tyle radośnych obietnic dźwięczało w jego słowie, tyle światła przyszłości odbijało się w jego oczach, że nie tylko rozum i uczucie, ale sam instynkt życia buntował się w tysiącach i tysiącach ludzi przeciwko myśli, że już nigdy tego głosu nie usłyszą, nigdy w te oczy pełne światła nie spojrzą. I mimowoli, rozdarta, zbuntowana przeciw samej sobie, myśl, cofając się przed widokiem jego trumny, wracała wspomnieniem ku innej trumnie, ku innej ponurej tragedji, która tak wielką odegrała rolę w życiu Hołówki, gdy przed laty dziesięciu od kul niemniej potwornych padł Gabrjel Narutowicz. Wówczas w osobie Prezydenta Rzeczypospolitej, poza krwią szlachetnej jednostki, znieważono majestat Państwa; teraz strzałami w Truskawcu znieważono serce Polski.¹

¹ Por. Olgierd Górka: „Słowo o ś. p. T. Hołowce“ (,,Wschód“ Nr. 7—8).

Wstrząśnięci zgrozą, nad otwartą mogiłą Tadeusza Hołówki stanęli, zjednoczeni żałobą, nie tylko Polacy, ale także przedstawiciele wszystkich niewyzwolonych narodów Europy Wschodniej od dalekiej północnej Karelji aż do Ukrainy, Krymu i Kaukazu. Ludzie bez domu i ojczyzny, tułacze i wygnańcy, ludzie sprawy przegranej lecz nie opuszczonej, płakali nad jego trumną, jak nad własną umarłą nadzieją. Łzami bólu i żalu świadczyli, że w innych krajach, że u innych ludzi znajdowali, być może, chleb i schronienie, ale ducha, wiarę we własne siły i moc wytrwania dawał im Tadeusz Hołówko. W słowach, płaczem nabrzmiałych, przypominali sobie, jak ów niestrudzony rycerz wolności ludów w swych częstych podróżach do Genewy, Paryża, Konstantynopola, Sofji, Pragi i innych stolic europejskich szukał i odnajdywał przywódców ich ruchu, jak wspierał ich serca, podsuwając przykłady męstwa i wytrwania z dziejów emigracji polskiej. „Ręka skrytobójcy, która życie takie poważyła się przeciąć — powtarzali słowa Walerego Sławka, ogłoszone nad grobem Hołówki — przekłeta będzie przez naród, który ją zrodził“. Jego czysta i szlachetna postać mówiła im jeszcze z poza grobu, że w losie Polski zawarta jest także i część ich własnego losu, że siła Polski spoczywa u podstaw odrodzenia ich własnej siły. „Jak historia walk wyzwoleniczych Ameryki Północnej zapisała na swych kartach nazwiska Kościuszki i Pułaskiego — mówił przedstawiciel Ukrainy — jak Węgry wspominają po dziś dzień generała Bema, tak historia naszej emigracji wspominać będzie Tadeusza Hołówkę“.

I to, że na trumnę zawierającą jego zwłoki polały się tak rzesiście łyzy wygnańców, ludzi prześladowanych i ubogich, łyzy ludów wydziedziczonych, stało się najwspanialszem, bo samorzutnem świadectwem, złożonem owej prawdzie idealizmu, jaką płonął jego duch aż po ostatni dzień swego ziemskiego bojowania. Powalony kulami morderców, Hołówko nie przedstawiał być symbolem i źródłem siły, do której odwołuje się prawo w walce z przemocą, uciskiem i prześladowaniem. Pragnąc budować mosty zgody między Polską a Ukrainą, między Polską a Białorusią, między Polską a krajami Bałtyku i morza Czarnego, dążył w istocie rzeczy do nawiązania tradycji między Polską pod rządami Piłsudskiego a Polską Jagiellonów. To, czego dokazała demokracja szlachecka w XVI wieku, braterskie otwierając ramiona na Wschód i Zachód, dlaczegoż nie miałoby stać się udziałem demokracji nowoczesnej, niosącej cywilizację równych praw i obowiązków już nietylko wybranym, ale wszystkim ludziom pracy?

Oto dlaczego Hołówko tak bezwzględny był w sądzie objawów anarchji. Stronnictwa cieszyły się jego szacunkiem o tyle, o ile służyły Państwu, a przez państwo tej wielkiej idei, która była misją Polski na wschodzie Europy. Jego nieubłagany sąd o wichrycielnach Państwa należy postawić w obliczu zadań, perspektyw i możliwości, które utonęły w jego krwi. Dłoń mordercza, która jego dni przecięła, nie sięgała po jego majątek, nie szukała na nim osobistej zemsty lub odwetu, lecz niwecząc jego życie, ugasiła szup światła, który mógł stać się przewodnią kolumną wielkiego pochodu.

Nie interesy i rachuby, ale bezinteresowność i bohaterstwo, ożywiające Hołówkę, czyniły zeń groźnego przeciwnika dla tych, którzy swe plany budowali na intrygach, na zaboreczności, na wyzysku człowieka przez człowieka i narodu przez naród. Jeśli dla sił ciemnych i złowrogich Hołówko stał się niebezpieczeństwem aż tak wielkim, że postanowiły go zgładzić kulami skrytobójców, to niebezpieczeństwo to polegać mogło tylko na potędze jego idei, na szczerości jego dążenia, na pionie jego charakteru, na odzwieciu jego słowa, trafiającego bezpośrednio w serca ludu. W aureoli jego zgonu w cóż obróciły się zarzuty tych wszystkich, którzy posądzali go o to, że w cieniu sławy swego Wodza „śni o koronie hrabiowskiej”? Ślepotą dzikiej choć małostkowej pasji nie pozwoliła im, poza mandatem poselskim, dostrzec w Hołówce krzyża idei, pod którym się ugiął; krzyża, który dźwigał i niósł aż po kres walki.

Mandat poselski, rola uzyskana w Bloku Bezpartyjnym, stanowisko w obozie rządowym, znamionowały nie wyjałowienie idei politycznej w Hołówce, ale niezmierne spotęgowanie jej mocy zasięgu i promieniowania. Władzę, która mu szła do rąk, wpływy, które osiągał w Państwie, przetapiał nie na splendory dostojnika, ale na narzędzia pracy i służby publicznej. Za narzędzie pracy i za nic innego, uważał on i Blok Bezpartyjny, którego powstanie oraz szybkie na wyborach zwycięstwo wystarczyło, aby wszystkie dawne rozbieżne partje spoić w jeden front opozycji przeciw rządowi pomajowym. Gdy Blok ów dla wielu, którzy się w nim znaleźli, zdawał się być bądź upragnioną przystanią życiową, bądź ostatecznem wyda-

niem mądrości politycznej, dla Hołówki był tem, czem stanie się, zapewne, w obliczu historii: jednym z ogniw w rozwoju politycznej akcji Piłsudskiego.

Spoglądając poza siebie, Hołówko spostrzegał ogniw takich cały szereg w promieniu własnych wspomnień i przeżyć: Organizacja Bojowa, Związek Walki Czynnej, Strzelec, Legjony, Polska Organizacja Wojskowa — oto etapy, przez które Piłsudski naród swój wiódł z domu niewoli ku niepodległości. Każda z tych organizacyj pozostawiała po sobie osad maruderów, gdyż każda, ustępując miejsca następnej, była jednocześnie protestem przeciw tej, którą pochłaniała w sobie lub przewyciężała. Organizacja Bojowa wychowała kierowników dla Związku Walki Czynnej; Związek przeistoczył się w Strzelca; Strzelec dostarczył kadry Legionom; Legjony umarły i ożyły w Polskiej Organizacji Wojskowej, która zkolei znów rozplynęła się w armji polskiej. Ten łańcuch rozwojowy wydaje się nam dzisiaj naturalnym łańcuchem logiki i konsekwencji. Ogniwami jego mierzymy dziś etapy rozrostu siły polskiej. Nie wszyscy jednakże tę logikę rozumieli wtenczas, gdy proces odbudowy Państwa nie był jeszcze ukończony. W ogniu wypadków, gdy trzeba było szybko broń z ręki do ręki przerzucać, gdy wypadało jedno narzędzia niszczyć a drugie tworzyć natychmiast, każdy nowy czyn Piłsudskiego spotykał się z oporem, każda jego inicjatywa stawiała się tragedją dla tych, którzy poza środkiem nie dostrzegali celu, poza taktyką nie widzieli polityki.

Ale wszystkie przełomy, przez które kroczyła myśl Piłsudskiego w walce w zaborcami, zmalały wo-

bec przewrotu, jaki w środkach jego działania nastąpić musiał wtenczas, gdy od rozbijania państw obcych przejść musiał do budowania własnego. Powstaniec i kowal rewolucji, kujący broń, aby rozsadzać mocarstwa zaborecze, zmienić się musiał w Odnowiciela i Budowniczego, skupiającego rozdarte polskie dzielnice i skłócone polskie żywioły pod znakiem wspólnego autorytetu, w karbach wspólnej władzy.

Na dzieło zjednoczenia i wyzwolenia Włoch złożyła się praca trzech genialnych ludzi: Cavoura, Mazziniego i Garibaldiiego. W Polsce to samo dzieło na barkach jednego spoczęło człowieka. Piłsudski musiał być sam swej sprawy i dyplomata i apostołem i hetmanem. Ale gdy tamci trzej, spełniwszy dzieło wyzwolenia, mogli odejść, przekazawszy wolną i zjednoczoną ojczyznę w pewne ręce prawowitej władzy, następca Piłsudskiego — pierwszy Prezydent Polski padł powalony przez rokosz. Sejm polski, od którego Piłsudski oczekiwał ośrodka mocy i jedności państwowej, zawiodł oczekiwania i, zamiast izbą zespolenia kraju, stał się sabatem czarownicy.

Hołówko, który nigdy nie był maruderem i zawsze kroczył w czołowym szeregu bojowników, nie pozostał w tyle i wówczas, gdy Piłsudski, ratując trzon jedności państwowej, postanowił wyjść poza partję, wznieść się ponad przeciwieństwa klasowe i poszukać przedewszystkiem tego, co łączy partję i klasy w orbicie powszechnego interesu państwowego. Z tych założeń zrodził się przewrót majowy. Z tych samych ocen powstał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Od form walki i destrukcji, które były zasadniczymi formami patriotyzmu polskiego wtenczas, gdy

chodziło o wybicie się na wolność, naród, jeśli żyć chciał, musiał przejść ku formom współpracy i budownictwa. Tarcia i różnice społeczne, rzecz prosta, i nadal pozostały rzeczywistością. Ale ponad nimi musiała wznieść się i zapanować polityka wspólnego dobra wszystkich obywateli. Polska, będąca jedynie sumą różnic i antagonizmów, straciłaby rację swego istnienia. Tworząc Blok Bezpartyjny, Piłsudski kładł nacisk na prawdę jedności państwa, która górować musi nad prawdą zawartych w niem przeciwieństw tak, jak jedność organizmu góruje nad różnymi funkcjami jego tkanek komórek i narządów.

Hołówko, wstępując do Bloku Bezpartyjnego, w którym pracownik umysłowy i drobny rolnik zasiadał na ławie sejmowej obok ziemianina i przemysłowca, zgóry wnosił do Sejmu określony plan działania. Rozumiał doniosłą rolę swego Klubu, ale rozumiał ją właśnie dzięki temu, że dostrzegał jej granice. Sejm oparty o większość, zawartą w Bloku, był w jego oczach tylko sejmem wielkich reform i zagadnień ogólnopaństwowych. Nie widział on w Sejmie takim miejsca na targi i rozrachunki klasowe, ale widział miejsce na ustalenie ustroju politycznego, na określenie stosunku narodu do narodu i człowieka do człowieka w ramach podstawowych praw Rzeczypospolitej. Zgodnie z tem pierwszą mowę swoją poświęcił on Kresom, drugą Konstytucji. W dwóch wystąpieniach nakreślił, ale także i zamknął zasadniczy program działania nowego Sejmu: w programie tym brał dla siebie najważniejsze zadanie. Dopóki żył Hołówko, można się było nie lękać o to, że większość sejmowa spocznie na laurach swego wyborczego zwy-

ciężstwa: jego wiecznie młoda, nie ulegająca sklerozie dusza była żywą rękojmą ruchu, inicjatywy i samokrytyki.

Jak w dobie kadry strzeleckiej, jak w okresie Polskiej Organizacji Wojskowej, jak na polu wojny z Rosją, tak samo na trybunie sejmowej Hołówko czuł się zespolony z bojową tradycją swego Wodza; czuł bowiem, jak on, bijące w piersi serce historii.

Ten żywy, własny związek z historją sprawiał, że Hołówko, przynosząc w darze Piłsudskiemu wszystko włącznie aż do gotowości ofiary z życia, wzamian nie żądał odeń nic. Był miarą uroku i potęgi, jaką wywierała na dusze pokolenia szkoła Piłsudskiego, i to mu wystarczało. Czuł się szeregowcem, choć w rzeczywistości był pionierem i chorążym idei. Nie ubiegał się o komendę, lecz z dumą myślał o tem, że duchem swoim poił i wspierał dowódców. Nie sięgał w swoim obozie po zaszczyty i wyróżnienia, gdyż wiedział, że Piłsudski jednostkom mocnym nie wypożyczał sił, płynących z własnego autorytetu. Tę pomoc zachowywał dla wiernych i posłusznych, lecz słabszych duchem. Wiedząc o tem, nie czekał na prezent władzy z rąk Wodza; był przeświadczony, że władza, gdy do niej dorośnie wolą i godziną, nie minie go, ale przyjść powinna nie jako dar cudzy, lecz jako dorobek własnej woli. Powierzchowni lub płytko złośliwi obserwatorzy, nie docierając do głębin, z jakich płynęła wierność Hołówki, ślubowana Wodzowi w młodości a dochowana aż do zgonu, nie szczydzili mu taniej a wysilonej ironji. Byli nawet i tacy, którzy tę ekstatyczną wiarę, krwawemi raz po raz dokumen-

tującą się ranami, językiem wesołków podejmowali się przełożyć na kanwę dobrze obmyślanej kariery.

Dopiero skończona linja życia, tak tragicznie zamknięta, uświęciła, wyniosła ku wyżynie i złowieszczem a nieskalanem światłem oblała w nim pierwiastek wiary i bezinteresowności, dając najofiarniejszemu z rycerzy śmierć męczeńską. Wizerunek żywego oblicza, aby dla wszystkich zajaśniał wewnętrzną prawdą ducha, musiała ostatnim rysem bezlitosnej rzeźby uzupełnić okrutna śmierć.

Hołówko, w zaraniu młodości składając niezłomne ślubowanie Piłsudskiemu, wskazał w jego osobie wcielenie dumy i wielkości narodowej jako drogowskaz dla swego działania politycznego i ostoję dla swej wiary w Polskę...

Ale czy wolno nam na tej młodzieńczej interpretacji poprzestać?

Nie pomylimy się chyba, utrzymując, że w osnowie węzłów, które tak żarliwemi uczuciami zespoliły żołnierza z Wodzem, tkwiło coś głębszego, coś mniej świadomego i bardziej żywiołowego, niż program polityczny lub ideał narodowy.

Hołówkę w postaci Piłsudskiego podbiło najprawdopodobniej to, co w jego własnej duszy, w jego męskim, junaackim temperamencie, nieokiełzanym krzykiem wołało o triumf wyładowania, o moc zwycięstwa, o romantykę strzelistych ataków na bastjony zleniwienia duchowego, na okopy zastoju, zdzierstwa, krzywdy społecznej i narodowej.

Piłsudski oczarował go o porannej, najtkliwszej porze życia powabem ryzyka i górnem pięknem niebezpieczeństw, wołą czynu i tęsknotą ku pełni ducha.

Służąc swemu Wodzowi, w służbie tej widział dla siebie nie pęta u nóg, ale dźwignię entuzjazmu, gdyż w swem najgłębszem przeświadczeniu służył nie człowiekowi, lecz ojczyźnie. Idąc przez życie w kar-nym szeregu służby, sam jednakże nie wyrzekał się nigdy ambicji wodza i marzył o chwili, gdy danem mu będzie stanąć na wielkim, rozstrzygającym poste-runku władzy.

Czy istotnie miał dane, aby zczasem dorósć do roli, o której marzył?

Nie zbywało mu z pewnością na wielu talentach, niezbędnych do samodzielnego kierowania ludźmi. Miał hart woli, posiadał bystrą umysłowość, umiał korzystać z doświadczeń własnych i cudzych; widział słabości i nałogi, ale rozumiał też wielkość i utajoną potęgę Polski. Jeśli nie zdążył stanąć u steru kierow-nictwa, to może dlatego, że po drodze zbyt wiele cię-żarów brał na własne ramiona, zbyt wiele współ-czucia niósł w sobie dla niedoli bliźnich, zbyt wiele miał w sobie żaru apostoła i skrupułów artysty.

Śmierć dosięgła go w chwili, gdy całym pędem, jak świetlisty pocisk, szedł w górę. Poległ, nim do-szedł zenitu. Ale nim zginął, objawił to, co było tre-ścią jego bohaterskiej duszy: ostrość myśli i stal charakteru — dwa żywioły, z których historia buduje swe najszczytniejsze dzieła.

Styczeń—lipiec 1932.

Spis rozdziałów.

1. Z domu niewoli	5
2. Dżarkent	27
3. Szkoła	31
4. Przysięga matki	35
5. Pod urokiem Bohuna	40
6. W stolicy carów	44
7. Młody filareta	47
8. W szponach „ochrany“	50
9. Bezkresnym stepem	55
10. Proces i obrona	59
11. Na zachód	66
12. Siew Piłsudskiego	74
13. Powrót do Petersburga	81
14. „Głos Młodych“	90
15. Rodzime ghetto	97
16. Wojna!	101
17. Reduta „Widnokregu“	106
18. Legjony	114
19. Gdzie jest Polska?	120
20. P. O. W.	124
21. Czerwony Sztandar	130
22. Obóz jeńców	133
23. Koleczaste druty	141
24. Bagnety, które myślały	150
25. Za przykładem Wodza	155
26. Spisek Bezmyślności	159
27. Pod kolumną Zygmunta	167
28. Dramat dwóch narodów	174

29. „Rząd i Wojsko“	180
30. Podziemne ognie	185
31. Cień Magdeburga	194
32. Rewolucja na wschodzie	199
33. Przez dwa fronty	203
34. W oparach Ukrainy	212
35. Jesień zmartwychwstania	220
36. Pierwszy Rząd	226
37. Wiara w Sejm	231
38. Magnat z pod znaku gen. Dowbora	237
39. Pod maską Boga i Ojczyzny	239
40. Marzenie i rzeczywistość	242
41. Ziemianie przeciw Państwu	248
42. Kula bolszewicka	255
43. „Oficer polski“	262
44. „Ignis“	266
45. Kamienie rodaków	271
46. Rokosz prawicy	278
47. Relikwja i taran	285
48. Walka z krzywdą społeczną	289
49. Do źródeł własnej duszy	291
50. Rok w Paryżu	295
51. Ostatnia okupacja	299
52. Zwiastun burzy	305
53. Przewrót	311
54. Konsekwencje historyczne	317
55. Polityka narodowościowa	325
56. Naczelnik Wydziału Wschodniego	332
57. Florencja	338
58. „Kłamać nie potrafię“	343
59. Bunt nietykalnych	349
60. Nowe zadania	359
61. Pionier idei państwowej	366
62. Tragiczna konieczność	373
63. Kara	379
64. Rozmowa z sumieniem	383
65. Nowe bohaterstwo	391
66. Jednostka a Państwo	395

67. Apel z poza grobu	399
68. Strzał na emigracji	405
69. Rozmowy z Ukraińcami	412
70. Ostatnie miesiące	417
71. Truskawiec	424
72. Śmierć	430
73. Nad mogiłą	434

Spis rycin.

Tadeusz Hołówko przy biurku Naczelnika Wydziału Wschodn. w Min. Spraw Zagran.	przed kartą tytułową
Rodzice Tadeusza Hołówki	między str. 32—33
Tadeusz Hołówko w gronie komendantów okręgowych P. O. W.	między str. 160—161

75.- 921/18663

Prace Tadeusza Hołówki:

- „Ziemianie“ — Warszawa, 1919.
„Kwestja narodowościowa w Polsce“ — Warszawa, 1922.
„Co robotnik polski zdobył przez niepodległość“ — Warszawa, 1923.
„Prezydent Gabrjel Narutowicz“ — Warszawa, 1924.
„O zmianę konstytucji“ — Warszawa, 1926.
„Dlaczego trzeba zmienić konstytucję“ — Warszawa, 1930.
Przedmowa do książki „Uwolnienie Piłsudskiego“ — Warszawa, 1924.
„Oficer polski“ — Warszawa, 1921.
„Ze wspomnień germanofila“ — artykuł w książce p. t.
„Wspomnienia Legionowe“ — Warszawa, 1924.
„Przez dwa fronty“, — Warszawa, 1931.
„Przez kraj czerwonego caratu“, — Warszawa, 1931.
„Ostatni rok“ (wydała Janina Hołówna) — Warszawa, 1932.



Zakłady Graficzne Ski Ake. Książnica-Atlas we Lwowie.



43853/
2